radar

magazyn literacki literaturmagazin літературний журнал

No. 01 / 2010
marzec
März
березень

No. 1

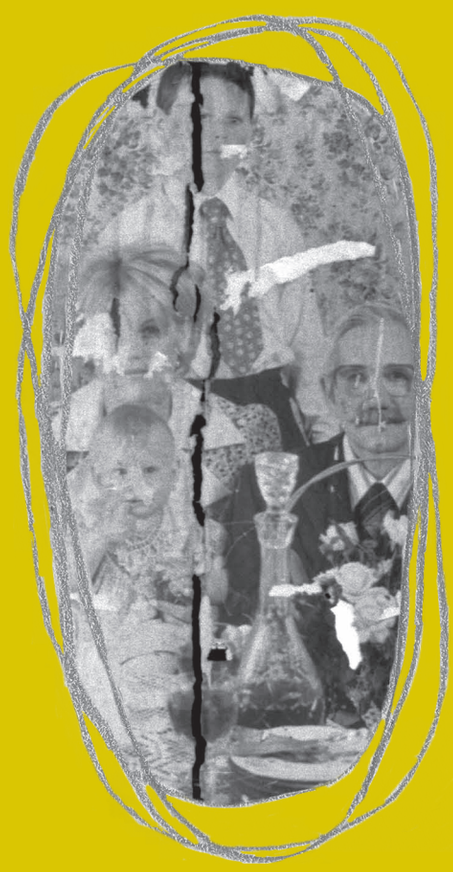

homesick

radar

RADAR
magazyn literacki
Kraków 2010, nr 1
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKCJA
Renata Serednicka (redaktor naczelna)
Małgorzata Różańska-Braniecka (sekretarz redakcji)
Małgorzata Olszewska (serwis internetowy)
zespół redakcyjny
Jurij Izdryk
Norbert Lange
Robert Ostaszewski
Rebecca Maria Salentin
Ostap Sływynski
Igor Stokfiszewski
Natalka Śniadanko
Andreas Volk
współpracownicy
Iwona Boruszkowska
Karoline Gil
Katarzyna Glinianowicz
Urszula Pieczek
Zuzanna Sipior
Andrzej Tyrpa
Elżbieta Zielińska

RADAR ONLINE
www.e-radar.pl

PROJEKT GRAFICZNY I ILUSTRACJE
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska
(Pracownia Grafiki), Warszawa
www.pracowniagrafiki.pl

PROJEKT OKŁADKI
Anna Jaworska

WYDAWCA
Stowarzyszenie Willa Decjusza
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUK
Drukarnia Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

NAKŁAD
4.000 egz.

NUMER ZREALIZOWANO ZE ŚRODKÓW
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
oraz Allianz Kulturstiftung

zdjęcie na okładce
© Elżbieta Lempp

RADAR
literaturmagazin
Krakau 2010, nr. 1
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKTION
Renata Serednicka (chef-redakteurin)
Małgorzata Różańska-Braniecka (redaktionssekretärin)
Małgorzata Olszewska (internetseite)
redaktionsteam
Jurij Izdryk
Norbert Lange
Robert Ostaszewski
Rebecca Maria Salentin
Ostap Slywynski
Igor Stokfiszewski
Natalka Sniadanko
Andreas Volk
zusammenarbeit
Iwona Boruszkowska
Karoline Gil
Katarzyna Glinianowicz
Urszula Pieczek
Zuzanna Sipior
Andrzej Tyrpa
Elżbieta Zielińska

RADAR ONLINE
www.e-radar.pl

GRAPHIK UND ILLUSTRATIONEN
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska
(Pracownia Grafiki), Warschau
www.pracowniagrafiki.pl

ENTWURF DES UMSCHLAGS
Anna Jaworska

HERAUSGEBER
Verein Villa Decius
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUCK
Druckerei Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

AUFLAGE
4.000 ex.

VERWIRKLICHT AUS DEN MITTELN VON
Allianz Kulturstiftung
Minister für Kultur und Nationalerbe

foto auf dem umschlag
© Elżbieta Lempp

РАДАР
літературний журнал
Краків 2010, № 1
електронна пошта: redakcja.radar@villa.org.pl

РЕДАКЦІЯ
Рената Середницька (головний редактор)
Малгожата Ружанська-Бранєцька
(секретар редакції)
Малгожата Ольшевська (веб-редактор)
редактори
Юрій Іздрик
Норберт Ланґе
Роберт Осташевський
Ребека Марія Залентін
Остап Сливинський
Ігор Стокфішевський
Наталка Сняданко
Андреас Вольк
співпрацівники
Івона Борушковська
Кароліне Ґіль
Катажина Ґлінянович
Уршуля Пєчек
Зузанна Сіпіор
Анджей Тирпа
Ельжбєта Зєлінська

РАДАР ОНЛАЙН
www.e-radar.pl

ГРАФІЧНИЙ ДИЗАЙН Й ІЛЮСТРАЦІЇ
Дорота Ґавришевська
Анна Яворська
(Pracownia Grafiki), Варшава
www.pracowniagrafiki.pl

ПРОЕКТ ОБКЛАДИНКИ
Анна Яворська

ВИДАВЕЦЬ
Асоціація Villa Decius
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

ДРУК
Друкарня Лейко
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

ТИРАЖ
4.000 примірників

ЗА ФІНАНСОВОЇ ПІДТРИМКИ
Міністра Культури і Національної Спадщини
і Allianz Kulturstiftung
фото на обкладинці
© Ельжбєта Лемпп

Z przyjemnością przedstawiamy Wam pierwszy papierowy numer magazynu literackiego RADAR, który prezentuje literaturę z trzech obszarów językowych – niemieckiego, polskiego i ukraińskiego w oryginale oraz w przekładzie na każdy z dwóch pozostałych języków. ■ RADAR powstał dzięki osobistym kontaktom autorów i tłumaczy z Niemiec, Polski i Ukrainy i jako wynik pewnego czytelniczego odkrycia, o którym pisze Igor Stokfiszewski w eseju „Literacki ruch oporu". Okazało się, że literatura trzech narodów w gruncie rzeczy tworzy spójny obraz rzeczywistości, opisując te same, uniwersalne doświadczenia. ■ Jednym z nich jest „home-sick" – motyw przewodni tego numeru. Ten temat przewijał się w rozmowach prowadzonych w krakowskiej Willi Decjusza podczas pobytów stypendialnych Homines Urbani przez pisarki i pisarzy z różnych krajów. Teraz z pytaniem o nostalgię czy problem jej braku, zmierzyli się autorzy pierwszego numeru RADARU. Eksponując przy tekstach nazwisko autora przekładu, pokazujemy, że cenimy tych, bez których idea literatury trzech języków nie mogłaby zaistnieć. To tłumacze wprowadzają nas w świat, który pozornie jest niedostępny – świat obcego języka. Dzięki ich pracy mamy szansę wczuć się w „innego" i odkryć, że tak naprawdę to jest ten sam/ta sama, tylko odmiennie opisany. ■ Wśród granic, których uparcie nie chcemy dostrzegać, są również te między tekstem a nie-tekstem. Dlatego o uniwersalnej rzeczywistości, jaką pragniemy odkryć, na równi z pisarzami opowiadają artyści obrazu. Okładka i projekt typograficzny autorstwa Anny Jaworskiej i Doroty Gawryszewskiej podkreślają ideę trzech języków i jednej literatury. Fotografie Elżbiety Lempp, jakie znajdziecie wewnątrz numeru, dopowiadają to, czego o „home sick" nie można powiedzieć słowami. ■ Zapraszamy do lektury. I przypominamy, że teksty naszych autorów, aktualności literackie i recenzje regularnie pojawiają się w serwisie internetowym **www.e-radar.pl.** ■ ■ ■

Mit Freude präsentieren wir Euch die erste Druckausgabe des Magazins RADAR, das Literatur aus Deutschland, Polen und der Ukraine jeweils in allen drei Sprachen vorstellt. ■ RADAR entstand durch persönliche Kontakte zwischen Autoren und Übersetzern aus den zuvor genannten Ländern und ist das Ergebnis einer Leseentdeckung, die Igor Stokfiszewski in seinem Essay „Die literarische Widerstandsbewegung" beschreibt. Es stellte sich heraus, dass die Literatur dreier Nationen im Grunde ein einstimmiges Bild von der Wirklichkeit schafft, in dem sie die gleichen universellen Erfahrungen beschreibt. ■ Daraus ist das Leitmotiv dieser Ausgabe „home-sick" entstanden. Dieses Thema zog sich durch die Gespräche, die in der Villa Decius im Rahmen des Programms Homines Urbani zwischen den Stipendiaten aus verschiedenen Ländern geführt wurden. Nun haben sich die Autoren in der ersten Ausgabe von RADAR mit der Frage nach vorhandener oder fehlender Nostalgie auseinandergesetzt. ■ Zu betonen ist auch die Rolle der Übersetzer, ohne die unsere Idee einer Literatur in drei Sprachen nicht entstehen könnte. Sie führen uns in eine Welt, die scheinbar nicht zugänglich ist – in die Welt der fremden Sprache. Dank ihrer Arbeit erhalten wir die Möglichkeit, uns in das „Andere" hinein zu versetzen und zu entdecken, dass es die oder das Gleiche ist – nur anders beschrieben. ■ Zu den Grenzen, die wir partout nicht wahrnehmen wollen, zählen auch diese zwischen Text und Nicht-Text. Daher erzählen neben Schriftstellern auch gleichermaßen bildende Künstler über die universelle Realität. Die typographische Gestaltung von RADAR verdanken wir Anna Jaworska und Dorota Gawryszewska, die damit die Idee der drei Sprachen und einer Literatur umgesetzt haben. Die Fotografien von Elżbieta Lempp, ergänzen wiederum das, was man über „home-sick" nicht mit Worten ausdrücken kann. ■ Wir laden herzlich zur Lektüre ein. Wir wollen Euch darauf hinweisen, dass weitere Texte unserer Autoren, literarische Neuigkeiten sowie Rezensionen regelmäßig auf der Internetseite **www.e-radar.pl** erscheinen. ■ ■ ■

Ми раді нагоді представити вам перший „паперовий" номер часопису „RADAR / РАДАР", який презентує літературу трьох мовних просторів – німецького, польського та українського, й об'єднує оригінальні тексти та їх переклади рештою мов. „RADAR / РАДАР" з'явився завдяки особистим контактам авторів і перекладачів із Німеччини, Польщі та України і є наслідком своєрідного читацького одкровення, про яке пише Ігор Стоквішевський в есеї „Рух літературного опору". Несподівано виявилося, що літератури всіх трьох народів створюють цілісну картину дійсності, описуючи один і той само універсальний досвід. ■ Одним із них є home-sick – наскрізний мотив цього номера. Тема, що часто зринала у бесідах між стипендіатами програми Homines Urbani, письменниками та письменницями з різних країн під час перебування на краківській Віллі Деціуша. Сьогодні автори першого „Радара" кидають виклик ностальгії, а чи проблемі її відсутності. Акцент на прізвищах авторів перекладів це вияв нашої поваги до людей, без котрих ідея літератури трьох мов була б неможливою. Бо саме перекладачі провадять нас до, здавалось би, недосяжного терену – світу іншої мови. Їхня робота дозволяє нам вслухатись у „Іншого" й пересвідчитися, що насправді це один і той /одна та само, тільки що описані по-іншому. ■ Один із численних кордонів, які ми вперто не бажаємо помічати, пролягає між текстом і не-текстом. Тому про універсальну дійсність, що її ми намагаємося відкрити, нарівні з літераторами оповідають мистці-візуальники. Обкладинка та дизайн-макет роботи Анни Яворської та Дороти Гавришкевської увиразнює концепцію трьох мов і єдиної літератури. Фотографії Ельжбети Лемпп, використані в оформленні цього номера, договорюють про „home sick" усе те, що не можна вимовити словом. ■ Бажаємо вам приємного читання. Й нагадуємо, що тексти наших авторів, літературні новини та рецензії регулярно з'являються на Інтернет сайті **www.e-radar.pl**. ■ ■ ■

Redakcja Die Redaktion Редакція

{INHALT / TREŚĆ / ЗМІСТ}

ESSAY / ESEJ / ECE

3 **ПОНАДНАЦІОНАЛЬНИЙ ЗАСІБ ДЛЯ ІНДИВІДУАЛЬНОГО КОРИСТУВАННЯ SUPRANATIONALES MITTEL FÜR DEN INDIVIDUELLEN GEBRAUCH PONADNARODOWY ŚRODEK DO INDYWIDUALNEGO UŻYTKU**
{**Остап Сливинський Ostap Slyvynsky Ostap Sływynski**} übers. von Stefaniya Ptashnyk, tłum. Iwona Boruszkowska /Urszula Pieczek

10 **LITERACKI RUCH OPORU EINE LITERARISCHE WIDERSTANDSBEWEGUNG ЛІТЕРАТУРНИЙ РУХ ОПОРУ**
{**Igor Stokfiszewski Igor Stokfiszewski Ігор Стокфішевський**} übers. von Dietmar Gass, переклад: Андрій Бондар

LYRIK / POEZJA / ПОЕЗІЯ

18 **TADEUSZ DĄBROWSKI TADEUSZ DĄBROWSKI ТАДЕУШ ДОМБРОВСЬКИЙ**
übers. von Andre Rudolph, переклад: Остап Сливинський

26 **ADRIAN KASNITZ ADRIAN KASNITZ АДРІАН КАСНІЦ**
tłum. Elżbieta Jeleń, переклад: Юрко Прохасько

31 **ПАВЛО КОРОБЧУК PAWLO KOROBTSCHUK PAWLO KOROBCZUK**
übers. von Stefania Ptashnyk, tłum. Aneta Kamińska

37 **БОГДАНА МАТІЯШ BOHDANA MATIJASCH BOHDANA MATIJASZ**
übers. von Claudia Dathe, tłum. Aneta Kamińska

43 **KERSTIN PREIWUSS KERSTIN PREIWUSS КЕРСТІН ПРАЙВУСС**
tłum. Ryszard Wojnakowski, переклад: Христина Назаркевич

48 **EUGENIUSZ TKACZYSZYN-DYCKI EUGENIUSZ TKACZYSZYN-DYCKI ЕВҐЕНІУШ ТКАЧИШИН-ДИЦЬКИЙ**
übers. von Doreen Daume, переклад: Маріанна Кіяновська

PROSA / PROZA / ПРОЗА

55 **PUTINS EISZAPFEN SOPLE PUTINA ПУТІНСЬКА БУРУЛЬКА**
{**Timo Berger Timo Berger Тімо Бергер**} tłum. Elżbieta Michałowska, переклад: Ольга Сидор

60 **DIE UKRAINE BEBT UND FOSTER WALLACE HAT SICH UMGEBRACHT NA UKRAINIE WRZE, A FOSTER WALLACE POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO УКРАЇНА БУНТУЄ, А ФОСТЕР ВОЛЛЕС СКОЇВ САМОГУБСТВО**
{**Jan Böttcher Jan Böttcher Ян Бьоттхер**} tłum. Elżbieta Michałowska, переклад: Наталка Сняданко

67 **СМЕРТЬ У НЬЮ-ЙОРКУ TOD IN NEW YORK ŚMIERĆ W NOWYM JORKU**
{**Катерина Хінкулова Kateryna Chinkulowa Kateryna Chinkułowa**} übers. von Alexander Kratochvil, tłum. Iwona Boruszkowska/Urszula Pieczek

76 **TRZYSTA TYSIĘCY DREIHUNDERTTAUSEND ПОЛЬСЬКІ ДЕРЖАВНІ ЗАЛІЗНИЦІ**
{**Marta Dzido Marta Dzido Марта Дзідо**} übers. von Sabine Leitner, переклад: Наталка Сняданко

86 **PKP PKP ПОЛЬСЬКІ ДЕРЖАВНІ ЗАЛІЗНИЦІ**
{**Joanna Pawluśkiewicz Joanna Pawluśkiewicz Йоанна Павлюськевіч**} übers. von Bettina-Dorothee Mecke, переклад: Лариса Андрієвська

98 **DIE HAND ERZÄHLT VOM DAUMEN DŁOŃ OPOWIADA O KCIUKU ДОЛОНЯ ОПОВІДАЄ ПРО ВЕЛИКИЙ ПАЛЕЦЬ**
{**Thomas Podhostnik Thomas Podhostnik Томас Подгостнік**} tłum. Tomasz Ososiński, переклад: Христина Назаркевич

105 **ZABURZENIA NIECO NOSTALGICZNE LEICHT NOSTALGISCHE STÖRUNGEN РОЗЛАДИ ПЕВНОЮ МІРОЮ НОСТАЛЬГІЙНІ**
{**Juliusz Strachota Juliusz Strachota Юлюш Страхота**} übers. von Ulrich Heisse, переклад: Стефанія Топчій

112 **ЧАС, КОЛИ СОНЦЕ ЗУПИНЯЄТЬСЯ WENN DIE SONNE STILLSTEHT CZAS, KIEDY ZATRZYMUJE SIĘ SŁOŃCE**
{**Сергій Жадан Serhij Zhadan Serhij Żadan**} übers. Von Claudia Dathe, tłum. Michał Petryk

REZENSIONEN RECENZJE РЕЦЕНЗІЇ

123 **DIESES BRENNEN, INNEN DRIN. JÖRG JACOB: FLUTEN. ERZÄHLUNG. HALLE 2009 TEN PIEKĄCY BÓL, GDZIEŚ W ŚRODKU. JÖRG JACOB: FLUTEN. ERZÄHLUNG. HALLE 2009 ЦЕ ГОРІННЯ, ВСЕРЕДИНІ. ЙОРҐ ЯКОБ: ПОТОПИ. ПОВІСТЬ. ГАЛЛЄ 2009. – ЛОТАР КВІНКЕНШТАЙН**
{**Lothar Quinkenstein Lothar Quinkenstein Лотар Квінкенштайн**} tłum. Katarzyna Szewczyk-Haake, переклад: Ольга Сидор

Остап Сливинський Ostap Slyvynsky Ostap Sływynski

ПОНАДНАЦІОНАЛЬНИЙ ЗАСІБ ДЛЯ ІНДИВІДУАЛЬНОГО КОРИСТУВАННЯ
SUPRANATIONALES MITTEL FÜR DEN INDIVIDUELLEN GEBRAUCH
PONADNARODOWY ŚRODEK DO INDYWIDUALNEGO UŻYTKU

Літературні фестивалі у нашій частині Європи (Центральній, Східній, Центрально-Східній чи „Середній” – хтозна, як її тепер називати) найбільше схожі на якийсь геополітичний експеримент – як ті скляні лабіринти, куди запускають піддослідних тваринок (даруйте за цинічне порівняння), чи як ковчег, де всякої тварі щонайменше по парі, і всі приречені принаймні час від часу перетинатися: на якихось офіційних бенкетах-фуршетах, прес-конференціях чи дискусіях на тему, скажімо, „Європи спільних ідей” чи „літератури понад кордонами”.

Але тільки-но закінчаться дискусії, письменники з Сербії й Хорватії старатимуться не зустрічатися в дверях, троє авторів із Боснії ходитимуть різними шляхами, а російськомовні поети з України радше будуть спілкуватися зі своїми російськими колегами, ніж із україномовними співвітчизниками. Міжнародні фестивалі, як ніщо інше, демонструють, що література в нашу постмодерну епоху, так само, як і в будь-яку іншу, натягнута на коліно політики, і коли в одному місці вона щось із чимось пов’яже, то в іншому нем-инуче порветься.

*

Пригадую, колись уже була спроба створити *понаднаціональну літературу*. Сталін, прийшовши з візитом до Горького і вислухавши скарги письменників, що вони, мовляв, зовсім заплуталися, як їм правильно називати нове інтернаціональне пролетарське письменство, пригладив вуса і прорік: соціалістичний реалізм.

*

До чого ці два вступи-відступи?
А ось до чого.
Література, якщо добре поміркувати, сама собою ніяк не впливає на форми реальності. Вона – як пастка для вітрів, метеорологічний сак, куди залітають протяги ззовні і там же застрягають, надаючи сакові формий повноти. Якщо трапляється інакше, і література впливає-таки на щось у цьому світі, то переважно мим-оволі, не в той час і не в той спосіб, у який биїй хотілося, вдовольняючись скромною роллю інструмента в руках справжніх конструкторів дійсності. Це трапляється нечасто, бо інструмент із неї незру-чний і крихкий; але варто не забувати, що є у світі й такі цвяшки, які найзручніше забивати лупою. Переймаючи хвороби реальності, література могла би хіба що виконувати роль щеплення, коли би хтось ризикнув прищепити тяжко хворого, котрого час від часу відсилають на смертне ложе. Іншої реальності, котру ще можна було б спробувати порятувати, у нас нема.

Заражена острахами
й підозрами, мудра, захоплена у полон дрібних стереотипів, мужня й толерантна, бунтівна і нахабна, закомплексована, демонстративно-зухвала, як собака, що гавкає зі страху, мазохістична й довірлива

– саме така література буде цікавою, отже, житиме. Саме така література є і залишатиметься цілковито нефункціональною.

Література має право на слабкість.
Має право не опиратися.
І водночас об таку літературу розбиваються будь-які амбіції тотальності. Якщо література ще виконує у світі яку-небудь останню *функцію*, то це функція камінця, який неминуче торохкає на дні казана, де вариться чергова тоталістська ідея. І якщо у мене ще залишилася яка-небудь віра в літературу, то полягає вона в тому, що література ніколи не може бути до кінця лояльною. Хай навіть її підривна природа парадоксальним чином випливає з її слабкостей. Що, зрештою, швидше за все, і є правдою.

*
Всередині літератури, як усередині іграшкового івана-покивана, є тягарець чи маятник, зроблений з важчого і щільнішого матеріалу, ніж будь-які ідеологічні утопії. Тому за літературу можна не хвилюватися – як обережний п'яниця, вона завжди встане назад на обидві ноги і повернеться додому, навіть після найкарколомнішого ідеологічного експерименту. З критикою і критиками гірше – позбавлені спасенного для літератури екзистенційного якірця, вони можуть відлетіти у відкритий космос слідом за власною (а частіше – чужою, накинутою їм) утопією і не повернутися, навіки розминувшись із літературою, яку критикують.

Тому з ідеями, котрі таять у собі небезпеку тоталізації – як-от з ідеєю *понаднаціональної літератури* – треба поводитися дуже обережно.

Як свого часу натякав Морис Бланшо, найкраща критика мала б переймати у літератури всі її *слабкості й сподівання*, пам'ятаючи, що від тлумачення – один крок до припису.
Тут парадоксальним чином „переймати" – це менше, ніж „приймати" чи „визнавати". Переймання тут означає здатність критики бодай на мить побачити світ очима цієї літератури – слабкої, залежної від міфів та історичних образ, подеколи сварливої, легковірної й піддатливої на ідеологічні спекуляції.

Критика, яка у такий спосіб – співчутливо і чуйно, радше ніж безапеляційно і категорично, – переймає „слабкості й сподівання" літератури, розуміє цю принципову неможливість узагальнень, відчуває цю опірність надто піддатливого матеріалу. Усвідомлює, що література не може стати простором глобального діалогу, як це на світанку постмодерну уявляли собі деякі теоретики, малюючи письменників веслярами на одному великому човні і фантазуючи, як література „зближує Європу зі світом ісламу" (Д. Фоккема). Бачить, що діалог продуктивніший тоді, коли локальніший, і сучасна понаднаціональна література – це не більше, ніж *засіб для індивідуального користування*, спільна частота, яку вдалося знайти не так уже й багатьом поодиноким човнам серед какофонії, котра заповнює всесвітній ефір після остаточного краху ідеї „global village". Що у сучасній концепції „понаднаціональної літератури" майже не лишилося місця для оптимізму, пов'язаного з надіями на глобальний діалог як засіб для порятунку світу.

Зрештою, резонанс, як відомо – річ руйнівна.

Literaturfestivals in unserem Teil Europas, d.h. in Mittel-, Ost-, Ostmitteleuropa oder wie man es auch immer nennen mag, vermitteln den Eindruck eines geopolitischen Experimentes: Man stellt sich dabei eine Art Glaslabrinth vor, in das – verzeihen Sie mir diese zynische Parallele – Versuchskaninchen hineinschlüpfen, oder eine gewisse Arche, in der von jedem Geschöpf, von jeder Gattung mindestens ein Paar sitzt, und sie alle sind dazu verurteilt, wenigstens gelegentlich einander über den Weg zu laufen, etwa bei offiziellen Empfängen, auf Pressekonferenzen oder bei Podiumsgesprächen über „Das Europa der gemeinsamen Ideen" oder „Grenzüberschreitende Literaturen".

Kaum sind die Diskussionen vorüber, versuchen die Schriftsteller aus Serbien und Kroatien einander auszuweichen, sich nicht mehr in der Tür zu begegnen, und die russischsprachigen Dichter aus der Ukraine werden viel lieber mit den Kollegen aus Russland als mit ihren ukrainischsprachigen Landsleuten kommunizieren. Internationale Festivals zeigen deutlicher als andere Veranstaltungen, dass in unserer postmodernen Zeit – wie auch in jeder anderen Epoche – die Literatur über das Knie der Politik gebrochen wird: Wenn an einer Stelle etwas zusammengebunden wird, so gibt es zwangsläufig an anderer Stelle einen Riss.

*
Es hat übrigens auch schon früher Versuche gegeben, eine *supranationale Literatur* zu schaffen: Eines Tages stattete Stalin Gorki einen Besuch ab. Dabei hörte er sich die Klagen der Schriftsteller an, sie seien durchaus verwirrt und wüssten nicht mehr, wie sie nun die neue internationale, proletarische Dichtung zu nennen hätten. Er strich sich nachdenklich über den Schnurrbart und sagte dann: sozialistischer Realismus.

*
Wozu diese zwei einführenden Exkurse?
Die Sache ist wie folgt.
Wenn man genau überlegt, so übt die Literatur keinerlei Einfluss auf die Formen der Realität aus. Sie ist wie eine Schlinge für den Wind, wie ein Windsack, in den die Luft hineinströmt und ihm Fülle und Form verleiht.
Sollte es anders kommen, dass die Literatur doch noch irgendetwas in dieser Welt beeinflusst, so geschieht es in der Regel nebenbei, und nicht zum erwünschten Zeitpunkt und auch nicht auf die intendierte Art und Weise, bei der sich die Literatur mit der bescheidenen Rolle eines Instrumentes in den Händen wahrer Konstrukteure der Wirklichkeit zufrieden gibt. Solche Effekte gibt es nur selten, denn die Literatur ist ein unbequemes und fragiles Instrument; man sollte aber nicht vergessen, dass es in der Welt auch Nägel gibt, die man am besten mit einer Lupe hineinhämmert. Sich auf die Leiden der Realität einlassend, könnte die Literatur höchstens als Impfstoff gelten, mit dem jemand riskiert, einen Schwerkranken zu impfen, den man von Zeit zu Zeit auf die Totenbahre legt. Eine andere Realität, die man sonst hätte versuchen können zu retten, haben wir nicht.

Voller Ängste und Verdächtigungen, kleinlichen Stereotypen ausgesetzt, zugleich weise, mutig und tolerant, rebellisch, vorlaut, mal verklemmt, mal demonstrativ-frech, wie ein Hund, der vor Angst bellt, masochistisch und vertraulich – eine solche Literatur wäre interessant, also lebensfähig. Und gerade eine solche Literatur ist und bleibt vollkommen unfunktional.

Die Literatur hat ein Anrecht auf ihre Schwächen.
Sie hat ein Anrecht darauf, keinen Widerstand leisten zu müssen. Gleichzeitig zerschellen an einer solchen Literatur jegliche Ambitionen der Totalität. Wenn die Literatur noch irgendeine, nicht die allerletzte Funktion erfüllt, so ist es die Funktion eines kleinen Steinchens, das unvermeidlich auf dem Boden eines Kochtopfs rappelt, in dem die nächste totalisierende Idee brodelt.
Wenn ich noch ein Fünkchen Glauben an die Literatur bewahrt habe, so besteht er darin, dass die Literatur niemals grenzenlos loyal sein kann, auch wenn ihre explosive Natur auf paradoxe Weise aus ihren Schwächen hervorgeht – letzteres ist wohl wahr.

*
Im Inneren der Literatur steckt – wie im Inneren eines Stehaufmännchens - eine Beschwerung oder ein Pendel, aus einem schwereren und dichteren Stoff hergestellt, als alle ideologischen Utopien. Deshalb braucht man sich um die Literatur keine Sorgen zu machen – wie ein vorsichtiger Alkoholiker richtet sie sich immer wieder auf, sie stellt sich auf beide Beine und kehrt selbst nach einem halsbrecherischen ideologischen Experiment wieder nach Hause. Viel schlechter ist es um die Literaturkritik und die Kritiker bestellt: Ohne einen existenziellen, für die Literatur rettenden Anker würden diese in den offenen Weltraum „losfliegen", eigener oder oftmals fremder, aufgedrängter Utopie folgen, und dann kann es passieren, dass sie niemals zurückkehren und für immer und ewig an der Literatur vorbeifliegen, die sie eigentlich kritisieren.

Mit Ideen, die in sich eine gewisse Gefahr der Totalisierung bergen, wie etwa mit der einer *supranationalen Literatur*, sollte man daher sehr vorsichtig umgehen.

Seinerzeit deutete Maurice Blanchot an, die beste Kritik solle von der Literatur all ihre Schwächen und Hoffnungen übernehmen, und dabei bedenken, dass zwischen dem Interpretieren und dem Vorschreiben nur ein einziger Schritt liege. Paradoxerweise ist hier das „Übernehmen" deutlich milder als „Annehmen" oder „Anerkennen". Übernehmen heißt, dass die Kritik fähig sein sollte, wenigstens für einen Moment die Welt mit den Augen dieser Literatur zu sehen – mit den Augen einer schwachen, auf Mythen und historische Vorbilder angewiesenen, manchmal zänkischen, manchmal leichtgläubigen und für ideologische Spekulationen durchaus anfälligen Literatur.

Die Kritik, die einfühlsam und von Mitleid erfüllt, jedoch nicht unbedingt widerspruchslos und kategorisch die *Schwächen und Hoffnungen* der Literatur übernimmt, versteht die prinzipielle Unmöglichkeit der Verallgemeinerungen. Sie spürt den Widerstand dieses doch sehr unnachgiebigen Materials. Sie begreift, dass die Literatur keinen Raum für einen globalen Dialog bieten kann, wie sich dies manche Theoretiker der frühen Postmoderne vorstellten, indem sie sich Schriftsteller als Ruderer in einem großen Boot ausmalten und darüber fantasierten, wie die Literatur das Europa und die islamische Welt einander näherbringen könnte (D. Fokkema). Diese Kritik merkt, dass der Dialog sich dann produktiver gestaltet, wenn er lokal stattfindet, und dass die moderne supranationale Literatur nichts anderes ist, als ein Mittel für den individuellen Gebrauch; sie ist eine bestimmte Frequenz innerhalb der Kakophonie, welche den Äther nach dem endgültigen Debakel der Idee eines „global village" erfüllt und welche nur vereinzelte Boote zu finden vermögen. Diese Kritik merkt, dass in der modernen Konzeption der „supranationalen Literatur" kaum Platz für Optimismus, für die Hoffnungen auf einen globalen Dialog als Weg zur Welterlösung übriggeblieben ist.

Schließlich ist die Resonanz, wie allgemein bekannt, eine zerstörerische Sache.

[Übersetzung: Stefaniya Ptashnyk]

Festiwale literackie w naszej części Europy (Środkowej, Wschodniej, Środkowo-Wschodniej czy „Średniej" – kto wie, jak ją teraz nazywać?) przypominają jakiś geopolityczny eksperyment – jak owe szklane labirynty, w których zamyka się zwierzątka laboratoryjne (proszę wybaczyć to ironiczne porównanie), albo arkę po sufit zapakowaną wszystkimi gatunkami, a wszyscy przynajmniej od czasu do czasu skazani są na spotykanie się podczas jakichś oficjalnych bankietów–bufetów, konferencji prasowych czy dyskusji na temat, powiedzmy „Europy wspólnych idei" lub „literatury ponad granicami".

Ledwie jednak skończą się dyskusje, a pisarze z Serbii i Chorwacji będą unikać mijania się w drzwiach, trzej autorzy z Bośni pójdą własnymi ścieżkami, a rosyjskojęzyczni poeci z Ukrainy raczej porozmawiają z rosyjskimi kolegami, niż z ukraińskojęzycznymi rodakami. Międzynarodowe festiwale jak nic innego pokazują, że literatura w naszej postmodernistycznej epoce, jak w każdej innej zresztą, zależy od polityki, i gdy w jednym miejscu coś się z czymś zwiąże, to w innym coś pęknie.

*

Przypominam sobie, że kiedyś już próbowano stworzyć *ponadnarodową literaturę*. Stalin – będąc z wizytą u Gorkiego, wysłuchawszy skarg pisarzy na to, że zupełnie się pogubili i nie wiedzą, jak mają poprawnie nazywać nową internacjonalną literaturę proletariacką – pogładził wąsy i rzekł: realizm socjalistyczny.

*

Czemu mają służyć te dwa wstępne akapity?
A oto czemu.
Literatura, jeśli się dobrze zastanowić, sama w żaden sposób nie wpływa na formy rzeczywistości. Jest ona, jak pułapka na wiatr, meteorologiczny worek, do którego wlatują przeciągi z zewnątrz i w którym zostają, nadając mu kształt i pełnię. Jeżeli zdarzy się inaczej i literatura ma jednak jakiś wpływ na coś na tym świecie, to przeważnie mimowolnie, nie w tym czasie i nie w ten sposób, jak by chciała, zadowalając się skromną rolą narzędzia w rękach prawdziwych twórców rzeczywistości. Zdarza się to nieczęsto, ponieważ narzędzie z niej nieporęczne i kruche; ale nie można zapominać, że są na świecie i takie gwoździe, które najporęczniej wbijać lupą. Literatura, przejmując choroby rzeczywistości, mogłaby co najwyżej pełnić rolę szczepionki, gdyby tylko ktoś chciał ryzykować szczepienie ciężko chorego, i tak od czasu do czasu przeżywającego stany agonalne. Innej rzeczywistości, którą można by jeszcze próbować uratować, nie mamy.

Zarażona strachem i podejrzeniami, mądra, oddana w niewolę małostkowych stereotypów, dzielna i tolerancyjna, zbuntowana i bezczelna, zakompleksiona, demonstracyjnie zuchwała, jak pies ujadający ze strachu, masochistyczna i łatwowierna – właśnie taka literatura będzie interesująca, a więc przetrwa. Właśnie taka literatura jest i będzie zupełnie niefunkcjonalna.

Literatura ma prawo do słabości. Ma prawo nie stawiać oporu. A jednocześnie o taką literaturę rozbijają się dowolne ambicje totalności. Jeśli literatura wykonuje jeszcze w świecie jakąkolwiek ostatnią funkcję, to jest to funkcja kamienia, obijającego się na dnie kotła, w którym gotuje się kolejna totalna idea. A jeśli uchowała się we mnie jakakolwiek wiara w literaturę, to polega ona na tym, że literatura nigdy nie może być do końca lojalna. Niechby i jej wywrotowa natura paradoksalnie wywodziła się z własnej słabości. Co zresztą najpewniej jest prawdą.

*

Wewnątrz literatury, jak wewnątrz dziecięcej wańki-wstańki, umieszczony jest ciężarek czy kuleczka, wykonana z cięższego i gęstszego materiału niż jakakolwiek ideologiczna utopia. Dlatego nie trzeba martwić się o literaturę – jak ostrożny pijaczyna, zawsze wstanie na obie nogi i wróci do domu nawet po najbardziej karkołomnym ideologicznym eksperymencie. Z krytyką i krytykami jest znacznie gorzej – bez zbawiennej dla literatury kotwicy egzystencjalnej, mogą odlecieć w przestrzeń kosmiczną w ślad za własną (a częściej cudzą, narzuconą) utopią i nie wrócić, na zawsze rozminąwszy się z krytykowaną literaturą.

Dlatego z ideami, które kryją w sobie niebezpieczeństwo totalizacji – jak na przykład z ideą *literatury ponadnarodowej* – trzeba obchodzić się bardzo ostrożnie.

Swego czasu Maurice Blanchot zasugerował, że najlepsza krytyka powinna przejąć z literatury wszystkie jej *słabości i nadzieje*, pamiętając, że od tłumaczenia jeden krok do nakazu. Tu, paradoksalnie, „przejmować" to mniej niż „przyjmować" czy „uznawać". Przejmowanie oznacza tu zdolność krytyki do widzenia świata, choć przez moment, oczyma tej literatury – słabej, zależnej od mitów i historycznych urazów, niekiedy kłótliwej, łatwowiernej i podatnej na ideologiczne spekulacje.

Krytyka, która w ten sposób – raczej współczująco i czujnie niż bezapelacyjnie i kategorycznie – przejmuje słabości i nadzieje literatury, rozumie tę zasadniczą niemożność uogólnień, odczuwa opór zbyt podatnego materiału. Uświadamia sobie, że literatura nie może stać się przestrzenią globalnego dialogu, jak to u zarania postmodernizmu wyobrażali sobie teoretycy, obrazując pisarzy u wioseł jednej wielkiej łodzi i fantazjując o tym, jak literatura „przybliża Europę do świata islamu" (D. Fokkema). Widzi, że dialog jest bardziej produktywny wtedy, gdy jest lokalny, a współczesna literatura ponadnarodowa to nic innego jak *środek do indywidualnego użytku*, wspólna częstotliwość, którą pośród kakofonii wypełniającej ogólnoświatowy eter po ostatecznym krachu idei *global village* udało się znaleźć jedynie niewielu pojedynczym łódkom. Krytyka dostrzega też, że we współczesnej koncepcji *literatury ponadnarodowej* prawie nie zostało miejsca na optymizm związany z nadziejami na globalny dialog jako środek ratowania świata.

Zresztą jak wiadomo rezonans to rzecz destrukcyjna.

[Przekład: Iwona Boruszkowska i Urszula Pieczek]

Остап Сливинський (1978, Україна) – поет, перекладач, критик, за освітою славіст, нині викладає польську мову та літературу у Львівському університеті. Закінчив аспірантуру з сучасної болгарської літератури. Автор чотирьох поетичних збірок, численних публікацій у періодичних виданнях та антологіях. Співредактор антології сучасної української та білоруської поезії „Зв'язокрозрив". Перекладає з польської, болгарської, македонської, англійської та білоруської мов. Протягом 2006-2007 років організовував Міжнародний літературний фестиваль у рамках Форуму видавців у Львові. Учасник багатьох стипендій. 1997-го року став лауреатом Літературної премії імені Богдана-Ігоря Антонича, 2009 отримав нагороду Губерта Бурди для молодих поетів із Центральної та Східної Європи. 2007-го був нагороджений премією Посольства РП за переклад Анджея Стасюка „Дорогою на Бабадаг"(Критика, Київ 2007). Останнім часом працює на межі поезії та візуального мистецтва. Стипендіат програми „Гомінес Урбані" у 2008 році.

Бібліографія

- *Жертвоприношення великої риби* (Каменяр, Львів 1998)
- *Полуднева лінія* (Видавництво Сергія Пантюка, Хмельницький-Київ 2004)
- *М'яч у пітьмі* (Критика, Київ 2008)
- *Ruchomy ogień* (tłum. Bohdan Zadura, Biuro Literackie, Вроцлав 2009)

Ostap Slyvynsky (1978, Ukraine) – Schriftsteller, Übersetzer, Kritiker, Slawist. Lektor für polnische Sprache und Kultur an der Lemberger Universität. Autor von vier Gedichtbänden, zahlreichen Publikationen in Zeitschriften und Anthologien. Mitherausgeber der Anthologie zeitgenössischer ukrainischer und weißrussischer Literatur „Зв'язокрозрив". Er übersetzt aus dem Polnischen, Bulgarischen, Mazedonischen, Englischen und Weißrussischen. In den Jahren 2006-2007 organisierte er das Internationale Literaturfestival im Rahmen des Forums für Herausgeber in Lemberg. 1997 hat er den Bohdan-Ihor Antonytsch Preis erhalten. Er erhielt zahlreiche Stipendien, darunter auch das Stipendium des Programms Homines Urbani in 2008.

Bibliographie

- *Opferung des großen Fisches* (Kameniar, Lemberg 1998)
- *Südlinie* (Chmielnicki-Kiew 2004)
- *Ball in der Dunkelheit* (Krytyka, Kiew 2008)
- *Bewegliches Feuer* (Übersetzung: Bohdan Zadura, Biuro Literackie, Breslau 2009)

Ostap Sływynski (1978, Ukraina) – poeta, tłumacz, krytyk, z wykształcenia slawista, obecnie wykłada język literaturę polską na Uniwersytecie Lwowskim. Obronił doktorat ze współczesnej literatury bułgarskiej. Autor czterech tomików poetyckich, licznych publikacji w periodykach i antologiach. Współredaktor antologii współczesnej ukraińskiej i białoruskiej poezji „Зв'язокрозрив". Tłumaczy z polskiego, bułgarskiego, macedońskiego, angielskiego, białoruskiego. W latach 2006-2007 organizował Międzynarodowy Festiwal Literacki w ramach Forum Wydawców we Lwowie. Zdobywca wielu stypendiów. W 1997 roku Ostap został laureatem Nagrody literackiej im. Bogdana-Igora Antonycza. W 2007 wyróżniono go nagrodą Ambasady RP za przekład Andrzeja Stasiuka „Jadąc do Babadag" (Krytyka, Kijów 2007). Ostatnio pracuje na pograniczu poezji i sztuki wizualnej. Stypendysta programu Homines Urbani w 2008 roku.

Bibliografia

- *Ofiarowanie wielkiej ryby* (Kameniar, Lwów 1998)
- *Linia południowa* (Chmielnicki-Kijów, 2004)
- *Piłka w ciemności* (Krytyka, Kijów 2008)
- *Ruchomy ogień* (tłum. Bohdan Zadura, Biuro Literackie, Wrocław 2009)

© Dorota Dziembowska-Gawryszewska

Igor Stokfiszewski **Igor Stokfiszewski** **Ігор Стокфішевський**

LITERACKI RUCH OPORU
EINE LITERARISCHE WIDERSTANDSBEWEGUNG
ЛІТЕРАТУРНИЙ РУХ ОПОРУ

Globalizacja oferuje nam abstrakcyjną uniwersalność. Uniwersalność pieniądza, komunikacji i władzy. Oto dzisiejszy uniwersalizm. Wobec abstrakcyjnej uniwersalności pieniądza i władzy, jakie zadanie stoi przed sztuką, jaka jest funkcja twórczości artystycznej?

Alain Badiou

Wpatrzeni w ideał nieistniejącej literatury narodowej, w jakiś mityczny, wymyślony twór, gotowi jesteśmy przegapić tworzącą się nową jakość – otwartą, uniwersalistyczną kulturę...

Kinga Dunin

1.

Współczesność (jeśli mogę pozwolić sobie na tak obszerny kwantyfikator) proponuje nam trwanie w napięciu między swoiście rozumianą uniwersalnością, a szeregiem pojedynczych, wyjątkowych – po/szczególnych identyfikacji, ról, odgrywanych na arenie grupowych gier. Napięcie to można ukazać jako sprzeczność, w której afirmacja fragmentu, strzępka, małej, kruchej narracji, zakłócana jest przez dojmującą świadomość obecności standardu, który pretenduje do bycia całością, uniwersalną matrycą. Standardu, gdzie określenia: demokracja, rynek, własność, rozsądek, prawo, kultura masowa z łatwością odnajdują należne im pozycje, dopełniając się wzajemnie poza zasadą różnicy, inności, pluralistycznego współistnienia, wielości, która ponoć nie ma obowiązku układać się w spójną mapę wspólnego terytorium.

2.

Szesnaście lat temu, na łamach magazynu „Ex Libris" krytyczka i socjolożka Kinga Dunin ogłosiła tekst *Literatura polska czy literatura w Polsce?*, będący przyczynkiem do dyskusji nad miejscem i rolą tzw. literatury narodowej w kształtującej się globalnej rzeczywistości. Teza krytyczki była mocna i inspirująca: „istnieje literatura w Polsce tylko w pewnej części polska i ona stanowi nasz świat odniesienia, nią też trzeba się zajmować. Literatura obca czytana przez Polaków powinna zostać uznana za integralną część kultury, tak też powinna być badana i analizowana. Stanowi ona istotną część naszego świata, a nie jedynie jakiś dziwny, nic nie znaczący dodatek".
Punktem wyjścia diagnozy Dunin było przedłożenie kulturowej empirii, faktów z życia czytającej wspólnoty, nad eksploatowanie pewnej koncepcji literatury (tzw. literatury narodowej), która w istocie nie organizowała już zbiorowej wyobraźni. „Książki, które są czytane – pisała krytyczka – (…) dostarczają odbiorcy symboli, znaków kulturowych, za pomocą których porządkuje on swój świat". Symbole te tymczasem – konstatowała Dunin – wykroczyły daleko poza imaginarium pojedynczej wspólnoty uspójnionej językiem, terytorium i przebiegiem historycznego losu.

Półtorej dekady po tamtym wystąpieniu zagadnienie literatury narodowej, pisarstwa eksponującego tematykę i symbolikę narodową ożyło w odpowiedzi na tendencje ponowoczesne, które zdominowały ubiegłe dziesięciolecie. Eksplozja – u progu nowego wieku – prozy historycznej oraz rozrachunkowej, poezji religijnej, odwołującej się do uczuć patriotycznych i wydobycie z lamusa przeszłości szeregu twórców narodowych w imię odzyskania tożsamości i mocy samostanowienia jako podmiotu historii, a zarazem współczesności to charakterystyczne przykłady wsparcia przez kulturę zjawiska określanego w naukach społecznych jako *backlash* (konserwatywna „reakcja zwrotna" na falę liberalizacji). Specyfika *backlashu* polega na tym, że zachowawcze wartości (narodowe, religijne itp.) nie występują w opozycji do wolnego rynku (dóbr i idei) oraz kultury masowej jako kultury obywateli-konsumentów, lecz funkcjonują w ich ramach, kreując niespotykany dotąd konglomerat dyskursu narodowego, wolnorynkowego i masowego.
Dziś tendencje globalizacyjne wspierają rozwój abstrakcyjnej uniwersalności wolnego rynku, kultury masowej, określonej koncepcji władzy politycznej i symbolicznej, wspierając równocześnie tożsamości narodowe jako dostępne nam różnice. Jeśli ktokolwiek miał okazję uczestniczyć w targach książki w jednej z europejskich stolic, zauważył zapewne jakim znakomitym towarem są literatury poszczególnych narodów, mimo że przytłaczająca większość pisarzy i pisarek, niezależnie od narodowej przynależności, podejmuje te same tematy, ujęte w te same ramy estetyczne. Zarazem, każdy czujny obserwator przemian kulturowych i społecznych zauważy, że w siłę rosną tendencje opozycyjne wobec generowanych przez globalizację wyobrażeń o kształcie rzeczywistości, wartości, wokół których organizujemy wspólne życia, kodów i symboli podpowiadających, jak poruszać się po świecie „standardu": demokracji, rynku, własności, rozsądku, prawa, kultury masowej i „masowego indywidualizmu". Podstawą dzisiejszej przestrzeni sztuki jest antagonizm między centrystycznymi tendencjami do podtrzymania istniejącego kształtu świata i mniejszościową krucjatą na rzecz odmiennego od dominującego kodeksu postępowania; między władzą symboliczną wolnego rynku wspieranego przez władzę polityczną i swoistym ruchem oporu, sprzeciwu wobec bezwzględności porządku abstrakcyjnego uniwersalizmu pieniądza i władzy.

3.

Pozwolę sobie na wyznanie. Od lat przyglądam się bacznie literaturze trzech obszarów językowych – niemieckiego, polskiego i ukraińskiego. Gdy stałem się uczestnikiem tego międzynarodowego obiegu pisarskiego, byłem pod ogromnym wrażeniem porozumienia, jakie istniało między pisarkami i pisarzami odmiennych narodowości. Dzięki ukształtowaniu się systemu artystycznej wymiany, rozwojowi ruchu translatorskiego i programom stypendialnym od szeregu lat twórcy z trzech (bliskich mi) obszarów językowych kreują jeden spójny świat literatury regionu. Początkowo widziałem ów fenomen w perspektywie prywatnych kontaktów, emocji, które powstają podczas spotkania, porozumienia; następnie: dostrzegłem niezwykłość obiegu tych artystycznych wspólnot jako niebywałe wydarzenia z zakresu socjologii literackiego życia – rzadko zdarza się, by autorzy z innych krajów tworzyli jedno literackie środowisko.
Krótko potem odkryłem, że wobec unifikacji szeregu doświadczeń społecznych, związanej z tendencjami globalizacyjnymi, twórcy, którym towarzyszę, znakomicie wyłapują fenomeny rzeczywistości, którą można by opisać jako transnarodową. *Hymn demokratycznej młodzieży* Serhija Żadana, czy powieść *Ahatanhel* Natalki Śniadanko, będące próbą uchwycenia ukraińskiej rzeczywistości na gorącym uczynku społecznych przemian z powodzeniem mogą stanowić opis przemian rzeczywistości polskiej czy niemieckiej. Wiersze z tomów Uljany Wolf są wyrazem niemieckiej świadomości tego dziwnego czasu, w jakim przyszło im być pisanymi, niemniej niż świadomości polskiej, lub ukraińskiej. Zaś prowincja z próz Daniela Odiji i Mariusza Sieniewicza zdaje się zmieniać lokację: podróżować między naszymi krajami podobnie jak sami autorzy. Gdybym miał wskazać, którzy twórcy literatury najnowszej najtrafniej diagnozują choroby rzeczywistości kraju, w którym żyję, w szeregu odliczyliby się nie tylko wspomniani Sieniewicz, Odija czy Masłowska, Witkowski, Dzido, Honet, Lipszyc, Cyranowicz, ale również Śniadanko, Kocarew czy Podhostnik, choćby słowo „Polska" nie padło w ich tekstach ani razu. Przemiany współczesności sprawiły, że żyjemy w czasach jednej literatury trzech języków. Jestem pewien, że w wyniku postępującej internacjonalizacji naszego regionu do liczby „języków" konsekwentnie dodawać będziemy następne, odliczając do nieskończoności.

4.

Dziś, ta sekwencja drobnych odkryć powinna zostać uzupełniona o jeszcze jedno. Obieg pisarski twórców naszego regionu, owa jedna literatura trzech języków nie tylko charakteryzuje się międzynarodowością żywych ludzkich kontaktów, transetnicznością analizy rzeczywistości materialnej i niematerialnej, ale również uczestniczy w sporze, który rozpoznaję jako zamachowe koło postępu dzisiejszej kultury: najznakomitsi reprezentanci młodszego pokolenia twórców jednej literatury trzech języków konsekwentnie wpisują się w szereg reprezentantów literackiego ruchu oporu przeciw dominacji abstrakcyjnych uniwersalności pieniądza i władzy. Najznakomitsi pisarze i pisarki, reprezentujący najnowszą literaturę języka niemieckiego, polskiego i ukraińskiego kreują w swoich pismach żywotną opozycję wobec „standardu"demokracji, rynku, własności, rozsądku, prawa, kultury masowej i „masowego indywidualizmu". Wierzę, że doświadczamy zjawiska wyjątkowego: jesteśmy nie tylko świadkami unieważnienia narracji o literaturach narodowych za sprawą empirii, która dowodzi, że symbole organizujące wyobraźnię twórców regionu, kody za pomocą których komunikują się z innymi, tematy, które podejmują i rozstrzygnięcia, które są dla nich kluczowe odnoszą się przede wszystkim do wspólnego doświadczenia radykalnych przemian w łonie globalnej rzeczywistości. Doświadczamy także ukształtowania się wspólnej płaszczyzny wartości w opozycji do globalizacji, powstania niezależnej od języka czy pochodzenia narodowego wspólnoty autorów i autorek krytycznie odnoszących się do kształtu, jaki przybrał świat.

Alain Badiou w wystąpieniu pt. *Fifteen Theses on Contemporary Art*, w słowach następujących po zdaniach, które są pierwszym mottem niniejszego tekstu, zapytywał: „Czy funkcją twórczości artystycznej jest (...) bycie przeciw abstrakcji pieniądza i władzy, lub (...) przeciw globalizacji? A może zadaniem sztuki jest zaproponowanie innego rodzaju uniwersalności?"
Jestem przekonany, że dialektyka współczesnej literatury opiera się na równoczesności dwóch, wspomnianych przez francuskiego filozofa, środków. Jestem pewien, że z oporu wobec abstrakcyjnej uniwersalności pieniądza i władzy wyłania się zarazem „inny rodzaj uniwersalności", opartej na innych przesłankach, odmiennym kodeksie wartości, innej wizji człowieka i wspólnoty. Jaki?
To najważniejsze pytanie dzisiejszego świata.

Die Globalisierung bietet uns eine abstrakte Universalität: eine Universalität des Geldes, der Kommunikation und der Macht. Das ist die Universalität von heute. Was ist demnach die Aufgabe der Kunst, welche Funktion hat das künstlerische Schaffen angesichts der abstrakten Universalität von Geld und Macht?

Alain Badiou

In unserer Konzentration auf das Ideal einer nichtexistenten Nationalliteratur, auf ein mythisches fiktives Etwas, sind wir bereit, eine neu entstehende Qualität, eine offene universalistische Kultur geflissentlich zu übersehen …

Kinga Dunin

1.
Die Gegenwart (falls ich mir einen derart weit gefassten Quantifikator erlauben darf) bietet ein Verharren im Spannungsfeld zwischen einer eigen definierten Universalität und einer Reihe einzelner, außerordentlicher – be /sonder(lich)er Identifikationen bzw. Rollen, die auf der Bühne der Gruppenspiele gegeben werden. Diese Spannung lässt sich als Widerspruch darstellen, in dem die Bejahung des Fragments und die Rudimente der kleinen wie fragilen Narration von einem dominanten Bewusstsein eines gegenwärtigen Standards, mit dem Anspruch das umfassende Ganze oder eine universelle Matrize zu sein, gestört werden; eines Standards, bei dem die Definitionen von Demokratie, Markt, Eigentum, Vernunft, Recht, Massenkultur mit Leichtigkeit ihren entsprechenden Platz finden und sich gegenseitig – mit Ausnahme des Prinzips von Unterschiedlichkeit, Andersartigkeit, pluralistischer Koexistenz, Vielfalt – ergänzen; ein Prinzip, das angeblich nicht in der Pflicht stehe, sich in die kohärente Landkarte eines gemeinsamen Territoriums einzupassen.

2.
Vor 15 Jahren löste die Kritikerin und Soziologin Kinga Dunin mit ihrem Text *Polnische Literatur oder Literatur in Polen?*[1] in der Zeitschrift „Ex Libris" eine Diskussion über den Platz und die Rolle der „Nationalliteratur" in einer sich zunehmend globalisierenden Wirklichkeit aus. Ihre explizite These diente als Anregung: „ in Polen gibt es eine Literatur, die nur zu einem gewissen Teil polnisch ist, die unsere Bezugswelt bildet und mit der wir uns auseinanderzusetzen haben. Die fremdsprachige Literatur, die in Polen gelesen wird, sollte als integraler Bestandteil der Kultur anerkannt und als solcher erforscht und analysiert werden. Sie bildet einen wesentlichen Bestandteil unserer Welt und ist nicht bloß irgendeine seltsame, unbedeutende Beigabe." Ausgangspunkt für Dunins Diagnose waren Daten – Ergebnisse der empirischen Kulturforschung – aus der Lesegemeinschaft über die Abnutzung eines bestimmten Literaturmodells (der „Nationalliteratur"), das de facto nicht mehr das gemeinschaftliche Bild prägte. „Gelesene Bücher", so die Kritikerin „ […] liefern dem Rezipienten Symbole, kulturelle Codes, mit deren Hilfe dieser seine Welt ordnet." Diese Symbole würden indessen, laut Dunin, bei weitem das Vorstellungsvermögen singulärer, durch gemeinsame Sprache, Territorium und historisches Schicksal kohärent gewordener Gemeinschaften, überschreiten.
16 Jahre danach rückte das Thema Nationalliteratur, das Schreiben mit deutlicher nationaler Symbolik und Thematik, ins Zentrum der Aufmerksamkeit. Es wurde als Antwort auf postmoderne Tendenzen, die das vorangegangene Jahrzehnt dominiert hatten, erneut virulent. Die Lawine historischer Romane sowie der Abrechnungsprosa zur Jahrhundertwende, religiöser Lyrik, die auf patriotische Gefühle abzielte, sowie die Neuauflagen nationaler Kulturschaffender aus der historischen Rumpelkammer im Namen der Erlangung von Identität und Selbstbestimmung als historisches und gleichzeitig zeitgenössisches Subjekt waren bezeichnende Beispiele für Erscheinungen, die kulturell befördert wurden und in den Sozialwissenschaften als *Backlash* bezeichnet werden (konservative „Gegenreaktion" nach einer Liberalisierungswelle). Das Eigentümliche des *Backlashs* besteht darin, dass die konservativen Werte (national, religiös usw.) nicht im Gegensatz zum freien Markt (Güter und Ideen) sowie der Massenkultur als Kultur der Bürger-Konsumenten auftreten, sondern innerhalb dieses Rahmens funktionieren, indem sie ein bis dahin unbekanntes Konglomerat der Diskurse über Nation, Marktwirtschaft und Masse bilden.
Heute fördern Globalisierungstendenzen die Entwicklung einer abstrakten Universalität des freien Marktes, der Massenkultur sowie eines bestimmten Entwurfes von politischer und symbolischer Macht bei gleichzeitiger Stärkung nationaler Identität (als einem uns zugänglichen Unterschied). Wer Gelegenheit hatte, in einer europäischen Metropole an einer Buchmesse teilzunehmen, hat sicher bemerkt, welch hervorragende Ware die Literaturen der einzelnen Nationen sind, und dass, obwohl die überwiegende Mehrheit der Autorinnen und Autoren sich unabhängig von der nationalen Zugehörigkeit derselben Themen annimmt, diese in den gleichen ästhetischen Rahmen gefasst werden. Indessen bemerkt der aufmerksame Beobachter kultureller und gesellschaftlicher Veränderungen das Erstarken gegenläufiger Tendenzen zu den von der Globalisierung hervorgerufenen Vorstellungen über die Gestalt jener Realität und Werte, um welche herum wir das gemeinsame Leben organisieren, jener Codes und Symbole, welche die Bewegungen innerhalb einer „standardisierten" Welt vorgeben: Demokratie, Markt, Eigentum, Vernunft, Recht, Massenkultur und „Massenindividualismus". Basis des heutigen Kunstraums ist der Antagonismus zwischen zentristischen Tendenzen zur Erhaltung der gegenwärtigen Gestalt der Welt und einem Minderheitenkreuzzug zugunsten eines Verfahrenskode, der vom vorherrschenden abweicht, sowie zwischen der symbolischen Macht des freien Marktes, die von der politischen unterstützt wird, und einer originären Widerstandsbewegung; dem Contra gegenüber dem unbarmherzigen Regime des abstrakten Universalismus von Geld und Macht.

3.
Ich erlaube mir ein Geständnis. Seit Jahren verfolge ich aufmerksam die Literatur dreier Sprachräume: des deutschen, polnischen und ukrainischen. Als ich in diesen internationalen Schriftstellerkreislauf gelangte, war ich vom Einverständnis, das unter den Autorinnen und Autoren der unterschiedlichen Nationalitäten herrschte, äußerst beeindruckt. Nachdem sich ein System des künstlerischen Austausches bzw. der Übersetzungsbetrieb und Stipendienprogramme entwickelt hatten, bildeten dank dessen die Kulturschaffenden dieser drei (mir nahestehenden) Sprachgemeinschaften über die Jahre eine gemeinsame literarische Region. Anfangs bemerkte ich dieses Phänomen aus der Perspektive von Privatkontakten, aus Emotionen, die bei diversen Treffen entstanden. Später erkannte ich dann die Außergewöhnlichkeit im Kreislauf dieser künstlerischen Gemeinschaften als besonderes Ereignis in der Soziologie des literarischen Lebens – selten kommt es vor, dass Autoren aus unterschiedlichen Ländern ein literarisches Milieu bilden. Kurz darauf wurde mir bewusst, dass angesichts der Vereinheitlichung einer ganzen Reihe von sozialen Erfahrungen, die mit Tendenzen der Globalisierung unmittelbar in Verbindung stehen, von jenen Kulturschaffenden, mit denen ich in Kontakte stehe, eben solche lebensweltlichen Phänomene, die man als transnational bezeichnen könnte, eindrucksvoll aufgefangen wurden. Serhij Zhadans *Hymne der demokratischen Jugend* oder Natalka Sniadankos Roman *Ahatanhel* sind Versuche, die ukrainische Realität auf frischer Wendetat zu ertappen, und können durchaus als Beschreibung von Veränderungen der polnischen oder deutschen Verhältnisse dienen. Die Gedichte aus den Bänden einer Uljana Wolf sind nicht minder Ausdruck eines deutschen Bewusstseins dieser denkwürdigen Zeit als eines polnischen oder ukrainischen. Die Provinz in der Prosa von Daniel Odija oder Mariusz Sieniewicz wiederum scheint die Schauplätze zu wechseln und ähnlich wie die Autoren selbst zwischen unseren Ländern zu pendeln. Wäre ich gezwungen, mich auf aktuelle Prosa festzulegen, die am treffendsten die Symptome des jeweiligen Landes diagnostiziert, würde ich in einem Atemzug nicht nur die Sieniewicz und Odija, Maslowska, Witkowski, Dzido, Honet, Lipszyc, Cyranowicz, sondern auch Sniadanko, Kocarew oder Podhostnik, obwohl in deren Texten der Begriff „Polen" nicht einmal auftaucht, nennen. Die gegenwärtigen Veränderungen bedingten eine Literatur in drei Sprachen und ich bin sicher, dass mit der zunehmenden Internationalisierung unserer Region, diese Anzahl konsequent steigen wird.

4.
Nun darf ich diese Beobachtungen um eine weitere ergänzen: Dieser literarische Kreislauf unserer Region, diese eine Literatur dreier Sprachen, zeichnet sich nicht bloß durch die Internationalität lebendiger Kontakte und die Transethnizität in der Analyse der materiellen wie inmateriellen Realität aus, sondern ist auch in einer Auseinandersetzung aktiv, die ich als Schwungrad des Fortschritts für die jetzige Kultur ausmache. Die bedeutendsten Repräsentanten der jüngeren Generation dieser einen Literatur in drei Sprachen sind Vertreter einer literarischen Widerstandsbewegung gegen die Dominanz der abstrakten Universalität von Geld und Macht. Die besten Autorinnen und Autoren der zeitgenössischen deutschen, polnischen und ukrainischen Literatur bilden in ihren Werken eine lebendige Opposition gegenüber dem „Standard" von Demokratie, Markt, Eigentum, Vernunft, Recht, Massenkultur und „Massenindividualismus".
Ich meine, wir sind Zeugen einer außergewöhnlichen Erscheinung: nicht nur, dass wir die Aufhebung des Erzählens über Nationalliteratur mittels einer Empirie erleben, die beweist, dass jene Symbole, welche die Phantasie der Schriftsteller der Region arrangieren, jene Codes, mittels welcher sie kommunizieren, jene Themen, welche sie aufgreifen und behandeln, welche für sie eine Schlüsselrolle einnehmen, sich vor allem auf die gemeinsamen Erfahrungen der radikalen Veränderungen vor dem Hintergrund einer globalen Wirklichkeit beziehen. Wir sind auch bei der Herausbildung einer gemeinsamen Werteebene in Opposition zur Globalisierung, dem Entstehen einer nationalen und einzelsprachenunabhängigen Autorinnen- und Autorengemeinschaft dabei, die sich kritisch zur Gestalt, die der Planet annimmt, äußert.

Alain Badiou fragt in der Einleitung mit dem Titel: *Fifteen Theses on Contemporary Art,* unmittelbar nach dem Zitat, das als Motto diesem Text vorangeht: „Ist die Funktion des künstlerischen Werks […] die Opposition zur Abstraktion von Geld und Macht, oder […] das Contra zur Globalisierung? Vielleicht ist die Aufgabe der Kunst ja auch das Annoncieren einer anderen Art von Universalität?" Ich bin überzeugt, dass die Dialektik der zeitgenössischen Literatur sich auf beide von Badiou erwähnten Mittel stützt. Ich bin mir sicher, dass aus dem Widerstand gegen die abstrakte Universalität von Geld und Macht sich gleichzeitig „eine andere Art von Universalität" entwickelt, die sich auf andere Prämissen, auf einen divergenten Wertekanon bzw. auf eine abweichende Vision von Mensch und Gesellschaft stützt. Welche? Das ist die bedeutendste Frage unserer heutigen Welt.

[1] *Literatura polska czy literatura w Polsce?*

[Übersetzung: Dietmar Gass]

Глобалізація пропонує нам абстрактну універсальність. Універсальність грошей, універсальність комунікації та універсальність влади. Такий собі сучасний універсалізм. Отже, завдання мистецтва, функція художнього творення полягає у спротиві абстрактній універсальності грошей і влади.

Ален Бадью

Задивившись в ідеал неіснуючої національної літератури, наче в якесь міфічне, вигадане твориво, ми готові проґавити створення нової якості – відкритої, універсалістської культури…

Кінґа Дунін

1.
Сучасність (якщо можна дозволити собі такий широкий квантор) пропонує нам існування в напрузі між своєрідно зрозумілою універсальністю та низкою одиничних, виняткових і окремих ідентифікацій, ролей, зіграних на арені групових ігор. Цю напругу можна виявити як суперечність, що в ній прийняття фрагменту, уривку, малої і крихкої нарації, порушено настирливим усвідомленням наявності стандарту, який претендує на те, щоб бути цілістю, універсальною матрицею. Стандарту, де поняття „демократія", „ринок", „власність", „розум", „закон" і „масова культура" легко віднаходять належні їм позиції, взаємно доповнюючись поза принципом різниці, інакшості, плюралістичного співіснування, множинності, який нібито не зобов'язаний вкладатись у струнку мапу спільної території.

2.
Шістнадцять років тому, на шпальтах часопису „Ex Libris" критикиня і соціологиня Кінґа Дунін оприлюднила текст *Польська література чи література в Польщі?*, що став приводом для дискусії на тему місця та ролі так званої національної літератури у формуванні глобальної реальності. Її теза була потужною та про вокативною: „У Польщі існує література тільки почасти польська і вона є полем нашого зацікавлення, нею також треба займатись. Іноземну літературу, читану поляками, теж слід визнати невід'ємною частиною культури. Її теж потрібно досліджувати й аналізувати. Вона складає суттєву частину нашого світу, і не є лише якимось дивним і неважливим додатком".
Вихідним пунктом діагнозу Дунін було надання переваги культурній емпірії, фактам із життя читаючої спільноти перед експлуатуванням певної концепції літератури (так званої національної літератури), яка по суті вже не формувала колекти-вної уяви. „Читані книжки, – писала критикиня, – (…) постачають реципієнту символи та культурні знаки, за допомогою яких він організовує свій світ". Тим часом ці символи, – констатувала Дунін, – вийшли далеко за межі уяви окремої спільноти, об'єднаної мовою, територією та перебігом історичної долі. Через півтора десятиліття після цього виступу проблема національної літератури, письменництва, що експонує національну тематику та символіку, відродилась у відповідь на постмодерністські тенденції, які домінували протягом минулого десятиліття. Вибух історичної та реваншистської прози, релігійної поезії, що апелює до патріотичних почуттів на порозі нового століття, та видобування з комірчини минулого національних творців в ім'я відновлення ідентичності й сили самостановлення як суб'єкту історії і, водночас, сучасності – це характерні приклади підтримки культурою явища, що його в суспільних науках визначають як *backlash* (консервативна „зворотна реакція" на хвилю лібералізації). Специфіка *backlash* полягає в тому, що консервативні вартості (національні, релігійні тощо) не входять у протистояння з вільним ринком (благ та ідей) і масовою культурою як культурою громадянспоживачів, а функціонують у їхніх межах, утворюючи небачений досі конгломерат національного, ринкового і масового дискурсів.

Сьогодні глобалізаційні тенденції підтримують розвиток абстрактної універсальності вільного ринку, масової культури, визначеної концепції політичної та символічної влади, підтри-муючи, водночас, національні ідентичності як доступні нам відмінності. Якщо хто-небудь мав нагоду брати участь у книжкових ярмарках в одній із європейських столиць, то він, мабуть, помітив, наскільки популярним товаром є певні національні літератури, попри те, що переважна більшість письменників і письменниць, незалежно від національної належності, порушує ті самі теми в тих самих естетичних рамках. Водночас, кожен уважний спостерігач за культурними та суспільними змінами помітить, що набувають сили тенденції опозиційні щодо генерованих глобалізацією уявлень про форму реальності, вартості, навколо яких ми організуємо спільне життя, кодів і символів, що підказують, як поводитись у світі „стандарту" – демократії, ринку, власності, розуму, закону, масової культури та „масового індивідуалізму". Фундаментом сьогоднішнього простору мистецтва є антагонізм між доцентровими тенденціями до підтримання існуючої форми світу та меншинним хрестовим походом на користь кодексу поведінки, відмінного від домінантного; між символічною владою вільного ринку, що його підтримує політична влада, та своєрідним рухом опору, спротиву нещадності порядку абстрактного універсалізму грошей і влади.

3.
Мушу зізнатись: упродовж багатьох років уважно приглядаюсь до літератури трьох мовних обширів – німецької, польської та української. Коли я став учасником цього міжнародного літературного середовища, то був вражений порозумінням, яке існувало між письменниками та письменницями різних народів. Завдяки формуванню системи мистецького обміну, розвитку перекладацького руху і стипендіальним програмам митці з трьох (близьких мені) мовних обширів творять єдиний світ літератури регіону. Спочатку я вбачав причину виникнення цього феномену в перспективі приватних контактів, емоцій, які виникають під час зустрічі та порозуміння. Потім помітив незвичність обігу цих мистецьких спільнот як небувалу подію зі сфери соціології літературного життя – зрідка трапляється, щоб автори з різних країн формували єдине літературне середовище. А незабаром виявив, що через уніфікацію низки суспільних досвідів, пов'язану з глобалізаційними тенденціями, ці митці чудово вихоплюють феномени реальності, яку можна було б визначити як транснаціональну. Гімн демократичної молоді Сергія Жадана чи роман Наталки Сняданко „Синдром стерильності" будучи спробою ухопити українську реальність „на гарячому" суспільних змін з тим самим успіхом можуть зіграти роль змін польської чи німецької реальності. Вірші зі збірок Уляни Вольф є виразом німецької свідомості дивного часу, в якому вони були написані, не менш, ніж польської або української свідомості. А провінція з прози Даніеля Одії та Маріуша Сєнєвича, здається, змінює розташування, подорожуючи між нашими країнами – подібно до самих авторів. Якби мене запитали, хто з творців найновішої літератури найвлучніше діагностує хвороби реальності країни, в якій я живу, серед інших я назвав би не лише згаданих Сєнєвича й Одію, Масловську і Вітковського, Дзідо і Гонета, Ліпшица і Циранович, а й також Сняданко, Коцарева чи Подгостніка, попри те, що слово „Польща" може жодного разу й не згадуватись у їхніх текстах. Сучасні зміни призвели до того, що ми живемо в часи єдиної літератури трьох мов. Я переконаний, що внаслідок посилення інтернаціоналізації нашого регіону, до кількості „мов" ми послідовно додаватимемо наступні – і так до безкінечності.

4.
Сьогодні до цієї низки малих відкриттів варто додати ще одне. Письменницький обіг творців нашого регіону, ота єдина література трьох мов, не лише характеризується інтернаціональністю живих людських контактів, трансетнічністю аналізу матеріальної та нематеріальної реальності, а й також бере участь у дискусії, яку я вважаю маховим колесом поступу сучасної культури: найвідоміші представники молодшого покоління творців єдиної літератури трьох мов послідовно вписуються в число представників літературного руху опору проти домінування абстрактної універсальності грошей і влади. Найвідоміші письменники та письменниці, що репрезентують найновішу літературу німецької, польської та української мов, творять у своїх текстах життєву опозицію „стандартові" демократії, ринку, власності, розуму, закону, масовій культурі й „масовому індивідуалізму". Я вірю, що ми переживаємо унікальний досвід: ми не лише стаємо свідками занепаду нарації про національні літератури за допомогою емпірії, яка доводить, що символи, які формують уяву творців регіону, коди, за допомогою яких вони комунікують з іншими, теми, які вони порушують і розв'язання, які є для них ключовими, стосуються передусім спільного досвіду радикальних змін у лоні глобальної реальності. Ми також переживаємо досвід формування спільної площини вартостей в опозиції до глобалізації, появу незалежної від мови чи національного походження спільноти авторів і авторок, що критично ставляться до форми, якої набув світ.

Ален Баддю у доповіді під назвою *П'ятнадцять тез про сучасне* мистецтво у словах, що йдуть слідом за реченням, які я вибрав епіграфом до цього тексту, запитував: „Функція художньої творчості (…) полягає в тому, щоб бути проти абстракції грошей і влади, чи (…) проти глобалізації? А може, завдання мистецтва в тому, щоб запропонувати інший вид універсальності?" Я переконаний, що діалектика сучасної літератури спирається на одночасність обох способів, згаданих французьким філософом. Я переконаний, що з опору абстрактній універсальності грошей і влади виникає, водночас, „інший вид універсальності", що спирається на інші передумови, відмінний кодекс вартостей, інші візії людини і спільноти. Які саме? Це найважливіше питання сьогоднішнього світу.

[Переклад: Андрій Бондар]

Igor Stokfiszewski (1979, Polska) – krytyk, redaktor, eseista, dramaturg. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim i Jagiellońskim. W przeszłości redaktor magazynu „Ha!art", od 2006 członek zespołu „Krytyki Politycznej". Jako dramaturg współrealizował m.in. spektakl „Piekarnia" Bertolda Brechta (Narodowy Stary Teatr, Kraków 2008) oraz „Cement" Heiner Müllera (Teatr Współczesny, Wrocław 2009).
Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej", „Tygodniku Powszechnym", „FA-arcie", „Notatniku Teatralnym", „die tageszeitung". Recenzent książkowy i filmowy dla: Czytelnia (TVP Kultura), Kinematograf (TVP1), Aktualności Filmowe (Canal+). Od 2005 roku związany z programem stypendialnym Homines Urbani w Willi Decjusza w Krakowie.

Bibliografia

- *Tekstylia. O rocznikach siedemdziesiątych* (Krakowska Alternatywa, Kraków 2002) – współredaktor
- *Ludzie, miasta. Literatura Białorusi, Niemiec, Polski i Ukrainy – ślady nieistniejącego języka* (Korporacja Ha!art, Kraków 2008) – współredaktor
- *Zwrot polityczny* (Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009)

Igor Stokfiszewski (1979, Polen) – Kritiker, Redakteur, Essayist, Dramaturg. Studium der polnischen Philologie an der Universität Łódź und an der Jagiellonen Universität. Ehemaliger Redakteur des Magazins „Ha!art", seit 2006 Redaktionsmitglied bei „Krytyka Polityczna". Als Dramaturg realisierte er u.a. das Spektakel „Der Brotladen" von Bertold Brecht (Narodowy Stary Teatr, Krakau 2008) und „Zement" von Heiner Müller (Teatr Współczesny, Breslau 2009). Seine Kritiken wurden u.a. in „Gazeta Wyborcza", "Tygodnik Powszechny", „FA-art", „Notatnik Teatralny", „die tageszeitung" publiziert. Buch- und Filmrezensent für die Fernsehprogramme: Czytelnia (TVP Kultura), Kinematograf (TVP1), Aktualności Filmowe (Canal+). Seit 2005 mit dem Stipendienprogramm Homines Urbani in der Villa
Decius in Krakau verbunden.

Bibliographie

- *Textilien. Über die 70-er Generation* (Krakowska Alternatywa, Krakau 2002) – Koredakteur
- *Menschen, Städte. Literatur aus Weißrussland, Deutschland, Polen und der Ukraine – Spuren der nich bestehenden Sprache* (Korporacja Ha!art, Krakau 2008) – Koredakteur
- *Politische Wende* (Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warschau 2009)

Ігор Стокфішефський (1979, Польща) – критик, редактор, есеїст, драматург. Студіював полоністику в Ягеллонському університеті та у Лодзі. В минулому – редактор журналу „Ha!art", з 2006-го року член команди „Політичної Критики". Як драматург співреалізував, зокрема, виставку „Пекарня" Бертольда Брехта (Національний Старий Театр, Краків 2008) а також „Цемент" Гайнера Мюллера (Сучасний Театр, Вроцлав 2009). Публікував, зокрема, у " „Gazeta Wyborcza", „Tygodnik Powszechny", „Fa-art", „Notatnik Teatralny", „die tageszeitung". Він рецензент книжок та фільмів для: Czytelnia (TVP Kultura), Kinematograf (TVP1), Aktualności Filmowe (Canal+). З 2005-го року пов'язаний зі стипендіальною прог-рамою „Гомінес Урбані" у Віллі Деціуша у Кракові.

Бібліографія

- *Текстиль. Про покоління семидесятих* (Krakowska Alternatywa, Краків 2002) – співредактор
- *Люди, міста. Література Білорусі, Німеччини, Польщі та України – сліди неіснуючої мови* (Korporacja Ha!art, Краків 2008) – співредактор
- *Політичний переворот* (Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Варшава 2009)

© Elżbieta Lempp

TADEUSZ DĄBROWSKI

(1979, Polska) - poeta, eseista, krytyk, redaktor dwumiesięcznika literackiego „Topos". Publikował m.in. w: „Tygodniku Powszechnym", „Polityce", „Rzeczpospolitej", „Twórczości", „Zeszytach Literackich", „Res Publice Nowej" oraz w prasie zagranicznej: „Boston Review", „Agni"„Tin House", „American Poetry Review", „Poetry Review", „Poetry Wales", „Poetry Ireland", „Akzente", „Sprache im technischen Zeitalter", „manuskripte"„LICHTUNGEN". Stypendysta m.in. Internationales Haus der Autoren Graz (2008), Ministra Kultury RP (2007), Literarisches Colloquium Berlin (2006) oraz Baltic Centre for Writers and Translators (Visby, 2004). Laureat m.in. Nagrody Kościelskich (2009), Hubert-Burda-Preis (2008), nagrody Splendor Gedanensis (2007), Nagrody Miasta Gdańska dla Młodych Twórców (2002). Od Tadeusza Różewicza otrzymał Nagrodę Fundacji Kultury Polskiej (2006). Jego twórczość została przetłumaczona na 15 języków. Jego wiersze wybrane ukażą się wkrótce w Niemczech (Luxbooks) i Stanach Zjednoczonych (Zephyr Press). Mieszka w Gdańsku.

Bibliografia

- *Wypieki* (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1999)
- *e-mail* (Biblioteka „Toposu", Sopot 2000)
- *mazurek* (Wydawnictwo Zielona Sowa / Biblioteka „Studium", Kraków 2002)
- *Te Deum* (Wydawnictwo a5, Kraków 2005, 2008)
- *Poza słowa. Antologia wierszy 1976-2006* (redaktor) (słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2006)
- *Czarny kwadrat* (Wydawnictwo a5, Kraków 2009)

TADEUSZ DĄBROWSKI (1979, Polen) – Dichter, Essayist, Kritiker, Redakteur der Literaturzeitschrift „Topos". Publizierte u.a. in „Tygodnik Powszechny", „Polityka", „Rzeczpospolita", „Twórczość", „Zeszyty Literackie", „Res Publica Nowa" sowie im Ausland in „Boston Review", „Tin House", „Agni", „American Poetry Review", „Poetry Review", „Poetry Wales", „Poetry Ireland", „Akzente", „Sprache im technischen Zeitalter", „manuskripte", „LICHTUNGEN". Stipendiat u.a. im Internationalen Haus der Autoren Graz (2008) und im Literarischen Colloquium Berlin (2006), Stipendium des Kulturministers der Republik Polen (2007) und des Baltic Centre for Writers and Translators (Visby, 2004). Preisträger des Kościelski-Preises (2009), des Hubert-Burda-Preises (2008), des Splendor Gedanensis (2007), des Preises der Stadt Danzig für junge Künstler (2002). Von Tadeusz Różewicz erhielt er den Preis der Stiftung für polnische Kultur (2006). Seine Texte wurden in 15 Sprachen übersetzt. Bald werden seine Gedichte in Deutschland (Luxbooks) und den USA (Zephyr Press) erscheinen. Der Autor lebt in Danzig.

Bibliographie

- *Wangenröte* (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Danzig 1999)
- *e-mail* (Biblioteka „Toposu", Sopot 2000)
- *mazurek* (Wydawnictwo Zielona Sowa / Biblioteka „Studium", Krakau 2002)
- *Te Deum* (Wydawnictwo a5, Krakau 2005, 2008)
- *Über Worte hinaus. Gedichtanthologie 1976-2006* (Herausgeber) (słowo / obraz terytoria, Danzig 2006)
- *Schwarzes Quadrat auf schwarzem Grund* (Wydawnictwo a5, Krakau 2009); (übersetzt von: Alexander Gumz, Monika Rinck und Andre Rudolph, luxbooks, Wiesbaden 2010)

ТАДЕУШ ДОМБРОВСЬКИЙ (1979, Польща) – поет, есеїст, літературний критик. Редактор літературного двохмісячника „Topos". Його тексти публікувалися у багатьох виданнях: „Tygodnik Powszechny", „Polityka", „Rzeczpospolita", „Twórczość", „Zeszyty Literackie", „Res Publica Nowa", „Boston Review", „Agni", „Tin House", „American Poetry Review", „Poetry Review", „Poetry Wales", „Poetry Ireland", „Akzente", „Sprache im technischen Zeitalter", „manuskripte", „LICHTUNGEN". Стипендіат міжнародного письменницького дому у місті Ґрац (2008), міністра культури Польщі (2007), Літературного колоквіуму Берліна (2006) та Балтійського центру для письменників і перекладачів (Visby, 2004). Лауреат премії Косцельських (2009), премії Губерта Бурди (2008), Splendor Gedanensis (2007), премії міста Гданська для молодих митців (2002). Отримав премію фонду польської культури з рук Тадеуша Ружевіча (2006). Його твори перекладено 15 мовами. Готуються до виходу книги у Німеччині (Luxbooks) та США (Zephyr Press). Живе у Ґданську.

Бібліографія

- *Випічка (Видавництво гданського університету, Ґданськ 1999)*
- *e-mail (Бібліотека журналу „Topos", Сопот 2000)*
- *мазурка (Видавництво Zielona Sowa / Бібліотека „Studium", Краків 2002)*
- *Te Deum (Видавництво a5, Краків 2005, 2008)*
- *Поза слова. Антологія віршів 1976-2006 (редактор) (Видавництво słowo / obraz terytoria, Ґданськ 2006)*
- *Чорний квадрат (Видавництво a5, Краків 2009)*

Wieczorek

– Pisze pan raczej dniem czy nocą? – I dniem, i nocą,
miła pani. O świcie, gdy kończę pijacką wędrówkę
w poszukiwaniu ciał, zauważam, jak noc
wlewa się we mnie wirującą strugą

atramentu. Potem przesypiam słońce, a po
południu zaczynam spisywać przygody nocnego
bohatera. To smutne wiersze, i sztuczne, mimo że
prawdziwe. Nikt ich nie widział, bo nie wolno

pisać przeciwko ludzkiej naturze, tak
jednocześnie pisząc i kreśląc, zamazuję
dzień i ponownie robi się noc. Najpiękniejsze
wiersze powstają we śnie – białe z rymami,

wyciskane wypisanym piórem w czystym czystym
zeszycie. Tych wierszy bezwiednie szukam nocami.
Wyjdź mi naprzeciw, zanim zapomnę, po co
wyszedłem.

Вечорок

– Ви переважно пишете вдень чи вночі? – І так, і так,
люба пані. На світанні, під кінець пияцьких блукань
у пошуках тіл, помічаю, як ніч
вливається в мене скипілим потоком

чорнила. Далі просипляю сонце, а
пополудні берусь описувати пригоди нічного
героя. Ці вірші сумні й штучнуваті, хоч
і правдиві. Ніхто їх не бачив, бо не годиться

писати супроти людської природи, і так,
пишучи й виправляючи, закреслюю
день, і знов западає ніч. Найкрасивіші
вірші приходять у сні – білі, римовані,

витиснені списаною ручкою в чистому-чистому
зошиті. Тих віршів мимоволі шукаю ночами.
Вийди мені назустріч, доки я не забув, навіщо виходив.

Lesung

– Schreiben Sie eher am Tag oder nachts? – Tag und Nacht,
meine Dame. Im Morgengrauen, wenn ich mit meiner Tour durch die Kneipen
auf der Suche nach Körpern am Ende bin, merke ich, wie sich
mit gewaltigen Strudeln die schwarze Tinte der Nacht in mich

ergießt. Dann verschlafe ich die Sonnenstunden und
nachmittags fange ich an, die Abenteuer des Helden und Nachtwanderers
aufzuschreiben. Traurige Verse sind das, und künstliche, wenn auch
authentische. Ich habe sie niemandem gezeigt, denn es ist verboten

so gegen die menschliche Natur anzuschreiben, und auf diese Weise,
indem ich also gleichzeitig schreibe und durchstreiche, verschmiere ich
den Tag, und es wird wieder Nacht. Die schönsten
Gedichte entstehen im Traum – Blankverse in Reimen,

aus dem leergeschriebenen Füllhalter hinausgetrieben ins leere, weiße
Papier. Diese Gedichte suche ich pausenlos in den Nächten.
Komm raus und stell dich, bevor ich vergesse, worum ich hinausging.

* * *

Przeniosłem cię niechcący na rękach z klubu go-
-go wprost do mojego łóżka i dokładnie
wtarłem w pościel więc teraz ilekroć budzę się
zasypiam albo śnię staje mi niezawodnie

przed oczami pastelowy obraz roztrzęsionych
piersi i za każdym razem czuję rozkoszny
ból jakbym miał w nosie sumienie. Postanowiłem
z tym skończyć i spryskałem pościel perfumami

mojej mamy; rozpacz ogarnęła mnie gdy
okazało się że to ten sam zapach (coś
jak jabłuszko). Od tamtej pory leżąc w łóżku
czuję się jednocześnie i dobry i zły.

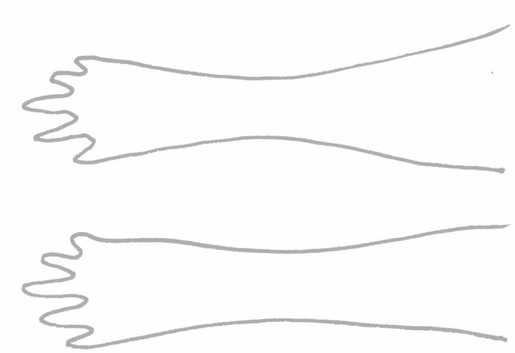

* * *

Aus Versehen habe ich dich aus der Tabledance-
Bar rausgetragen auf Händen direkt in mein Bett und
gründlich in den Laken verrieben und jetzt wenn
ich aufwache einschlafe oder träume steht mir immer

in Pastellfarben dieses Bild vor Augen die aufgeriebenen
Brüste und jedes Mal spüre ich diesen erregenden
Schmerz als hätte ich von jedem Gewissen die Nase voll. Ich
wollte damit aufhören und habe die Bettwäsche

mit Mamas Parfüm eingesprüht; aber dann die
Verzweiflung als sich herausstellte dass es sich um den
gleichen Duft handelte (irgendwas wie Apfel). Seither
liege ich im Bett und fühle ich mich zugleich böse und – gut.

* * *

Я мимохіть переніс тебе на руках із клубу go-
go- просто до мого ліжка й старанно
втер у постіль тепер щоразу коли прокидаюсь
засинаю чи сню перед моїми очима зринає

пастельний образ тремтливих
персів щоразу приходить солодкий
біль неначе я чхав на сумління. Щоб цьому
покласти край я побризкав постіль парфумами

матері; мене огорнула розпука коли
я зрозумів що це той самий запах (якийсь
наче яблучний). Відтоді лежачи в ліжку
я почуваюсь заразом добрим і злим.

* * *

Wie oft bin ich schon gestorben im Leben – schwer zu sagen,
denn gestorben bin ich gewiss. Heute hat mich eine Straßenbahn
gestreift und ich habe meinen Tod gesehen; meine Überreste liegen
abseits der Schienen, während ich weitergehe,

die Lindenallee entlang. Oder vor neun Jahren,
als ich mit dem Fahrrad dem Pfarrer unter die Räder geriet,
seinem Peugeot, und mit dem Hinterkopf die Scheibe zertrümmerte –
hätte ich damals nicht umkommen können? Und der siebenjährige

Junge, der über die Dachrinne spazierte,
allein gerettet durch einen heilsamen Krampf in der
rechten Wade, hat er da unten nicht seinen eigenen Leichnam
hinterlassen? An Dutzende solcher Tode kann ich mich erinnern,

wie viele habe ich übersehen? Es ist sehr wahrscheinlich,
dass ich seit Jahren in immer höhere Himmelssphären
aufsteige. Aber erst seit kurzer Zeit kriecht mich
die Angst an, irgendwann könnte es mit dem Sterben vorbei sein. Denn

woher kann ich wissen, ob die plötzliche Finsternis – jetzt, wo
ich mich nach dem Sturz erhebe, versuche, mir den Staub abzuklopfen,
ob diese Finsternis, in der die Bäume mit den Wurzeln nach oben
wachsen – die Hölle ist, oder der Himmel an einem späten

Dezembernachmittag?

* * *

Скільки разів я в житті помирав – годі сказати,
але помирав, безумовно. Сьогодні мене
зачепив трамвай, і я стрів власну смерть; тіло
лежить біля колії, а я йду собі далі

алеєю поміж лип. Чи дев'ять літ тому,
коли на велосипеді потрапив під священикове
пежо, розбивши шибку потилицею –
хіба не ухилився від смерті? Чи той семилітній

хлопчик, що проходжався краєчком даху,
і його врятувала спасенна судома
правої литки – хіба ж він не залишив власного
трупа внизу? Пам'ятаю десятки таких смертей,

а скількох із них я не помітив? Здається,
роками здіймаюсь на щораз вищі поверхи
неба. Але ось віднедавна мене опадає ляк,
що вмирання колись та скінчиться. Бо ж як

мені знати, чи та несподівана тьма – тепер, коли
я підводжусь, упавши, й намагаюсь обтрусити пилюку,
та тьма, у якій дерева ростуть корінням угору –
це пекло чи небо пізнього грудневого

пообіддя?

* * *

Ile już razy w życiu umarłem – trudno powiedzieć,
bo umierałem na pewno. Dzisiaj otarłem się o
tramwaj i zobaczyłem swoją śmierć; zwłoki leżą
na skraju torowiska, a ja idę dalej

lipową aleją. Albo dziewięć lat temu,
gdy wjechałem rowerem pod koła księżowskiego
peugeota, rozbijając szybę potylicą –
czy nie mogłem wówczas zginąć? A siedmioletni

chłopiec, spacerujący po krawędzi dachu,
ocalony dzięki zbawiennemu skurczowi
prawej łydki, czyż nie zostawił w dole własnego
trupa? Dziesiątki takich śmierci pamiętam,

ile z nich mogłem przeoczyć? Prawdopodobne,
że od lat się unoszę w coraz wyższe rejony
nieba. Ale dopiero od niedawna nachodzi
mnie lęk, że umieranie kiedyś się skończy. Bo skąd

mam wiedzieć, czy nagła ciemność – teraz, gdy
wstaję po upadku, próbując otrzepać się z brudu,
ciemność, w której drzewa rosną korzeniami
do góry – jest piekłem, czy niebem w późne grudniowe

popołudnie?

* * *

Jeżeli nadal jesteś sobą, nie możesz nie tęsknić
za potrawką z kurczaka, radiową Dwójką, Frankiem
Blackiem, Allenem, Tarantino i mną.
Musi brakować ci chwil zwątpienia, dzięki

którym byłeś, kim byłeś. Rozważam i taką
ewentualność: jesteś czystym zachwytem, obłoczkiem
rozkoszy. Lecz wtedy cóż ci po mnie, a mnie
po tobie? A tak naprawdę – siedzisz pod rozłożystym

drzewem, umorusany lepkim miąższem lipca,
słyszysz, że cię wołam, ale nie odpowiadasz,
aby nie spłoszyć ptaka, który zjada do bólu
szczęśliwą gąsienicę. Milczysz absolutnie

pewien, że jeszcze moment
i cię znajdę.

* * *

Wenn du immer noch du selbst bist, wirst du dich immer nach einem
Grillhähnchen sehnen, nach Radio Eins, nach Frank
Black, Woody Allen, nach Tarantino, nach mir.
Sie werden dir fehlen, jene Momente der Skepsis, die

dich zu dem gemacht haben, der du warst. Ich erwäge noch
eine zweite Möglichkeit: du bist die pure Begeisterung, von Lust
umwölkt. In diesem Fall aber, was bleibt dir von mir, und was bleibt
mir von dir? Und was wirklich los ist – du sitzt unter einem ausladenden

Baum, verklebt von den öligen Früchten des Juli,
du hörst, dass ich dich rufe, aber du antwortest nicht,
um den Vogel nicht zu verschrecken; schmerzhaft glücklich der Schmetterling,
den er verspeist. Und schweigst absolut

sicher, dass ich dich jeden Augenblick
finde.

* * *

Якщо ти є досі собою, то точно сумуєш
за вареною куркою, радіо «Двійка», Френком
Блеком, Алленом, Тарантіно і мною.
І тобі точно бракує моментів сумніву, котрі

робили тебе тим, ким ти був. Я розглядаю
й таку можливість: ти – чисте захоплення, хмарка
блаженства. Але навіщо тоді я тобі, й ти
мені нащо? Насправді ж – сидиш під розлогим

деревом, замурзаний липким м'якушем липня,
чуєш, що я кличу тебе, й не відповідаєш,
щоб не сполохати птаха, який саме ковтає до болю
щасливого черв'яка. Мовчиш, цілковито

упевнений: іще мить,
і я тебе віднайду.

Gdyby

kogoś kiedyś zainteresowała prawda
czasów, w których żyłem,
powiedziałbym mu tak:

Na moich oczach miłość
zamieniała się w seks,
seks w pornografię,
pornografia
w miłość.

Wielokrotnie.
Coraz szybciej.

Якби

колись когось зацікавила правда
про часи, в які мені випало жити,
я б сказав так:

На моїх очах любов
перетворилась на секс,
секс – на порнографію,
порнографія –
на любов.

І так без кінця.
Щораз швидше.

Falls

irgendwen jemals die Wahrheit interessieren
sollte,
über die Zeit, in der ich gelebt habe,
ich würde ihm folgende Auskunft geben:

Unter meinen Augen verwandelte sich
die Liebe in Sex,
der Sex in Pornographie,
die Pornographie
in Liebe.

Vielfach.
Immer schneller.

bis es aufgeht

1.
dichtung ist es dann
wenn du's fühlst

dieses
gewisse etwas

fühlst du's?

2.
(wenn nicht
lies das gedicht noch mal
von vorn)

do skutku

1.
poezja jest wtedy
gdy czujesz

to
coś

czujesz?

2.
(jeżeli nie
przeczytaj wiersz
ponownie)

у саму ціль

1.
поезія є тоді
коли відчуваєш

те
щось

відчуваєш?

2.
(якщо ні
прочитай вірша
іще раз)

© Tadeusz Dabrowski, „Schwarzes Quadrat auf schwarzem Grund". Ausgewählte Gedichte. Zweisprachig. Übersetzt von Andre Rudolph, Monika Rinck und Alexander Gumz. Luxbooks, Wiesbaden 2010.

[Übersetzung: Andre Rudolph, Переклад: Остап Сливинський]

pewien, że jeszcze moment i cię znajdę.

sicher, dass ich dich jeden Augenblick finde.

упевнений: іще мить,
і я тебе віднайду.

© Dorota Dziembowska-Gawryszewska

ADRIAN KASNITZ

(1974, Deutschland) - Schriftsteller, Herausgeber und Wissenschaftler. Seine Texte wurden mit dem Rolf-Dieter-Brinkmann-Stipendium (2005) und einem Arbeitsstipendium der Kunststiftung NRW (2010) ausgezeichnet.

Bibliographie

- *Reichstag bei Regen* (Lyrikedition 2000, München 2002)
- *Die Maske. Und zwei weitere Geschichten* (SuKuLTuR, Berlin 2004)
- *innere sicherheit* (Yedermann, München 2006)
- *Den Tag zu langen Drähten* (parasitenpresse, Köln 2009)

ADRIAN KASNITZ (1974, Niemcy) – pisarz, wydawca i naukowiec. Jego teksty wyróżniono Rolf-Dieter-Brinkmann-Stipendium (2005) oraz stypendium twórczym fundacji Kunststiftung NRW (2010).

Bibliografia

- *Reichstag w deszczu* (Lyrikedition 2000, Monachium 2002)
- *Maska. I dwie inne historie* (SuKuLTuR, Berlin 2004)
- *wewnętrzne bezpieczeństwo* (Yedermann, Monachium 2006)
- *Dzień długich drutów* (parasitenpresse, Kolonia 2009)

АДРІЯН КАСНІЦ (1974, Німеччина) – письменник, видавець, науковець. Його тексти відзначили стипендіями: ім. Рольфа Дітера Брінкманна (2005) та фонду землі Північний Рейн - Вестфалія (2010).

Бібліографія

- *Райхстаґ під дощем* (Lyrikedition 2000, Мюнхен 2002)
- *Маска. І два наступні обличчя* (SuKuLTuR, Берлін 2004)
- *внутрішня безпека* (Yedermann, Мюнхен 2006)
- *День до довгих дротів* (parasitenpresse, Кьольн 2009)

Tivoli

Ruinen, da sind noch weitere Ruinen
sagst du, während es windet und der Wind
deine Silben mitreißt, den Berg hinab
die Schlucht, die hier aus dem nichts
auftaucht. Ruinen – dabei sind wir gesättigt.
Wo immer wir hinschauen, ist es schwierig
eindeutig zu bestimmen, was das war
was wir sehen, was das war, was wir anfassen.
Gesättigt und gezähmt die Hunde der Stadt
die Wölfe aus den Bergen, wir könnten sie
jetzt streicheln, wäre da nicht ein Blick.

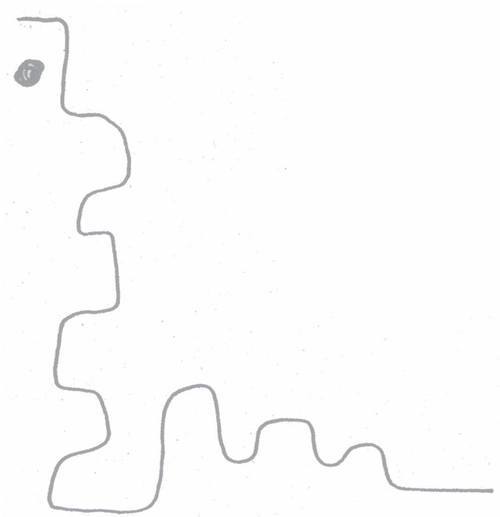

Morgen in Barcelona

Unten im Erdgeschoss liegt die Stadt
Der Schatten in den engen Schneisen
Langsam schwillt der Lärm, das Glied am Morgen
Sei so gut, sage ich und werfe alles vom Balkon
Was dich hindern könnte, bei mir zu bleiben

Tivoli

Ruiny, tam dalej też są ruiny,
mówisz, lecz wiejący wiatr
porywa sylaby, zboczem w dół,
w wąwóz, który nagle wyłania się
z niebytu. Ruiny – nasyciliśmy się.
Gdziekolwiek byśmy nie spojrzeli, trudno
jasno określić, czym było to,
na co patrzymy, czym było to, czego dotykamy.
Nasycone i poskromione psy miasta,
wilki z gór, moglibyśmy je
teraz pogłaskać, gdyby nie to spojrzenie.

Тіволі

Руїни, ось іще руїни –
кажеш, а тим часом віє й вітром
твої склади здуває, вниз
у провалля, що вигулькує
нізвідки. Руїни – це притому, що ми
наситились.
Куди не глянь, нелегко
визначити чітко, що
ми бачили, до чого доторкались.
Насичені, приборкані пси цього міста,
вовки із гір, ми б могли
погладити їх, якби не той погляд.

Ранок У Барселоні

Внизу в партері місто
Тінь у просіках вузьких
Поволі набрякає гомін і член уранці
Будь така добра, кажу й скидаю
З балкона все що могло б завадити тобі
Зі мною залишитись

Poranek w Barcelonie

W dole na parterze leży miasto
Cień w wąskich duktach
Powoli tężeje hałas, poranny członek
Bądź tak dobra – mówię - i wyrzuć przez balkon wszystko
Co przeszkadzałoby ci zostać u mnie.

Hinaus

Nach der Gesichtscreme der Blick
in den Schnee da draußen
die geweißten Dächer

bei offenem Fenster hörst du
die herunter gedimmte Stadt
alles ist so leise Alter

sagt ein Berufsschüler zu einem anderen
als sie im Hauseingang eine rauchen
und der Rauch zum Fenster steigt

eigentlich müsstest du sie fortjagen
aber deine Stimme versagt der Schnee
blendet die Augen

im Dunkeln suchst du die Schuhe die Jacke den Schal
wagst dich hinaus ein paar Schritte nur
auf das Eis das dich ein Stück weit trägt

Coraz dalej

Po kremie do twarzy spojrzenie
na śnieg tam na dworze
pobielone dachy

przez uchylone okno słyszysz
przyciszone miasto
ale spokój, stary

mówi jakiś uczeń zawodówki do drugiego,
paląc papierosa w bramie
a dym unosi się do okna

właściwie powinieneś ich przepędzić
ale twój głos zawodzi śnieg
oślepia oczy

po ciemku szukasz butów kurtki szala
odważasz się zrobić tylko kilka kroków
na lód który niesie cię coraz dalej

Туди

Крем для лиця тоді вже погляд
на сніг надворі
білені дахи

чуєш при відчиненім вікні
притишене до мінімуму місто
так тихо все старий

каже один з училища до другого
коли при брамі вийшли попалити
а дим здіймається аж до вікна

насправді ти мав би їх нагнати
та голос відмовляє
сніг сліпить

у темряві шукаєш черевики куртку шалик
наважуєшся кілька кроків лиш ступити
по кризі, що ледь-ледь несе

Поблизу Ґлетчера

І знову ти показуєш язик
До глетчера так близько, що кристали
У твоїх ростуть очах.
А іноді, коли в кіно ми
Замерзлі дні
Химеріями
Пробуємо розтопити,
Твій крем блищить так хитро,
Ніби хочеш заморозити мене.

Ku górze lodowej

Znów wystawiasz język
Ku górze lodowej, aż w twoich oczach
Wytrącają się kryształki.
Czasem, kiedy próbujemy
Nędznymi wizjami
Stopić w kinie
Zlodowaciałe dni
Twój krem połyskuje podstępnie
Jakbyś chciała mnie zmrozić.

Nah am Gletscher

Jetzt zeigst du wieder Zunge
Nah am Gletscher, dass sich Kristalle
In deinen Augen bilden.
Und manchmal, wenn wir im Kino
Die gefrorenen Tage
Mit schäbigen Vorstellungen
Zu schmelzen versuchen
Schimmert deine Krem sehr listig
Als wolltest du mich eisen.

Noch ein letztes Gedicht für den Palast der Republik

Jetzt sind die Scheiben matt, zerbrochen
Kein Gold das glänzt und die Insignien
Sind längst hinweggewischt vom kühlen West
Jetzt schauen Dschungelcamp die Arbeiter und Bauern
Genauso wie die Angestellten, Beamten und so fort
Jetzt ist die Scheibe blau, dann wieder grün

Jeszcze ostatni wiersz na cześć Pałacu Republiki [1]

Teraz szyby są matowe, rozbite
Złoto już nie błyszczy a insygnia
Dawno temu zmył zimny zachód
Teraz Zagubionych oglądają robotnicy i chłopi
Tak samo jak urzędnicy i wszyscy inni
Teraz szyba jest niebieska, potem znów zielona.

Ще Наостанок Вірш Палацові Республіки [1]

Потьмяніли шиби, потрощились
І не блищить вже золото, інсиґнії
давно здув прохолодний вест
І табір в джунглях, робітники й селяни
точнісінько такі самі як і службовці тощо
Тепер ця шибка синя, а то знов зелена

[1] Pałac Republiki – symbol NRD, wzniesiony w latach 70-tych ubiegłego wieku bombastyczny budynek, który był siedzibą Izby Ludowej parlamentu NRD, ponadto znajdowały się tam: restauracje, teatr, galeria, sala kongresowa, etc. W latach 2006-2008 ze względu na dużą zawartość rakotwórczego azbestu pałac wyburzono.
[1] Палац Республіки – символ НДР, помпезний будинок парламенту, збудований у 70-х роках минулого століття. У будинку містилися також ресторани, галерея, конгрес-зала тощо. У 2006–2008 роках через великий вміст канцерогенного азбесту палац був знесений.

Schwimmbad

Schön ausatmen und immer die Nase
Knapp über dem Eichstrich

Wenn es blaut folge den Zeichen
Auf Grund sei Quappe werd Frosch

Schöne Flossen und ein Ring
Am Körper um dich zu retten

Wenn du rufst folge ich dir
zur Kabine bin Tuch Wäsche

Basen

Oddychaj nos zawsze trzymaj
Tuż nad wskaźnikiem

Gdy się zaniebieszczy kieruj się znakami
Na dnie bądź miętusem stań się żabą

Piękne płetwy i koło
Wokół ciała by cię chronić

Jeśli zawołasz pójdę za tobą
Do kabiny będę ręcznikiem bielizną

Басейн

Гарненько видихнути, а ніс постійно
Ледь-ледь над лінією

Коли засиніє пливи за знаками
На дні будь пуголовком перекинься жабою

Гарні плавці й коло
довкола тіла, для твого ж рятунку

Лише поклич, і я піду з тобою
до кабінки, я рушник, я білизна

[Przekład: Elżbieta Jeleń, Переклад: Юрко Прохасько]

ПАВЛО КОРОБЧУК

(1984, Україна) – поет, слемер. Вірші друкувалися в українських періодичних виданнях. Член мистецької лабораторії „Деформація". Займається електронною музикою, перкусист у рок-гурті. Живе у Києві. Багаторазовий переможець поетичних слемів, зокрема, в рамках мистецького фестивалю *Zex*.

Бібліографія
- *Натщенебо* (Смолоскип, Київ 2005)
- *Дорогосказ* (Факт, Київ 2007)

PAWLO KOROBTSCHUK (1984, Ukraine) – Dichter und Slammer. Seine Werke wurden in zahlreichen ukrainischen Zeitschriften veröffentlicht. Mitglied des Künstlerlabors Деформація. Beschäftigt sich mit elektronischer Musik und spielt Schlagzeug in einer Rockband. Lebt in Kiew. Gewinner des Poetry Slams *Zex*.

Bibliographie
- *Nüchterner Himmel* (Smołoskyp, Kiew 2005)
- *Wegweiser* (Fakt, Kiew 2007)

PAWŁO KOROBCZUK (1984, Ukraina) – poeta i slamer. Jego utwory były drukowane w licznych ukraińskich czasopismach. Członek laboratorium artystycznego Deformacja. Zajmuje się muzyką elektroniczną, gra na perkusji w zespole rockowym. Mieszka w Kijowie. Zwycięzca na festiwalu slamu poetyckiego *Zex*.

Bibliografia
- *Niebo na czczo* (Smołoskyp, Kijów 2005)
- *Drogowskaz* (Fakt, Kijów 2007)

таксист

я довго думав, і думаю, що досі думаю
і вирішив, виходячи з себе опівночі, щоб зловити таксі додому,
що не я володію інформацією, а вона – мною.

я найбільше боюся думати про інформацію,
бо її треба думати одразу всю, з нею спокійно не поговориш віч-на-віч.
оскільки інформація і Бог невичерпні, то вони – одне ціле.
гроші – теж невичерпні – додав таксист і запитав, куди їхати.

повітря наповнене крупинками теологічної камасутри,
простір вибухає в неочікуваних місцях, ніби терорист-смертник,
і час зупиняється, ошелешений, як людина на рейках перед поїздом,
не знаючи, куди кинутися – ліворуч?!, праворуч?!

отак і я сидів на задньому сидінні, усвідомивши,
наскільки інформація заволоділа мною і ззаду, і спереду,
затисла мою голову, як збуджена жінка між стегнами,
в'їлася в мою кров, як наркотик, вимагаючи щобільшої дози.

інформація у моїй крові настільки, що я знаю усі її складники –
плазма, лейкоцити, тромбоцити тощо.
наша кров перестає бути кров'ю – вона подрібнюється на частини,
так, ніби віра у Бога стає, скажімо, католицизмом чи баптизмом,
ніби в людині роз'єднуються дитинство і старість,
ніби світ – це тільки труп у лабораторії для студентів-медиків.

отак сидів я в одному авто з таксистом,
неспроможний ні назвати своєї адреси,
ні вийти з автомобіля.

taxifahrer

ich dachte lange nach und denke, dass ich bis jetzt noch denke,
um mitternacht aus mir herausgehend, um ein taxi nach hause zu nehmen, kam ich zu dem schluss,
dass ich nicht über die information verfüge, und sie auch nicht über mich.

am meisten fürchte ich, über die information nachzudenken,
man muss sie total und gleichzeitig denken, mit ihr spricht man nicht in ruhe tête-à-tête,
da die information und Gott unerschöpflich sind, so sind sie ein ganzes.
geld ist auch unerschöpflich, fügte der taxifahrer hinzu und fragte, wohin er fahren soll.

die luft ist voller körnchen des theologischen kamasutras,
der raum explodiert an unerwarteten stellen wie ein selbstmord-attentäter,
und die zeit bleibt stehen, bestürzt, wie ein mensch vor dem zug auf den gleisen,
ohne zu wissen, wohin – links?! oder rechts?!

so saß ich auf dem rücksitz, und mir wurde bewusst,
wie sehr mich die information beherrscht, vorne und hinten
sie presste wie eine erregte frau, nahm meinen kopf zwischen die schenkel
sie ätzte sich in mein blut, wie eine droge, stets eine höhere dosis verlangend.

die information ist so konzentriert in meinem blut, dass ich all ihre ingredienzen kenne
plasma, leukozyten, thrombozyten und anderes.
unser blut ist nicht mehr blut, es bröckelt in teilchen,
wie der glaube an Gott etwa katholizismus oder baptismus wird,
  wie sich im menschen kindheit und alter trennen,
    als ob die welt nur eine laborleiche für medizinstudenten wäre.

so saß ich im taxi mit dem fahrer zusammen, unvermögend
weder meine adresse zu nennen
noch aus dem auto zu steigen.

taksówkarz

długo myślałem i myślę, że do tej pory myślę,
i doszedłem do wniosku, wychodząc z siebie o północy, żeby złapać taksówkę do domu,
że to nie ja mam władzę nad informacją, tylko ona – nade mną.

a najbardziej boję się myśleć o informacji,
bo ją trzeba myśleć od razu całą, z nią spokojnie nie pogadasz sam na sam.
skoro informacja i Bóg są niewyczerpane, to są jednością.
pieniądze też są niewyczerpane – dodał taksówkarz i zapytał, dokąd jechać.

powietrze wypełnione krupkami teologicznej kamasutry,
przestrzeń wybucha w nieoczekiwanych miejscach jak terrorysta-samobójca,
i czas zatrzymuje się, oszołomiony jak człowiek na szynach przed pociągiem,
nie wiedząc, gdzie się rzucić – w lewo? w prawo?

tak właśnie i ja siedziałem na tylnym siedzeniu, uświadomiwszy sobie,
na ile informacja zawładnęła mną i z tyłu, i z przodu,
ścisnęła moją głowę jak podniecona kobieta między udami,
wżarła się w moją krew jak narkotyk, domagając się jak największej dawki.

informacja jest w mojej krwi tak bardzo, że znam wszystkie jej składniki –
osocze, leukocyty, jak również trombocyty.
nasza krew przestaje być krwią – rozdrabnia się na części
tak jak wiara w Boga staje się, powiedzmy, katolicyzmem czy baptyzmem,
  jak u człowieka rozdziela się dzieciństwo i starość,
    jakby świat był tylko trupem w laboratorium dla studentów-medyków.

tak właśnie siedziałem w jednym aucie z taksówkarzem,
nie będąc w stanie ani podać swojego adresu,
ani wyjść z samochodu.

імена

тобі подобається впасти і покотитися від своїх слів
слова важливі коли вони імена або коли за них треба відповідати
слова потрібно виховувати але як можна відповідати за повнолітні слова
тому від слів часто відмовляються підкидають у притулки
бездітні будуть доглядати їх з небаченою любов'ю
і виховувати в них свої улюблені терміни і поняття

листи зазвичай помирають не дійшовши
  до потрібної точки кипіння
голоси засихають тверднуть як шкуринка хліба не вклавшись
  у вуста
і обличчя вигинається як змія
прохромлена шприцом з кількома кубами неперекладної мовчанки

шкіра мертвих і шкіра живих відгукується але на різні імена
інакше відгукується шкіра тієї шизофренічки що підсіла до мене в метро
рукою вона гладила повітря і я прочитав
  що у повітря є волосся і плечі
  що у повітря є терміни і поняття
  що у повітря є родинні зв'язки зі словами адже ми дихаємо

шизофренічка присутня тільки під своєю мовчазною шкірою
тільки до себе як до Бога вона промовляє себе і своє ім'я
і повторює його ніби перебирає вервицю зі своїми іменами
кожне з яких протискається за лінію горизонту
як у двері вагона з написом *Не притулятися*
  і ландшафт зрушує з місця
    не оголошуючи наступної станції

я хотів відгукнутися але не знав імені шкіри шизофренічної дівчини
мені не вистачає імен тому я всиновлюю підкинутих
мені не вистачає імені тому бережу кожне підкинуте

imiona

podoba ci się upaść i potoczyć się od swoich słów
słowa są ważne kiedy są imionami albo kiedy za nie trzeba odpowiadać
słowa trzeba wychowywać ale jak można odpowiadać za pełnoletnie słowa
dlatego od słów często się wymawia podrzuca do przytułków
bezdzietni będą doglądać je z niespotykaną miłością
i wychowywać w nich swoje ulubione terminy i pojęcia

listy zazwyczaj umierają zanim dojdą
  do niezbędnego punktu wrzenia
głosy zsychają się twardnieją jak skórka od chleba zanim włożą się
  do ust
i twarz wygina się jak wąż
przekłuty strzykawką z kilkoma centymetrami sześciennymi nieprzekładalnego milczenia

skóra martwych i skóra żywych odzywa się ale na różne imiona
inaczej odzywa się skóra tej schizofreniczki która przysiadła się do mnie w metrze
ręką gładziła powietrze i przeczytałem
  że powietrze ma włosy i ramiona
  że powietrze ma terminy i pojęcia
  że powietrze ma związki rodzinne ze słowami przecież oddychamy

schizofreniczka obecna jest tylko pod swoją milczącą skórą
tylko przed sobą jak przed Bogiem wypowiada siebie i swoje imię
i powtarza je jakby przebierała paciorki różańca ze swoimi imionami
z których każde przeciska się za linię horyzontu
jak do drzwi wagonu z napisem *Nie opierać się*
  i krajobraz rusza z miejsca
  nie zapowiadając następnej stacji

chciałem odezwać się ale nie znałem imienia skóry schizofrenicznej dziewczyny
brakuje mi imion dlatego usynawiam podrzucone
brakuje mi imienia dlatego chronię każde podrzucone

namen

du magst hinfallen und vor eigenen wörtern rollen
wörter sind wichtig, wenn sie namen sind oder wenn man für sie haftet
wörter muss man erziehen aber wie haftet man für mündige wörter
deshalb sagt man sich los von den wörtern man steckt sie in heime
kinderlose werden sie pflegen mit innigster liebe
und in ihnen ihre lieblingsausdrücke und -begriffe erziehen

die briefe sterben in der regel
  ohne den nötigen siedepunkt zu erreichen
stimmen vertrocknen verhärten wie brotkruste ohne in den mund
  zu gelangen
und das gesicht windet sich wie eine schlange, durchbohrt
von der spritze mit einigen kubikdezimetern unübersetzbaren schweigens

die haut der toten und die haut der lebenden antworten jedoch auf verschiedene namen
irgendwie antwortet auch die haut jener schizophrenen, die sich in der u-bahn neben mich
setzte
mit ihrer hand streichelte sie die luft und ich erkannte
  dass die luft haare und schultern besitzt
  dass die luft über begriffe und ausdrücke verfügt
  dass die luft familiäre beziehungen mit worten hat, denn wir atmen ja...

die schizophrene – nur unter ihrer schweigsamen haut anwesend
nur für sich selbst als ob für Gott artikuliert sie sich selbst und ihren namen
und wiederholt ihn wie einen rosenkranz aus eigenen namen
jeder von ihnen drängt sich hinter den horizont
wie durch eine wagontür hindurch mit der aufschrift *Nicht anlehnen*
  und die landschaft rührt sich vom fleck
    ohne die nächste station anzusagen

ich wollte rufen jedoch kannte ich den namen des schizophrenen mädchens nicht
mir fehlen namen, deshalb adoptiere ich die untergeschobenen
mir fehlt der name, deshalb gebe ich acht auf jeden untergeschobenen

проникаючі рушниці

нещодавно я повернувся з війська але відчуваю
що ніколи не зможу звідти повернутися

спогади з'являються раптово як позачергові наряди від лейтенанта
який вважав що обличчя не мусить відрізнятися від коліна
він казав: *із жінок ще можуть вийти люди або хоча б одна*
а що з тебе? ми тобі покажемо більше поезії ніж ти фізично зможеш написати
тобто витримати

побувавши в ній один раз вона ніколи не зникне з моїх снів
але це не жінка це армія

моя їжа одяг рухи сльози були продумані лейтенантом на півтора року вперед
і ніби між двома митницями я носив упродовж них свою тугу переховувався
інколи на ничку втихомирюючи її розглядав фотки оголених жінок
або молився
хоча для останнього – хоча це зовсім не останнє – переховуватись необов'язково
для молитви нічого не є обов'язковим крім Бога

нічне ліжко в казармі рятує ніби дельфін
тримаюсь за подушку мов за плавник який підіймає мене як потопельника з мулу
і несе до світанку або до підйому або до хибної тривоги
хибної
оскільки війна це завжди помилка

початок якої я стримував ці півтора року

Павло Коробчук Pawlo Korobtschuk Pawło Korobczuk

eindringliche gewehre

vor kurzem kehrte ich aus der armee zurück doch ich spüre
ich komme von dort niemals heim

die erinnerungen überraschen mich wie unplanmäßige befehle des leutnants
letzterer meinte das gesicht müsse sich nicht von einem knie unterscheiden
er sagte: *aus frauen können noch menschen werden, wenigstens einer*
und aus dir? wir zeigen dir mehr poesie als du physisch schreiben
das heißt ertragen kannst

einmal in ihr gewesen, vermag ich nicht sie aus meinen träumen zu verbannen
doch es ist keine frau es ist die armee

mein essen kleidung bewegungen tränen waren vom leutnant anderthalb jahre im voraus durchdacht
diese ganze zeit trug ich meine sehnsucht wie zwischen zwei zollstationen
manchmal stillte ich sie heimlich für einen augenblick bei der betrachtung weiblicher nacktfotos
oder betend

obwohl letzteres – wobei es ja gar nicht das letzte ist – es nicht obligatorisch heimlich sein musste
obligatorisch ist nichts beim beten außer Gott

das nächtliche bett in der kaserne rettet einen wie ein delfin
ich halte mich am kissen fest wie an einer flosse die mich aus dem schlamm wie einen ertrunkenen hebt
und zum sonnenaufgang bringt oder zum aufstieg oder zum falschen alarm
ja zum falschen
denn ein krieg ist immer ein fehler

dessen anfang ich diese anderthalb jahre aufschob

przeszywające rusznice

niedawno wróciłem z wojska ale czuję
że nigdy nie dam rady stamtąd wrócić

wspomnienia pojawiają się nagle jak nadprogramowe rozkazy od lejtnanta
który uważał że twarz nie musi odróżniać się od kolana
mówił: *z kobiet jeszcze mogą wyjść ludzie albo chociażby jeden*
a z ciebie? my ci pokażemy więcej poezji niż ty fizycznie będziesz mógł napisać
to znaczy wytrzymać

byłem w niej raz i ona nigdy nie zniknie z moich snów
ale to nie kobieta to armia

moje jedzenie ubranie ruchy łzy zostały obmyślone przez lejtnanta półtora roku naprzód
i jakby między dwoma przejściami granicznymi nosiłem w ciągu nich swoją tęsknotę ukrywałem się
czasami w kryjówce uspokajając ją oglądałem zdjęcia rozebranych kobiet
albo modliłem się
chociaż do tego ostatniego – choć to zupełnie nie jest ostatnie – ukrywanie się nie jest konieczne
do modlitwy nic nie jest konieczne oprócz Boga

nocne łóżko w koszarach ratuje jak delfin
trzymając się poduszki jak płetwy która unosi mnie jak topielca z mułu
i niesie w kierunku świata albo pobudki albo fałszywego alarmu
fałszywego
skoro wojna to zawsze pomyłka

początek której powstrzymywałem przez te półtora roku

[Übersetzung: Stefania Ptashnyk, Przekład: Aneta Kamińska]

БОГДАНА МАТІЯШ

(1982, Україна) – поетка, перекладач, редактор видавництва й часопису „Критика", представник київської редакції часопису „Український журнал" (Прага). Перекладає з польської та білоруської мов. Народилася, живе і працює в Києві. Лауреат премії видавництва Смолоскип (2004).

Бібліографія
- *Непроявлені знімки* (Смолоскип, Київ 2005)
- *Розмови з Богом* (Видавництво Старого Лева, Львів 2007)

BOHDANA MATIJASZ (1982, Ukraina) – poetka, tłumaczka i redaktor wydawnictwa i czasopisma „Критика". Pracuje dla kijowskiej redakcji czasopisma „Український журнал" (Praga). Tłumaczy z języka polskiego i białoruskiego. Urodziła się i mieszka w Kijowie. Laureatka nagrody wydawnictwa Smołoskyp (2004).

Bibliografia
- *Zdjęcia niewywołane* (Smołoskyp, Kijów 2005)
- *Rozmowy z Bogiem* (Wydawnyctwo Staroho Łewa, Lwów 2007)

BOHDANA MATIJASCH (1982, Ukraine) – Dichterin, Übersetzerin und Redakteurin des Verlags und der Zeitschrift „Krytyka". Sie arbeitet für die Kiewer Redaktion von „Ukrajinskyj żurnal" und übersetzt aus dem Polnischen und Weißrussischen. Sie lebt und wohnt in Kiew. Gewann den Literaturpreis des Verlages Smołoskyp (2004).

Bibliographie
- *Unentwickelte Bilder* (Smołoskyp, Kiew 2005)
- *Gespräche mit Gott* (Wydawnyctwo Staroho Lewa, Lemberg 2007)

Твої улюблені пси (та інші звірі)

*

будемо лагідні будемо спокійні лагідні й добрі
й веселі пси не триматимемо кривди на тих
хто на нас кричить хто нас виставляє за двері
хто змушує нас днями ходити голодними
не зберемо у серці зла до тих хто нас
зневажає хто з нас сміється мовляв подивіться
які ж оці пси нікчемні а може навіть дурні
бо я їх б'ю і обзиваю їх якнайгірше і виганяю
під дощ і сніг а вони все повертаються
радісно до мене біжать щойно я вийду надвір
вони заглядають мені в очі махають хвостами
простягають мені лапи хекають ніби сміються
вони напевно дурні ми все це слухатимемо
і вибачатимемо не ображатимемося бо ж він не знає
що ми любимо дощ і сніг і над усе бережемо тих
кого ми навчились любити навіть коли нас ранять
навіть коли про нас забувають навіть коли нам
із очей течуть сльози ми на знайомі кроки
і на рипіння дверей повертаємо голови мчимо
до тих кого любимо здіймаючи хмари снігу
гавкаючи на весь двір вистрибуємо довкола
радісні що вміємо любити лагідні й світлі пси

Deine Lieblingshunde (und andere Tiere)

*

wir werden brav sein werden ruhige brave und gute
und lustige hunde sein wir sind nicht nachtragend gegenüber denen
die uns anbrüllen die uns vor die tür setzen
die uns tagelang hungrig herumlaufen lassen
wir hegen kein arg gegen den der uns
verachtet über uns lacht ach seht nur
wie einfältig diese hunde doch sind vielleicht sogar töricht
denn ich schlage sie und verhöhne sie auf das übelste und jage sie
in den regen und in den schnee hinaus und sie kommen dennoch zurück
kommen freudig angerannt wenn ich heraustrete
sie schauen mir in die augen wedeln mit ihren schwänzen
geben mir ihre pfoten hecheln als wollten sie lachen
und ob sie töricht sind wir werden uns all das anhören
und vergeben und nicht beleidigt sein weil er nicht weiß
dass wir regen und schnee mögen und alle beschützen
die zu lieben man uns beigebracht hat selbst wenn man uns verwundet
selbst wenn man uns vergisst selbst wenn uns
die tränen aus den augen fließen auf vertraute schritte
und das quietschen der tür wenden wir den kopf fliegen
dem entgegen den wir lieben schütteln die schneewolken ab
bellen über den ganzen hof springen herum
ausgelassen weil wir lieben können brave und lautere hunde

Twoje ulubione psy (i inne zwierzęta)

***

będziemy łagodne będziemy spokojne łagodne i dobre
i wesołe psy nie będziemy pamiętać krzywd tym
którzy na nas krzyczą którzy nas wystawiają za drzwi
którzy zmuszają nas żebyśmy dniami chodzili głodni
nie będziemy chować w sercu zła wobec tych którzy nas
znieważają którzy z nas się śmieją mówiąc spójrzcie
jakie te psy są nic niewarte a może nawet durne
bo ja je biję i wyzywam je od najgorszych i wyganiam
na deszcz i śnieg a one ciągle wracają
radośnie do mnie biegną jak tylko wyjdę na dwór
one zaglądają mi w oczy machają ogonami
wyciągają do mnie łapy dyszą jakby się śmiały
na pewno są durne my tego wszystkiego będziemy słuchać
i wybaczać nie będziemy się obrażać bo przecież on nie wie
że lubimy deszcz i śnieg i nade wszystko chronimy tych
których nauczyliśmy kochać nawet kiedy nas ranią
nawet kiedy o nas zapominają nawet kiedy nam
z oczu płyną łzy na znajome kroki
i na skrzypienie drzwi odwracamy głowy mkniemy
do tych których kochamy wzbijając chmury śniegu
szczekając na całe podwórko skaczemy dookoła
radosne że umiemy kochać łagodne i światłe psy

*

навіть коли не знаю де ти і як ти є мені все хочеться
з тобою говорити переступаючи з лапи на лапу
весело вимахуючи хвостом розповісти тобі те чого не вмію
розповідати більше нікому в світі

хочу розповісти тобі яка красива буває в річках вода
і які чудернацькі ходять в лісах звірі яка досконала і добра
западає тиша після заходу сонця і як на озері
міцно промерз лід хочу розповісти який увесь світ
красивий і як багато за все що в ньому є хочеться дякувати
за все що приходить і що відходить
за все що тішить і все що ранить

а потім коли розповім тобі все що знаю
можна буде просто піти відчувши що дорога добра
що добрий пісок під ногами що добре сонце і що добра
ця найгарніша у світі самотність коли нікого навіть тебе
немає і коли кожен навіть ти дуже близько

*

auch wenn ich nicht weiß wo du bist was du machst will ich doch
mit dir reden von einer pfote auf die andere treten
fröhlich mit dem schwanz wedeln dir erzählen was ich sonst
niemandem anders erzählen kann

ich will dir erzählen was für herrliches wasser es in den flüssen gibt
und welche wunderlichen tiere durch die wälder streifen welche feine und vortreffliche
stille nach dem sonnenuntergang heraufsteigt und wie tief
das eis im see gefroren ist will erzählen wie schön die welt
ist und wie reich für alles was darinnen ist möchte ich danken
für alles was kommt und was geht
für alles was freut und was schmerzt

und wenn ich dir dann alles erzählt habe was ich weiß
können wir gehen weil wir den guten weg
den guten sand unter den füßen die gute sonne gespürt haben dass
die beste einsamkeit der welt gut ist wenn keiner nicht einmal du
da bist und wenn jeder sogar du sehr nah ist

***

nawet kiedy nie wiem gdzie jesteś i jak jesteś chce mi się
z tobą rozmawiać przestępując z łapy na łapę
wesoło wymachując ogonem opowiedzieć ci to czego nie umiem
opowiadać więcej nikomu na świecie

chcę opowiedzieć ci jaka piękna bywa w rzekach woda
i jakie przedziwne chodzą po lasach zwierzęta jak doskonała i dobra
zapada cisza po zachodzie słońca i jak na jeziorze
mocno zamarzł lód chcę opowiedzieć jaki cały świat
jest piękny i jak bardzo za wszystko co w nim jest chce się dziękować
za wszystko co przychodzi i co odchodzi
za wszystko co cieszy i wszystko co rani

a potem kiedy opowiem ci wszystko co wiem
można będzie po prostu odejść czując że droga jest dobra
że dobry jest piasek pod nogami że dobre jest słońce i że dobra
jest ta najpiękniejsza na świecie samotność kiedy nikogo nawet ciebie
nie ma i kiedy każdy nawet ty jest tak blisko

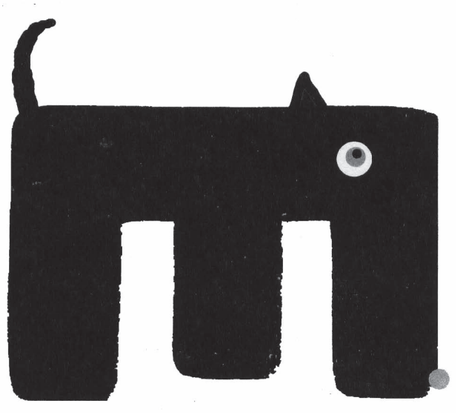

*

не біжи від мене мій псе не залишай мене
ти навіть не знаєш як міцно мені хочеться
щоби ти був тут щоби ти був поруч
не біжи від мене по той бік землі
і по той бік місяця не залишай мене в лісі
щойно западе темрява мій найдорожчий псе
не відходь від мене щоб не сидіти мені
біля мурашника щоб не вити мені між дерев
щоб не шукати слідів твоїх де ти спіткнувся
щоб не питати всіх як так тебе не стало
коли дивитися здалеку смерть здається
такою несправжньою а коли наближається
ранить багато й міцно як шкло гостре
пробиває лапу як вистріл мисливця ранить
серце псе мій найдорожчий покладу голову
на твоє тіло покладу лапи біля твоїх лап
заплющу очі тихо по тобі плакатиму

*

lauf nicht fort vor mir mein hund lass mich nicht zurück
du weißt gar nicht wie sehr ich mir wünsche
du wärst da du wärst bei mir
lauf nicht fort von mir an das andere ende der erde
und an das andere ende des mondes lass mich nicht im wald zurück
gleich bricht das dunkel herein mein geliebter hund
geh nicht fort von mir dass ich nicht am ameisenhaufen
sitzen dass ich nicht zwischen den bäumen heulen
nicht deine spuren suchen muss wo du gestolpert bist
dass ich die anderen nicht fragen muss wie es kommen
konnte dass du nicht mehr bist
sieht man den tod von ferne scheint
er so unwirklich aber wenn er näher kommt
schneidet er tief und schwer wie scharfkantiges glas
durchschlägt die pfote wie der schuss eines jägers trifft
das herz mein geliebter hund ich lege meinen kopf
auf deinen leib lege meine pfoten neben deine
schließe die augen und beweine dich still

***

nie uciekaj ode mnie mój psie nie zostawiaj mnie
ty nawet nie wiesz jak bardzo mi się chce
żebyś był tutaj żebyś był obok
nie uciekaj ode mnie na drugą stronę ziemi
i na drugą stronę księżyca nie zostawiaj mnie w lesie
jak tylko zapadnie ciemność mój najdroższy psie
nie odchodź ode mnie żebym nie musiał siedzieć
koło mrowiska żebym nie wył między drzewami
żebym nie szukał twoich śladów gdzie się potknąłeś
żebym nie pytał wszystkich jak tak ciebie zabrakło
kiedy patrzy się z daleka śmierć wydaje się
taka nieprawdziwa a kiedy zbliża się
rani bardzo i mocno jak szkło ostre
przebija łapę jak strzał myśliwego rani
serce psie mój najdroższy położę głowę
na twoje ciało położę łapy obok twoich łap
zamknę oczy cicho będę po tobie płakać

*

хочу щоб вже був сніг я би міг тоді вийшовши
з-поміж дерев бігти підстрибувати до найнижчих
гілок молоденьких сосен залишати такий слід
ніби хтось довго танцював під деревами
а тоді знову бігти перекидатися через голову
качатися в снігу розгрібати сніг біля пенька
носом розкидати мох і суху й трохи брудну
від піску траву винюхувати чи ще є тут
закопаний всередині літа мій скарб знайдена
при дорозі кістка
я би хотів щоби вже був сніг.. побіг би до
засніжених кущів хризантем вони тримались
найдовше аж до холоду мій улюблений кущ
розрісся такий широкий що під нього вітер
навіть не зміг навіяти снігу може я зробив би
собі під кущем нору лежав би вдихаючи
цей гіркий запах
я так хотів би снігу щоразу коли він сиплеться
мені здається що то з неба опадають зірки
щоразу коли все стає таке біле світ ясніє
світ стає дуже красивим я сідаю на пагорбі
дивлюся на будинки на людей на дерева
чую як швидко в мене з радості б'ється серце
чую як гостро б'ється моє серце
так міцно радію так раптово хочу заплакати

*

ich wollte es läge schon schnee dann könnte ich zwischen den
bäumen hervorlaufen zu den untersten ästen
der jungen kiefern hinaufspringen eine spur hinterlassen
als hätte einer lange unter den bäumen getanzt
und dann wieder laufen purzelbäume schlagen
mich im schnee wälzen am baumstumpf schnee hochwirbeln
mit der nase moos und trockenes leicht sand-
verschmutztes gras aufwühlen schnuppern nach meinem
mittsommers vergrabenen schatz einem am wegesrand
gefundenen knochen
ich wollte es läge schon schnee .. dann liefe ich zu den
verschneiten chrysanthemensträuchern sie haben sich am
längsten gehalten bis zum frost mein geliebter strauch
ist so üppig gewachsen dass der wind nicht einmal
schnee darunter wehen konnte vielleicht grübe ich mir
unter dem strauch eine höhle läge dort und söge
diesen herben geruch ein
wie sehr ich mir schnee wünsche immer wenn er fällt
scheint mir es fielen sterne vom himmel
immer wenn alles so weiß wird hellt die welt auf
die welt wird sehr schön ich sitze auf einem hügel
schaue auf die häuser auf die menschen auf die bäume
höre wie mein herz vor freude rast
höre wie hart mein herz klopft
so sehr freue ich mich so plötzlich muss ich weinen

***

chcę żeby już był śnieg mógłbym wtedy wyjść
spomiędzy drzew i biec podskakiwać do najniższych
gałęzi młodziutkich sosen zostawiać taki ślad
jakby ktoś długo tańczył pod drzewami
a potem znowu biec przewracać się przez głowę
tarzać się na śniegu rozgrzebać śnieg obok pieńka
nosem rozrzucać mech i suchą i trochę brudną
od piasku trawę węszyć czy jeszcze jest tutaj
zakopany w środku lata mój skarb znaleziona
przy drodze kostka
chciałbym żeby już był śnieg pobiegłbym do
zaśnieżonych krzaków chryzantem one trzymały się
najdłużej aż do mrozów mój ulubiony krzak
rozrósł się taki szeroki że pod niego wiatr
nawet nie dał rady nawiać śniegu może zrobiłbym
sobie pod krzakiem norę leżałbym wdychając
ten gorzki zapach
tak bym chciał śniegu za każdym razem kiedy sypie się
wydaje mi się że to z nieba spadają gwiazdy
za każdym razem kiedy wszystko staje się takie białe
świat jaśnieje świat staje się bardzo piękny
siadam na wzgórzu patrzę na domy na ludzi na drzewa
słyszę jak szybko z radości bije mi serce
słyszę jak ostro bije moje serce
tak bardzo się cieszę tak nagle chce mi się zapłakać

*

zuerst schien es dir als schliefe er bloß
du betratest seine höhle und als erstes sahst du
den körper etwas ungleichmäßig atmen wie manchmal im schlaf
und etwas trockenes laub an dem braunen fell
am rücken und an den tatzen kleben du weißt noch wie du dich daneben setztest
und lange der tiefen und gleichförmigen stille lauschtest und dich dann auch
auf die erde legtest deine wange an den bären-
rücken schmiegtest deine finger in das dichte weiche fell grubst den
bären zärtlich umarmtest ihn zärtlich streicheltest und plötzlich etwas
kaltes und nasses spürtest etwas wässriges du knietest
dich hin hobst den bärenkopf an und sahst
dass selbst die stärksten tiere manchmal
hilflos und bitterlich weinen er erzählte dir damals nichts gar
nichts erzählte er dir sagte nicht dass er schmerzen habe
dass er verletzt sei bat nur du mögest heute
nirgends hingehen und ihn sanft streicheln dann schwieg er
einfach dankbar legte dir den kopf in den schoß
und schloss die augen und die bärentränen tropften eine
nach der anderen auf deine hand wie silberner herbstregen

*

спершу тобі здалося що він просто спить
ти прийшов у його барліг і найперше побачив
тіло що трохи нерівно дихало як часом уві сні
і трохи сухого листя прилиплого до бурої шерсті
на спині й на лапах пригадуєш як ти сів поруч
і довго слухав тишу глибоку й рівну а тоді теж
ліг на землю притулився щокою до ведмедевого
плеча занурив пальці в м'яку густу шерсть обняв
ведмедя лагідно його погладив і тоді відчув
прохолодний і мокрий слід як від води став
навколішки трохи підняв ведмедеву голову і побачив
що навіть найдужчі звірі теж часом можуть
беззахисно й гірко плакати він тоді нічого зовсім
нічого тобі не розповів не сказав що йому боліло
що його зранило лише попросив щоб ти нікуди
сьогодні не йшов і трохи його погладив а тоді просто
мовчав вдячно поклавши голову тобі на коліна
й заплющивши очі і ведмедеві сльози текли одна
по одній тобі на руки як срібний осінній дощ

***

najpierw wydało ci się że on po prostu śpi
przyszedłeś do jego legowiska i najpierw zobaczyłeś
ciało które trochę nierówno oddychało jak czasem przez sen
i trochę suchych liści przylepionych do burej sierści
na grzbiecie i na łapach przypominasz sobie jak usiadłeś obok
i długo słuchałeś ciszy głębokiej i równej a potem też
położyłeś się na ziemi przytuliłeś się policzkiem do ramienia
niedźwiedzia zanurzyłeś palce w miękkiej gęstej sierści objąłeś
niedźwiedzia delikatnie pogłaskałeś go i wtedy poczułeś
chłodny i mokry ślad jak od wody uklęknąłeś
trochę podniosłeś niedźwiedzią głowę i zobaczyłeś
że nawet największe zwierzęta też czasem mogą
bezbronnie i gorzko płakać on wtedy niczego zupełnie
niczego ci nie opowiedział nie powiedział co go bolało
co go zraniło tylko poprosił żebyś nigdzie
dzisiaj nie szedł i trochę go pogłaskał a potem po prostu
milczał z wdzięcznością położył głowę ci na kolanach
i zamknął oczy i niedźwiedzie łzy spływały jedna
po drugiej tobie na ręce jak srebrny jesienny deszcz

[Übersetzung: Claudia Dathe, Przekład: Aneta Kamińska]

KERSTIN PREIWUSS

(1980, Deutschland) – aufgewachsen in Plau am See und Rostock, lebt in Leipzig. Studium der Germanistik, Philosophie und Psychologie in Leipzig und Aix-en-Provence. Danach Studium am Deutschen Literaturinstitut Leipzig. Erst Rezensentin, dann ab 2010 Mitherausgeberin der Literaturzeitschrift „EDIT“. Einige Stipendien, u. a. das Hermann-Lenz-Stipendium 2008 und ein Arbeitsstipendium des Deutschen Literaturfonds für 2010. Veröffentlichungen in Zeitungen, Zeitschriften und Anthologien und im Internetportal: www.der-goldene-fisch.de.

Bibliographie

▶ *nachricht von neuen sternen* (Connewitzer Verlagsbuchhandlung, Leipzig 2006)

КЕРСТІН ПРАЙВУСС (1980, Німеччина) – Яона виховувалася у Плау-ам-Зее та у Ростоці, зараз живе'у Ляйпцизі. Вивчала германістику, філософію і психологію у Ляйпцизі і Екс-ан-Провансі та у Німецькому інституті літератури у Ляйпцизі. Працювала як рецензентка літературного журналу „EDIT” а з 2010 року стала його співвидавцем. Вона отримала стипендії ім. Германна Ленца у 2008 і Німецького літературного фонду у 2010. Публікує у газетах, часописах і антологіях та інтернет-порталі www.der-goldene-fisch.de.

Бібліографія

▶ *повідомлення з нової зірки* (Connewitzer Verlagsbuchhandlung, Ляйпциґ 2006)

KERSTIN PREIWUSS (1980, Niemcy) – wychowała się w Plau am See oraz Rostocku, obecnie mieszka w Lipsku. Studiowała germanistykę, filozofię i psychologię w Lipsku oraz Aix-en-Provence. Później ukończyła studia w Niemieckim Instytucie Literatury w Lipsku. Początkowo pracowała jako recenzentka magazynu literackiego „EDIT”, zaś w 2010 roku została jego współwydawcą. Otrzymała m.in. stypendium Hermanna Lenza w 2008 roku oraz stypendium twórcze przyznawane przez Deutscher Literaturfonds w 2010 roku. Publikowała w gazetach, czasopismach i antologiach oraz w portalu internatowym www.der-goldene-fisch.de.

Bibliografia

▶ *wiadomość z nowych gwiazd* (Connewitzer Verlagsbuchhandlung, Lipsk 2006)

vieles kann ich aushalten
aber du, argwöhnische kröte
hältst meinen nistplatz besetzt
hast mir jeden bissen aus dem mund gelesen
und ihn mit deinem speichel verätzt

alle herrlichkeit
mit der ich dich versah
machst du klein
bin ich, nur da
mit ich es aufschreiben kann

mein stern geht nicht auf
ich hänge schwer daran
die sonne ist ein luftballon
ganz helium arm

du beschwerst mich
ich gehe gerade
du krumm

du beigewicht
sagst noch dazu
du liebst mich so

wiele mogę wytrzymać
ale ty, podejrzliwa żabo
okupujesz moje gniazdo
wyjmowałaś mi z ust każdy kęs
i zaprawiałaś swoją żrącą śliną

pomniejszasz
każdą wielkość
jaką ci nadałam
czy jestem tu, tylko po
to żeby to zapisać

moja gwiazda nie wschodzi
wiszę na niej ciężko
słońce jest balonem
całe z helu biedne

obciążasz mnie
ja idę prosto
ty krzywo

i ty dodatkowy ciężarze
mówisz jeszcze
że mnie tak kochasz

витримати можу багато
але ти, підозрілива ропухо
заграбастала моє гніздів'я
кожний кусок мені з рота вийняла
і затруїла своєю слиною

все найкраще
чим я тебе наділила
ти геть змалила
чи я є, тільки що
б записати це

моя зоря не сходить
я прикипіла до неї як тягар
сонце повітряна куля
без гелію сливе

ти мене гнітиш
я ходжу прямо
ти гнешся

доважку
ще й важишся казати
що так мене любиш

mein verstand steht still
wer will, der kann
wer nicht will, muss
von einem buckligen schoß
fällt er schreit er
nimmt den mund voll

streptokokken
duelliert sich die luft
krieg ich keine
meine trägt der sekundant

mój rozum się zatrzymał
kto chce, ten może
kto nie chce, ten musi
z garbatych kolan
spada krzyczy
nabiera pełne usta

streptokoków
pojedynkuje się powietrza
nie dostaję żadnego
moje niesie sekundant

мій глузд застиг
хто хоче, може
хто не хоче, мусить
з горбатого лона
зривається кричить
хвальковито бризкає

стрептококами
коли повітря на дуелі
я не отримую його
моє несе секундант

eine bissige sonne war mal
eine verbissene sonne hab mal
einen verbissenen tag lang sonne gespielt

trostloser zusammenriss
schmiss mich aus dem spiel
niemand der mich vermisst
bis auf den reißwolf in mir

zjadliwe słońce było kiedyś
zajadłym słońcem gdy kiedyś
przez dzień zajadły cały bawiłam się w słońce

ponury losu zgrzyt
wyrzucił mnie z gry
nie żałuje mnie nikt
tylko niszczarka papieru

люте сонце побуло якось
сонцем палючим якось
довгого запеклого дня грала сонце я

безпросвітний зв'язокрозрив
вижбурив мене з гри
нікому я не потрібна
хіба розпатрошувачу в мені

mich zerissen die pferde
oh temps des cérises
geviertelt in jederlei himmelsrichtung
ein teil mich verließ
das herz nicht das herz war nicht darunter
das herz blieb, wo es blieb: zurück
auf der welt, es war (war doch die mitte von allem)

konie mnie rozerwały
oh temps des cérises
każda z poćwiartowanych części
opuściła mnie w inną świata stronę
nie serce serca wśród nich nie było
serce zostało tam gdzie poprzednio:
na świecie, było (wszak było środkiem wszystkiego)

мене розірвали коні
oh temps des cérises
почвертована в кожну сторону світу
одна частина мене покинула
не серце серця там не було
серце залишилося там само: саме-одне
на світі, воно було (було-бо центром усього)

hab mir das haupt entlaubt
den leib entbeint
das herz entkernt

my life – a loaded gun
ist Ihnen das bekannt?

ich hab's nicht gern,
wenn's sich beschwert

zrzuciłam z głowy liście
od tułowia odjęłam nogi
wyłuskałam rdzeń z serca

my life – a loaded gun
słyszał pan o tym?

nie lubię,
kiedy się tak obciąża

листя з голови змела
ноги з тіла висмикнула
з серця вирізала серединку

my life – a loaded gun
а Ви про таке знали?

мені не подобається,
коли воно скаржиться

dies ist ein gesuch
an den herrn von morgenstern

dies ist dringlich: ein gesuch
an den herrn von morgenstern

dies ist mein dringliches gesuch
an den herrn von morgenstern

darauf hat er mich besucht
dieser herr von morgenstern

hat mich gern

to jest podanie
do pana von morgensterna

to pilne: podanie
do pana von morgensterna

to moje pilne podanie
do pana von morgensterna

i w końcu przyszedł do mnie
ten pan von morgenstern

bo lubi mnie

це клопотання
до пана фон моргенштерна

термінoво: клопотання
до пана фон моргенштерна

це моє невідкладне клопотання
до пана фон моргенштерна

у відповідь чую його чвалання до мене
цього пана фон моргенштерна

він любить мене

[Przekład: Ryszard Wojnakowski Переклад: Христина Назаркевич]

EUGENIUSZ TKACZYSZYN-DYCKI:

(1962, Polska) – poeta, prozaik, absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Laureat m.in Nagrody Literackiej im. Barbary Sadowskiej (1994), Nagrody Niemiecko-Polskich Dni Literatury w Dreźnie (1998), Nagrody im. Kazimiery Iłłakowiczówny. Jest także pierwszym w historii Nagrody Literackiej Gdynia jej podwójnym laureatem (2006 i 2009). W 2009 roku otrzymał również nagrodę literacką Nike za swój tomik *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach*. Był wielokrotnie nominowany do Paszportu „Polityki".

Bibliografia

- *Nenia i inne wiersze* (Związek Literatów Polskich, Lublin 1990)
- *Peregrynarz* (Przedświt, Warszawa 1992)
- *Młodzieniec o wzorowych obyczajach (Przedświt,* Warszawa 1994)
- *Liber mortuorum* (Stowarzyszenie Literackie Kresy, Lublin 1997)
- *Kamień pełen pokarmu. Księga wierszy z lat 1987-1999* (Świat Literacki, Warszawa 1999)
- *Przewodnik dla bezdomnych niezależnie od miejsca zamieszkania* (Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2000)
- *Zaplecze* (Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2002)
- *Daleko stąd zostawiłem swoje dawne i niedawne ciało* (Zielona Sowa, Kraków 2003)
- *Przyczynek do nauki o nieistnieniu* (Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2003)
- *Dzieje rodzin polskich* (Sic!, Warszawa 2005)
- *Poezja jako miejsce na ziemi* (Biuro Literackie, Wrocław 2006)
- *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach* (Biuro Literackie, Wrocław 2008)
- *Peregrinary* (Zephyr Press, Brookline 2008)
- *Rzeczywiste i nierzeczywiste staje się jednym ciałem* (Biuro Literackie, Wrocław 2009)

EUGENIUSZ TKACZYSZYN-DYCKI (1962, Polen) – Dichter, Prosaiker, studierte Polonistik an der Maria-Curie-Skłodowska-Universität in Lublin. Preisträger u.a. des Barbara Sadowska Literaturpreises (1994), des Preises der Deutsch-Polnischen Literaturtage in Dresden (1998), des Kazimiera-Iłłakowiczówna -Preises. Tkaczyszyn-Dycki ist der erste Autor in der Geschichte des Literaturpreises Gdynia der ihn zwei Mal erhalten hat (2006 und 2009). 2009 wurde er mit dem Nike-Preis für seinen Gedichtband *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach* ausgezeichnet. Der Autor wurde mehrmals für den Preis Paszporty „Polityki" nominiert.

Bibliographie

- *Nenia und andere Gedichte* (Związek Literatów Polskich, Lublin 1990)
- *Peregrinator* (Przedświt, Warschau 1992)
- *Ein junger Mann mit vorbildlichen Manieren* (Przedświt, Warschau 1994)
- *Liber mortuorum* (Stowarzyszenie Literackie Kresy, Lublin 1997)
- *Ein Stein voller Nahrung. Gedichtband aus den Jahren 1987-1999* (Świat Literacki, Warschau 1999)
- *Fremdenführer für Obdachlose unabhängig vom Wohnort* (Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2000)
- *Hinterland* (Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2002)
- *Weit weg von hier ließ ich meine alten und nicht so alten Körper zurück* (Zielona Sowa, Krakau 2003)
- *Beitrag zur Wissenschaft vom Nichtexistenzieren* (Biuro Literackie Port Legnica, Legnica 2003)
- *Geschichte polnischer Familien* (Sic!, Warschau 2005)
- *Dichtung als Ort auf Erden* (Biuro Literackie, Breslau 2006)
- *Ein Lied über Abhängigkeiten und Süchte* (Biuro Literackie, Breslau 2008)
- *Peregrinary* (Zephyr Press, Brookline 2008)
- *Das Wirkliche und Unwirkliche wurden zu einem Körper* (Biuro Literackie, Breslau 2009)

ЕВҐЕНІУШ ТКАЧИШИН-ДИЦЬКИЙ (1962, Польща) – поет, прозаїк, випускник польської філології університету Марії Кюрі-Склодовської у Любліні. Лауреат літературної премії. ім. Барбари Садовської (1994), премії німецько-польських літературних днів у Дрездені (1998), премії ім. Казимери Іллакович. Він також перший в історії подвійний лауреат літературної премії Ґдині (2006 та 2009). У 2009 році отримав літературну премію „Ніке" за збірку поезії *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach* („Пісенька про залежності та узалежнення"). Кілька разів був номінантом премії Paszport „Polityki" (Паспорт часопису „Політика").

Бібліографія

- *Неня та інші вірші* (Спілка польських письменників, Люблін 1990)
- *Мандрівник* (Przedświt, Варшава 1992)
- *Юнак зі зразковими звичками* (Przedświt, Варшава 1994)
- *Liber mortuorum* (Літературний осередок Креси, Люблін 1997)
- *Камінь, повний їдла. Книга віршів років 1987-1999* (Świat Literacki, Варшава 1999)
- *Путівник для бездомних незалежно від місця проживання* (Biuro Literackie Port Legnica, Легниця 2000)
- *Тил* (Biuro Literackie Legnica, Легниця 2002)
- *Далеко звідси я залишив своє давнє і недавнє тіла* (Zielona Sowa, Краків 2003)
- *Додаток до науки про неіснування* (Biuro Literackie Port Legnica, Легниця 2003)
- *Історія польських родин* (Sic!, Варшава 2005)
- *Поезія як місце на землі* (Biuro Literackie, Вроцлав 2006)
- *Пісенька про залежності та узалежнення* (Biuro Literackie, Вроцлав 2008)
- *Peregrinary* (Zephyr Press, Бруклін 2008)
- *Правдиве і вигадане стає одним тілом* (Biuro Literackie, Вроцлав 2009)

Ars poetica

я хотів писати вірші про конокрадів
і смоктунів злодіїв і спермоїдів
хотів врахувати усіх прибацаних
з мамою в головній ролі і всіх героїв

не хотів сторонитися у поезії дармоїдів
покидьків підкидьків і жебрущих дідів
включно і виключно зі мною в припливі натхнення
адже я учинив "Пісню марнотратника" але прийшла

неможливість неплідність і я закінчив на Лешеку

Ars poetica

ich wollte Gedichte schreiben über Pferdediebe
und Schwanzwichser Langfinger und Spermafresser
ich wollte alle Spinner einbeziehen mit meiner
Mutter in der Hauptrolle und alle Helden

ich wollte in der Poesie nicht die Schnorrer aussparen
den Abschaum die Findelkinder und die kirchlichen Totenfeiern
inklusive und mich selbst exkludieren in der Flut der Inspiration
hatte ich doch das „Lied des Verschwenders" verübt doch es kam

das Unvermögen die Unfruchtbarkeit und ich endete bei Leszek

Ars poetica

chciałem pisać wiersze o koniokradach
i lachociągach złodziejach i spermojadach
chciałem uwzględnić wszystkich świrów
z matką w roli głównej i wszystkich bohaterów

nie chciałem stronić w poezji od darmozjadów
wyrzutków podrzutków i kościelnych dziadów
włącznie i rozłącznie ze mną w przypływie natchnienia
popełniłem wszak „Piosenkę utracjusza" ale przyszła

niemożność niepłodność i skończyłem na Leszku

Piosenka wołkowyjska

w mojej ojczyźnie doliczono się sześciuset
wilków dwustu rysi i dziewięćdziesięciu niedźwiedzi
ale nikt nie odpowiedział na pytanie ilu jest
poetów z których wszak każdy nad wierszem siedzi

gdzieś tam daleko daleko (pewnie
w poezyi) wyją wilki w mojej ojczyźnie
w mojej Wołkowyi jest więcej poetów
aniżeli wszystkich drapieżników razem

wziąwszy z krytykami zoilami zaprawdę
powiadam wam że w mojej Wołkowyi
w mojej ojczyźnie jest tylu poetów ile niedźwiedzi
z których każdy nad wierszem się biedzi

Lied aus Wołkowyja

in meiner Heimat zählte man sechshundert
Wölfe zweihundert Luchse und neunzig Bären
doch niemand beantwortet die Frage wie viele
Poeten es gibt von denen jeder über einem Gedicht sitzt

irgendwo dort in weiter Ferne (bestimmt in der
Poesie) heulen die Wölfe in meiner Heimat
in meinem Wołkowyja gibt es mehr Poeten
als alle Raubtiere zusammen genommen

mit den Kritikern und Schandmäulern wahrlich
ich sage euch es gibt in meinem Wołkowyja
in meiner Heimat so viele Poeten wie Bären
von denen jeder über einem Gedicht schwitzt

Волковийська пісня

у моїй вітчизні дорахувалися шестисот
вовків двохсот рисей і дев'яноста ведмедів
та ніхто не відповів на питання скільки ж таких-от
поетів з яких усяк над віршем сидів і знидів

десь там далеко далеко (либонь
у поезії) виють вовки у моїй вітчизні
у моїй Волковиї більше поетів
ніж усіх хижаків разом

узятих з критиками зоїлами істинно
кажу вам що в моїй Волковиї
у моїй вітчизні є стільки поетів скільки ведмедів
з котрих кожен над віршем голову надвередив

Rzeczywiste i nierzeczywiste staje się jednym ciałem

ten wielki dom jest za wielki
za gościnny dla mnie i dla moich książek
upchanych w kilku pokojach nie licząc
paczek na strychu który przecieka niestety

nie licząc owych pudeł na strychu
na jakim nieczęsto bywam choć grzeszę
grzeszy się wszak na strychu który
przecieka gdyż jest eternitem kryty

grzeszy się wszak w piwnicy
do której schodzę po ziemniaki
i słoiki bowiem grzesznicy
lubią konfitury marynaty i fryty

Wirkliches und Unwirkliches wird zu einem Körper

dieses große Haus ist zu groß
zu gastlich für mich und für meine Bücher
die in ein Zimmer gestopft sind ungerechnet
die Pakete auf dem Speicher der leider undicht ist

ungerechnet diese Kisten auf dem Speicher
auf dem ich nicht oft bin obwohl ich sündige
man sündigt doch auf dem Speicher der
undicht ist denn er ist mit Eternit gedeckt

man sündigt doch im Keller
in den ich die Kartoffeln holen gehe
und die Gläser denn Sünder
mögen Konfitüren Marinaden und Pommes

Реальне і нереальне стає тілом єдиним

цей великий дім завеликий
загостинний як на мене і на мої книжки
напхані в кілька кімнат не рахуючи
пачок на горищі яке на жаль протікає

не рахуючи тих коробок на горищі
де нечасто буваю хоча грішу
грішиться-бо все-таки на горищі яке
протікає тому що є ґандж дахівки

грішиться-бо все-таки у підвалі
куди спускаюся по картоплю
і слоїки тому що грішні зухвалі
люблять маринади і джем зі сливки

[nie został kamień na kamieniu]

nie został kamień na kamieniu
w Żeliskach choć z drugiej strony
czego mogliśmy się spodziewać
po Dyciach z których ostatni zasiadł

do poezji (ale to nie wchodzi
w zakres tego wiersza) przypomnijmy
że już dawno nie byłem na starych
śmieciach kto zaś potrzebuje natchnienia

musi się obracać nie tylko pośród
kamieni ale i nieczytelnych inskrypcji

[es blieb kein Stein auf dem anderen]

es blieb kein Stein auf dem anderen
in Želiski obwohl andererseits
was konnten wir denn erwarten
von den Dyckis von denen der letzte

mit der Poesie anfing (doch das gehört
nicht in diese Gedicht) erinnern wir uns
dass ich schon lange nicht mehr auf den alten
Halden war doch wer Inspiration braucht

muss nicht nur mit Steinen verkehren
sondern auch mit unleserlichen Inschriften

[не лишилося каменя на камені]

не лишилося каменя на камені
у Желісках але з іншого боку
чого нам було очікувати
від Диців останній з яких узявся

до поезії (але це не лізе
у рамки цього вірша) пригадаймо
що я вже давно не бував на старих
звалищах а кому треба натхнення

змушений обертатися не тільки поміж
каменів а й між нерозбірливих надписів

[nie został kamień na kamieniu]

nie został kamień na kamieniu
w Kapliszach Hryniawskich choć we wsi
wznieśliśmy cerkiew z drugiej strony
tam właśnie gdzie były Kaplisze Hryniawskie

ciągną się dziś pola i nieużytki
koło cerkwi ale w Baszni Dolnej
spoczywa brat mojej matki
(lecz to nie wchodzi w zakres

tego wiersza) przypomnijmy że w zakres
dobrej poezji wchodzą nie tyle cmentarne
i pocerkiewne kamienie co kamienie
w ogóle i od lat nieczytelne inskrypcje

[не лишилося каменя на камені]

не лишилося каменя на камені
у Каплішах Гриняських хоча на селі
ми возвели церковцю з іншого боку
власне там де були Капліші Гриняські

нині розляглися поля і невжитки
біля церкви але в Башні Дольній
спочиває брат моєї мами
(хоч це не лізе у рамки

цього вірша) пригадаймо що в рамки
доброї поезії лізуть не так цвинтарні
і поцерковні камені як камені
в принципі й давно нерозбірливі надписи

[es blieb kein Stein auf dem anderen]

es blieb kein Stein auf dem anderen in
Kaplisze Hryniawskie obwohl wir im Dorf
eine orthodoxe Kirche errichteten andererseits
genau dort wo Kaplisze Hryniawskie lag

erstrecken sich heute Felder und Brachland
um die orthodoxe Kirche doch in Basznia Dolna
ruht jetzt der Bruder meiner Mutter
(aber das gehört nicht in dieses

Gedicht) erinnern wir uns in gute
Poesie gehören nicht so sehr die Grab-
und die ehemalige Kirchensteine wie die Steine
überhaupt und die seit Jahren unleserlichen Inschriften

[Übersetzung: Doreen Daume, Переклад: Маріанна Кіяновська]

© Elżbieta Lempp

PUTINS EISZAPFEN
SOPLE PUTINA
ПУТІНСЬКА БУРУЛЬКА

Timo Berger Timo Berger Тімо Берґер

Berlin, Fulda- Ecke Weserstraße: Wir stießen fast zusammen. Ich nehme an: Timo Berger, sagte er und sein Oberkörper federte elegant zurück. Juri?, fragte ich. Er lächelte geheimnisvoll. Er sah ein wenig älter aus, als auf dem Verlagsfoto. Auch ein wenig freundlicher. Es war acht Uhr abends. Eine Sensation. Juri hatte es pünktlich hierher geschafft, aus dem Grunewald – wo er gerade eine jener internationalen Künstlerresidenzen nutzte, um sein nächstes Buch zu schreiben oder einfach alte Freunde zu treffen. Und er hatte unheimlich viele Freunde in Berlin. Die Ukrainer, sollte er mir nach dem dritten Schnaps anvertrauen, stehen kurz davor die Stadt zu übernehmen. Nach Feierabend pinseln unsere Landsleute schon an kyrillischen Straßenschildern, damit die Orte in Berlin endlich wieder ihre alten slawischen Namen bekommen ...

Jetzt standen Juri und ich vor dem „Ä“. Ich hatte ihn, der von Sektempfängen im Roten Rathaus oder der Akademie der Künste verwöhnt war, unter dem Vorwand, es gäbe hier armenischen Schnaps, in die Neuköllner Kaschemme gelockt.

Juri war sofort begeistert. Im Nachgang allerdings auch etwas skeptisch. Schnaps? Ich dachte die Armenier hätten nur Brandy … Den Schnaps will ich kennenlernen, donnerte er durchs Telefon und stimmte einem Treffen zu. Es sei eigentlich ein Kognak, erklärte uns der Barmann mit leicht fränkischem Einschlag. Ararat. Viel gefragt. Doch heute sei die Flasche leider leer. Er könne uns aber einen Pfefferwodka empfehlen. Juri grinste wieder. Wie zuhause, es gibt nichts von dem, was auf der Karte steht. Einen Doppelten bitte, rief Juri, und eine Runde getrockneter Fischköpfe dazu. Wieder musste der Barmann passen. Wenigstens die Gläser waren wohltemperiert und beschlugen sofort. Wir waren die einzigen im Vorderraum der Bar, hinten im Raucherzimmer gingen die Tische schon aus. Ich rauche nicht mehr, sagte Juri, wenn man ein gewisses Alter erreicht hat, braucht man das nicht mehr ... Ich ließ meinen Blick wandern: Vor nicht allzu langer Zeit starb in diesen Räumen eine Eckkneipe mit einem unbeheizten Hinterzimmer jahrelang vor sich hin. Dann kamen die Engländer in Röhrenjeans mit den Fransenfrisuren und Pete-Doherty-Hüten.

Wir nippten am Chili-Wodka. Tauschten Meinungen über den FK Karpaty Lwiw und Hertha Berlin. Über die Westwanderung ukrainischer Fußballstars und die ungekannte Fröhlichkeit der Hertha-Fans. Juri nestelte an seinem leeren Glas. Er wollte keinen Wodka mehr. Das ist bei uns ein festes Ritual, sagte er: Man trinkt ihn zum Essen, hinterher trinkt man Schnaps. Er wollte jetzt etwas Essen. Im „Ä“ gab es aber nur Peanuts aus dem Kaugummiautomat. Als wir draußen waren, führte ich Juri – unter dem falschen Versprechen einer trendigen Fressmeile auf dem Weg – zum Neuköllner Schifffahrtskanal. Die Wasserrinne war immer noch vereist. Das sonst hier gründelnde Schwanenpaar hatte sich gen Urbanhafen abgesetzt. Ich zeigte Juri die Brücke aus Brettern, welche die Neuköllner zu Mauerzeiten als ständige Vertretung der gesperrten Lohmühlenbrücke gezimmert hatten. Heute würde man die wacklige Holzkonstruktion eine temporäre raumgreifende Intervention nennen. In der Mitte der Brücke täuschte Juri Höhenangst vor, er meinte es allem Anschein nach ernst mit dem Hunger. Wir retteten uns zurück ans sichere Ufer, blickten aufs Lohmühlendreieck – drei Kanäle und drei Bezirke treffen dort zusammen. Noch in den 20er Jahren war eine Badestelle ausgewiesen. Juri wollte sehr genau wissen, wo die Mauer verlief, was Ost- und was West-Berlin war … Ich fuchtelte mit den Händen, deutete in verschiedene Richtungen, Treptow, Ost, Kreuzberg, West, und Neukölln, äh, das war Süd, Süd-Berlin … Auch mit einer eigenen Mauer, aber nicht ganz so streng, improvisierte ich …

Juris Magen knurrte wie ein Karpatenwolf. Was willst Du essen, Juri, fragte ich? Eigentlich müsste man hier arabisch essen, sagte er, doch da gibt's keinen Schnaps. Mir fiel ein neuer Laden ein, den ich nur vom Vorbeigehen kannte. Das Valentins. Eine Kneipe fast wie das „Ä“, nur statt Wohnzimmerflair, Bierbänke, weißblaue Plastikdecken und bayrische Hausmacherkost. Wir trotteten wieder zurück in Richtung Sonnenallee, ergatterten die letzten Plätze an der Wand. Kaum die Mäntel abgelegt, traf mich der Schlag: Ich blickte in die Knopfaugen meines Arbeitskollegen. Es war uns beiden peinlich. Du hier?, fragte ich. Dasselbe könnte ich dich jetzt fragen!, barschte er zurück. Mein Kollege ist ein richtiger

Kollege. Dass er ein Bier tränke, dass er an einem Landjäger nagte, ist mir absolut unvorstellbar. Ich sehe ihn nur tief über seine Unterlagen gebeugt und ab und zu kurz aufschauen und tief Luft holen wie ein Perlentaucher, der an die Wasseroberfläche zurückkehrt. Nachdem er zu Juri auf Englisch, Sie sind also Juri, gesagt hatte, verschwand er ohne weitere Dreher in das Hinterzimmer mit Tanzfläche. Als ich später zu den Toiletten ging, spähte ich kurz durch eine angelegte Tür. Mitten im Raum vollführte er auf und abwippend den Haifischtanz. Ein einzelner von einer Diskokugel gebrochener Spot warf ihm eine Glitzerkrone auf das Haupt. Sonst versuchte niemand zu tanzen.

Als ich zurückkam, hatte Juri Gesellschaft: Drei lächelnde, einander ziemlich ähnlich sehende junge Leute hatten die Bank uns gegenüber in Beschlag genommen. Darf ich uns vorstellen, fragte einer von ihnen. Nur zu, sagte Juri. Esthera, Annita und meine Wenigkeit, Piotr. Polen seien sie, sagte Piotr. Aus Gdańsk, sagte Esthera, schon lange in Berlin, sagte Annita. Wir wohnen in Neukölln, gleich hier um die Ecke, früher Leinestraße … Noch früher Asylantenheim, sagte Esthera. Da waren wir doch nicht wirklich, widersprach Piotr, wir haben nur die Koffer abgestellt … Spätaussiedler?, fragte Juri. Ja, sagte Piotr. Und Polen, sagte Annita. Polen bleiben Polen, egal wo sie sind. Gesprächig. Quatschen drauf los. Ich bin Drucker, sagte Piotr, Offset … Oh da bist du ja an den richtigen geraten, sagte ich, mein Freund kennt sich damit aus und erinnerte mich an den letzten Roman von Juri ... Mein erster Job, setzte Juri mit denselben Worten wie im Buch an, war in einer Druckerei, damals noch Lithographen … Und du?, nickte Juri in die Richtung von Esthera. Esthera war Make-Up-Artistin, vorher Freelance, nun Fortbilderin für Verkaufskräfte im Body-Shop. Und was machst Du heute, fragte Esthera plötzlich? Juri: Ich schreibe. Esthera: Hast du schon mal was veröffentlicht? Juri, der das ganze Gespräch über keinerlei Starallüren gezeigt hatte, beugte sich über den Tisch und holte aus: Sieben Bücher auf Polnisch und sechs auf Deutsch, man könnte sogar sagen, ich bin sehr bekannt in Polen … Aha, nicktendie Polen. Annita: Ich schau morgen mal im Internet nach … Juri, wie, fragte Esthera … Andruchowytsch. Wie schreibt man Deinen Namen?, fragte Piotr. Weißt du, das ist nicht einfach, sagte Juri, wegen der Umschrift … Die Amerikaner schreiben mich mit „kh“, die Deutschen mit „ch“, die Spanier mit „j“. Ich habe nie darauf geachtet, dass mein Name gleich geschrieben wird. Es gibt, glaube ich, mittlerweile 39 verschiedene Versionen je nach Land und Übersetzer …

Ich muss zugeben, sagte Juri nicht ohne einen Anflug von 1990er-Jahre-Nostalgie, ich hatte ein wenig den Glauben an Berlin verloren. Ich war ja schon oft hier. Aber in letzter Zeit dachte ich, es sei alles irgendwie vorbei … Aber Neukölln gibt mir meinen Glauben zurück. Und dieser bayrische Leberkäs. Du weißt, ich war ja schon mal in München. Eine Runde Obstler für alle, rief er plötzlich in den Raum. Sie haben mir heute gezahlt, sagte er, mir soll alles egal sein … Weißt Du, sagte Juri, als die Russen im Winter das Gas abgestellt haben, das ging uns am Arsch vorbei. Niemand hat gefroren, die Regierung hat ja schon im Sommer Gas gebunkert. Es kamen die üblichen Scherze per SMS über blau gefrorene Gartenzwerge, bibbernde Bulgaren und Putins Eiszapfen … Das war schon nach Weihnachten. Die beste Zeit bei uns: Wir in Ukraine fangen nach der Wintersonnenwende an zu feiern und zu trinken, bis Ende Januar. Wir hatten es also warm von innen und von außen ...

Timo, ich muss jetzt nach Hause, sagte Juri. Ein Freund aus Kiew ist gekommen. Er kann ein wenig warten, aber nicht zuviel. Ich würde sagen, noch einen Obstler, ja? Ich schaue noch mal nach meinem Kollegen, log ich und ging wieder Richtung Toilette. Vom vielen Obstler brummte mir schon der Kopf. Als ich zurückkam, zupfte sich Juri seine Jacke zurecht und verließ bescheiden wie er gekommen war das Valentins. Ich wartete ein paar Minuten, dann ging auch ich. Noch auf der Schwelle stellte ich mir vor, was ich gerade verpasste: Meinen Kollegen wild zuckend auf der Tanzfläche, knutschend mit einer Valerie oder Swetlana aus Przemyśl oder Wrocław Süd.

Berlin, róg Fulda- i Weserstrasse: prawie wpadliśmy na siebie. Przypuszczam, że to Timo Berger, powiedział, cofając się elegancko. Jurij? – zapytałem. Uśmiechnął się tajemniczo. Czy wyglądał trochę starzej? Poważniej niż na zdjęciu w wydawnictwie. Ale i trochę sympatyczniej. Była ósma wieczorem. Sensacja. Jurij zdążył punktualnie przyjechać z Grunewaldu, gdzie właśnie korzystał z jednej z tych międzynarodowych rezydencji dla artystów, aby pisać swoją kolejną książkę lub spotkać starych przyjaciół. A przyjaciół miał w Berlinie mnóstwo. Ukraińcy, jak miał mi się zwierzyć po trzeciej wódce, już wkrótce opanują miasto. Po fajrancie nasi rodacy już malują cyrylicą nazwy ulic, tak by miejsca w Berlinie znów miały słowiańskie nazwy...

Teraz stałem z nim przed „Ä”. Jurija, rozpaskudzonego przyjęciami z szampanem w Czerwonym Ratuszu i Akademii Sztuki, zwabiłem do knajpy w dzielnicy Neukölln pod pretekstem, że serwują tu armeńską wódkę.
Jurij od razu był zachwycony. Ale po chwili i nieco sceptyczny. Wódka? Myślałem, że Ormianie mają tylko brandy… Chętnie poznam wódkę, zagrzmiał przez telefon i zgodził się na spotkanie. Właściwie to koniak, wyjaśnił nam barman z lekko frankońskim akcentem. Ararat. Bardzo poszukiwany. Niestety, dziś butelka jest pusta. Ale może nam polecić piercowkę. Jurij znów się zaśmiał. Jak u nas, nie ma niczego, co jest w karcie. Proszę podwójną, zawołał i do tego porcję suszonych łebków rybich. Barman znowu musiał spasować. Przynajmniej kieliszki miały odpowiednią temperaturę i od razu zaparowały. W salce z przodu przy barze byliśmy jedynymi gośćmi, z tyłu w sali dla palących zaczynało brakować stołów. Ja już nie palę, powiedział Jurij, jak się dojdzie do pewnego wieku, jest to już niepotrzebne... Powiodłem wzrokiem po sali. Do niedawna w tych pomieszczeniach wegetowała latami narożna knajpa z nieogrzewanym pokojem na zapleczu. A potem przyszli Anglicy w jeansach typu rurki z postrzępionymi fryzurami i w kapeluszach à la Pete Doherty.
Sączyliśmy wódkę z chili. Wymienialiśmy poglądy na temat klubów FK Karpaty Lwów i Hertha Berlin. Na temat eksodusu ukraińskich gwiazd piłkarskich na Zachód i nieznanej radości kibiców Herthy. Jurij bawił się pustym kieliszkiem. To u nas przyjęty rytuał, powiedział: pije się ją do posiłku, potem pije się sznaps. Chciał teraz coś zjeść. Ale w „Ä” były tylko orzeszki z automatu z gumą do żucia. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, zaprowadziłem Jurija nad kanał w Neukölln, obłudnie obiecując, że po drodze jest pasaż z modnymi knajpami. Woda była wciąż jeszcze zamarznięta. Nurkująca tu zwykle para łabędzi wyniosła się w stronę Urbanhafen[1]. Pokazałem Jurijowi most z desek, który mieszkańcy Neukölln zbudowali w czasach istnienia muru i który na stałe zastępował zamknięty Lobmühlenbrücke. Dzisiaj tę chwiejącą się drewnianą konstrukcję określono by jako tymczasową dalekosiężną interwencję. Na środku mostu Jurij udał, że ma lęk wysokości, chyba poważnie był głodny. Ratowaliśmy się, wracając na bezpieczny brzeg, popatrzyliśmy na trójkąt Lobmühlen – spotykają się tam trzy kanały i trzy dzielnice. Jeszcze w latach 20. było tam kąpielisko. Jurij chciał wiedzieć dokładnie, gdzie przebiegał mur, gdzie był Berlin Wschodni, a gdzie Zachodni... Wymachiwałem rękami, wskazując w różnych kierunkach, tu Treptow, wschód, tam Kreuzberg, zachód, i Neukölln, eh, a tam południe, południowa strona Berlina… Także z własnym murem, ale nie tak rygorystycznym – improwizowałem…

Żołądek Jurija burczał jak niedźwiedź karpacki.
Co chcesz zjeść, Jurij, zapytałem, właściwie odpowiednia byłaby tu kuchnia arabska, ale tam nie ma wódki. Przyszedł mi do głowy nowy lokal, który znałem tylko z tego, że koło niego przechodziłem. Valentins. Prawie taka knajpa jak „Ä”, tylko zamiast domowej atmosfery – ławy jak w piwiarni, biało-niebieskie plastikowe obrusy i bawarska domowa kuchnia. Potruchtaliśmy z powrotem w stronę Sonnenallee, zdobyliśmy ostatnie miejsca pod ścianą. Ledwo zdjęliśmy płaszcze, trafił mnie szlag: zobaczyłem wyłupiaste oczy kolegi z pracy. Obaj czuliśmy się nieswojo. Ty tutaj? – zapytałem. Mógłbym cię teraz zapytać o to samo! – odburknął. Mój kolega jest prawdziwym kolegą. Absolutnie nie mogę sobie wyobrazić, żeby pił piwo, czy jadł cokolwiek. Widzę go tylko pochylonego nisko nad papierami, od czasu do czasu podnoszącego na chwilę głowę i robiącego głęboki oddech jak poławiacz pereł, który wraca na powierzchnię wody. Zagadnąwszy Jurija po angielsku: a to pan jest Jurij, i już się nie odwracając, zniknął na sali z tyłu, gdzie był parkiet do tańca. Kiedy potem szedłem do toalety, zajrzałem przez uchylone drzwi. Tańczył, kołysząc się na środku sali jak rekin. Pojedynczy, odbity od kuli dyskotekowej snop światła tworzył nad jego głową mieniącą się koronę. Poza nim nikt nie tańczył.

Gdy wróciłem, Jurij miał towarzystwo: trójka uśmiechniętych, dość do siebie podobnych młodych ludzi zajęła ławę naprzeciwko nas. Czy mogę nas przedstawić, zapytał jeden z nich. Dawaj, powiedział Jurij.
Estera, Anita i moja skromna osoba, Piotr. Są Polakami, powiedział Piotr. Z Gdańska, powiedziała Estera, już od dawna w Berlinie, powiedziała Anita. Już bardzo długo mieszkamy w dzielnicy Neukölln, wcześniej przy Leinestrasse… Jeszcze wcześniej w domu dla azylantów. Nie byliśmy tam tak naprawdę, zaprzeczył Piotr, tylko zostawiliśmy walizki… Późni przesiedleńcy? – spytał

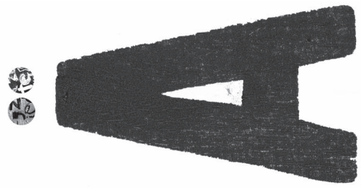

Jurij. Tak, powiedział Piotr. I Polacy, powiedziała Anita. Polacy pozostaną Polakami, obojętne, gdzie są. Rozmowni. Gadają jak najęci. Ja jestem drukarzem, mówił Piotr, offset… O, to dobrze trafiłeś, powiedziałem, mój przyjaciel się na tym zna, i przypomniałem sobie ostatnią powieść Jurija… Moja pierwsza praca – Jurij zaczął od tych samych słów, co w książce – była w drukarni, wtedy jeszcze jako litografa… A ty? Jurij kiwnął w stronę Estery. Estera była wizażystką, przedtem wolnym strzelcem, teraz instruktorką pracownic w Body Shopie. A co ty robisz teraz? – zapytała nagle Estera. Jurij: piszę. Estera: czy już coś opublikowałeś? Jurij, który podczas całej rozmowy nie okazywał manier gwiazdy, pochylił się przez stół i rozgadał się: Siedem książek po polsku i sześć po niemiecku, można nawet powiedzieć, że w Polsce jestem bardzo znany… Aha, kiwnęli głową Polacy. Estera: popatrzę jutro w internecie… Jurij – i jak dalej? - spytała Estera… Andruchowycz. Jak się pisze twoje nazwisko? Wiesz, to nie jest proste, powiedział Jurij, ze względu na transkrypcję… Amerykanie piszą je przez „kh”, Niemcy przez „ch”. Hiszpanie przez „j”. Nigdy nie zwracałem uwagi, żeby pisano moje nazwisko jednakowo.
Wydaje mi się, że jest już 39 różnych wersji, zależnie od kraju i tłumacza.
Wiesz, powiedział Jurij nie bez śladu nostalgii za latami 90., straciłem trochę wiarę w Berlin. Bywałem tu przecież często. Ale ostatnio pomyślałem, że wszystko jakoś minęło… Jednak przywraca mi tę wiarę Neukölln. I ten bawarski Leberkäs[2]. Jak wiesz, byłem już w Monachium. Kolejka obstlera[3] dla wszystkich, zawołał nagle. Zapłacili mi dziś, powiedział, może mi być wszystko jedno… Wiesz, powiedział Jurij, jak Rosjanie zakręcili nam w zimie gaz, mieliśmy to w dupie. Nikt nie marzł, rząd przecież już latem zrobił zapasy gazu. Przychodziły smsy z tymi samymi, co zwykle, dowcipami o sinych z przemarznięcia krasnalach ogrodowych, drżących z zimna Bułgarach i soplach Putina… To było już po Bożym Narodzeniu. Dla nas najlepszy czas: my na Ukrainie po przesileniu zimowym zaczynamy świętować i pić, i tak do końca stycznia.
Tak więc mieliśmy ciepło od środka i od zewnątrz…

Teraz muszę iść do domu, powiedział Jurij. Przyjechał przyjaciel z Kijowa. Może trochę poczekać, ale nie za długo. No cóż, to może jeszcze jedną wódkę, dobrze? Rozejrzę się jeszcze za moim kolegą, skłamałem i udałem się znów w stronę toalety. Od tej ilości wódki huczało mi już w głowie. Kiedy wróciłem, Jurij poprawiał na sobie marynarkę i tak skromnie, jak przyszedł, tak opuścił

Valentins. Odczekałem parę minut i też wyszedłem. Jeszcze na progu wyobraziłem sobie, co właśnie przegapiłem: mojego kolegę dziko podrygującego na parkiecie, obściskującego jakąś Valerie albo Swietłanę z Przemyśla lub Wrocławia-Południe.

[1] Dawny port w dzielnicy Kreuzberg, dziś tereny wypoczynkowe.
[2] Rodzaj bawarskiej pasztetówki - przyp. tłum.
[3] Wódka owocowa – przyp. tłum.

[Przekład: Elżbieta Michałowska]

Берлін, Фульдаштрасе ріг Везерштрасе. Ми мало не зіштовхнулися. Припускаю, ви Тімо Берґер, – сказав він, елегантно відхиляючись назад. Юрій? – спитав я. Він загадково усміхнувся. Виглядав трохи старшим, ніж на світлинах видавництва. І трохи привітнішим. Була восьма вечора. Сенсаційно. Юрій приїхав вчасно, з Ґруневальда, де мешкав у міжнародній мистецькій резиденції, пишучи свою наступну книжку чи просто зустрічаючись зі старими друзями. А друзів у Берліні в нього страшенно багато. Українці, поділився він зі мною по третьому шнапсі, ось-ось захоплять це місто. Після роботи його земляки вже малюють вуличні вивіски кирилицею, аби берлінські топоніми нарешті знову отримали слов'янські назви…

І от ми з Юрієм стоїмо перед „Ä". Його, розбещеного фуршетами і шампанським у Червоній Ратуші чи Академії Мистецтв, вдалося заманити до Нойкьольнського[1] шинку обіцянкою вірменського шнапсу. Спочатку Юрій загорівся. Однак згодом засумнівався: Шнапс? Я думав, вірмени мають тільки бренді … Хочу спробувати того шнапсу, – прогримів він у телефон і погодився на зустріч. Взагалі-то це коньяк, пояснив нам бармен із легким франкським акцентом. Арарат. Дуже популярний. Але сьогодні, на жаль, пляшка порожня. І порекомендував нам перцівку. Юрій знову посміхнувся. Як удома, нічого нема з того, що в меню. Подвійну будь ласка, – замовив Юрій. І зв'язку сушених риб'ячих голів. Бармен знову мусив пасувати. Принаймні келихи були правильної температури і негайно вкрилися паморозззю. У першому залі бару ми були самі, ззаду, в приміщенні для курців жодного вільного місця. Я кинув курити, сказав Юрій. У певному віці це вже не потрібне…Мій погляд блукав залом: ще зовсім недавно в цих стінах роками конала наріжна кнайпа з неопалюваною задньою кімнатою. А тоді прийшли англійці в джинсах-дудочках, із дредами та капелюхами а ля Піт Догерті.

Ми попивали горілку з паприкою чілі. Обмінювалися думками про львівські „Карпати" і берлінську „Герту". Про міграцію на Захід українських футбольних зірок і небувалу радість фанів „Герти". Юрій покрутив у пальцях свій порожній келишок. Горілки йому більше не хотілося. У нас є непорушний ритуал, сказав він. Горілку п'ють під час їжі. Після їжі п'ють шнапс. Тепер він захотів щось з'їсти. Та в „Д" були лише горішки з автомату. Ми вийшли, і я, брехливо обіцяючи показати модну гастрономічну дільницю, повів Юрія до Нойкьольнського корабельного каналу. Вода в жолобі все ще була вкрита кригою. Пара лебедів, які гніздяться тут зазвичай, переселилася кудись у напрямку Урбанського порту. Я показав Юрію дощаний міст, який мешканці Нойкьольна змайстрували в часи Берлінської стіни як постійну заміну перекритого мосту Льомюлєн. Сьогодні хистку дерев'яну споруду назвали б тимчасовою просторовою інтервенцією. На середині мосту Юрій вдав, ніби боїться висоти. Виглядало так, що про голод він не жартував. Ми поквапилися назад до безпечного берега, подивилися на трикутник Льомюлє, де зустрічаються три канали і три райони. У 20-х роках тут була купальня. Юрій дуже детально хотів знати, де проходила Стіна, де був Східний Берлін, а де Західний… Розмахуючи руками, я показував у різні напрямки: Трептов, Схід, Кройцберґ, Вест і Нойкьольн, еее…, а тут був Зюд, ЗюдБерлін… Також із власною стіною, але не такою суворою, – імпровізував я…Живіт Юрія бурчав, як карпатський вовк. Чого ти з'їв би, Юрію? – запитав я. Власне кажучи, тут треба було б їсти щось арабське, сказав він. Але в арабів немає шнапсу. Я згадав про новий ресторан, який бачив, проходячи повз. Валентінс. Кнайпа, майже як „Ä", тільки замість атмосфери вітальні пивні лавки, білосині пластикові стелі і баварська домашня кухня. Ми потюпали назад в напрямку Сонячної алеї, зайняли останні вільні місця під стіною. Щойно скинули плащі, як мене мало шляк не трафив: я дивився просто в очіґудзички мого колеги з роботи. Нам обом стало незручно. Ти тут? – спитав я. Те саме я міг би запитати у тебе! – відгавкнувся він.
Мій колега – це справжній колега. Я не можу собі уявити, щоб він пив пиво, щось їв. Я бачу його тільки схиленим над паперами, час до часу він коротко підводить погляд і робить глибокий вдих, як пірнальник за перлами, що піднімається на поверхню води. Сказавши до Юрія по-англійськи: Отже, ви Юрій, – він, не озираючись, зник у задній кімнаті з танцмайданчиком. Пізніше, вийшовши у туалет, я підглянув крізь прихилені двері. Посеред залу він виконував танець акул, похитуючись угору-вниз. Єдиний промінь прожектора, віддзеркалюючись у диско-кулі, накидав йому на голову сяючу корону. Крім нього, ніхто не танцював.

Коли я повернувся, Юрій уже мав товариство: троє усміхнених, трохи подібних між собою молодих людей окупували лавку навпроти нас. Дозволите відрекомендуватися? – запитав один із них. Уперед, – сказав Юрій. Естера, Аніта і моя скромна особа, Пйотр. Ми поляки, – сказав Пйотр. Із Ґданська, – ска-зала Естера. Але вже давно в Берліні, – сказала Аніта. Ми дуже довго живемо в Нойкьольні, раніше на Ляйнештрассе… Ще раніше в гуртожитку для біженців. Але ж там ми були не по-справжньому, – заперечив Пйотр, тільки залишили наші валізи… Пізні переселенці? — запитав Юрій. Так, – сказав Пйотр. І поляки, – сказала Аніта. Поляки залишаються поляками, байдуже, де. Балакучі. Охоче вступають у бесіду. Я друкар, – каже Пйотр. Офсет…О, то ти тут між своїх, – сказав я, пригадавши останній роман Юрія Мій друг знається на цьому…Моя перша робота, – розпочав Юрій тими самими словами, що й у книжці, – була в друкарні, тоді ще літографічній… А ти? – Юрій кивнув у бік Естери. Естера виявилася віза-жистом, спочатку була фрілансером, а тепер навчає працівниць магазину Body-Shop. А що ти робиш зараз? — раптом запитала Естера. Юрій: Пишу.
Естера: І вже щось опублікував? Юрій, який протягом усієї розмови не виявив жодних зіркових замашок, нахилився над столом і почав перелічувати: Сім книжок польською і шість німецькою. Можна навіть сказати, я дуже відомий у Польщі… Ага, – кивнули поляки. Естера: Подивлюсь завтра в Інтернеті … Юрій, як?… – запитала. Андрухович?
Як пишеться твоє прізвище? Знаєш, це нелегко, – сказав Юрій, через транскрипцію… Американці пишуть мене через „kh", німці через „ch", іспанці через „j". Я ніколи не стежив за тим, щоб усі писали моє ім'я однаково. Тепер, здається, є 39 різних версій, залежно від країни і перекладача… Знаєш, сказав Юрій не без сліду ностальгії за 1990-ми роками, – Я, було, трохи втратив віру у Берлін. Часто тут бував. Але останнім часом думав, що все вже в минулому… Але Нойкьольн повертає мені віру. І цей баварський печінковий сир. Ти ж знаєш, я був у Мюнхені. Всім по фруктовому шнапсу! – вигукнув він раптом. Мені сьогодні заплатили, – сказав він. Тож байдуже…
Знаєш, – сказав Юрій, – коли росіяни перекрили нам взимку газ, нам було по цимбалах. Ніхто не мерз, уряд ще влітку запасся газом. Приходили традиційні есемески про посинілих на холоді садових гномиків, тремтячих болгар і путінські бурульки… Це було після Різдва. Найкращий час у нас: ми в Україні починаємо святкувати й пити після зимового сонцестояння й до кінця січня. Тож нам було тепло зсередини і ззовні… Так, а тепер мені треба додому, сказав Юрій. Приїхав приятель із Києва. Трохи зачекати він може, але не надто довго. Може, ще по фруктовому шнапсу, так? Подивлюся ще раз, як там мій колега, – збрехав я і знову пішов у напрямку туалету. Від усіх тих шнапсів у мене гула голова. Коли я повернувся, Юрій вже поправляв на собі куртку. Вийшов із Валентінса так само скромно, як і зайшов. Я почекав кілька хвилин і теж пішов. На порозі уявив собі, що саме втрачаю: мого колегу, який дико посмикується на танцмайданчику, обнімаючись із якоюсь Валерією або Світланою з Перемишля чи Південного Вроцлава.

[1] Нойкьольн (Neukölln) — не надто фешенебельний, радше пролетарський район Берліна, до Возз'єднання — Західного Берліна (прим. перекладача)

[Переклад: Ольга Сидор]

Timo Berger (1974, Deutschland) – hat in Tübingen, Buenos Aires und Berlin Literaturwissenschaft und Lateinamerikanistik studiert. Seit 1999 lebt er in Berlin. Er veröffentlicht Erzählungen, Lyrik und Essays in deutscher und spanischer Sprache und arbeitet als Übersetzer und Journalist. Mitorganisator des Inter-nationalen Festivals Salida al Mar in Buenos Aires und der Latinale (mobiles Poesiefestival) sowie der Weban-thologie Latin. Log. Er erhielt mehrere Literatur- und Übersetzungsstipendien und war u.a. Stipendiat der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit und der Kultur-stiftung der Länder (2006) in der Villa Decius. Er ist Ehrenmitglied des argentinischen Verlags Eloísa Cartonera und seit 2009 Herausgeber der latinoamericana-Reihe des Verlags luxbooks.

Bibliographie
- *Kafka und ich* (SuKuLTuR, Berlin 2006)
- *A cien cuadras del centro* (Vox, Bahía Blanca 2006)
- *Ferne Quartiere* (Lyrikedition, München 2000)

Timo Berger (1974, Niemcy) - studiował literaturoznawstwo i amerykanistykę Ameryki Łacińskiej w Tübingen, Buenos Aires i Berlinie. Od 1999 roku mieszka i pracuje w Berlinie. Opowiadania, lirykę i eseje publikuje po niemiecku i hiszpańsku, ponadto pracuje jako tłumacz i dziennikarz. Organizował Międzynarodowy Festiwal Salida al Mar w Buenos Aires, Latinale (mobilny festiwal poezji) oraz antologię Latin.Log w sieci web. Otrzymał wiele stypendiów dla tłumaczy, był m.in. stypendystą Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej oraz Fundacji Kultury Landów w roku 2006 w Willi Decjusza. Jest członkiem honorowym argentyńskiego wydawnictwa Eloísa Cartonera, a od 2009 wydawcą kolekcji latynoamerykańskiej wydawnictwa Lux.Book.

Bibliografia
- *Kafka i ja* (SuKuLTuR, Berlin 2006)
- *A cien cuadras del centro* (Vox, Bahía Blanca 2006)
- *Dalekie kwatery* (Lyrikedition, Monachium 2000, 2008)

Тімо Берґер (1974, Німеччина) – вивчав літературознавство та латиноамериканістику у Тюбінґені, Буенос-Айресі та Берліні. З 1999 року живе й працює у Берліні. Оповідання, лірику та есе публікує німецькою та іспанською мовами, також працює як перекладач і журналіст. Організував міжнародний фестиваль *Salida al Mar* (Саліда аль Мар) у Буенос-Айресі, *Latinale* (Латінале) (мобільний поетичний фестиваль), упорядкував інтернет-антологію *Latin. Log*. Був стипендіатом Фонду Польсько-німецької співпраці, Фонду культури німецьких земель у Віллі Деціуша (2006). Почесний член арґентинського видавництва *Eloísa Cartonera* (Елоіза Картонера), а з 2009 року видавець латиноамериканської колекції видавництва *Lux.Book*.

Бібліографія
- *Кафка і я* (SuKuLTuR, Берлін 2006)
- *A cien cuadras del centro* (Vox, Bahía-Бланка 2006)
- *Далекі помешкання* (Lyrikedition, Мюнхен 2000)

Jan Böttcher **Jan Böttcher** **Ян Бьоттхер**

DIE UKRAINE BEBT UND FOSTER WALLACE HAT SICH UMGEBRACHT NA UKRAINIE WRZE, A FOSTER WALLACE POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO УКРАЇНА БУНТУЄ, А ФОСТЕР ВОЛЛЕС СКОЇВ САМОГУБСТВО

Der Marktplatz von Lwiw war voller Fahnen gewesen, allesamt an hochgereckten Angeln aufgehängt. Die orangenen für Juschtschenko (Nationale Selbstverteidigung), die kommunistischen roten Fahnen, die Fahnen der Partei der Regionen (blau?, ich weiß die Farbe nicht mehr), die weißen mit dem roten Herz für Tymoschenko.
Zu laute Reden verdrängten die Luft, dann tanzte eine Mädchenband zu Beats. Es dauerte, bis wir begriffen hatten: Das waren zwei Veranstaltungen, die auf engstem Raum gegeneinander vorgingen. Wort gegen Musik – man schnitt sich gegenseitig die Ohren ab. Ich hörte Sprechchöre und Pfiffe, in der Menge diskutierende, sich mitunter anblaffende alte Männer und Frauen, hinter uns auch Handgreiflichkeiten. *On the other side of the world* hängt er schon am Strick, einer, der mir mit ein paar Geschichten das Fürchten gelehrt hat vor den Möglichkeiten der Fiktion, weil er beides auf einmal gemacht hat in allem, was ich las: die Würde des Menschen erhalten, gerade indem er uns in all unseren Perversionen darstellte. Er saß dazu am westlichen Rand eines Landes, das alle Kämpfe ausgefochten hatte, das sich seit Jahrzehnten nur noch exportierte, weil es an ein Kriegsrecht glaubte.
Das gerade von *change* und *hope* und *yes we can* träumte. Er persönlich konnte nicht mehr, Depressionen (von denen ich nichts ahnte). Das vorletzte, was ich von David Foster Wallace las, war die atemberaubende Geschichte von dem primitiven Regenwalddorf, in dem ein Kind geboren wird, das übermenschliche Fähigkeiten in der Analyse seiner Mitmenschen und deren Lebensbedingungen besitzt. Das Kind bekommt in der Mitte des Dorfes eine Plattform und wird als Orakel befragt, es wird verehrt, mythisiert und bald auch verachtet, es fördert mit jedem Tag die Zivilisierung des Dorfes, bis es von einem Schamanen des verängstigten Nachbardorfes aufgesucht wird, danach versenkt es sich, versinkt in Apathie, schließlich trotzt das weise Kind aber dem Bannspruch, reift heran, es orakelt weiter, antwortet auf Fragen mit Gegenfragen, es verhöhnt die Götter, es redet immer weniger konkret und nur noch im Redeschwall, bis „[…] die Dorfbewohner in ihre Hütten zurücktaumelten, sich embryonal verkrümmt auf die Seite legten, die Augen verdrehten und hohes Fieber bekamen […].“
Das Chaos aber bricht aus, als das orakelnde Wunderkind sich selbst in Frage stellt. Es sagt, dass den Menschen, die nicht wüssten, was sie bräuchten, nicht geholfen werden könne. Einen Mann aus der Kriegerkaste treibt das Orakel so weit in den Wahnsinn, dass er im Urwald stirbt.
Der Junge wird nun gemieden, offen angefeindet, er wird vom Dorf gehasst. Ihn auszuhungern gelingt nicht, er ist zu schlau. Nun hilft nur noch, das Dorf anzuzünden, den Jungen zu opfern im Brand. Die Menschen tun es, ziehen fort. Ich war so fasziniert von dieser Menschheitsgeschichte, dass ich, von der Lektüre aufsehend, das Café nicht mehr erkannte. Auf die Straße taumelnd, sah ich nur hinauf in die Bäume. Ich war in Berlin, es war der Stadtteil, in dem ich wohnte, ich war nicht sehr weit weg von zu Hause. Am nächsten Tag schnappte ich mir einen anderen Band von David Foster Wallace und las eine andere Story, die ichbald unter Schmerzen abbrach, es ging darin um einen dicken Mann aus Indiana, der die tollsten Skulpturen zu scheißen imstande ist. Es hätte mich sicher nicht ge-schockt, wäre der Autor nicht so hypergenau in seiner Wahrnehmung gewesen, in der Beschreibung der Exkremente und ebenso darin, wie sie noch einmal von der Journaille zur Kunst hochgeschrieben wurden. Alles wird immer hochgeschrieben und runtergemacht, hoch und runter im ewigen Fahrstuhl, nur wir standen eigentlich still, auf dem Marktplatz einer Stadt, die allerdings voller Scheiße war, in der ja bekanntlich meine Landsleute wüteten (wie überall auf diesem großen Kontinent, man kann sich drehen wie man will), Intelligenz und Kultur mussten verschwinden, Juden und Kommunisten starben, eine sechsstellige Zahl an Menschen. Eben hier galt nun: eigenständig WERDEN, endlich wirklich UNABHÄNGIG (dieses Scheißwort aus Zeiten, da die Erde eine Scheibe war) – unabhängig auch von einem Russland, das dem Staatsoberhaupt Dioxin ins Essen gemischt und dem Land vor Zweijahresfrist ausgerechnet das Gas abgedreht hatte. Noch so eine Tollheit der Geschichte. Den Kopf im Gasherd, wie Inge Müller, also wie Ophelia in der *Hamletmaschine*: Nur das hätte heute noch besser gepasst, das hätte noch direkter gesessen als ein Tod am Seil. Aber auch so bebt die Ukraine und Foster Wallace hat sich umgebracht. Alles fließt vor meinen Augen ineinander. Kurt Vonnegut schrieb in seinem großen Dresdner Bombenkriegsroman „so it goes“, wann immer jemand zu Tode kam. Und ich spüre heute so deutlich, was er gemeint hat: Das geht so nicht, das geht so nicht. Aber was war eigentlich passiert, vor dem Beben, sagen wir einmal, heute Nachmittag?
Wir hatten gut erzogen und gut gelaunt dagesessen, ich wusste (noch/wieder einmal) nichts vom Tod, ich war vollkommen wehrlos gegen die Fragen eines ukrainischen Moderators nach den Institutionen, die unser Dasein so selbstverständlich unterstützen. Später erst las ich, dass er eine Untergrundzeitschrift herausgibt, später erst erkannte ich, dass er Leben mit Lautstärke verwechselte, dass er Action provozieren wollte und ich den Regler aufdrehen hätte müssen, weil er jetzt unbedingt ein ICH brauchte, eines, das Autor und Erzähler in einem war, dass hier überhaupt das direkte, straßenpflastrige, eingreifende ICH gefordert war, das persönliche, live erlebbare, mündliche ganz eigene Ding ICH bestimmte die ganze Stadt, die Stadt Львів oder Lwiw oder Lemberg war keine Fiktion, sie war das Leben, in welchem jeder seine Stimme erhob. Die junge Generation wollte hören, nicht lesen. Sie war gierig nach der Wahrheit, sie verachtete erfundene Geschichten, sie verachtete die Reden auf dem Marktplatz, hatte wohl genug davon. Und da kam nun der Deutsche daher und las eine Fiktion! Man konnte es nicht falscher machen. So stelle ich es mir vor, in der Nacht des 15. September 2008, natürlich um mich zu schützen, mich abzusetzen. In Lwiw sah ich schon einmal ein Bild für diesen Schutzmechanismus: Ein Auto parkte rückwärts ein, indem es den Kontakt mit der Stoßstange des anderen suchte. Erst als es rumste, wechselte das Auto den Gang, fuhr vorwärts. Ich dachte in dem Moment, mir sei schon diese Vorsichtselektronik eingebaut, vielleicht galt sie sogar für das Schreiben: Fuhr ich zu nah an mein ICH heran, piepte es. Man konnte dann immer noch den Unfall mit ihm suchen, aber man war davor gewarnt worden. Und jetzt sitze ICH in Krakau, seit dem Tod Regen ohne Unterbrechung, und erinnere mich an einen weiteren Lesemoment (vielleicht sogar den ersten), als ich zwischen Lachen und Weinen nicht mehr unterscheiden konnte, als David Foster Wallace den slicken, jungen Geschäftsmann, der besessen ist vom Kick und keine Kicks mehr findet, in einer Horde Punks aufgehen lässt, und der Neoliberale kauft ihnen allen Tickets für Keith Jarrett, dessen Konzert sie sich völlig zugedröhnt ansehen und anhören. Die Erinnerung läuft auf einen Satz hinaus, der mir jetzt noch alles dreht und zusammenquetscht: Für nen Afro spielt er gar nicht so schlecht, wirklich, irgendwie so lautet es, während sie dem Musiker in seinen Improvisationen am Klavier folgen und nicht mehr folgen können, weil sie sich in der Konzertpause nochmal was eingeschmissen haben. Was war das, ist das, wird das für ein Jammer bleiben, und was für eine Klarheit: Das Desinteresse an der Welt, beschrieben als von der Droge heraufbeschworener, dadurch vollkommen purer Rassismus. *You can't do that, you can't be serious. Yes we can.* Und der unablässige Gedanke: Sind die Dröhnung und die Degeneration das eigentliche Wesen der westlichen Welt, oder sind sie nur die Ausgeburt (das Monster im Reagenzglas), lässt sich leben in Freiheit oder lässt sich nur sterben zwischen all den Verfügbarkeiten, die zusammen die volle Verfügbarkeit (immer auch die eigene) sind. Nur Ausnahmemenschen, denke ich, können jedenfalls so verdichten, wie er es in seinem Buchtitel zu einer einwöchigen Karibikkreuzfahrt getan hat: *A supposed fun thing I'll never do again*. Mehr braucht es nicht. Vielleicht ist der Titel gar nicht von ihm, das wäre besser, dann gäbe es noch einen Ausnahmemenschen, denn ihn gibt es nun nicht mehr. Foster Wallace hat sich umgebracht, und die Ukraine bebt. Zurückgekehrt zu den beiden Gedanken, die am Anfang standen, zugleich als hoffentlich letztes nächtliches Bild am Schreibtisch (selbst unter den bekannten Narkotika erlebt, derweil es regnet und regnet):
Zwei Leinwände / synchron geschaltet / einander
auslöschend / und niemand / nicht der wilde Osten
und / nicht der wilde Westen / wird dich trösten.

Na rynku we Lwowie pełno było flag, wszystkie zawieszone na wysuniętych wędkach. Pomarańczowe za Juszczenką (Ludowa Samoobrona), komunistyczne czerwone flagi za Partią Regionów (niebieskie? Już nie pamiętam koloru), białe z czerwonym sercem za Tymoszenko. Zbyt głośne przemówienia zapierały dech, potem do muzyki beatowej tańczył zespół dziewcząt. Trwało trochę, zanim się zorientowaliśmy: były to dwie imprezy konkurujące ze sobą na bardzo ograniczonej przestrzeni. Słowo kontra muzyka – po obu stronach pękały uszy. Słyszałem skandujące chóry i gwizdy, dyskutujących w tłumie, wrzeszczących na siebie starych męż-

czyzn i stare kobiety; za naszymi plecami dochodziło do rękoczynów. W *On the other side of the world* już wisi na stryczku – on, który przy pomocy kilku historii nauczył mnie bać się możliwości, jakie daje fikcja, bo we wszystkim, co czytałem, robił na raz dwie rzeczy: zachowywał godność człowieka, przedstawiając nas jednocześnie ze wszystkimi naszymi perwersjami. Do tego znajdował się na zachodnim krańcu kraju, który prowadził wszystkie możliwe walki, który już od dziesiątków lat uważał się za pokazowy, bo wierzył w prawo do prowadzenia wojen. Który właśnie marzył o *change* i *hope* i *yes we can*.
On osobiście nie mógł już tego znieść – depresje (o których nie miałem pojęcia). Przedostatnią rzeczą Davida Fostera Wallace'a, jaką czytałem, była zapierająca dech historia o prymitywnej wiosce w dżungli tropikalnej, w której rodzi się dziecko posiadające nadludzkie zdolności analizowania swoich bliźnich i warunków ich życia. W środku wsi dziecko otrzymuje swój piedestał, ludzie zadają mu pytania jak wyroczni, otaczają czcią, mitologizują, a wkrótce potem także nim gardzą; z każdym dniem coraz bardziej cywilizuje wieś, aż odwiedza je szaman z wystraszonej sąsiedniej wioski, po czym dzieciak zamyka się w sobie, popada w apatię, ale w końcu mądre dziecko stawia czoło zaklęciu, dojrzewa, dalej prorokuje, odpowiada pytaniami na pytania, szydzi z bogów, mówi coraz mniej konkretnie i tylko słowotokiem, aż „mieszkańcy wsi powlekli się do swoich chat, położyli na boku zwinięci jak embrion, wywrócili oczy i dostali wysokiej gorączki [...]." Ale chaos wybucha wtedy, kiedy cudowne dziecko-wyrocznia zaczyna wątpić samo w siebie. Mówi, że ludziom, którzy nie wiedzą, czego potrzebują, nie można pomóc. Mężczyznę z kasty wojowników wyrocznia doprowadza do takiego obłędu, że ten umiera w dżungli. Ludzie zaczynają chłopca unikać, otwarcie traktować jak wroga, wioska go nienawidzi. Nie udaje się go zamorzyć głodem, jest zbyt przebiegły. Teraz pomoże tylko podpalenie wsi, ofiarowanie chłopca w pożarze. Ludzie to robią, wynoszą się.
Byłem tak zafascynowany tą ludzką historią, że zerkając znad lektury, nie poznałem kawiarni. Zataczając się, wyszedłem na ulicę, patrzyłem tylko do góry na drzewa. Byłem w Berlinie, w dzielnicy, w której mieszkałem, byłem niedaleko domu. Następnego dnia sięgnąłem po inną książkę Davida Fostera Wallace'a i zacząłem czytać inną historię, ale wkrótce przerwałem ją z powodu boleści, w książce chodziło o grubasa ze stanu Indiana, który potrafi srać w zupełnie fantastyczne rzeźby. Z pewnością by mnie to nie zaszokowało, gdyby autor nie był tak superdokładny w swojej percepcji, w opisie ekskrementów, a także w opisie, jak w dodatku ta sprawa była przez pismaków kreowana na sztukę. Wszystko jest wynoszone na piedestał i sprowadzane do parteru, w górę i w dół w wiecznej windzie, właściwie tylko my staliśmy cicho na rynku miasta, które zresztą było pełne gówna, miasta, w którym, jak wiadomo, szaleli moi rodacy (jak wszędzie na tym wielkim kontynencie, gdzie by się nie obrócić), inteligencja i kultura musiały zniknąć, Żydzi i komuniści umierali, sześciocyfrowa liczba ludzi. To właśnie tu trzeba było STAĆ SIĘ samodzielnym, wreszcie naprawdę NIEZALEŻNYM (to cholerne słowo z czasów, gdy Ziemia była płaska) – niezależnym także od takiej Rosji, która głowie państwa dodaje do jedzenia dioksyny i dwa lata temu właśnie zakręciła krajowi kurek z gazem. Jeszcze jeden wybryk historii. Głowa w kuchence gazowej, jak Inga Müller, czyli jak Ofelia w *HamletMaszynie*. Tylko to by dzisiaj jeszcze lepiej pasowało, to by współgrało jeszcze bardziej bezpośrednio niż śmierć na stryczku. Ale i tak na Ukrainie wrze, a Foster Wallace popełnił samobójstwo. Wszystko rozmywa mi się przed oczami. Kurt Vonnegut w swojej wielkiej powieści o bombardowaniu Drezna pisał zawsze, kiedy ktoś zginął: „so it goes". A ja dziś bardzo wyraźnie czuję, co miał na myśli. Tak być nie może, tak być nie może. Ale co się właściwie działo przed tym wrzeniem, powiedzmy, dziś po południu? Siedzieliśmy, dobrze wychowani, w dobrych humorach, nic nie wiedziałem (jeszcze/znowu) o śmierci, byłem całkiem bezbronny wobec pytań ukraińskiego moderatora o instytucje, które z taką oczywistością pomagają nam w życiu. Dopiero potem przeczytałem, że wydaje podziemne czasopismo, dopiero potem zorientowałem się, że myli życie z robieniem szumu, że chciał sprowokować action, a ja miałem podkręcić regulator, bo on koniecznie potrzebował EGO, takiego JA, w którym autor i narrator stanowiliby jedność, że w ogóle było tu pożądane bezpośrednie, brukowe, energiczne JA, osobiste, przeżywane live, ustne, całkowicie własne JA stanowiło o całym mieście, miasto Львів, Lwów czy Lemberg nie było fikcją, było życiem, w którym każdy zabierał głos. Młode pokolenie chciało słuchać, a nie czytać. Było żądne prawdy, gardziło zmyślonymi historiami, gardziło przemówieniami na rynku, chyba miało ich dość. A tu przyjechał Niemiec stamtąd i czytał fikcję! Nie można było popełnić większego błędu. Tak to sobie wyobrażam w nocy 15 września 2008 roku, oczywiście aby się bronić, aby uciec. We Lwowie już kiedyś widziałem ten mechanizm obronny: Auto parkowało tyłem, szukając kontaktu ze zderzakiem auta parkującego za nim. Dopiero jak nastąpiło uderzenie, zmieniło bieg i podjechało do przodu. Pomyślałem w tym momencie, że ja mam już wbudowane takie elektroniczne czujniki, może nawet przydają się one przy pisaniu: odzywały się, gdy za bardzo zbliżałem się do swojego JA. Wprawdzie zawsze jeszcze można było spowodować wypadek, ale zostało się przed nim ostrzeżonym. A teraz JA siedzę sobie w Krakowie, od czasu śmierci bez przerwy pada deszcz, i wspominam kolejne chwile lektury (może nawet te pierwsze), kiedy już nie potrafiłem odróżnić, co jest śmiechem a co płaczem, kiedy David Foster Wallace pozwala przyłączyć się do bandy punków oślizłemu, młodemu biznesmenowi, opętanemu szukaniem mocnych wrażeń i już nie znajdującemu podniet, a neoliberał kupuje im wszystkim bilety na koncert Keitha Jarretta, który oglądają i słuchają kompletnie naćpani. Wspomnienie sprowadza się do jednego zdania, które sprawia, że jeszcze teraz wszystko mi się kręci i dręczy: Jak na Afro, wcale nie gra tak źle, naprawdę, tak to mniej więcej brzmi, podczas gdy śledzą improwizacje muzyka na fortepianie i już nie potrafią ich śledzić, bo podczas przerwy w koncercie coś sobie zażyli. Co to była, co to jest i będzie za szkoda, i jaka jasność: brak zainteresowania światem, opisany jako stan wywołany przez narkotyk i dzięki temu najczystszy rasizm. *You can't do that, you can't be serious. Yes we can.* I bezustanna myśl: czy rausz i degeneracja są naprawdę istotą świata zachodniego, czy tylko wytworem (monstrum w probówce), czy da się żyć w wolności, czy da się tylko umrzeć między wszystkimi tymi dostępnymi możliwościami, które razem wzięte są jedną wielką dostępną możliwością (zawsze także tą własną). W każdym razie, jak myślę, tylko wyjątkowi ludzie potrafią się wyrażać tak zwięźle, jak w tytule książki o tygodniowym rejsie na Karaiby zrobił to właśnie on: *A supposed fun thing I'll never do again.*
Więcej nie trzeba. Może tytuł wcale nie pochodzi od niego, tak byłoby lepiej, wtedy istniałby jeszcze jeden wyjątkowy człowiek, bo jego przecież już nie ma. Foster Wallace popełnił samobójstwo, a na Ukrainie wrze. Wracając do obu myśli wyrażonych na początku, a jednocześnie, miejmy nadzieję, do ostatniej nocnej wizji przy biurku (nawet przeżywanej pod wpływem znanych narkotyków, tymczasem pada i pada):
Dwa ekrany / włączone synchronicznie / wzajemnie
się wygaszające / i nikt / ani dziki Wschód / ani dziki
Zachód / nie może cię pocieszyć.

[Przekład: Elżbieta Michałowska]

Львівська площа Ринок була переповнена високо розвішаними на розсувних вудилищах прапорами. Помаранчевими від Ющенка (національний самозахист), червоними комуністичними, від Партії регіонів (сині? я вже не пригадую кольору), білими з червоним серцем від Тимошенко. Занадто голосні промови стрясали повітрям, а потім дівоча група танцювала під швидкі ритми. Так тривало досить довго, аж поки ми не зрозуміли: це були два шоу, які одночасно змагалися між собою на дуже вузькому просторі. Слово проти музики – одні намагалися заглушити інших. Я чув мегафон і свистіння, дискусії в натовпі, зістарілі чоловіки й жінки викрикували одне до одного, а ззаду, за нами, дехто вже зчепився у бійці. *On the other side of the world*, на іншому кінці світу він уже висить на шнурку, той, хто кількома історіями навчив нас страху перед можливостями вигадки, бо в усьому, що я читав із його текстів, він поєднував дві речі: примудрявся зберегти людську гідність – і це при тому чи навіть завдяки тому, що зображав нас зі всіма нашими збоченнями. До того ж він отаборився на заході країни, яка вже пережила всі свої війни, і яка багато десятиліть займається лише експортом самої себе, бо тут вірять у дієздатність військових законів. Країни, яка саме мріє про *change* (зміни) і *hope* (надію), і *yes we can* (так, ми можемо). Сам він більше не міг – депресії (про які я нічого не знав). Передостаннім, що я читав із текстів Девіда Фостера Воллеса, була захоплива історія про первісне село у тропіках, де народжується дитина з надлюдськими здібностями, вона вміє аналізувати людей і їхній спосіб життя. Хлопцеві ставлять посеред села платформу і слухають його, як оракула, його обожнюють, міфологізують, а незабаром і зневажають; він із кожним днем робить односельців дедалі цивілізованішими, аж поки його не знаходить переляканий шаман із сусіднього поселення. Потім хлопець замикається у собі, поринає в апатію, але врешті долає закляття, і до нього повертаються його здібності, він продовжує бути оракулом, відповідати на запитання запитаннями, він зневажає богів, його промови стають усе менш конкретними і поступово перетворюються на беззмістовний набір слів. І так триває, аж поки „мешканці села не позалазили назад у свої хатини і не полягали на бік у позах ембріонів, не закотили очі, і в них не піднялася температура (...)". Але справжній хаос зчиняється аж тоді, коли вундеркінд-оракул ставить під сумнів самого себе. Він каже, що людям, які не знають, що їм потрібно, неможливо допомогти. Оракул доводить одного з воїнів до такого ступеня божевілля, що той помирає у лісі. Хлопця спершу уникають, а потім починають ставитися до нього відверто вороже, багато хто в селі ненавидить його. Заморити його голодом не вдається, для цього він занадто кмітливий. Залишається тільки одне – спалити село і принести хлопця у жертву. Люди так і роблять, а потім ідуть геть і оселяються в іншому місці.

Я був такий захоплений цією історією людства, що, дочитавши, не відразу розпізнав, у якій саме кав'ярні перебуваю. Я поплентався вулицею, роздивляючись лише листя дерев угорі. Я був у Берліні, у дільниці, де живу, я був недалеко від дому. Наступного дня я взявся за інший том Девіда Фостера Воллеса і прочитав іще одну історію. Але незабаром із болем відкинув її. У ній розповідалося про товстуна з Індіани, який уміє висирати скульптури неймовірної краси. Мене би це не здивувало, якби не така надзвичайна точність сприйняття автора, детальність описів екскрементів і того, як критики вихваляють їх і визнають предметами мистецтва. Усе завжди вихваляється, а потім осміюється, догори і вниз у вічному ліфті, тільки ми стояли спокійно на ринковій площі міста, у якому, до речі, було повно гівна; міста, в якому колись давно лютували мої земляки (як і всюди на нашому велетенському континенті, як не крутися), винищували культуру й освіту, євреїв та комуністів, шестизначне число жертв. Тут важливим було одне: СТАТИ нарешті самостійними, по-справжньому НЕЗАЛЕЖНИМИ (це ідіотське слово з часів, коли Земля була ще пласкою) – незалежними від Росії, яка підмішує голові держави діоксин у їжу і за два роки до завершення контракту перекриває країні газ. Божевілля історії. Голова у газовій духовці, як в Інґе Мюллер, тобто Офелії у *Hamletmaschine* („Гамлетівській машині"): тільки щось таке пасувало би сьогодні більше, було би ще доречніше, ніж смерть на шнурку. Але й без цього Україна бунтує, а Фостер Воллес скоїв самогубство. Усе пливе перед моїми очима.
Курт Воннеґут писав у своєму великому дрезденському романі про бомбардування „*so it goes*", „так сталося" щоразу, коли хтось помирав. І сьогодні я дуже чітко усвідомлюю, щó саме він мав на увазі: Так не можна, так не можна. Але спробуймо замислитися на мить, що трапилося перед цими заворушеннями, наприклад, сьогодні по обіді? Ми, добре виховані і в чудовому настрої сиділи собі тут, я не знав (ще/у черговий раз) нічого про смерть, я був цілковито безборонний проти питань українського модератора про те, які саме інституції так охоче спонсорують наше існування.
Лише згодом я прочитав, що він видає підпільний часопис, лише згодом я дізнався, що він плутає життя

з гучністю, що він хотів спровокувати дію, і я повинен був покрутити перемикач і збільшити звук, бо йому в той момент необхідне було якесь Я, автор і оповідач в одній особі, що тут завжди вимагається активне втручання твого Я, особисте, живе і безпосереднє, кинуте на брук, дослівно особисто твоє і тільки твоє Я визначає життя у цілому місті, місті Львів, чи то *Lwiw* або *Lemberg* (Лемберґ). Це не була вигадка, це було життя, життя, у якому кожен намагався подати голос. Молодше покоління хотіло слухати, а не читати. Воно було спрагле правди, йому не потрібні вигадані історії, воно зневажає промови на площі Ринок, йому вже досить цього всього.
А тут приїхав якийсь німець і читає вигадану історію! Більшої помилки припуститися я просто не міг. Так я уявляю це собі, вночі 15 вересня 2008. Звісно, моя мета – самозахист, відмежування від усього. У Львові я одного разу бачив картинку такого механізму самозахисту: машина паркувалася задом і намагалася наштовхнутися на передній захист іншої. А коли вереснуло, і з іншої машини посигналили, то водій відразу ж змінив напрямок руху і рушив уперед.
І я подумав собі в той момент, що ця захисна електроніка вмонтована і в мені, можливо, це стосується й писання: вартує проїхати занадто близько від мого Я, і пищить попереджувальний сигнал. На ту мить можна було й далі намагатися створити аварійну ситуацію, але попередження вже пролунало. І ось тепер Я сиджу у Кракові, а з дня смерті не припиняється дощ.
І пригадую собі ще один епізод із прочита-ного тоді тексту (можливо, це навіть було на самому початку), коли я перестав відрізняти сміх від плачу, коли Девід Фостер Воллес описує екстравагантного юного бізнесмена, який любить гострі відчуття, але вже не може знайти для себе нічого нового, і тоді він опиняється серед панків і купує їм квитки на концерт Кейта Джарретта, і вони дивляться й слухають увесь концерт, цілковито шоковані. Мої спогади пов'язані з одним реченням, яке ще й зараз перекручує і сплющує все у моїй свідомості: для афроамериканця він нефігово грає, – якось так чи схоже прозвучало це у момент, коли вони слухали фортепіанні імпровізації, а потім уже нічого не чули, бо під час перерви обдовбалися ще більше. Що це було, що є і що доброго може з цього вийти, з цієї жахливої ясності: повна втрата цікавості до світу, описана ніби у стані наркотичного сп'яніння, і звідси – абсолютний расизм.
You can't do that, you can't be serious. Yes we can. (Ви не можете цього зробити, ви жартуєте. Так, ми можемо).
І неминуча думка: невже обдовбаність і дегенеративність і становлять справжню сутність західного світу, чи це лише випадкові виродки (як потвори, законсервовані у пробірці), чи поміж усіма цими завжди готовими до послуг, які разом становлять перманентну готовність до послуг (завжди і твою власну) можливе вільне існування, чи лише смерть. Тільки виняткові люди, так я собі думаю, можуть ущільнювати все так, як зробив це він у назві своєї книги, ущільнивши все до тижневої подорожі кораблем по Карибському морі: *A supposed fun thing I'll never do again* (Імовірна прикольна штука, якої я ніколи не зроблю знову).
Більше нічого не потрібно. Можливо, цю назву придумав і не він, це було б навіть краще, бо це означало б, що існує ще одна виняткова людина, адже його більше немає. Фостер Воллес скоїв самогубство, а Україна бунтує. Повертаючись до обох думок, які були на початку, і разом із тим сподіваючись, що це вже остання нічна картинка на письмовому столі (самостійно побачена і пережита під впливом відомих наркотиків, у момент, коли дощ усе йде і йде):
Два екрани/ у синхронному режимі/ вимикають один одного/ і ніхто/ ані дикий Схід/ ані дикий Захід/ не зможе втішити тебе

[Переклад: Наталка Сняданко]

Jan Böttcher (1973, Deutschland) lebt als freier Autor, Sänger und Musiker in Berlin. Er studierte deutsche Literatur und Skandinavistik in Berlin und Stockholm und war Sänger und Texter der Berliner Band Herr Nilsson. Seine erste Soloplatte *Vom anderen Ende des Flures* (KOOK) erschien 2008. Er ist Mitgründer des Musik- und Veranstaltungslabels KOOKberlin. Böttcher bekam u.a. das Stipendium des Deutschen Literaturfonds e.V. (2006) sowie das Stipendium des Homines Urbani Programms (2008). Im Jahre 2007 wurde er mit dem Ernst-Willner Preis beim Ingeborg-Bachmann-Wettbewerb in Klagenfurt ausgezeichnet.

Bibliographie
- *Lina oder: Das kalte Moor* (kookbooks, Idstein 2003)
- *Der Krepierer* (kookbooks, Idstein 2004)
- *Geld oder Leben* (Rowohlt Berlin, Berlin 2006)
- *Nachglühen* (Rowohlt Berlin, Berlin 2008)

Jan Böttcher (1973, Niemcy) - żyje i pracuje jako pisarz, piosenkarz i muzyk w Berlinie. Studiował literaturę niemiecką i skandynawistykę w Berlinie i Sztokholmie. Był też wokalistą oraz tekściarzem berlińskiego zespołu Herr Nilsson. Swoją pierwszą płytę solową *Vom anderen Ende des Flures* (KOOK) wydał w 2008 roku. Böttcher jest współzałożycielem wytwórni fonograficznej KOOKberlin, organizującej również eventy. Ponadto otrzymywał wielokrotnie stypendia m.in. stypendium Fundacji Literatury Niemieckiej (2006) oraz Stypendium programu Homines Urbani (2008). W roku 2007 został uhonorowany nagrodą Ernst-Willner w konkursie Ingeborg-Bachmann w Klagenfurcie.

Bibliografia
- *Lina albo: Zimne mokradło* (kookbooks, Idstein 2003)
- *Truposz* (kookbooks, Idstein 2004)
- *Pieniądze albo życie* (Rowohlt Berlin, Berlin 2006)
- *Dogasanie* (Rowohlt Berlin, Berlin 2008)

Ян Бьоттхер (1973, Німеччина) – живе у Берліні, письменник, естрадн співак і музикант. Вивчав німецьку літературу і скандинавістику у Берліні й Стокгольмі. Був також вокалістом та автором текстів берлінської групи *Herr Nilsson* (пан Нільсон). Свій перший компакт-диск *Vom anderen Ende des Flures* (По інший бік коридору) (KOOK) видав у 2008-му році. Бьоттхер є співзасно-вником фонографічного товариства, яке організовує зокрема KOOKberlin. Отримав численні стипендії, зокрема стипендію Фонду німецької літератури (2006), а також Гомінес Урбані (2008). У 2007-му році його нагороджено премією ім. Ернста Віллнера у конкурсі ім. Інґеборг Бахманн у Клаґенфурті.

Бібліографія
- *Ліна або: холодне болото* (kookbooks, Ідштайн 2003)
- *Здихач* (kookbooks, Ідштайн 2004)
- *Гаманець або життя* (Rowohlt Berlin, Берлін 2006)
- *Догорання* (Rowohlt Berlin, Берлін 2008)

© Elżbieta Lempp

© Dorota Dziembowska-Gawryszewska

Катерина Хінкулова **Kateryna Chinkulova** **Kateryna Chinkułowa**

СМЕРТЬ У НЬЮ-ЙОРКУ
TOD IN NEW YORK
ŚMIERĆ W NOWYM JORKU

Of all the gin joints
In all the towns
In all the world
She walks into mine.[1]

Ігор ходить цим маршрутом щодня – 49 кварталів по 5-тій авеню, з 9-тої вулиці до 58-мої.

Насправді, кварталів навіть більше – чотири до 5-тої авеню і потім ще чотири від 5-тої авеню до Коламбус Серкус. Отже, в цілому 57 кварталів, але йому подобається число 49, і подобається, що його маршрут – прямий, як стріла і пролягає однією з найвідоміших вулиць світу. Він дивиться на ковзанку при Центрі Рокфеллера, на вітрини ювелірного магазину „Тіффані" й універмагу „Берґдоф Ґудман" і він знає, що він в Нью-Йорку.

На Коламбус Серкус знаходиться Колумбійський університет, до якого Ігорю не вдалося вступити. Але він сюди приходить не лише дивитися на щасливих студентів, які зуміли пройти вступні іспити, а деякі — навіть дістати ґранти і стипендії. Лише для цього він сюди приходив на самому початку жовтня. А тепер вже кінець листопада і передріздвяна гарячка комерції крутить це і без того наадреналінине місто у пекельній круговерті.

Ігор працює у кав'ярні „Старбакс", яких по Нью-Йорку розкидано тисячі, і набагато зручніше було би працювати поруч із захезаною квартирою в Іст-віледж, але він не міг позбавити себе задоволення надсилати сповнені ненависті флюїди щасливим студентам, а також задоволення ходити прямою стрілою 5-тої авеню. Тому влаштувався саме до цієї філії Газпрома світу кави – неподалік Центрального парку. Саме до цього „Старбакса", на Ігорове переконання, заходять найкрасивіші жінки Нью-Йорка – вузькі, загорнуті у кашмір істоти, часто в темних окулярах. Вони замовляють латте зі знежиреним молоком й ігнорують Ігоря з підкресленою агресією.

Ігор працює з 6 ранку до 12-тої ночі. Через те, що це протизаконно, він зареєстрований на роботі як три окремі людини і платить своєму менеджеру 20% від зарплатні у якості хабаря за ризик, якому той себе піддає, та за здатність вирішувати бюрократичні проблеми. Ігорове прізвище Шалтай. У „Старбаксі" окрім власного імені, він користується ще творчими псевдонімами Ор Алт і Гоша Шал. Їх придумав менеджер, Джеремі.

Джеремі особливо пишається „Гошою Шалом". Здатність Джеремі переконувати вище керівництво кавової компанії, що тут справді працює троє різних людей, є ключовою до успіху операції. Коли вкрай рідко хтось приходить перевіряти наявність працівників та умови їхньої роботи, Джеремі удає, ніби Ігор Шалтай знову хворий, і презентує тільки Ора Алта та (через кілька хвилин і в перуці з пейсами) Гошу Шала.

Про останнього Джеремі розповідає, що він — буцімто позбавлений батьківського благословення син рабина, вигнаний з дому після того, як однієї суботи пішов на роботу, порушивши вікові традиції. Гоша, крім того, згідно з вибудованою Джеремі легендою, глухонімий, і набраний на роботою за квотою рівних можливостей. Інспектори спостерігають як Гоша сумно трусить пейсами, мукає на знак згоди і читає по губах їхні співчутливі дурниці, які вони намагаються особливо чітко і голосно вимовляти. Коли інспектори ідуть, клоунада з пейсами є джерелом жартів для Джеремі упродовж наступних двох днів, а потім все знову повертається до рутини.

Попри роботу в три зміни, а також те, що він не користується жодним транспортом, громадським чи приватним, практично нічого не витрачає на харчі

(Ігор їсть тільки остогидлі старбаксівські булочки), сигарети (він кинув ще в школі) та інші ймовірні для 19-річної людини потреби, Ігореві все одно бракує грошей на його захезану квартиру. Точніше, на захезану частину захезаної кімнати у захезаній квартирі в Іст-віледж.

Ігор живе у борг, і цей борг повільно, але неухильно зростає. Ігор дав собі обіцянку, що коли борг доросте до якоїсь епохальної позначки – наприклад, 10 тисяч доларів, він покінчить із собою. Стрибне з Бруклінського мосту в річку, наприклад – Ігор не вміє плавати, і з похмурим оптимізмом розглядає нагоду зробити щось, що не понесе за собою матеріальних витрат.

Гроші, привезені влітку з України, – а їх було зовсім епохально багато – 20 тисяч доларів – швидко зникли. Половину з цих двадцяти дала бабця, несподівано діставши їх з-під провербіального матрацу. Родина була вражена, що сільська бабця могла тримати вдома таку суму і спробувала переконати її не розставатися із заощадженнями всього життя, на що бабця покрутила пальцем біля скроні і сказала: „Ви що, зовсім? Я й не розстаюся! Беріть, поки дають, і не морочіть мені голови!" Другу половину дали спільно мама і тітка.

Грошей мало вистачити на перші кілька місяців, але розрахунки розійшлися з реальністю. Ігореві не лише не дали стипендії, а навіть не прийняли на навчання, але він вирішив не повертатися додому. Гроші розійшлися – на бухло, наркотики та інші розваги для натовпу маловідомих людей, якими Ігор обріс після приїзду до Нью-Йорка. Зі зникненням грошей, зникли і люди, з їхніми потребами у бухлі і наркотиках. За ті кілька літніх тижнів Ігор встиг спробувати тільки маріхуану і кілька типів веселих таблеток. Пригода з богемою закінчилася настільки ж блискавично, наскільки й почалася: розвинути реальної залежності він не встиг – ні від наркотиків, ані від богеми. Його і далі інколи запрошують на концерти альтернативної музики в Квінс чи напівпідпільні мистецькі галереї в Бруклін, але в нього немає грошей на сабвей, та і бажання їхати туди немає.

Єдина розкіш, яка лишилася в Ігоря, – це привезена з України Блекбері, в яку він вставив сім-карту ЕтйЕнТі. Абонентська плата, так само як і квартплата, є священною коровою щомісячних витрат Ігоря. На Блекбері дзвонить мама і розпитує, як іде навчання „на юрфаці". В Ігоря не вистачає сміливості сказати їй правду.

Одразу по тому, як Джеремі відраховує йому зарплатню, жованими двадцятидоларовими купюрами, Ігор, в якого немає банківського рахунку, несе частину купюр до найближчої філії мобільного оператора ЕйТіЕнТі. Там він платить за місяць абонентського зв'язку.

Решту грошей він несе господареві квартири, де він ділить одну з кімнат з пакистанським інженером. Ігор не знає, як звати пакистанського інженера, він навіть не певен, чи впізнав би його на вулиці, настільки давно і мимохідь він його бачив.

Ігореві здається, що він так жив завжди. Дитинство, школа, рідне місто – все це відійшло у таке віддалене минуле, що йому дивно пригадувати неспішний ритм вулиць і дворів, де він виріс, які не могли б бути більш відмінними від вулиць, якими він ходить тепер.

В останній день листопада, за півгодини до закриття кав'ярні, у двері заходить одна з прекрасних вузьких істот. Вона дуже висока і дуже худа, у рваних джинсах, рваній шкіряній куртці і обов'язковому кашміровому шарфі. Її пряме волосся стягнуто у хвіст, від чого її очі здаються по-монгольськи розкосими. Вона заходить у двері і в неї тотально підірваний вигляд: темні кола під світло-зеленими очима, запалі сірі щоки. Навіть її вуха здаються кістлявими.

Вона підходить до прилавку і дивиться на Ігоря. Він автоматично посміхається їй – в Америці заведено посміхатися і питати: „Як справи?" Кав'ярня майже порожня, лише інтелігентного вигляду бомж, схожий на східноєвропейського кандидата наук, читає під вікном журнал "Нью-Йоркер". Кістлява істота стоїть біля прилавку, Ігор посміхається їй. Вона посміхається йому у відповідь. Він бачить, що в неї бракує одного з передніх зубів.

Ігор розуміє, що вона не може бути моделлю чи подругою мільйонера, а швидше за все мисткиня. Він навіть уявляє її картини, зібрані на якомусь богемному горищі – намазякані на великих полотнах постімпресіоністські місива. Кістлява підорва нахиляється до нього з таємничою усмішкою, стискаючи на грудях кашміровий шарф. Ігор мимоволі нахиляється до неї. Підорва дістає з-під шарфа маленький пістолет і приставляє його до Ігорової скроні.

– Касу, – каже вона.
– Що?– перепитує Ігор, який від несподіванки забув, що треба казати і робити у таких випадках. Треба нагадати нападникові – чи в даному випадку нападниці – що всі його – чи її – дії записуються на камеру таємного спостереження, після чого запропонувати пакет із грошима, загорнутими у вимащений спеціальною фарбою папір.
– Касу давай, суко, – каже підорва без зуба.

Ігор раптом розуміє, що грабіжниця говорить його рідною мовою. За останні чотири місяці він чув українську тільки від мами по телефону, ну, і ще пару разів від окремих перехожих – від останніх – головним чином матюки. А може, вона говорить російською? – сумнівається він.

– Ти чув мене, суко? – питає підорва.

Ігор намагається пригадати шкільні уроки з граматики – чи слід вживати кличний відмінок у слові „сука", коли воно застосовується до чоловічого роду? Але зараз явно не час вияснятн це. Обріз, який тримає грабіжниця, цілком справжній. Плюс, Ігор не має сумнівів, вона п'яна і, швидше за все, під хаєм.

– Ось каса, – конструктивно каже Ігор і показує пальцем.
– Відімкни, – каже грабіжниця.

Ігор дивиться на бомжа-кандидата наук, заглибленого в журнал, і заздрить його безтурботності. Він відмикає касу і переводить очі на підорву. Попри темні кола під очима і сірі щоки, вона дуже юна. Ігор дивиться уважніше і впізнає в ній Мирославу, дівчину, з якою разом вчився у четвертому і п'ятому класах, коли ходив до школи на вулиці Франка. Потім його батьки розлучилися, і вони з мамою переїхав до іншого району.

– Мирося? – не втримується він.

Підорва витріщається на нього: вона явно тільки тепер зрозуміла, що нападницький діалог відбувався не англійською. Кулаком, в якому затиснутий обріз, вона вдаряє Ігоря по скроні – точно і сильно, від чого він падає на коліна і б'ється підборіддям об прилавок. Удар об прилавок примушує його прикусити язика – йому виступають сльози на очі, і вся реальність затуманюється.

Бомж-науковець нарешті прозріває до подій біля прилавка, схоплюється з місця і кричить: „Вот зе хел?" Мирося розвертається і стріляє в бомжа. З першого разу вона промазує – від її кулі розлітається на тисячі друзок вітрина, поруч із якою стоїть бомж. Від другої на вулиці зі стогоном падає якийсь перехожий, з верескoм кидаються тікати інші. Мирося стріляє ще тричі, але не влучає і кулі рикошетять від стін. Після цього в неї, очевидно, закінчуються набої, вона ховає обріз і лізе в касу.

Ігор лежить щокою на прилавку і крізь туман сліз дивиться, які її худі руки з обгризеними нігтями вигрібають брудні купюри з каси, її руки тремтять, купюри сиплються, вона матюкається, підбирає їх і ховає в кишені рваних джинсів. Ігор тепер помічає, що, попри вибитий зуб, вона таки дуже приваблива, і думає, як би прекрасно було, якби вона його зараз поцілувала, як у справжньому кіно-бойовику. Натомість Мирося ще раз з усіх сил лупить його кулаком в скроню, від чого Ігореві темніє в очах, і він непритомніє.

Коли він приходить до себе, буквально через хвилину, Миросі в кав'ярні вже немає, натомість бомж лазить на карачках і підбирає купюри, які завалилися під прилавок. „Сорі, бразер, – каже він, поправляючи окуляри на носі характерним інтелігентським жестом, – швидку я тобі не встигну викликати."
Він зникає у дірці розбитої вітрини, через яку до кав'ярні зазирають налякані і цікаві перехожі. Ігор встає і поквапливо, хоч і похитуючись, й собі прямує до розбитої вітрини. Потім він пригадує щось, повертається, бере останню 20-ти доларову купюру з каси і виходить на вулицю. Десь чути звуки сирен, він швидким рухом зупиняє таксі, водій якого ігнорує його заляпаний кров'ю фартух із написом „Старбакс".

– Бруклінський міст, – каже Ігор, падаючи на сидіння. У нього майже святковий настрій. Він раптом згадує, що забув на роботі Блекбері. Шкода, так хоч би мамі відправив смс.

Біля Бруклінського мосту, де висаджує його таксист, порожньо і шумно від машин, які женуть у різних напрямках. Ігор трошки заздрить всім цим людям, яким є куди поспішати, але й трошки шкодує і зневажає їх. Він дивиться на годинник – північ, і він чує бій церковної дзвіниці, а, може, це йому здається. Туман в очах дужчає і вогні Брукліна – попереду, і Манхеттена – позаду, знову розпливаються. Десь зовсім вдалечині мерехтить вогник на смолоскипі Статуї Свободи. Ігор глибоко вдихає гостре на смак листопа-дове повітря. Його нудить від Миросиних ударів, він сідає на тротуар і дивиться у темну воду крізь поруччя мосту.

Коли Ігор повертається до тями, навколо флюорисцентне світло і тепло. Він із жахом розуміє, що не помер, а опинився в лікарні. Болять голова, праві рука і нога й важко дихати. Він знову заплющує очі і чомусь думає про каву – не огидну старбаксівську „тол-гранде-венті", а мамину, приготовану за її власним рецептом – горнятко окропу, в якому розкалатані пів чайної ложки розчинної кави найнижчого ґатунку та столова ложка „згущьонки".

Про Миросю він дізнається значно пізніше – через кілька тижнів після виходу з лікарні, йому потрапляє до рук стара газета, де, поруч із її симульованим зображенням, описується, як 30 листопада грабіжниця кав'ярні „Старбакс" на 58-мій вулиці, худорлява білошкіра дівчина, швидше за все зі Східної Європи, загинула, тікаючи від поліції.

„Офіцери наздогнали її у кількох кварталах від місця злочину, – читає він, – але, під впливом наркотиків, не контролюючи власні дії, вона кинулася під колеса таксі, що проїжджало повз. Поліції міста Нью-Йорк на разі не вдалося встановити її особу."

Ihor geht die Strecke täglich, 49 Häuserblocks bis zur 5th Avenue, von der 9. bis zur 58. Straße.

In Wirklichkeit sind es allerdings nochmal vier Blocks bis zur 5th Avenue und dann nochmal vier Blocks von der 5th Avenue zum Columbus Circle, also im Ganzen 57 Blocks. Aber er mag die Zahl 49, und es gefällt ihm, dass sein Weg geradeaus führt, pfeilgerade entlang einer der berühmtesten Straßen der Welt. Er wirft einen Blick auf die Eisbahn am Rockefeller Centre, in die Schaufenster von Tiffany und in das Einkaufsparadies Bergdorf Goodman, und er weiß, dass er in New York ist.

Nicht allzu weit vom Columbus Circle befindet sich die Columbia University, an der Ihor keinen Studienplatz bekommen hat. Aber er kommt nicht hierher, um die glücklichen Studenten zu beobachten, die die Aufnahmeprüfungen geschafft haben, und von denen einige sogar Stipendien erhalten. Deshalb war auch er Anfang Oktober hierher gekommen. Doch nun war es schon Ende November und das vorweihnachtliche Kommerzkarussell kreiselte in einem Höllentempo diese Stadt im Adrenalinflash.

Ihor arbeitete in einem Starbucks, von denen es tausende über ganz New York verstreut gibt. Es wäre viel bequemer gewesen, in der Nähe seiner abgefuckten Wohnung in East Village zu arbeiten, aber er wollte sich weder das Vergnügen versagen, den glücklichen Studenten voller Verachtung ihr Gesöff zu servieren, noch die Befriedigung die pfeilgerade 5th Avenue entlangzugehen. Gerade deshalb hatte er sich diese Filiale des Superstars der Café-World ausgesucht. Gerade in diesen Starbucks kamen nach Ihors Überzeugung die schönsten Frauen New Yorks, schlanke, in Kaschmir gehüllte Wesen, oft mit dunklen Brillen. Sie bestellten Kaffee Latte mit fettarmer Milch und übersahen Ihor mit feindseliger Arroganz.

Ihor arbeitete von 6 Uhr früh bis 12 Uhr Mitternacht. Weil das illegal ist, arbeitet er hier unter drei verschiedenen Namen und zahlt dem Filialleiter 20 Prozent vom Gehalt, als Ausgleich für das Risiko, das dieser eingeht und für seine Findigkeit, bürokratische Probleme zu lösen. Ihor heißt mit Nachnamen Schaltaj. Im Starbucks hatte er neben seinem eigenen Namen noch die Künstlernamen Or Alt und Hoscha Schal. Die hat sich der Filialleiter Jeremy ausgedacht.

Jeremy gab gerne mit Hoscha Schal an. Die Findigkeit Jeremys die Vorgesetzten der Kaffee-Firma zu überzeugen, dass hier tatsächlich drei verschiedene Leute arbeiteten, war der Schlüssel zum Erfolg. In den höchst seltenen Fällen, wenn tatsächlich jemand kam, um die Anwesenheit und die Arbeitsbedingungen der Angestellten zu überprüfen, tat Jeremy so, als ob Ihor Schaltaj wieder krank sei und präsentierte nur Or Alt und (nach einigen Minuten in Perücke mit Peies) Hoscha Schal.

Von dem erzählte Jeremy, dass er als Sohn eines Rabbis ohne väterlichen Segen aus dem Haus gejagt wurde, nachdem er entgegen aller Traditionen am Samstag arbeiten gegangen war. Außerdem war Hoscha, laut Jeremys Story, taubstumm, angestellt hatte er ihn, um die Antidiskriminierungsquote zu erfüllen. Die Inspekteure beobachteten wie die Peies von Hoscha traurig wackelten, wie er zustimmend murmelte und das mitleidige Geschwätz von ihren Lippen las, wobei sie sich bemühten, besonders laut und deutlich zu sprechen. Nachdem die Inspekteure gegangen sind, ist in den folgenden zwei Tagen für Jeremy die Maskerade mit den Peies eine unerschöpfliche Quelle für Witze, bis dann wieder Routine einkehrt.

Obwohl er in drei Schichten arbeitete, weder öffentliche noch private Verkehrsmittel benutzte und praktisch nichts für Essen (Ihor ernährte sich ausschließlich von Starbucksfutter), nichts für Zigaretten (das Rauchen hatte er schon in der Schule gesteckt) und andere für einen Neunzehnjährigen übliche Bedürfnisse ausgab, reichte Ihor das Geld kaum für seine abgefuckte Wohnung. Genauer gesagt für den abgefuckten Teil des abgefuckten Zimmers in der abgefuckten Wohnung in East Village.

Ihor lebte auf Pump, und seine Schulden wuchsen langsam, aber stetig. Ihor hatte den Vorsatz gefasst, dass er, sobald sein Schuldenberg schwindelnde Höhen erreicht haben wird, zum Beispiel 10.000 Dollar, Schluss machen wird. Er wird in den Fluss springen, zum Beispiel von der Brooklyn Bridge, Ihor kann nicht schwimmen, und mit finsterer Lust überlegte er Möglichkeiten, die keine materiellen Verluste mit sich brachten.

Das Geld, das er im Sommer aus der Ukraine mitgebracht hatte, und es war schon ein ansehnlicher Batzen, 20.000 Dollar, war ziemlich schnell weg. Die Hälfte hatte er von der Oma bekommen, die es überraschenderweise unter ihrer sagenhaften Matratze hervorzog. Die Familie war wie vor den Kopf gestoßen, dass die Oma vom Land eine solche Summe zuhause aufbewahrte und wollte sie überreden, sich nicht von ihren ganzen Ersparnissen zu verabschieden, worauf die Oma ihnen nur einen Vogel zeigte und sagte: „Seid ihr denn …? Ich verabschiede mich doch noch gar nicht! Nehmt, solange man euch gibt, und kaut mir kein Ohr ab!“ Die zweite Hälfte gaben Mama und die Tante dazu.

Das Geld sollte für die ersten Monate reichen, aber er hatte nicht mit der Wirklichkeit gerechnet. Nicht nur, dass Ihor kein Stipendium erhielt, er erhielt nicht einmal einen Studienplatz, trotzdem kehrte er nicht nach Hause zurück. Das Geld ging raus, für Alk, Drogen und andere Vergnügen flüchtiger Bekannter, die sich nach seiner Ankunft in New York um ihn scharten. Nachdem das Geld weg war, waren auch die Bekannten und der Bedarf an Alk und Drogen weg. Während der paar Sommerwochen hatte Ihor gerade mal Bekanntschaft mit Marihuana gemacht und ein paar Sorten Pillen probiert. Das Abenteuer Boheme endete so schnell, wie es begonnen hatte. Eine Abhängigkeit konnte da gar nicht erst entstehen, weder von den Drogen noch von der Boheme. Man lud ihn auch jetzt noch hin und wieder zu irgendwelchen abgefahrenen Konzerten in Queens oder in Underground-Galerien in Brooklyn ein, aber er hatte kein Geld für die Subway, und auch keine Lust dahin zu fahren.

Das einzige Vergnügen, das Ihor sich gönnte, war sein Blackberry, das er sich aus der Ukraine mitgebracht hatte und für das er sich eine Sim-Karte von Ai-Ti-En-Ti leistete. Die Grundgebühr, ebenso wie die Miete waren die heiligen Kühe in Ihors monatlichen Budgets. Mit dem Handy telefonierte er mit der Mama, die fragte, wie's mit dem Jurastudium ginge. Ihor brachte nicht den Mut auf, ihr die Wahrheit zu sagen.

Wenn Jeremy ihm den Lohn auszahlte, ging Ihor, da er kein Bankkonto hatte, sofort in den nächsten Ai-Ti-En-Ti Laden und zahlte mit einem Teil der speckigen 20-Dollar-Scheine die Grundgebühr. Den Rest kriegte der Vermieter für die Wohnung, in der er sich ein Zimmer mit einem pakistanischen Ingenieur teilte. Ihor wusste nicht, wie der pakistanische Ingenieur hieß, er war sich nicht einmal sicher, ob er ihn auf der Straße erkennen würde, solange hatte er ihn nicht mehr gesehen.

Ihor schien es, als würde er schon immer so leben. Kindheit, Schule, die Heimatstadt waren so weit weg, dass es ihm komisch vorkam, wenn er an das träge Tempo der Straßen und Höfe dachte, in denen er aufgewachsen war, und die so total anders von den Straßen waren, die ihn nun umgaben.

Am letzten Tag im November, eine Viertelstunde vor Ladenschluss, kam eine der schönen, schlanken Gestalten herein. Sie war sehr hochgewachsen und sehr dünn, in löchrigen Jeans, in löchriger Lederjacke und in den unvermeidlichen Kaschmirschal gehüllt. Ihr glattes Haar war nach hinten zusammengebunden, weshalb ihre Augen asiatisch schmal wirkten. Sie schaute fix und fertig aus. Dunkle Ringe unter den hellgrünen Augen, eingefallene graue Wangen, selbst die Lippen schienen knochig.

Sie kam an den Tresen und blickte Ihor an. Er lächelte automatisch, in Amerika ist das so üblich, außerdem fragt man, „Wie geht's?“. Das Café war fast leer, nur ein intellektuell aussehender Penner, der nach einem osteuropäischen Doktor der Wissenschaften aussah, saß am Fenster und las den New Yorker. Das knochige Etwas stand am Tresen, Ihor lächelte sie an. Sie lächelte zurück. Er bemerkte, dass ihr ein Schneidezahn fehlte.

Ihor überlegte, dass das kein Model oder eine Millionärsfrau sein konnte, sondern eher eine Künstlerin. Er konnte sich sogar ihre Bilder vorstellen, die in irgendeinem Boheme-Treff hängen, postimpressionistische Kleckserei auf großer Leinwand. Das Knochenwesen neigte sich mit einem geheimnisvollen Lächeln vor, dabei presste sie den Kaschmirschal an die Brust. Unwillkürlich beugte auch Ihor sich vor. Das Wesen zog unter dem Schal eine kleine Pistole hervor und drückte sie Ihor an die Schläfe.

„Kasse“, sagte sie.
„Was?“ fragte Ihor, der völlig überrumpelt war und vergessen hatte, was man in so einem Fall sagen und tun sollte. Man soll dem Räuber sagen, in dem Fall der Räuberin, dass seine oder ihre Tat von einer versteckten Kamera aufgezeichnet wird, danach soll man ein Bündel Banknoten, das mit einer Spezialfarbe behandelt ist, rüberreichen.
„Her mit der Kasse, du Arsch“, sagte das zahnlose Wesen.

Ihor verstand plötzlich, dass die Räuberin in seiner Muttersprache redete. Die letzten vier Monate hatte er nur in den Telefongesprächen mit seiner Mutter Ukrainisch gehört, und noch ein paar Mal von Vorübergehenden, dann meistens Flüche. Vielleicht redet sie ja auch Russisch, überlegte er.

„Hast du mich verstanden, suko?“ fragte das Wesen.

Ihor versuchte sich an den Grammatikunterricht in der Schule zu erinnern. Kann man suka, weibliches Geschlecht, im Kasus der Anrede für einen Mann benutzen? Aber für solche Fragen war keine Zeit. Die Knarre, die die hatte, sah echt aus. Außerdem, Ihor war sicher, war die zugedröhnt, voll high.

„Da ist die Kasse“, sagte Ihor entgegenkommend und zeigte mit dem Finger drauf.
„Mach auf“, sagte die Räuberin.

Ihor schaute in Richtung des promovierten Penners, der in seine Zeitschrift vertieft war, er beneidete dessen Sorglosigkeit. Er öffnete die Kasse und richtete den Blick auf das Wesen. Ungeachtet der dunklen Ringe unter den Augen und der eingefallenen Wangen, schien sie sehr jung zu sein. Ihor betrachtete sie aufmerksamer und erkannte Miroslawa, eine Mitschülerin aus der vierten und fünften Klasse, als er noch auf die Schule in der Fanko-Straße gegangen war. Dann hatten sich seine Eltern scheiden lassen, und er zog mit der Mama in ein anderes Viertel.

„Miroslawa?“ fragte er plötzlich.

Das Wesen glotzte ihn an. Offensichtlich kapierte sie erst jetzt, dass sie die ganze Zeit nicht Englisch geredet hatte. Mit der Knarre in der Faust schlug sie Ihor an die Schläfe, treffsicher und hart, er knickte ein und schlug mit dem Kinn auf der Tresenkante auf. Dabei biss er sich so auf die Zunge, dass ihm die Tränen kamen, die Umgebung verschwamm.

Der Penner der Wissenschaften bemerkte schließlich, was sich am Tresen abspielte, sprang auf und schrie „Wat thse häll?“ Miroslawa drehte sich um und schoss auf den Penner. Daneben. Das Fenster der Auslage neben dem Penner zersplitterte in tausend Stücke. Nach dem zweiten Schuss sackte auf der Straße ein Passant stöhnend zusammen, andere rannten kreischend davon. Miroslawa schoss noch dreimal, traf aber nicht und die Kugeln prallten von der Wand. Dann hatte sie anscheinend keine Munition mehr, sie steckte die Knarre ein und langte in die Kasse.

Ihor lag mit der Wange auf dem Tresen und sah durch einen Tränenschleier wie ihre dürren Finger mit den angenagten Fingernägeln die schmuddligen Geldscheine aus der Kasse nahmen, ihre Finger zitterten, die Scheine flatterten auf den Boden, sie fluchte, sammelte sie auf und stopfte sie in die Taschen der verschlissenen Jeans. Ihor bemerkte erst jetzt, dass sie trotz des ausgeschlagenen Zahns ziemlich attraktiv war, und dachte wie schön es doch wäre, wenn sie ihn nun küssen würde, wie in einem echten Thriller. Stattdessen ballerte ihm Miroslawa noch mal mit aller Kraft die Faust an die Schläfe, Ihor wurde schwarz vor Augen und ohnmächtig.

Als er nach einer Minute wieder zu sich kam, war Miroslawa schon weg, stattdessen rutschte der Penner auf den Knien umher und sammelte die Scheine ein, die vom

Tresen gefallen waren. „Sorry brazer“, sagte er und rückte sich die Brille mit der typischen Geste eines Akademikers zurecht, „den Notarzt zu rufen habe ich leider keine Zeit“. Er verschwand durch die Öffnung in der kaputten Auslage, durch die verängstigte und neugierige Passanten hereinstarrten.

Ihor stand auf und steuerte rasch, wenn auch schwankend ebenfalls auf die kaputte Glasscheibe zu. Dann erinnerte er sich an etwas, drehte um, nahm den letzten 20-Dollar-schein aus der Kasse und ging hinaus auf die Straße. Irgendwo hörte man Sirenen, mit einer raschen Bewegung hielt er ein Taxi an, der Fahrer ignorierte seine blutverklebte Schürze mit der Aufschrift Starbucks.

„Brooklyn Brigde“, sagt Ihor und machte es sich bequem. Er hatte fast Feiertagsstimmung. Plötzlich fiel ihm ein, dass er sein Blackberry dort vergessen hatte. Schade, er hätte Mama eine SMS geschickt.

An der Brooklyn Bridge, wo er ausstieg, war es menschenleer und doch laut von den Autos, die in alle Richtungen rasten. Ihor beneidete diese Menschen ein wenig, die alle irgendwohin mussten, ein wenig bemitleidete und verachtete er sie auch. Er schaute auf die Uhr, Mitternacht, er hörte die Kirchenglocken schlagen, aber vielleicht kam ihm das nur so vor. Der Schleier vor seinen Augen wurde dichter, das Lichtermeer von Brooklyn vor ihm, das von Manhattan hinter ihm, wieder verschwamm alles. Weit weg flackerte das Licht an der Fackel der Freiheitsstatue. Ihor atmete die herbe Novemberluft tief ein.
Ihm war schlecht von Miroslawas Schlägen, er setzte sich hin und schaute durch das Brückengeländer auf das dunkle Wasser.

Als Ihor zu sich kam, umgab ihn fluoreszierendes Licht und Wärme. Erschrocken stellte er fest, dass er nicht tot war, sondern sich in einem Krankenhaus befand. Er hatte Kopfschmerzen, die rechte Hand und das Bein taten weh, er atmete schwer. Er schloss wieder die Augen und dachte an Kaffee, nicht an den scheußlichen Starbucks „Tall-grande-venti“, sondern an den von Mama, nach ihrem eigenen Rezept zubereitet, ein Becher gekochtes Wasser in dem ein halber Teelöffel löslicher Kaffee der billigsten Sorte mit einem Esslöffel gezuckerter Kondensmilch verrührt wird.

Was mit Miroslawa passiert war, erfuhr er später, einige Wochen nachdem er aus dem Krankenhaus entlassen worden war, blätterte er in einer alten Zeitung, in der neben einem Phantombild von ihr stand, dass am 30. November ein schlankes, weißes Mädchen, wahrscheinlich aus Osteuropa, einen Starbucks in der 58. Straße überfallen hatte und auf der anschließenden Flucht zu Tode gekommen sei.

„Die Polizei holte sie einige Straßen vom Tatort ein“, las er, „doch unter dem Einfluss von Drogen verlor sie die Orientierung und kam unter die Räder eines vorbeifahrenden Taxis. Der Polizei von New York City ist es bisher nicht gelungen, ihre Identität festzustellen.“

[Übersetzung: Alexander Kratochvil]

Tą trasą Igor chodzi codziennie – 49 przecznic na Piątej Alei, od 9-ej do 58-ej ulicy.

Tak naprawdę przecznic jest znacznie więcej – cztery do Piątej Alei, a potem jeszcze cztery od Piątej do Columbus Circle. Tak więc w sumie 57, ale jemu podoba się 49-ta i podoba mu się, że jego droga – prosta jak strzała – biegnie przez jedną z najsłynniejszych ulic świata. Patrzy na lodowisko przy Rockefeller Center, na wystawy u Tiffany-'ego i w domu towarowym Bergdofa Goodmana i wie, że jest w Nowym Jorku.

Na Columbus Circle znajduje się Uniwersytet Columbia, na który Igorowi nie udało się dostać. Ale przychodzi u nie tylko po to, by przyglądać się szczęśliwym studentom, którzy potrafili przejść egzaminy wstępne, a niektórzy – nawet dostać stypendia i granty. Po to przychodził tu na samym początku października. A teraz jest już koniec listopada i przedświąteczna komercyjna gorączka nakręca to i bez tego przepełnione adrenaliną miasto w piekielnym kołowrotku.

Igor pracuje w kawiarni Starbucks, których tysiące rozrzucone są po całym Nowym Jorku i o wiele wygodniej byłoby pracować obok zasyfionego mieszkania na East Village, ale nie mógł pozbawić się przyjemności wysyłania negatywnych fluidów szczęśliwym studentom i radości z przemierzania prostych chodników Piątej Alei. Dlatego zatrudnił się w tej właśnie filii Gazpromu świata kawy – niedaleko Central Parku. Dokładnie do tego Starbucksa, tak przynajmniej Igorowi się zdaje, przychodzą najpiękniejsze kobiety Nowego Jorku – szczupłe, owinięte w kaszmir istoty, często w ciemnych okularach. Zamawiają latte z odtłuszczonym mlekiem i ignorują Igora z akcentowaną agresją.

Igor pracuje od 6-ej rano do 12-ej w nocy. Przez to, że łamie w ten sposób prawo, w pracy jest zarejestrowany jako trzy różne osoby i płaci swojemu menadżerowi łapówkę w wysokości 20% pensji za ryzyko, jakie ponosi, i za zdolność rozwiązywania problemów biurokratycznych. Igor nazywa się Szaltaj. W Starbucksie oprócz własnego imienia posługuje się jeszcze pseudonimami Or Alt i Gosha Shaw. Wymyślił je menadżer Jeremy.

Jeremy jest szczególnie dumny z „Goshy Shaw”. Kluczową dla wszystkich operacji jest umiejętność przekonania przez Jeremy'ego kierownictwa kawowego przedsiębiorstwa, że pracują tam naprawdę trzy różne osoby. Kiedy ktoś przychodzi skontrolować pracowników i warunki pracy, a dzieje się to niezmiernie rzadko, Jeremy udaje, że Igor zachorował i przedstawia tylko Ora Alta i (po kilku chwilach i w peruce z pejsami) Gosha Shaw.

O ostatnim Jeremy mówi, że to niby pozbawiony ojcowskiego błogosławieństwa syn rabina, wygnany z domu po tym, jak w którąś sobotę poszedł do pracy, łamiąc w ten sposób wielowiekową tradycję. Oprócz tego Gosha, zgodnie ze stworzoną przez Jeremy'ego legendą, jest głuchoniemy i przyjęto go do pracy na zasadzie wyrównywania szans. Inspektorzy mogą spostrzec, jak Gosha ze smutkiem trzęsie pejsami, muczy na znak zgody i wyczytuje z ruchu warg współczujące frazesy, jakie starają się wymawiać głośno i wyraźnie. Kiedy inspektorzy odchodzą, występ klowna z pejsami staje się dla Jeremy'ego źródłem żartów na najbliższe dwa dni, a potem wszystko wraca do normy.

Mimo pracy na trzy zmiany, a także faktu, że Igor nie korzysta z żadnego środka transportu, publicznego albo prywatnego, praktycznie nic nie wydaje na jedzenie (Igor je tylko obrzydliwe starbucksowe bułeczki), papierosy (rzucił jeszcze w szkole) i inne przydatne dla dziewiętnastolatka rzeczy, nadal brakuje mu pieniędzy na zasyfione mieszkanie. Dokładniej: na zasyfioną część zasyfionego pokoju w zasyfionym mieszkaniu w East Village.

Igor tonie w długach, długi powoli, ale nieustannie rosną. Obiecał sobie, że kiedy dług osiągnie gigantyczną sumę, na przykład 10 tysięcy dolarów, popełni samobójstwo. Na przykład rzuci się z Mostu Brooklyńskiego (Igor nie umie pływać). I z mrocznym optymizmem szuka okazji, by zrobić coś, co nie pociągnie za sobą kosztów.

Pieniądze, przywiezione latem z Ukrainy – a było ich całkiem sporo, 20 tysięcy dolarów – szybko znikły. Połowę dała babcia, niespodziewanie wyciągnąwszy je spod przysłowiowego materaca. Rodzina była zdumiona tym, że wiejska babcia trzymała w domu taką kwotę, i próbowała ją przekonać, by nie rozstawała się z oszczędnościami całego życia, na co babcia pokręciła palcem przy skroni i powiedziała: „A wy co, w ogóle? Ja się nie rozstaję! Bierzcie, póki dają i nie zawracajcie mi głowy!”. Drugą połowę dały mama i ciocia.

Pieniędzy miało wystarczyć na kilka pierwszych miesięcy, ale plany rozminęły się z rzeczywistością. Igor nie tylko nie otrzymał stypendium, ale nawet nie dostał się na studia, jednak zdecydował, że nie wróci do domu. Pieniądze rozeszły się – na wódę, narkotyki i inne używki dla tłumu mało znanych ludzi, którzy przylgnęli do Igora po jego przyjeździe do Nowego Jorku. Po zniknięciu pieniędzy, znikli też ludzie ze swoimi alkoholowymi i narkotykowymi potrzebami. Podczas tych kilku letnich tygodni Igor zdążył spróbować tylko marihuany i kilku rodzajów happy pills. Przygoda z bohemą skończyła się równie szybko, jak się zaczęła: nie zdążył wpaść w prawdziwe uzależnienie, ani od narkotyków, ani od bohemy.
Dalej zapraszają go na koncerty muzyki alternatywnej w Queens czy do półlegalnych galerii sztuki na Brooklynie, ale Igor nie ma pieniędzy na subway, a i chęci tam jechać też nie.

Jedynym luksusem, który Igor zachował, był przywieziony z Ukrainy BlackBarry, do którego włożył kartę sim AT&T. Abonament, podobnie jak czynsz, jest świętą krową comiesięcznych wydatków Igora. Mama dzwoni na komórkę i wypytuje, jak studia prawnicze? Igorowi zabrakło odwagi, by powiedzieć jej prawdę.

Zaraz po tym, jak Jeremy wydaje mu pensję w pomiętych dwudziestodolarowych banknotach, Igor, który nie ma konta bankowego, zanosi część pieniędzy do najbliższej filii operatora telefonii komórkowej AT&T. I płaci miesięczny rachunek.

Resztę pieniędzy zanosi właścicielowi mieszkania, w którym dzieli pokój z pakistańskim inżynierem. Igor nie wie, jak nazywa się pakistański inżynier, nie jest nawet pewien, czy poznałby go na ulicy – tak dawno i przelotem widział go ostatnio.

Igorowi zdaje się, że zawsze tak żył. Dzieciństwo, szkoła, rodzinne miasto – wszystko odeszło w tak odległą przeszłość, że trudno mu przypomnieć sobie powolny rytm ulic i podwórzy, gdzie dorastał, i które nie mogły być bardziej odmiennymi od ulic, które przemierza teraz.

Ostatniego dnia listopada, pół godziny przed zamknięciem kawiarni, do drzwi zbliża się jedna z tych przepięknych płaskich istot. Jest bardzo wysoka i bardzo chuda, w postrzępionych jeansach, poprzecieranej kurtce i obowiązkowej kaszmirowej chuście. Jej proste włosy są mocno spięte w kucyk, od tego oczy wydają się skośne jak u Mongołki. Przechodzi przez drzwi, wygląda marnie – sińce pod jasnozielonymi oczyma, zapadnięte szare policzki. Nawet uszy wydają się kościste.

Dziewczyna podchodzi do lady i patrzy na Igora. Ten automatycznie uśmiecha się do niej – w Ameryce normą jest uśmiech i pytanie „Jak się masz?”. Kawiarnia jest już prawie pusta, tylko bezdomny o wyglądzie inteligenta, przypominający wschodnioeuropejskiego doktora, siedzi pod oknem, czytając „New Yorker'a”. Kościste dziewczę stoi przy ladzie. Igor uśmiecha się do niej, na co ona odpowiada uśmiechem. Igor zauważa, że brakuje jej jednego z przednich zębów.

Chłopiec rozumie, że nie jest ona modelką ani nawet przyjaciółką milionera, najpewniej jest artystką. Nawet wyobraża sobie jej obrazy, leżące na jakimś dekadenckim strychu, namalowane na ogromnych płótnach postimpresjonistyczne wyobrażenia. Koścista dziewczyna nachyla się z tajemniczym uśmiechem w jego stronę, zaciskając na piersiach kaszmirowy szal. Igor mimowolnie przysuwa się do niej. Dziewczę wyjmuje spod szala niewielki pistolet i przystawia go do Igorowej skroni.

– Forsa – szepcze dziewczyna.
– Słucham? – pyta zdziwiony Igor, który z zaskoczenia zupełnie zapomniał, co należy zrobić i mówić w takiej sytuacji. Trzeba przypomnieć napastnikowi – czy w tym wypadku napastniczce – że wszystkie jego – czy też jej – poczynania są nagrywane na ukrytą kamerę, po czym zaproponować pakiet pieniędzy, zawiniętych w specjalnie pofarbowany papier.
– Dawaj forsę, suko – bełkocze desperatka bez zęba.

Nagle Igor zrozumiał, że złodziejka mówi w jego ojczystym języku. Przez ostatnie cztery miesiące słyszał ukraiński tylko przez telefon od mamy, no i jeszcze kilka razy od pojedynczych przechodniów – od tych ostatnich

głównie przekleństwa. A może ona mówi po rosyjsku? – zastanawia się Igor.

– Słyszałeś mnie, suko? – pyta desperatka.

Igor stara się przypomnieć sobie lekcje gramatyki – czy należy używać wołacza słowa „suka", kiedy używa się go w rodzaju męskim? Jednak teraz zupełnie nie ma czasu na filologiczne wyjaśnienia. Spluwa, którą trzyma złodziejka, jest całkiem spora. A dziewczyna bez wątpienia jest pijana i na haju.

– Oto forsa – konstruktywnie odpowiada Igor i wskazuje palcem.
– Otwórz! – rozkazuje złodziejka.

Igor spogląda na zaczytanego bezdomnego doktora i zazdrości mu tej beztroski. Chłopak otwiera kasę i przenosi wzrok na desperatkę. Pomimo tych sińców pod oczami i szarych policzków, jest bardzo młoda. Igor uważnie się jej przypatruje i rozpoznaje w niej Mirosławę, dziewczynę, z którą chodził do czwartej i piątej klasy szkoły na ulicy Franka. Później jego rodzice się rozwiedli i razem z mamą przeniósł się do innej dzielnicy.

– Mirka? – w końcu nie wytrzymał.

Wariatka wytrzeszcza na niego oczy, oczywiście, dopiero teraz zrozumiała, że grabieżczy dialog nie jest prowadzony w języku angielskim. Pięścią, w której zaciska spluwę, uderza Igora w skroń –zdecydowanie i mocno. Chłopak pada na kolana i uderza podbródkiem o ladę. Uderzenie o blat sprawiło, że przeciął język – łzy stanęły mu w oczach, a cała rzeczywistość zatopiła się we mgle.

Nareszcie, bezdomny naukowiec orientuje się, co się dzieje przy ladzie, podrywa się z miejsca i krzyczy „Co u diabła?!". Mirka odwraca się i celuje w bezdomnego. Za pierwszym razem chybia – od jej kuli witryna, przy której stoi bezdomny, rozpada się na tysiące kawałeczków. Od drugiej – jakiś przechodzień pada z jękiem na ulicę, inni wrzeszcząc, zaczynają uciekać. Mirka strzela jeszcze trzy razy, ale nie trafia i kule rykoszetem odbijają się od ścian. Po tym kończą się naboje, chowa spluwę i sięga do kasy.

Igor leży z twarzą na ladzie i przez mgłę łez widzi, jak jej chude dłonie z poobgryzanymi paznokciami wygrzebują brudne banknoty z kasy, trzęsą się jej ręce, banknoty wypadają, ona klnie, podnosi je i chowa do kieszeni postrzępionych jeansów. W tym momencie Igor zauważa, że pomimo wybitego zęba jest pociągająca i wyobraża sobie, jakby było pięknie, gdyby teraz go pocałowała, zupełnie, jak w filmie. Natomiast Mirka jeszcze raz, ze wszystkich sił uderza go pięścią w skroń. Igorowi robi się ciemno przed oczyma i traci przytomność.

Gdy dochodzi do siebie, dosłownie w ułamku sekundy Mirka znika z kawiarni. Natomiast bezdomny lezie na czworakach i zbiera banknoty, które upadły pod ladę. „Wybacz bracie – mówi, poprawiając okulary na nosie charakterystycznym inteligenckim gestem – nie mogę wezwać dla ciebie karetki". I znika w przestrzeni po rozbitej witrynie, przez którą zaglądają do kawiarni przelęknięci i zaciekawieni przechodnie.

Igor wstaje i pośpiesznie, choć chwiejnym krokiem, podchodzi do rozbitej witryny. Później przypomina sobie coś, wraca się, bierze ostatnią dwudziestodolarówkę z kasy i wychodzi na ulicę. Gdzieś słychać dźwięk syren, on szybko zatrzymuje taksówkę, której kierowca ignoruje zaplamiony krwią fartuch z napisem Starbucks.

– Most Brooklyński – mówi Igor, padając na siedzenie. Jest w prawie świątecznym nastroju. Nagle przypomina sobie, że zostawił w pracy BlackBerry. Szkoda, tak przynajmniej wysłałby mamie sms-a.

Przy Moście Brooklyńskim, gdzie wysadza go taksówkarz, jest pusto i głośno od aut, które mkną w różnych kierunkach. Igor trochę zazdrości tym, którzy mają gdzie się spieszyć, choć też trochę ich żałuje i lekceważy. Patrzy na zegarek – północ, słyszy bicie cerkiewnych dzwonów, choć może tylko mu się to zdaje. Ma coraz większą mgłę przed oczyma, a światła Brooklynu – z przodu, i Manhattanu – z tyłu, znów się rozpływają. Gdzieś w oddali iskrzy się ogień pochodni Statui Wolności. Igor głęboko wdycha ostre w smaku listopadowe powietrze. Jest mu słabo od uderzeń Mirki, siada na chodniku i gapi się przez poręcze mostu na ciemną wodę.

Gdy Igor dochodzi do siebie jest mu ciepło, a dookoła pali się fluorescencyjne światło. Z przerażeniem orientuje się, że nie umarł, a znajduje się w szpitalu. Boli go głowa, prawa ręka i noga, i ciężko mu oddychać. Znów zamyka oczy i nie wiadomo, czemu, myśli o kawie – nie o ohydnej starbucks'owej „tall-grande-veinte", a o maminej, przygotowanej według własnej receptury – garnuszek wrzątku, w którym jest rozmieszane pół łyżeczki kawy rozpuszczalnej najniższego gatunku i jedna stołowa łyżka skondensowanego mleka.

O Mirce dowiaduje się znacznie później – kilka tygodni po wyjściu ze szpitala wpada mu w ręce stara gazeta, gdzie obok portretu pamięciowego znajduje się opis, jak 30 listopada złodziejka z kawiarni Starbucks na 58-ej ulicy, chuderlawa biała dziewczyna, najpewniej z Europy Wschodniej, zginęła, uciekając przed policją. „Oficerowie dogonili dziewczynę kilka przecznic od miejsca przestępstwa – czyta – ale będąc pod wpływem narkotyków, nie kontrolując własnego zachowania, rzuciła się pod koła przejeżdżającej taksówki. Policji miasta Nowy Jork jak dotąd nie udało się ustalić jej tożsamości".

[1] *Ze wszystkich knajp*
we wszystkich miastach
na całym świecie
ona wchodzi akurat do mojej
(Casablanca)

[Przekład: Iwona Boruszkowska/Urszula Pieczek]

Катерина Хінкулова (1973, Україна) - авторка двох виданих в Україні романів, а також оповідань, статей, авторських колонок і відеосюжетів. Освіта: Києво-Могилянська Академія, London School of Economics. Хобі: підглядати за трансвеститами. Шкідлива риса: перфекціонізм. Улюблений кінофільм: *Касабланка*. Останні 13 років живе в Лондоні.

Бібліографія
- *36 пісень про життя* (Зелений пес, Київ 2006)
- *Drifters* (Зелений пес, Київ 2007)

Kateryna Chinkulova (1973, Ukraine) – Autorin von zwei Romanen, Erzählungen, Autorenrubriken und Videofilmen, die in der Ukraine erschienen sind. Ausbildung: Nationale Universität Kiew-Mohyla, London School of Economics. Hobby: Beobachtung von Transvestiten. Ungesunde Eigenschaft: Perfektionismus. Lieblingsfilm: *Casablanca*. Wohnt seit 13 Jahren in London.

Bibliographie
- *36 Lieder vom Leben* (Zelenyj pes, Kiew 2006)
- *Drifters* (Zelenyj pes, Kiew 2007)

Kateryna Chinkułowa (1973, Ukraina) – autorka dwóch wydanych na Ukrainie powieści, a także opowiadań, rubryk autorskich i wideo-filmów. Wykształcenie: Akademia Kijowsko-Mohylańska, London School sof Economics. Hobby: podglądanie transwestytów. Niezdrowa cecha: perfekcjonizm. Ulubiony film: *Casablanca*. Ostatnich 13 lat mieszka w Londynie.

Bibliografia
- *36 pieśni o życiu* (Zelenyj pes, Kijów 2006)
- *Drifters* (Zelenyj pes, Kijów 2007)

© Dorota Dziembowska-Gawryszewska

Marta Dzido **Marta Dzido** **Марта Дзідо**

TRZYSTA TYSIĘCY
DREIHUNDERTTAUSEND
ТРИСТА ТИСЯЧ

Trzysta tysięcy na trzydzieści lat.
Może być oczywiście na czterdzieści, ale jak sami państwo widzą, przy dłuższym okresie spłacania kredytu obniżamy wysokość miesięcznej raty kredytowej, ale musimy pamiętać, że łączne odsetki od kredytu będą w tym wypadku wyższe...
Aha...– kiwam głową udając, że rozumiem każde słowo, choć wiem, że zarówno trzysta tysięcy, jak i trzydzieści lat to pojęcia dla mnie abstrakcyjne i przez to nieosiągalne. Konsultantka z banku, gdyby ją wyjąć z tej przestrzeni i normalnie ubrać, mogłaby pewnie wydawać się moją rówieśniczką, może nawet koleżanką. Jednak w tej sytuacji, kiedy ja po jednej stronie stołu, a ona – pani w garsonce, w kostiumie krojem dopasowanym do figury a kolorem do logotypu firmy jaką reprezentuje – po drugiej, dzieli nas co najmniej trzydzieści lat. Nie licząc trzystu tysięcy, które chcę pożyczyć od banku, w zamian za co oddać będę musiała pięćset.
Wybór kredytu w obcej walucie – ciągnie swój monolog konsultantka - na przykład w euro, opłacalny ze względu na niską stopę procentową, może się okazać droższy od kredytu w złotych, jeśli nastąpi spadek kursu walutowego złotego do euro.
Yhy... – konsultantka ma do piersi przypięta plakietkę, a na niej Iza - asystent. Bank wypłaca Izie premię od każdej zawartej umowy kredytowej, więc Iza stara się, byśmy podjęli właściwą decyzję. Z korzyścią dla banku.
Wybór zmiennej zamiast stałej stopy procentowej może w przyszłości oznaczać wyższy koszt obsługi kredytu, jeśli nastąpi wzrost stóp procentowych. To oczywiście zależy od państwa. Minimalny wkład własny...
Co od nas zależy? – przerywa konsultantce Jacek – mój własny, od dwóch miesięcy już mąż.
Wybór stopy oczywiście – odpowiada ona z automatycznym uśmiechem. – Stopy procentowej. Minimalny wkład własny musi być na poziomie około dwudziestu procent wartości nieruchomości. Są państwo w stanie zadeklarować taki wkład?
Dwadzieścia procent? – obliczam, że to będzie sześćdziesiąt tysięcy. Myślę, nie ma mowy, musielibyśmy oszczędzać kilka lat albo wziąć pożyczkę na wkład własny do kredytu.
Tak! – mówi Jacek, po czym zerka na mnie i jeszcze raz z naciskiem powtarza: Tak! Oczywiście! Jesteśmy w stanie.
Konsultantka unosi delikatnie ze zdziwienia wyskubane brwi. – Potrzebne mi więc będzie w takim razie także państwa zaświadczenie o dochodach potwierdzone pisemnie i przypieczętowane przez pracodawcę. Trzeba będzie obliczyć państwa zdolność kredytową i ustalić raty spłaty. – Nie ma problemu – Jacek uśmiecha się do konsultantki, a ona na to:
– Chyba pan sobie zdaje sprawę z tego, że bank nie daje kredytu na ładne oczy. Musimy mieć zabezpieczenie. Państwo o tym nie myślicie, ale bank myśli za was.
Bo co ze spłatą kredytu w razie rozwodu?
?
Utraty pracy?
?
Choroby lub śmierci któregoś z kredytobiorców?
My nie zamierzamy umierać – przerywa jej Jacek.
– Nie mamy tego w planach. Wie pani... – zerka na jej biust – pani Izo – mój terminarz jest tak napięty, że przez najbliższe... niech sprawdzę... – wyjmuje z kurtki komórkę, włącza organizator i ustawia w stronę konsultantki ekran – sama pani widzi, jeszcze przez jakieś 45 lat nie ma w nim miejsca na śmierć.
Trzysta tysięcy na trzydzieści lat.
Każdy wie, że kupno nieruchomości jest jedną z najważniejszych decyzji w życiu – mówi agent biura handlu nieruchomościami – dlatego nasze biuro przygotowało dla państwa wyjątkową ofertę. Zakątek Zielona Białołęka.
Zielona Białołęka? – co za kretyn wymyślił tę nazwę.
A jeszcze większy kretyn zgodził się na to i jeszcze pewnie mu za to zapłacił. Gdybym był jego szefem, to podziękowałbym mu jeszcze tego samego dnia. Ale nie jestem jego szefem. Właściwie to niczyim szefem nie jestem.
Osiedle strzeżone – zachwala agent – Trzecie piętro w czteropiętrowym budynku. Trzydzieści siedem metrów kwadratowych. Stan deweloperski. Lepszej oferty na terenie Warszawy w tym przedziale cenowym państwo nie znajdziecie.
Zakątek Zielona Białołęka, na strzeżonym osiedlu – myślę i już zamierzam podziękować panu za przedstawienie tej jakże atrakcyjnej – niestety nie dla nas – oferty, niech wciska ją innym frajerom, wolę wrócić do naszej wynajętej za tysiąc pięćset kawalerki, zapomnieć, przynajmniej na jakiś czas o planach zakupu mieszkania, ale czuję jak Aga – moja już od prawie dwóch miesięcy żona – dotyka mojej dłoni, napotykam jej wzrok.
Jacek... – zaczyna.
No dobra – ulegam – nic nie stracimy jak pojedziemy tam i obejrzymy. Dwanaście kilometrów od centrum miasta w prostej linii, dogodny dojazd autobusem o numerze 704.
Dogodny? Półtorej godziny w jedną stronę – myślę do siebie, a agent monologuje dalej – Niebawem puszczą tu linię metra. Może nawet połączą ją z kolejką podmiejską.
Jesteśmy. To tutaj.
Trzecie piętro, w czteropiętrowym budynku. Bez windy.
– Drzwi antywłamaniowe. Solidne. Dwa zamki rozporowe, gwarancja osiemnaście miesięcy, oczywiście mogą państwo wymienić, jak się nie podoba.
Agent podaje nam wymiętą folię.
– Niech państwo włożą ochraniacze na buty.
?
– Żeby nie porysować parkietu. Parkiet świeżo położony. Dębina. Lite drewno. Dwadzieścia dwa milimetry.
Ale oczywiście mogą państwo wymienić, jak się nie podoba. Tu gdzie państwo stoicie jest miejsce na szafę wnękowa. Tam łazienka. Wc jest osobno. Zapraszam do salonu. Pokój położony jest na ścianie południowej, więc słońce praktycznie przez cały dzień, jasno, przestronnie, dużo światła. Nowoczesne, superwygodne rozwiązanie w postaci aneksu kuchennego...
– A co to za autostrada? – pytam agenta.
– Gdzie? – agent udaje zdziwienie.
– Tam – pokazuję mu drogę – Nie chciałbym przez najbliższe trzydzieści lat patrzeć z balkonu na pędzące tiry.
– Nie. To nie autostrada – tłumaczy agent.
– A co? – pytam.
– To trasa wylotowa na Ostrołękę, ale niebawem zasłonią ją ekrany dźwiękoszczelne, które całkowicie pochłaniają hałas. I spaliny też, więc nie macie się państwo czym martwić. Poza tym urząd gminy ma tam posadzić drzewa, więc ani trasy, ani ekranów nie będzie widać.
Nie ma mowy, żebyśmy tu mieszkali – myślę do siebie i już zaczynam kierować się do wyjścia, ale Aga zatrzymuje mnie i mówi:
– No widzisz. Jak zasadzą drzewa, nie będzie widać autostrady. Poza tym nie jest wcale tak blisko naszego balkonu.
Nie mam siły wdawać się teraz w dyskusje, sunę więc w plastikowych ochraniaczach po parkiecie z dębiny do pomieszczenia, o którym agent mówi:
– Idealne na sypialnię. Albo na pokój dziecinny.
To już zależy od państwa.
Patrzę na Agę. Jej twarz promienieje na dźwięk słów pokój dziecinny, reszty wydaje się nie słyszeć.
I nie widzieć.
Trzysta tysięcy na trzydzieści lat.
Mówiłam mu, że wolałabym, żeby ściany w sypialni były w odcieniu błękitnym, a on wybrał seledynowy. Patrzy na mnie krzywo, widzę, że jest wściekły, odchodzi od kasy, cedzi przez zęby, że akrylowej w kolorze niebieskim nie było. Ja mu na to spokojnie:
– Kochanie, nie chodzi mi o kolor niebieski, ale o błękitny.
Wracamy do działu mieszkanie, szukamy drogowskazu do alejki oznaczonej szyldem – farby.
– Zobacz sama. Nie ma błękitnego. Jest szmaragd, lawendowy, jawajski brzask, atlantycka przygoda, francuska lilia... ale nie ma tu błękitnego.
– A może ten – proponuję – cynamonowy deser?
Zobacz jak ładnie się nazywa.
– To nie jest błękit – widzę, że Jacek ma dość i że zaraz zgodzi się na wszystko, byleby tylko opuścić już ten sklep.
– No dobrze, weźmy więc cynamonowy deser do przedpokoju, a do sypialni atlantycką przygodę – decyduję, pakując wiadra z farbami do wózka.
Jak będzie źle, to najwyżej przemalujemy – myślę.
Najwyżej.
Trzysta tysięcy na trzydzieści lat.
Wydruk rat spłaty kredytu, gdy się go rozłoży na podłodze sięga od drzwi łazienki do drzwi balkonowych. Nie wiem, ile to w metrach, ale robi wrażenie. Zakątek Zielona Białołęka. Uległem. Poza tym do końca miesiąca mieliśmy opuścić wynajmowaną kawalerkę i albo decydujemy się na Zieloną Białołękę, albo szukamy kolejnego mieszkania do wynajecia. Pomyślałem: okej, póki nie mamy innego wyboru, będzie Zielona Białołęka. Na razie mieszkamy tu, ale może to się jakoś niebawem da zamienić, sprzedać, przecież nie będziemy do końca życia przypisani do tego miejsca. Powiedziałem: Aga, nie przywiązujmy się. A ona na to: czy jak się urodzi dziecko, to czy spodoba mu się pokój w kolorze atlantyckiej przygody, czy trzeba będzie przemalować? Aga, poczekajmy z dzieckiem na lepszy moment... – ale ona odwróciła się do ściany obrażona i zasnęła.
Trzysta tysięcy na trzydzieści lat.
Podobno sen wyśniony pierwszej nocy w nowym miejscu sprawdza się. Spałam dobrze. Śniło mi się, że śpiewam dziecku kołysankę. Ach śpij kochanie, jeśli gwiazdkę z nieba chcesz dostaniesz, a gdy rano przyjdzie świt...
i nie mogłam sobie przypomnieć co dalej.
Co, jak przyjdzie świt? Co?
Potem zadzwonił budzik. Zapytałam Jacka, co jemu się śniło, a on burknął, że nie mógł spać.
– Przez te tiry, które całą noc pędziły autostradą.
Za oknem było szaro. Wsiedliśmy w milczeniu w autobus 704, przyjechał spóźniony szósta trzydzieści siedem, jechaliśmy czterdzieści minut, mijając strzeżone osiedla – Leśny Zakątek, Ogrody Chomiczówki, Słoneczny Tarchomin, Bródno Park. Przesiadłam się w drugi autobus, potem w tramwaj, a potem...
Trzysta tysięcy na trzydzieści lat.
Nie licząc pożyczki, którą wzięliśmy, żeby mieć dwadzieścia procent wkładu własnego. Cała pensja Agi idzie na spłatę kredytu mieszkaniowego. Z mojej spłacamy pożyczkę i robimy opłaty. Zostaje czterysta złotych. Nie jest lekko. Myślę, że może wezmę na jakiś czas dodatkową robotę w weekendy, albo po godzinach.
– Na pańskim koncie pojawiła się zaległość – poinformował mnie kobiecy głos w słuchawce – proszę uregulować należności w przeciwnym wypadku...
Wydruk harmonogramu spłaty kredytu, kiedy się go rozwinie na korytarzu, to początek jest przy drzwiach wejściowych do naszego mieszkania, a koniec sięga aż do półpiętra między pierwszym a drugim piętrem.
Nie wiem, jak to się stało, ale w ciągu dwóch miesięcy wydłużył się o kilkanaście metrów.
– Jaka zaległość? – pytam konsultantkę z banku.
– Nie zapewnił pan środków na spłatę zadłużenia.
– To pomyłka.
– Proszę mi nie przerywać. Jest zaległość i należy ją jak najszybciej uregulować, zdaje pan sobie sprawę z tego, że odsetki karne są naliczane za każdy dzień zwłoki w wysokości osiemnaście procent w skali roku, ponadto muszę też pana poinformować, że za każde wezwanie jakie pan otrzyma od banku w formie pisemnej, bank pobiera opłatę w wysokości piętnastu złotych, to samo jest w przypadku wykonania telefonu interwencyjnego... Jeżeli bank stwierdzi bezskuteczność egzekucji, sprawa trafi do sądu i najprawdopodobniej zostanie pan poddany egzekucji

komorniczej. Czy ma pan do mnie jakieś pytania?
Trzysta tysięcy na trzydzieści lat.
Dziś rano miałam mdłości. Z początku myślałam, że połączenie koloru w odcieniu cynamonowego deseru z atlantycką przygodą daje efekt wymiotny, ale później już wiedziałam.
Trzysta tysięcy na trzydzieści lat. 300 000 na 30 lat.
Z szeregu zer łatwo utworzyć łańcuchy. A na łańcuchu człowiek, przykuty do swojej własnej budy, jest bezpieczny dla otoczenia i nawet jak szczeka, to nikt nie traktuje tego poważnie.
Wydruk harmonogramu spłaty kredytu jest już tak długi, że jego koniec wychodzi poza klatkę schodową. Sięga prawie do piaskownicy. Aga tego jakby nie zauważa, albo udaje, że nie widzi. W ogóle chodzi ostatnio jakaś spięta, milcząca, drażliwa. Przecież nic jej nie mówiłem o telefonach z banku i o odsetkach, nie chce jej denerwować. Wiem, że chciałaby przemalować sypialnię na inny kolor, żeby zacząć urządzać pokój dla dziecka. Ale ja teraz naprawdę nie mam czasu o tym pomyśleć. Ani o dziecku, ani o malowaniu. Jeszcze parę miesięcy i spłacę te karne odsetki, wyjdziemy na prostą, będzie dobrze, jeszcze parę miesięcy.
Nie powiedziałam Jackowi o tym, że jestem w ciąży. Nie chcę go denerwować. Nikomu nic nie mówię. Boję się, że mnie zwolnią. Na razie jeszcze nie widać, ale niebawem…
Dziś rano, tuż przed świtem, kiedy wychodziłem do pracy, zobaczyłem, że wydruk harmonogramu spłat wydłużył się do bramy wjazdowej na osiedle. Kiedy wracałem po zmroku, sięgał już do przystanku autobusowego. Nie mogłem zasnąć. Liczyłem pędzące autostradą tiry. Doliczyłem do stu, ale nie pomogło.
Już szósty miesiąc, a brzuch nadal płaski. Tylko pod pępkiem skóra zwinęła się w kształt małej spiralki. Mdłości ustąpiły, to znaczy, że dziecko polubi zestawienie atlantyckiej przygody z cynamonowym deserem. Jacek wciąż pracuje, wychodzi, kiedy jeszcze śpię, wraca w nocy.
Nie powiedziałam mu na razie o dziecku.
Jakoś nie było odpowiedniego momentu.
Trzysta tysięcy na trzydzieści lat.
Szósta trzydzieści miałem wyjść. Autobus odjeżdża szósta trzydzieści siedem, więc żeby zdążyć, wychodzę zwykle o wpół do siódmej. Była sobota, ale odkąd wziąłem dodatkową robotę, to sobotę i niedzielę od reszty dni odróżnia tylko to, że Aga jeszcze śpi, kiedy ja wychodzę. Stałem w przedpokoju, Aga mruknęła do mnie: pa! Tak bardzo chciałem zostać w łóżku, przytulić się do jej ciepłego ciała. Pomyślałem: kredyt. Jeszcze parę miesięcy i spłacę te karne odsetki, wszystkie sobotnie poranki i niedzielne będą nasze.
Założyłem buty, już miałem wyjść i wtedy zobaczyłem, że nie ma drzwi.
Nie ma drzwi wejściowych do naszego mieszkania. Zniknęły. W ich miejscu jest ściana. Nie ma wyjścia. Myślałem, może to jeszcze sen, jestem nieprzytomny, to jakaś chwilowa halucynacja. Sprawdziłem cały przedpokój. Obok szafy wnękowej w miejscu, gdzie były drzwi, teraz jest betonowy mur. Wyjścia nie ma.
Na poczet zaległości kredytowej drzwi wejściowe do pańskiego lokalu mieszkaniowego zabrał bank – powiedział kobiecy głos w słuchawce. Chwilę później połączenie zostało przerwane...
Trzysta tysięcy na trzydziesci lat.
Urodziłam.
Dziecko ma zaledwie trzy centymetry długości. Wyglądem przypomina ślimaka. W nocy chowa się do skorupy. To nawet dobrze. Jacek jeszcze nic nie wie, a ja go nie chcę martwić. Zawinęłam ślimaka w chusteczkę, wsadziłam do torebki. Cichy jest i nie wymaga bezustannej opieki. Mało je, nie brudzi, grzeczny, po prostu cudowne dziecko.
W pracy nie byłem od dwóch tygodni. Codziennie rano odbieram telefon interwencyjny z banku z informacją o odsetkach. Na osiedlu zrobiło się biało. Z początku myślałem, że spadł śnieg, ale gdy podszedłem do okna, okazło się, że to nie śnieg, tylko wydruk harmonogramu spłat, pokrywający podwórko, chodniki, drzewa, dachy budynków. Jak rozwinięta rolka gigantycznego papieru toaletowego.
Ślimakowi najlepiej jest w aneksie kuchennym w doniczce z bazylią. Ale kolor ścian w sypialni też mu nie przeszkadza. W ogóle wszystko mu się podoba. Jest ciekawy świata, szybko się uczy. Lubi, jak mu śpiewam. Ach śpij kochanie, jesli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz, a gdy rano przyjdzie świt...
Czekam aż nadejdzie ranek, bo przez te pędzące tiry zupełnie nie mogę spać. Idę do kuchni, nalewam wody do szklanki. Na brzegu siedzi ślimak i patrzy na mnie. Skąd on się tu wziął, myślę i delikatnie przenoszę go na kawałku tektury na balkon. Stawiam na balustradzie. Niech robi, co chce. Chwilę później już go nie ma.
Noc jest jasna, kartki wydruku odbijają światło księżyca. Sięgają za horyzont.
Myślę, taki ślimak, dobrze ma, dom na plecach, i żadnego kredytu nie musi... Nic nie musi.
Wracam do sypialni. Aga śpi. Wydaje się być spokojna, spełniona. Oddycha równo i uśmiecha sie przez sen. Kładę się obok.
Liczę do stu, dwustu, trzystu. Nie pomaga.
Patrzę na Agę. Światła pędzących autostradą tirów delikatnie rysują kontur jej twarzy.
Już niedługo, jeszcze parę miesięcy, wyjdziemy na prostą. Kiedy doliczę już do trzystu tysięcy, zasnę.

„Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
Auf vierzig Jahre geht natürlich auch, aber wie Sie selbst sehen, verringern wir bei einer längeren Laufzeit des Kredits die Höhe der monatlichen Tilgungsraten, wir müssen allerdings bedenken, dass die Gesamtzinsen in diesem Fall höher sind ...“
„Aha ...“, ich nicke und tue so, als ob ich jedes Wort verstehen würde, dabei weiß ich, dass sowohl dreihunderttausend als auch dreißig Jahre abstrakte Begriffe für mich sind und daher unvorstellbar.
Die Bankberaterin könnte, wenn man sie aus diesem Raum herausholen und normal anziehen würde, bestimmt wie eine Altersgenossin von mir aussehen, vielleicht sogar wie eine Freundin. Bloß in dieser Situation – ich auf der einen Seite des Tisches, sie im maßgeschneiderten Kostüm, das farblich auf das Firmenlogo abgestimmt ist, auf der anderen Seite – trennen uns mindestens dreißig Jahre. Abgesehen von den dreihunderttausend, die ich von der Bank leihen will, wofür ich im Gegenzug fünfhunderttausend werde zahlen müssen.
„Die Wahl eines Kredits in einer Fremdwährung“, setzt die Beraterin ihren Monolog fort, „zum Beispiel in Euro, die wegen des niedrigen Prozentsatzes vorteilhaft ist, kann sich als ungünstiger erweisen als ein Kredit in Zloty, wenn es zu einem Kursverlust des Zlotys gegenüber dem Euro kommt.“
„Tja ...“ Die Beraterin hat ein Namensschild auf der Brust, darauf steht: Iza – Assistentin. Die Bank zahlt Iza eine Prämie für jeden abgeschlossenen Kreditvertrag, also bemüht sich Iza darum, dass wir die richtige Entscheidung treffen. Zugunsten der Bank.
„Die Wahl eines variablen anstatt eines festen Zinssatzes kann in der Zukunft, falls der Zinssatz steigt, eine Verteuerung des Kredits bedeuten. Das hängt natürlich von Ihnen ab. Die Eigeneinlage ...“
„Was hängt von uns ab?“, unterbricht sie Jacek, mein Ehemann seit nun schon zwei Monaten.
„Die Wahl des Zinssatzes”, antwortet sie mit einem automatischen Lächeln. „Des Prozentsatzes. Die Eigeneinlage muss mindestens zwanzig Prozent des Immobilienwertes betragen. Sind Sie imstande diese Eigeneinlage zu erbringen?“
Zwanzig Prozent? Ich rechne aus, dass das sechzigtausend sind. Kommt nicht in Frage, denke ich, dann müssten wir einige Jahre sparen oder Geld für unsere Eigeneinlage leihen.
„Ja!“, sagt Jacek und schaut mich an und wiederholt noch einmal mit Nachdruck: „Ja! Natürlich! Wir sind dazu imstande.“
Die Beraterin zieht vor Erstaunen die gezupften Augenbrauen leicht in die Höhe.
„Also, dann brauche ich von Ihnen eine Bescheinigung über Ihre Einkünfte, unterschrieben und gestempelt von Ihrem Arbeitgeber. Wir müssen Ihre Kreditfähigkeit prüfen und die Tilgungsraten festlegen.“
„Kein Problem“, Jacek lächelt die Beraterin an, worauf sie sagt:
„Ihnen ist hoffentlich klar, dass die Bank den Kredit nicht aus Gefälligkeit vergibt. Wir müssen uns absichern. Sie denken nicht daran, aber die Bank denkt für Sie mit. Denn was wird mit der Tilgung des Kredits im Fall einer Scheidung?“
?
„Bei Arbeitsverlust?“
?
„Bei Krankheit oder Tod eines der Kreditnehmer?“
„Wir haben nicht vor zu sterben“, unterbricht Jacek sie.
„Das steht nicht auf dem Plan. Wissen Sie ...“, er blickt verstohlen auf ihren Busen, „Iza, mein Terminkalender ist so voll, dass ich in den nächsten ... Moment, ich schau mal nach ...“, er holt sein Handy aus der Jacke, schaltet auf „Organizer“ und hält der Beraterin das Display hin. „Sehen Sie selbst, in den nächsten fünfundvierzig Jahren gibt es keinen freien Termin fürs Sterben.“
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
„Jeder weiß, dass der Kauf von Immobilien eine der wichtigsten Entscheidungen im Leben ist“, sagt der Makler des Immobilienbüros, „deshalb hat unser Büro für Sie ein ganz besonderes Angebot: Zielona Białołęka.“[1]
Zielona Białołęka? Welcher Idiot hat sich diesen Namen ausgedacht? Und ein noch größerer Idiot hat zugestimmt und ihn sicher gut dafür bezahlt. Wenn ich sein Chef gewesen wäre, dann hätte ich ihn noch am gleichen Tag rausgeschmissen. Aber ich bin nicht sein Chef. Ich bin eigentlich von keinem der Chef.
„Geschlossene Wohnanlage“, schwärmt der Makler. „Dritter Stock in einem vierstöckigen Gebäude. Siebenunddreißig Quadratmeter. Schlüsselfertig. Ein besseres Angebot in dieser Preislage finden Sie in ganz Warschau nicht.“
Zielona Białołęka, geschlossene Wohnanlage, denke ich und will dem Herrn schon für sein zwar attraktives – aber leider für uns nicht in Frage kommendes – Angebot danken, soll er es doch irgendwelchen anderen Bekloppten aufdrücken, ich möchte lieber in unserer für tausendfünfhundert Zloty gemieteten Einzimmerwohnung bleiben und zumindest für einige Zeit die Wohnungskaufpläne vergessen, aber da merke ich, dass Aga – meine Ehefrau seit nun schon fast zwei Monaten – meine Hand berührt, und unsere Blicke begegnen sich.
„Jacek ...“, beginnt sie.
„Na gut“, lenke ich ein, „wir verlieren nichts, wenn wir hinfahren und es uns anschauen.”
„Zwölf Kilometer Luftlinie vom Stadtzentrum entfernt, gute Verkehrsanbindung mit dem Bus Nummer 704.“
Gute Verkehrsanbindung? Eineinhalb Stunden für eine Richtung, denke ich, aber der Makler monologisiert weiter: „Demnächst wird eine U-Bahnlinie dorthin gebaut. Vielleicht wird sie sogar mit der S-Bahn verbunden.
Wir sind da. Hier ist es.“
Dritter Stock in einem vierstöckigen Gebäude. Ohne Lift.
„Einbruchsichere Tür. Robust. Zwei Sicherheitsschlösser, achtzehn Monate Garantie, natürlich können Sie die Tür auch austauschen, wenn sie Ihnen nicht gefällt.“
Der Makler reicht uns eine zerknitterte Folie.
„Bitte ziehen Sie diese Plastikschoner über die Schuhe.“
?
„Um den Parkettboden nicht zu zerkratzen. Er wurde gerade verlegt. Eiche. Massivholz. Zweiundzwanzig Millimeter. Aber den können Sie natürlich auch austauschen, wenn er Ihnen nicht gefällt. Hier, wo Sie stehen, ist Platz für einen Einbauschrank. Dort ist das Bad. Die Toilette ist separat. Bitte, kommen Sie weiter ins Wohnzimmer. Das Zimmer liegt auf der Südseite, also praktisch den ganzen Tag Sonne, hell, geräumig, viel Licht. Modern und superbequem die offene Küche ...“
„Und was ist das für eine Autobahn da?”, frage ich den Makler.
„Wo?“, der Makler tut erstaunt.
„Dort.“ Ich zeige auf die Straße. „Ich möchte die nächsten dreißig Jahre nicht vom Balkon aus auf vorbeifahrende Laster schauen.“
„Das ist keine Autobahn“, erklärt der Makler.
„Sondern?“, frage ich.
„Das ist die Ausfallstraße nach Ostrołęka, aber die wird demnächst von Schallschutzwänden verdeckt, die den Lärm völlig abhalten. Und auch die Abgase, Sie müssen sich also keine Sorgen machen. Außerdem will die Gemeinde dort Bäume anpflanzen, man wird also weder die Straße noch die Schallschutzwände sehen.“
Kommt überhaupt nicht in Frage, dass wir hier wohnen, denke ich und steuere bereits auf den Ausgang zu, aber Aga hält mich fest und sagt:
„Na, siehst du. Wenn Bäume angepflanzt werden, dann wird man die Autobahn gar nicht sehen. Außerdem ist sie

ziemlich weit weg von unserem Balkon.“
Ich habe keine Kraft, mich jetzt auf eine Diskussion einzulassen, also schlurfe ich in den Plastikschonern über das Eichenparkett zu dem Zimmer, über das der Makler gerade sagt:
„Ideal als Schlafzimmer. Oder als Kinderzimmer. Aber das hängt von Ihnen ab.“
Ich schaue Aga an. Ihr Gesicht strahlt bei dem Wort „Kinderzimmer“, den Rest scheint sie nicht zu hören. Und nicht zu sehen.
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
Ich habe ihm gesagt, dass ich es lieber hätte, wenn die Wände im Schlafzimmer hellblau wären, aber er hat Blassgrün ausgesucht. Er schaut mich schief an, ich sehe, dass er sauer ist, er geht von der Kasse weg und knirscht durch die Zähne, dass es keine Acrylfarbe in Blau gegeben habe. Darauf ich zu ihm ganz ruhig:
„Liebling, ich meine nicht Blau, sondern Hellblau.“
Wir kehren zur Abteilung „Wohnung“ zurück und suchen den Pfeil zum Gang mit der Aufschrift „Farben“.
„Schau selbst. Es gibt kein Hellblau. Es gibt Smaragd, Lavendel, Mint, Atlantik, Flieder ... aber kein Hellblau.“
„Vielleicht die hier?“, schlage ich vor. „Nougat. Schau mal, was die für einen schönen Namen hat.“
„Das ist doch kein Hellblau.“ Ich sehe, dass es Jacek reicht und dass er gleich mit allem einverstanden sein wird, Hauptsache, wir verlassen möglichst schnell das Geschäft.
„Na gut, nehmen wir also Nougat für den Flur und für das Schlafzimmer Atlantik“, entscheide ich und stelle die Eimer mit den Farben in den Einkaufswagen.
Wenn es nicht gut aussieht, dann müssen wir es halt höchstens übermalen, denke ich.
Höchstens.
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
Der Ausdruck mit dem Tilgungsplan reicht, wenn man ihn auf dem Boden ausbreitet, von der Badezimmertür bis zur Balkontür. Keine Ahnung, wie viele Meter das sind, aber es macht Eindruck. Zielona Białołęka. Ich habe nachgegeben. Sowieso hätten wir bis zum Monatsende aus der gemieteten Einzimmerwohnung ausziehen und uns entweder für Zielona Białołęka entscheiden oder eine andere Wohnung zur Miete suchen müssen. Ich habe gedacht: Okay, solange wir keine andere Wahl haben, Zielona Białołęka. Erst mal wohnen wir hier, aber vielleicht können wir die Wohnung später irgendwie tauschen oder verkaufen, wir sind schließlich nicht bis an unser Lebensende an diesen Ort gebunden. Ich habe gesagt: „Aga, besser, wir legen uns nicht fest.“ Aber sie darauf: „Wenn wir ein Kind bekommen, wird ihm ein Zimmer in der Farbe Atlantik gefallen? Oder werden wir es übermalen müssen?“ „Aga, warten wir mit einem Kind auf einen besseren Zeitpunkt ...“ Aber sie drehte sich beleidigt zur Wand und schlief ein.
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
Angeblich geht der Traum, den man in der ersten Nacht an einem neuen Ort hat, in Erfüllung. Ich habe gut geschlafen. Ich habe geträumt, dass ich einem Kind ein Wiegenlied vorsinge. Schlaf, Kindlein, schlaf, der Vater hüt’ die Schaf, da fällt herab ein Träumelein ... Ich konnte mich nicht erinnern, wie es weiterging. Was ist, wenn das Träumelein herabfällt. Was?
Dann klingelte der Wecker. Ich fragte Jacek, was er geträumt habe, aber er brummte nur, dass er nicht habe schlafen können.
„Wegen dieser Laster, die die ganze Nacht auf der Autobahn vorbeigefahren sind.“
Draußen war es grau. Wir stiegen schweigend in den Bus Nummer 704, der um sechs Uhr siebenunddreißig verspätet gekommen war, wir fuhren vierzig Minuten an geschlossenen Wohnanlagen vorbei: Leśny Zakątek, Ogrody Chomiczówki, Słoneczny Tarchomin, Bródno Park. Ich stieg in einen anderen Bus um, dann in die Straßenbahn und dann ...
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
Abgesehen von dem Geld, das wir leihen mussten, um zwanzig Prozent Eigeneinlage zu haben. Agas gesamtes Gehalt geht für die Raten des Wohnungskredits drauf. Von meinem Gehalt zahlen wir das zusätzlich geliehene Geld zurück und kommen für alle Rechnungen auf. Es bleiben uns vierhundert Zloty. Wir haben es nicht leicht. Ich denke, ich muss für einige Zeit zusätzliche Arbeit am Wochenende übernehmen oder Überstunden machen.
„Sie sind mit Ihren Raten im Rückstand“, informiert mich eine Frauenstimme am Telefon, „bitte begleichen Sie alle Forderungen, andernfalls ...“
Der Ausdruck mit dem Tilgungsplan reicht, wenn man ihn im Treppenhaus ausrollt, von unserer Wohnungstür bis zum Treppenabsatz zwischen dem ersten und dem zweiten Stock. Ich weiß nicht, wie das passiert ist, aber im Laufe von zwei Monaten ist er um ein paar Meter länger geworden.
„Was für ein Rückstand?“, frage ich die Bankberaterin.
„Sie haben keine Mittel zur Abzahlung der Schulden.“
„Das ist ein Irrtum.“
„Bitte unterbrechen Sie mich nicht. Sie sind im Zahlungsrückstand und müssen diesen so schnell wie möglich begleichen. Ist Ihnen klar, dass für jeden Verzugstag Verzugszinsen in Höhe von achtzehn Prozent per annum berechnet werden? Außerdem muss ich Sie darüber informieren, dass die Bank für jede schriftliche Zahlungsaufforderung, die Sie von ihr bekommen, eine Gebühr von fünfzehn Zloty erhebt, das Gleiche gilt im Fall von Mahnungen per Telefon ... Wenn die Bank die Unwirksamkeit der Zahlungsaufforderungen feststellt, dann geht die Sache vor Gericht, und es kommt höchstwahrscheinlich zu einer Zwangsvollstreckung. Haben Sie irgendwelche Fragen?“
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
Heute Morgen war mir übel. Zuerst dachte ich, dass die Kombination der Farben Nougat und Atlantik diesen Brechreiz verursacht hat, aber später wusste ich schon, was los ist.
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre. 300.000 auf 30 Jahre.
Aus den vielen Nullen kann man leicht eine Kette machen. Und an der Kette hängt ein Mensch, gefesselt an seine eigene Hütte, er ist ungefährlich für die Umgebung und selbst wenn er bellt, nimmt das niemand ernst.
Der Ausdruck mit dem Tilgungsplan ist schon so lang, dass er bis vor das Haus reicht, fast bis zum Sandkasten. Aga scheint das nicht zu bemerken, oder sie tut so, als würde sie es nicht sehen. Überhaupt ist sie in letzter Zeit irgendwie angespannt, wortkarg und reizbar. Dabei habe ich ihr gar nichts von den Anrufen der Bank und von den Zinsen erzählt, ich will sie nicht beunruhigen. Ich weiß, dass sie das Schlafzimmer gern in einer anderen Farbe streichen würde, um das Zimmer für ein Kind herzurichten. Aber ich habe jetzt wirklich keine Zeit darüber nachzudenken. Weder über ein Kind noch übers Streichen. Noch ein paar Monate und dann habe ich die Verzugszinsen gezahlt, dann sind wir aus dem Gröbsten heraus, alles wird gut, noch ein paar Monate.
Ich habe Jacek nicht gesagt, dass ich schwanger bin. Ich will ihn nicht beunruhigen. Ich sage es niemandem. Ich habe Angst, dass ich entlassen werde.
Noch ist nichts zu sehen, aber bald ...
Heute Morgen, vor Sonnenaufgang, als ich zur Arbeit gegangen bin, habe ich gesehen, dass der Ausdruck mit dem Tilgungsplan bis zum Einfahrtstor der Wohnanlage reicht. Als ich nach Einbruch der Dunkelheit nach Hause kam, lag er schon bis zur Bushaltestelle. Ich konnte nicht einschlafen. Ich zählte die auf der Autobahn vorbeifahrenden Laster. Ich kam bis hundert, aber es hat nicht geholfen.
Ich bin schon im sechsten Monat, aber der Bauch ist immer noch flach. Nur unter dem Nabel hat sich die Haut spiralförmig gekräuselt. Die Übelkeit ist weg, das heißt, dass das Kind die Kombination von Atlantik und Nougat mag. Jacek arbeitet ständig, er verlässt die Wohnung, wenn ich noch schlafe, und kommt nachts zurück. Ich habe ihm bisher nichts von dem Kind gesagt. Irgendwie war noch nicht der richtige Zeitpunkt dafür.
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
Um sechs Uhr dreißig wollte ich die Wohnung verlassen. Der Bus fährt um sechs Uhr siebenunddreißig, also, um ihn zu kriegen, gehe ich meistens um halb sieben los.
Es war Samstag, aber seitdem ich zusätzliche Arbeit übernommen habe, unterscheiden sich der Samstag und der Sonntag von den restlichen Tagen nur dadurch, dass Aga noch schläft, wenn ich außer Haus gehe. Ich stand im Flur und Aga murmelte mir „tschüs“ zu. So gern wäre ich im Bett geblieben und hätte mich an ihren warmen Körper geschmiegt. Doch ich dachte: der Kredit. Noch ein paar Monate und dann habe ich die Verzugszinsen gezahlt und jeder Samstag- und Sonntagmorgen gehört uns.
Ich zog die Schuhe an und wollte schon gehen, da sah ich plötzlich, dass die Tür fehlte.
Die Eingangstür zu unserer Wohnung fehlte. Sie war weg. An ihrer Stelle war eine Wand. Man konnte nicht raus.
Ich dachte, vielleicht träume ich noch, ich bin nicht ganz da, das ist irgend so eine momentane Halluzination.
Ich untersuchte den ganzen Flur. Neben dem Einbauschrank, dort, wo die Tür war, war jetzt eine Betonmauer. Man konnte nicht raus.
„Wegen des Zahlungsrückstands hat die Bank die Eingangstür zu Ihrer Wohnung konfisziert“, sagte eine Frauenstimme am Telefon. Danach war die Verbindung unterbrochen ...
Dreihunderttausend auf dreißig Jahre.
Das Kind ist zur Welt gekommen.
Es ist kaum drei Zentimeter groß. Es sieht aus wie eine Schnecke. Nachts versteckt es sich in seinem Gehäuse. Das ist sogar gut. Jacek weiß noch nichts, ich will ihn nicht beunruhigen. Ich habe die Schnecke in ein Taschentuch gewickelt und in meine Handtasche gesteckt. Sie ist ruhig und braucht nicht dauernd meine Fürsorge. Sie isst wenig, macht nichts schmutzig und ist brav, einfach ein wunderbares Kind.
Ich war seit zwei Wochen nicht arbeiten. Jeden Morgen nehme ich die Mahnanrufe der Bank entgegen mit der Information über die Zinsen. In unserer Wohnanlage ist alles weiß. Zuerst dachte ich, es habe geschneit, aber als ich ans Fenster trat, sah ich, dass das kein Schnee war, sondern der Ausdruck mit dem Tilgungsplan, der den Hof, die Gehsteige, die Bäume und die Dächer bedeckte. Wie eine aufgewickelte riesige Rolle Toilettenpapier.
Die Schnecke fühlt sich am wohlsten in der offenen Küche in dem Topf mit dem Basilikum. Auch die Farbe der Wände im Schlafzimmer macht ihr nichts aus. Eigentlich gefällt ihr alles. Sie ist neugierig auf die Welt, sie lernt schnell. Sie hat es gern, wenn ich ihr vorsinge. Schlaf, Kindlein, schlaf, der Vater hüt’ die Schaf, da fällt herab ein Träumelein ...
Ich warte darauf, dass es Morgen wird, denn wegen der vorbeifahrenden Laster kann ich nicht schlafen. Ich gehe in die Küche, gieße Wasser in ein Glas. Auf dem Rand sitzt eine Schnecke und schaut mich an. Wie kommt die denn hierher, denke ich und trage sie vorsichtig auf einem Stück Pappe auf den Balkon. Ich setze sie auf die Brüstung. Soll sie machen, was sie will. Einen Augenblick später ist sie nicht mehr da.
Die Nacht ist klar, die Seiten des Ausdrucks reflektieren das Mondlicht. Sie reichen bis zum Horizont.
Ich denke, so eine Schnecke hat es gut, sie trägt ihr Haus auf dem Rücken und braucht keinen Kredit ...
Sie braucht gar nichts.
Ich gehe zurück ins Schlafzimmer. Aga schläft. Sie sieht ruhig aus, erfüllt. Sie atmet gleichmäßig und lächelt im Traum. Ich lege mich neben sie.
Ich zähle bis hundert, bis zweihundert, bis dreihundert. Es hilft nicht.
Ich sehe Aga an. Die Lichter der auf der Autobahn vorbeifahrenden Laster zeichnen schwach die Konturen ihres Gesichtes nach.
Nicht mehr lange, noch ein paar Monate, dann sind wir aus dem Gröbsten heraus.
Als ich bis dreihunderttausend gezählt habe, schlafe ich ein.

[1] Anmerkung der Übersetzerin: sinngemäß übersetzt: Grün-Weißholz

[Übersetzung: Sabine Leitner]

Триста тисяч на тридцять років. – Ясна річ, може бути і на сорок, хоча самі бачите: якщо зростає тривалість виплати кредиту, зменш-ується щомісячна сума, але не слід забувати, що у такому разі зростають відсотки, під які дається кредит...
– Так, так..., – я киваю головою і роблю вигляд, ніби розумію кожне слово, хоча знаю, що триста тисяч, так само, як і тридцять років – це для мене поняття суто абстрактні і через те незбагненні.
Консультантка з банку, якщо б її вивести звідси і нормально вбрати, могла би виглядати моєю ровесницею, або й товаришкою. Але у ситуації, коли я сиджу навпроти неї з іншого боку столу, а вона – пані в костюмі, який кроєм допасований до фігури, а кольором – до логотипу презентованої фірми, – в такій ситуації нас із нею розділяє щонайменше тридцять років. Не рахуючи трьохсот тисяч, які я хочу позичити в банку, і за які мені доведеться віддати п’ятсот.

– Вибір кредиту в іноземній валюті, – продовжує свій монолог консультантка, – наприклад, у євро, може видаватися привабливішим через низьку відсоткову ставку, але насправді таке рішення може виявитися дорожчим від кредиту в злотих, якщо відбудеться зниження валютного курсу злотого стосовно євро.
И-и-и… – консультантка має пришпилену на грудях табличку з написом „Іза – асистент”. Банк виплачує Ізі премію з кожної підписаної угоди про кредит, тож Іза дуже старається, щоб ми зробили правильне рішення. З користю для банку.
– Вибір плаваючої процентної ставки замість постійної може у майбутньому обернутися вищими коштами за обслуговування клієнта, якщо відсоткові ставки зростуть. Це, ясна річ, залежить від вас. Мінімальний перший внесок…
– Що від нас залежить? – перериває консультацію Яцек, мій уже два місяці чоловік, власний.
– Вибір ставки, ясна річ, – відповідає вона з механічною посмішкою, – процентної ставки. Мінімальний перший внесок має становити близько двадцяти відсотків вартості нерухомості. Ви зможете гарантувати сплату такого внеску?
– Двадцять відсотків? – я вираховую, що це буде шістде-сят тисяч. Думаю, що ми ніяк не зможемо заплатити таку суму, для цього треба було би відкладати кілька років, або позичити гроші на перший внесок до кредиту.
– Так! – каже Яцек, після чого дивиться на мене і ще раз із притиском повторює: Так!
Звичайно! Ми зможемо.
Консультантка піднімає акуратні здивовано-вискуба-ні брови.
– У такому разі мені необхідна довідка про ваші прибутки з підписом і печаткою працедавця.
Ми будемо змушені обчислити вашу платоспроможність і визначити термін сплати.
– Звісно, які проблеми, – Яцек посміхається консультантці, а вона йому:
Сподіваюся, Ви усвідомлюєте, що банк не дає кредитів просто так. Ми повинні мати гарантії.
Ви зараз про це не думаєте, але банк думає за вас. Бо що, наприклад, буде зі сплатою кредиту у разі розлучення?
?
Втрати праці?
?
Хвороби або смерті котрогось із позичальників?
– Ми не збираємося помирати, – перериває її Яцек.
– Не маємо таких планів. Знаєте… – він зиркає на її бюст, – пані Ізо, мій діловий розклад такий насичений, що протягом найближчих… зараз перевірю…
– він виймає з куртки мобільний, вмикає органайзер і показує консультантці екран… – бачите самі, ще якихось 45 років тут немає місця на смерть.
Триста тисяч на тридцять років.
– Кожному відомо, що придбання нерухомості є одним із найважливіших рішень у житті, – каже маклер із агентства торгівлі нерухомістю, – тому наше агентство приготувало для вас особливу пропозицію. Закуток Зелена Білолука.
Закуток Зелена Білолука? – який придурок вигадав таку назву. А ще більший погодився на неї та ще й, мабуть, заплатив за таку креативність. Якби я був його шефом, то звільнив би його тут же.
Але я не його шеф. Взагалі-то я нічий не шеф.
– Це будинковий комплекс, який охороняється, – вихва-ляє агент. – Третій поверх у чотириповерховому будинку. Тридцять сім квадратних метрів. Ідеальний ремонт. Кращої пропозиції у цій ціновій групі ви у Варшаві не знайдете.
Закуток Зелена Білолука, будинковий комплекс під охороною, – думаю собі і вже збираюся подякувати маклерові за таку чудову, але на жаль, не для нас, пропозицію. Нехай намагається втулити її іншим лохам, а я б краще повернувся до нашої кавалерки, винайнятої за тисячу п’ятсот, і забув на якийсь час про купівлю помешкання, але тут я чую як Аґа, моя вже майже два місяці дружина, торкається моєї долоні, наші погляди зустрічаються.
– Яцеку… – каже вона.
– Добре, – піддаюся я, – ми нічого не втратимо, якщо поїдемо туди і подивимося.
Дванадцять кілометрів від центру міста по прямій, зручний доїзд автобусом номер 704. Зручний? Півтори години в один бік, – думаю я собі мовчки, а тим часом агент продовжує монолог: Незабаром сюди пустять метро. Можливо, навіть з’єднають його з приміською залізницею. Ми прийшли. Це тут. Третій поверх чотириповерхового будинку. Без ліфта. Броньовані двері. Надійні. Два врізні замки, гаран-тія вісімнадцять місяців, ясна річ, ви можете їх помі-няти, якщо вам не подобається.
Агент подає нам вим’яті поліетиленові торбинки.
– Одягніть, будь-ласка, захист на черевики.
?
– Щоб не зіпсувати паркет. Його щойно поклали. Дубовий. З цільного дерева. Двадцять два міліметри. Але, ясна річ, ви можете поміняти, якщо вам не подобається. Тут, де ви стоїте, можна зробити шафу-купе. Там – лазничка. Туалет окремо. Ходімо до вітальні. Квартира розташована з південного боку, тож сонце тут практично цілий день. Помешкання світле, просторе, багато сонця. Сучасна і дуже зручна конструкція кухонної ніші…
– А що це за траса? – питаю агента.
– Де? – він удає здивування.
– Там, – показую йому на дорогу. – Я б не хотів протягом тридцяти найближчих років дивитися з балкону на машини дальнобійників, які проїздять повз.
– Ні. Це не траса, – пояснює агент.
– А що? – питаю я.
– Швидкісна дорога на Остролуку, але незабаром її закриють звуконепроникні щити, які цілковито поглинають галас. І вихлопні гази також, тож вам немає за що турбуватися. До того ж там мають небавом посадити дерева, тому ні траси, ні екранів не буде видно.
Немає мови про те, щоб ми тут жили, – думаю мовчки і вже повертаюся до виходу, але Аґа зупиняє мене і каже:
– Ну от бачиш. Коли посадять дерева, то траси не буде видно. А до того ж вона не так уже й близько від нашого балкону. Я не маю сили на суперечку, тож суну у своєму поліетиленовому захисті дубового паркету до примі-щення, про яке говорить агент:
– Ідеальна кімната для спальні. Або для дитячої.

Це вже від вас залежить. Я дивлюся на Аґу. Її обличчя просвітлюється, щойно вона чує слова „дитяча”, решти вона, здається, не почула. І не побачила.
Триста тисяч на тридцять років. Я йому казала, що хотіла б стіни спальні пофарбувати світло-синім, а він вибрав салатовий. Дивиться на мене косо, я бачу, що він дратується, відходить від каси й цідить крізь зуби, що не було акрилової фарби блакитного кольору.
Я йому на це спокійно кажу:
– Любий, мені йдеться не про блакитний, а про світлосиній. Ми повертаємося до відповідного відділу магазину, шукаємо, як пройти до таблички з написом „Фарби”.
– Дивися сама. Немає тут світло-синього.
Є смарагдовий, лавандовий, яванський світанок, атлантична пригода, французька лілія… але світло-синього немає.
– А може цей, – пропоную, – Цинамоновий десерт? Дивись, як гарно називається.
– Це не світло-синій, – я бачу, що Яцекові вже все набридло, і він погодиться на що завгодно, аби нарешті вийти з магазину.
– Добре, візьмемо цинамоновий десерт для передпокою, а для спальні атлантичну пригоду, – вирішую я і ставлю відра до візка.
Якщо буде негарно, то перефарбуємо. Велике діло. Велике діло.
Триста тисяч на тридцять років.
Роздрукований календар виплати кредиту тягнеться від дверей лазнички до дверей балкону. Не знаю, скільки це в метрах, але справляє враження. Закуток Зелена Білолука. Я здався. До того ж до кінця місяця ми мали виїхати з кавалерки, яку винаймали, і або погодитися на Зелену Білолуку, або шукати чергове помешкання, яке могли б винайняти. Я подумав собі: добре, нехай на разі, поки не маємо іншого виходу, буде Зелена Білолука. Поки що поживемо тут, а потім може вдасться щось поміняти, продати, не будемо ж ми до кінця життя приписані до цього місця. Я сказав:
– Аґо, давай не прив’язуватися до цього місця.
А вона:
– А якщо народиться дитина, і їй не сподобається кімната кольору атлантичної пригоди, то що, доведеться пере-фарбовувати?
– Аґо, давай зачекаємо з дитиною до кращих часів…
– але вона ображено відвернулася до стіни і заснула.
Триста тисяч на тридцять років.
Здається, що сон, який насниться у першу ніч на новому місці, здійснюється. Я добре спала. Мені снилося, що я співаю дитині колискову. Спи, моє кохання,

© Elżbieta Lempp

я неба тобі прихилю, а коли надійде ранок... і не
могла собі згадати, що було далі. Що трапиться,
коли надійде ранок? Що?
Потім задзвонив будильник. Я запитала Яцека,
що йому снилося, а він буркнув, що не міг заснути.
– Через вантажівки, які цілу ніч їздили по трасі.
За вікном сіріло. Ми мовчки сіли до автобуса 704,
який запізнився і приїхав о шостій тридцять сім,
ми їхали сорок хвилин, проминаючи будинки під
охороною – Лісовий закуток, Сади Хомічувки, Сонячний Тархомін, парк Брудно. Я пересіла до іншого
автобуса, потім до трамваю, а потім...
Триста тисяч на тридцять років.
Не враховуючи позики, яку ми взяли, щоб сплатити
двадцять відсотків першого внеску. Уся зарплата Аґи
йде на виплату кредиту. З моєї ми сплачуємо позику
і комунальні послуги. Залишається чотириста злотих.
Це дуже мало. Я думаю собі, що варто взяти на певний час додаткову роботу на вихідні або вечорами.
– На вашому рахунку є заборгованість, – інформує
мене жіночий голос у слухавці, – прошу вас якомога
швидше ліквідувати заборгованість, бо...
Якщо роздрукований календар виплати кредиту
розгорнути в коридорі нашого помешкання,
то початок буде біля вхідних дверей, а кінець – приблизно посередині сходової клітки між нашим і другим
поверхом. Я не знаю, як це трапилося, але за два
місяці він видовжився на кільканадцять метрів.
– Яка ще заборгованість? – питаю
консультантку з банку.
– Ви не ліквідували заборгованості.
– Це помилка.
– Прошу вас не перебивати мене. У вас є заборгованість, і ви повинні якнайшвидше її ліквідувати. Майте
на увазі, що за кожен день запізнення нараховується
пеня у розмірі вісімнадцяти відсотків річних, а до того
ж мушу довести до вашого відома, що за кожне письмове попередження, яке ви отримуєте від банку, нараховується штраф у розмірі п'ятнадцяти злотих, те саме
стосується дзвінків... Якщо банк вирішить, що подальші спроби стягнення платежів не дають результату,
справа перейде до суду і ваше майно радше за все
опишуть. Маєте до мене якісь запитання?
Триста тисяч на тридцять років.
Сьогодні вранці мене нудило. Спершу я подумала, що
то від сполучення кольорів – цинамонового десерту
з атлантичною пригодою, але потім усе зрозуміла.
Триста тисяч на тридцять років. 300 000 на 30 років.
З ряду нулів легко утворити ланцюги. А на ланцюгу
сидить людина, прикута до своєї власної буди, вона
безпечна для оточення і навіть не гавкає, бо ніхто
не сприймає її серйозно.
Роздрукований календар виплати кредиту вже такий
довгий, що його кінець знаходиться далеко поза
сходовою кліткою. Він доходить майже до пісочниці.
Аґа цього ніби не зауважує, або вдає, що не бачить.
Взагалі останнім часом вона якась напружена, мовчазна, дратівлива. Але ж я нічого їй не казав про дзвінки з банку і відсотки, аби не нервувати її. Я знаю, що
вона хотіла би пофарбувати спальню в інший колір,
щоб почати облаштовувати там дитячу кімнату. Але
зараз я справді не маю часу подумати про це. Ні про
дитину, ні про ремонт. Ще кілька місяців, я виплачу
пеню, ми повернемося у нормальний режим і все
буде гаразд. Ще кілька місяців.
Я не сказала Яцекові, що вагітна. Не хочу його нервувати. Нікому не кажу. Боюся, що мене звільнять.
Поки що нічого не видно, але незабаром...
Сьогодні вранці, ще до світанку, коли я виходив на
роботу, побачив, що роздрукований календар виплати кредиту видовжився до в'їзної брами на подвір'ї.
А коли повертався додому вже затемна, цей видрук
досягнув автобусної зупинки. Я не міг заснути.
Рахував вантажівки, які проїздили трасою.
Дорахував до ста, але не допомогло.
Вже шостий місяць, а мій живіт і далі плаский.
Тільки під пупком шкіра згорнулася у невеличку спіраль. Нудити перестало, а це означає, що дитині сподобається сполучення атлантичної пригоди з цинамоновим десертом. Яцек і далі багато працює.
Виходить із дому, коли я ще сплю, а повертається
пізно вночі. Я йому ще не сказала про дитину.
Якось не було відповідного моменту.
Триста тисяч на тридцять років.
Я мав вийти о шостій тридцять. Автобус від'їздить
о шостій тридцять сім, тож я завжди виходжу о пів
на сьому, щоб встигнути. Була субота, але відколи
я взяв собі додаткову роботу, то відрізняю вихідні від
звичайних днів тільки за тим, що Аґа ще спить, коли
я виходжу з дому. Я стояв у передпокої, Аґа промурмотіла до мене: па! А мені так хотілося залишитися
у ліжку, притулитися до її теплого тіла. Але я подумав:
кредит. Ще кілька місяців, я сплачу пеню, тоді всі суботні і недільні ранки будуть нашими.
Я взув черевики і вже мав вийти, аж тоді побачив,
що дверей немає.
Вхідних дверей до нашого помешкання немає.
Зникли. На їхньому місці стіна. Немає виходу.
Я подумав, що можливо, це ще сон, що я ще не прийшов
до тями, і це якась галюцинація. Я перевірив увесь
передпокій. Біля шафи-купе, на місці колишніх
дверей, тепер бетонний мур. Немає виходу.
Через несплату кредитної заборгованості вхідні
двері до вашого помешкання забрав банк, – сказав
у слухавці жіночий голос і з'єднання обірвалося...
Триста тисяч на тридцять років.
Я народила.
Дитина має лише три сантиметри. Схожа на слимака.
Вночі ховається до шкаралупи. Це навіть добре. Яцек
ще не знає, не хочу його хвилювати. Я загорнула
слимака у хустинку і поклала до торбинки. Він спокійний і не потребує постійного догляду.
Мало їсть, не смітить, слухняний, просто
чудова дитина.
Я вже два тижні не був на роботі. Щодня вранці до мене дзвонять з банку і повідомляють про
відсотки. Надворі все стало білим. Спершу я думав,
що це не сніг, а лише видрук розкладу виплат, який
накрив подвір'я, стежки, дерева і дахи будинків. Ніби
розкручений рулон туалетного паперу.
Слимак найкраще почувається у кухонній ніші,
у вазонку з базиліком. Але колір стін у спальні теж
йому не заважає.Взагалі йому все подобається. Він
допитливий і швидко вчиться. Любить, коли я співаю
йому. Спи, моє кохання, я тобі неба прихилю, а
коли надійде ранок... Я чекаю, коли надійде ранок,
бо через вантажівки, які постійно їздять по трасі,
зовсім не можу спати. Йду до кухні, наливаю води
до склянки. На краєчку сидить слимак і дивиться на
мене. Звідки він тут узявся, – думаю собі й обережно
переношу його на шматочку картону на балкон.
Ставлю на поруччя. Хай собі робить, що хоче.
За мить його вже немає.
Ніч місячна, на листки календаря виплат падає світло
місяця. Ці листки сягають уже за лінію горизонту.
Такому слимакові добре, думаю я собі, він має свою
хатку на спині і не мусить брати ніяких кредитів...
Нічого не мусить. Я повертаюся до спальні. Аґа спить.
Виглядає спокійною і задоволеною. Дихає рівно
і посміхається уві сні. Я лягаю біля неї.
Рахую до ста, двохсот, трьохсот. Не допомагає.
Дивлюся на Аґу. Світло фар від вантажівок, які їдуть
по трасі, обережно обводять контур її обличчя.
Вже недовго, ще кілька місяців і ми повернемося
до нормального режиму.
Коли дорахую до трьохсот тисяч, засну.

[Переклад: Наталка Сняданко]

Marta Dzido (1981, Polska) - pisarka i reżyserka, mieszka w Warszawie. Debiutowała mini-powieścią o aborcji pt. *Ślad po mamie*, zamieszczoną w antologii *Proza życia* (2003) i wznowioną jako osobną książkę – pod hasłem aborcyjnego coming-outu – w 2006. Powieść *Małża*, wydana w dwóch wersjach (2005), jest jej debiutem książkowym. Obie jej powieści zostały przetłumaczone i wydane w Wietnamie (2009). Na podstawie *Małża* powstał spektakl teatralny pod tytułem *M* (2009). Absolwentka PWSFTviT w Łodzi (2008). Zawodowo zajmuje się realizacją i produkcją różnych form filmowych i telewizyjnych. Jest m.in. autorką zdjęć do pierwszego w Polsce dokumentu ukazującego prawdę o polskim podziemiu aborcyjnym *Podziemne państwo kobiet*. Obecnie pracuje nad scenariuszem filmu fabularnego *POZA ZASIĘGIEM* - na motywach własnej prozy. Stypendystka programu Homines Urbani oraz Ministra Kultury w dziedzinie literatura (2007).

Bibliografia

- *Ślad po mamie* w: *Proza życia* (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2003)
- *Małż* (Ha!art, Kraków 2005)

Marta Dzido (1981, Polen) – Schriftstellerin und Regisseurin, lebt in Warschau. Debüt mit dem Mini-Roman *Ślad po mamie* („Mutters Spuren“) über das Thema Abtreibung, welcher in die Anthologie *Proza życia* („Die Prosa des Lebens“; 2003) aufgenommen und 2006 neu aufgelegt wurde. Der Roman *Małż* („Mein Mann“), der in zwei Fassungen herausgegeben wurde (2005), war ihr Buchdebüt. Beide Romane wurden ins Vietnamesische übersetzt und publiziert. Sie ist Autorin von Kurzfilmen, unter anderem *Jeden dzień z życia małej dziewczynki* („Ein Tag aus dem Leben eines kleinen Mädchens“; 2002) über ihre Tochter *Weronika* und *To my* („Wir sind das“; 2004) über Kinderrechte. Sie arbeitet als Journalistin beim polnischen Fernsehen TVP Kultura.
2007 Stipendiatin des Programms Homines Urbani.
Filmhochschule in Łódź.

Bibliographie

- *Mutters Spuren,* in*: Die Prosa des Lebens* (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Danzig 2003)
- *Mein Mann* (Ha!art, Krakau 2005)

Марта Дзідо (1981, Польща) - письменниця та режисер, живе у Варшаві. Дебютувала міні-романом про аборт *Ślad po mamie* („Слід після матері”), який увійшов до антології *Proza życia* („Проза життя”) (2003), як окрему книжку видали його у 2006, під гаслом абортного комінгауту. Роман *Małż* - це її книжковий дебют. Публікувала м. ін. у „Ha!art” („Га!Арт”) і „Lampa” („Лампа”). Два романи перекладено і видано у В'єтнамі. На основі роману *Małż* підготовано театральну п'єсу *M* (2009). Вона також випускниця Вищої кінематографічної школи у Лодзі. Працює для кіно і телебачення. Авторка знімок до першого у Польщі документу, який пока-зував правду про польське абортне підземелля *Podziemne państwo kobiet*. Нині працює над сценарієм художнього фільму *POZA ZASIĘGIEM* – на основі своєї прози. Стипендіатка програми „Гомінес Урбані” та Міністра культури у галузі літератури (2007).

Бібліографія

- *Слід від мами в: Proza życia* (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Ґданськ 2003)
- *Устриця* (Ha!art, Краків 2005)

Joanna Pawluśkiewicz **Joanna Pawluśkiewicz** **Йоанна Павлюськевіч**

PKP PKP ПОЛЬСЬКІ ДЕРЖАВНІ ЗАЛІЗНИЦІ

Wchodzę do pociągu relacji Warszawa – Kraków albo Kraków – Warszawa.
Od 15 lat jeżdżę bez przerwy tym pociągiem. Umiem na pamięć formułki panów konduktorów mówione przez głośniki, przeżyłam wszystkie reformy PKP i wszystkie podwyżki cen biletów.

Dziś mam ze sobą w miarę ładną walizkę na kółkach, znak nowych czasów, laptopa w specjalnej torbie, mam torbę swoją aktualną, którą co mniej więcej trzy miesiące wymieniam z nadzieją na kompletne nowości w życiu, mam kilka siatek, książki, które z domu moich rodziców wożę do Warszawy, gdzie mam swój dom, a ponieważ czasem czuję, że jednak to nie jest mój dom, wiec wożę te książki tam i z powrotem, bo nie wiem już sama gdzie dom.
Mam kolejną torbę z jedzeniem z Krakowa, albo z jedzeniem z Warszawy, mam torbę z kamerą na wszelki wypadek, mam wielką kosmetyczkę, która rośnie lub maleje w miarę zarabiania lub nie zarabiania pieniędzy. Mam telefony w każdej kieszeni, mam kurtkę, płaszcz, czapkę, śpiwór, mam te wszystkie rzeczy, które od 15 lat wożę tam i z powrotem, cały czas nie mogąc się zdecydować, czy jestem w Krakowie, czy jestem w Warszawie, a to jest problem, bo bycie w Warszawie jest zupełnie innym byciem niż krakowskie, i jestem już bardzo zmęczona chodzeniem z tymi wszystkimi rzeczami po peronie, a jeszcze książkę na podróż trzeba kupić, a jeszcze kawkę taką po amerykańsku na wynos, a jeszcze gazetkę, a bilet może się uda kupić i gorąco mi się już robi, a szalik spada, jedna siatka się urywa, moje pamiątki z dzieciństwa tym razem przewożone do Warszawy się wysypują i kolekcja opakowań po czekoladach z lat osiemdziesiątych leci po peronie. Wiozłam też dywan, szafeczkę malutką, rower, narty, deskę, komputer i telewizor.

Targam moje bagaże, nieumiejętnie od lat próbując wypracować sobie styl nowoczesnej podróżniczki, która w miłej małej walizeczce ma wszystko, co potrzebne i jedzie na weekend z eleganckim czarnym telefonem. Tymczasem upada mi siatka z jedzeniem, otwiera się jedna torba, pełna rzeczy do prania, bo tylko Matka w Krakowie umie wyprać swetry, wypadają telefony, ktoś dzwoni, ktoś woła przez megafon, kawa mi się wylewa, lecę do pociągu intercity, którym, jak mówi pan konduktor, za trzy godziny będziemy zbliżać się do stacji Kraków Główny albo do stacji Warszawa Centralna.

Ale ponieważ mam swój system zajmowania miejsca w pociągu, nie siadam od razu, nawet jak mam miejscówkę, bo szukam cały czas miejsca, gdzie będę siedzieć sama w przedziale ze swoimi torebkami i nikt mi nie będzie gadał, patrzył, zagadywał, jadł jabłka, które najbardziej na świecie śmierdzą w pociągu.

Stoję więc najpierw pod kiblem, bagaże pętają się niewygodnie pod nogami, pojawia się jeszcze jakiś statyw od kamery, błagam, tylko nie to, tylko nie statyw, czekam aż wszyscy się usadowią, bo jak się usadowią, to mogę zacząć szukać mojego wymarzonego pustego przedziału.
Czasem, powodowana kompletną socjofobią, chodzę w kółko po całym pociągu, szukając idealnego przedziału, aż mija cała podróż.
Ruszył pociąg.
Zakładam na siebie wszystkie torebusie i idę.

To nie jest nowoczesny pociąg jednoprzedziałowy, jaki się pojawia od czasu do czasu na trasie intercity. To jest normalny pociąg wieloprzedziałowy, z Krakowa do Warszawy albo z Warszawy do Krakowa.

Idę szukać przedziału.

Wchodzę do pierwszego i od razu wiem, że trafiłam beznadziejnie, ponieważ pod oknem siedzi spragniona plotek, dawno nie widziana koleżanka, której nie chcę spotkać za nic na świecie, bo zaraz będzie pytać o wszystko, o pracę, o kasę, o rodzinę, a kogo widziałam a kogo nie i kto potwornie utył? Daj mi spokój, rozkładam moje bagaże po wolnych półkach, wzdychając beznadziejnie.
U mnie świetnie, tak sobie jeżdżę z Warszawy do Krakowa, albo z Krakowa do Warszawy, kupuję nowe bagaże, tak sobie jeżdżę, jakbym w ogóle nie słuchała Tony'ego Soprano, który wyraźnie mówił: „There is no geographical solution for the emotional problem". Siedzi ta koleżanka i gada, ja wzdycham, słucham, uprzejmie, no trudno, podróż stracona, ale trudno, pogodziłam się z tym i myślę, że się nic już nie wydarzy, ale jak zwykle po takich głupich myślach, sytuacja pogarsza się o sto procent.

Otwierają się drzwi i wchodzi Idealny Chłopak, którego potajemnie kocham od kilku lat i naprawdę tylko tego mi brakowało, bo koleżanka gada i gada, a Idealny Chłopak, co też tak jeździ jak i ja, stąd między innymi jego idealność, wchodzi z bagażami i niestety niestety niestety z dziewczyną, czym potwierdza moje najstraszniejsze obawy, że dodatkowo do marzeń przed snem o tym jak wyznaje mi miłość, będę jeszcze musiała opracować scenariusze, jak rozstaje się z tą dziewczyną, żeby nikomu nie stała się krzywda i żeby niesmak nie pozostał.

Wymieniamy uprzejmości. Co słychać, a co u ciebie, a jak tam ostatnio, a kogo widziałeś, dużo wspólnych tematów. Już płakać mi się chce, bo każdym słowem i gestem potwierdza swoją idealność.

Jedziemy, ja blada, czerwona, znów blada, znów czerwona, próbuję powstrzymać koleżankę przed opowiadaniem szczegółów o okresie i sposobach depilacji, ale ona się nie daje i nic mi innego nie pozostaje, jak ucieczka, bo Idealny Chłopak słucha na pewno. Jego dziewczyna go za coś opieprza, jestem tak ciekawa za co, jestem tak ciekawa, kiedy go spotkam następnym razem, bo zawsze go spotykam na chwilę i w biegu i szybko i nie wiem co dalej.
Straszna podróż, straszny przedział, męczy mnie, zabieram moje torebki i uciekam.

Zawsze zresztą jak widzę Idealnego Chłopaka to uciekam. Nie wiem, co by się stało, jakby się tak nagle zadeklarował, też bym pewnie uciekła, widząc jak marzenie staje się realne, to jest zawsze bardzo przerażający moment.

Idę więc do następnego przedziału, tamten byłby idealny, gdyby nie koleżanka, gdyby nie ta dziewczyna, gdybyśmy razem z Idealnym Chłopakiem jechali do Krakowa albo do Warszawy i on by mi pomagał z moimi bagażami.

Ale znowu nikt mi nie pomaga, wlokę moje walizeczki do następnego przedziału. Może ten?

A tam wakacyjnie, aż atakuje mnie wspomnienie z dzieciństwa, bo ludzie siedzą z dziećmi i jedzą, siadam na chwilę i patrzę i przypominam sobie, jak dworzec był kiedyś zapowiedzią wakacji, a nie kolejnego tygodnia pracy, jak w nocy wstawałam zerwana przez Mamę, i jak Ojciec nas zawoził na dworzec, gdzie czekał już sliping do Świnoujścia, Babcia i Dziadek, i najlepsza przyjaciółka z Mamą, mój brat i wszyscy się gościli w swoich przedziałach, a ja walczyłam o najwyższe łóżko. Dziadka trzeba odseparować, bo chrapał tak, że przebijał stukot kół, i moja torba wakacyjna pełna Barbie i książek na lato, kostium kąpielowy z Niemiec, który moi rodzice zgubią na plaży, a za którym będę płakała przez dwa dni i bardzo tego zgubienia pożałują, bo płacz mój był długotrwały. Kurczak w folii, pomidor i jajko na twardo, takie ewidentne i podróżnicze.

Przygoda przed nami, miesiąc nad morzem i za nic nie jesteśmy odpowiedzialne, a po wakacjach idziemy dopiero do czwartej klasy i nic, kompletnie nic nie wiem o tym, że kiedyś będę sobie cichutko popłakiwać nad tymi czasami, że już nigdy się nie pojawią, nigdy nie wrócą i nigdy nie będzie takich wakacji, co trwają dwa miesiące.

Chcę zostać w tym przedziale z Babcią i Dziadkiem i Mamą i jechać nad morze i nie być odpowiedzialną za moje wszystkie torby, ale nagle przychodzi konduktor i każe mi stamtąd wypieprzać.

© Anna Jaworska

Idę dalej i dalej, mijam przedziały, a każdy pełny i tylko czasem wolne środkowe miejsce, którego nikt nie chce, i nigdzie nie ma miejsca dla mnie z moimi bagażami, wchodzę do kolejnego przedziału, nawet jakiś pusty i siadam i widzę, że już tam siedzę, pod oknem, ale jakaś inna, młodsza, włosy dziwne, kolorowe i krótkie, ubrania z lat dziewięćdziesiątych i wzrok mętny. Naprzeciw mnie siedzi pogrążony w książce ukochany z tamtych lat, którego kochałam tak, jak nikogo do tej pory, widzę, jak tak siedzę i patrzę na niego i aż mi się płakać chce. Od niechcenia kładzie rękę na moich wyciągniętych do niego nogach, widzę, że jakaś dziewczyna w przedziale patrzy na mnie z zazdrością, a ja rozpieram się z dumy.
Ale szybko uciekam z tego przedziału, bo nie chcę patrzeć na taką siebie, jak wtedy, gdy byłam jego niewolnikiem.

Siadam w następnym przedziale, i płaczę nad moją największą miłością, cały czas z nadzieją, że kiedy wreszcie Idealny Chłopak rzuci swoją dziewczynę, to nowa idealna miłość spowoduje, że wszystkie wspomnienia i lęki znikną, jak właśnie znika Milanówek, jak znikają Łuczyce (w których widać od lat napis: „Łuczyce – miasto sexu i biznesu"), jak znika Tunel, jak znika PKP intercity.

W kółko tylko te myśli o miłości i miłości, rzygać mi się chce od tego, zrywam się i znowu uciekam, jak zwykle, najłatwiej uciekać, tylko torebeczek z rzeczami przybywa, już się zaczynam czuć jak ten facet w filmie Buñuela, co ciągnął za sobą biskupów i kozę, wlokę się, wchodzę do przedziału nowego, a tam siedzi koleżanka, którą akurat bardzo chcę spotkać i czeka na mnie i z wyrzutem mówi, no gdzieś ty była, ileż można łazić po tym pociągu!

Padam z ulgą na fotel, jesteśmy same w przedziale, śmiejemy się, czuję, że nie jedziemy do pracy, tylko w podróż i wyciągamy z torebek pełno jedzenia, i jest kilka lat wcześniej, jedziemy sobie w góry albo nad morze, mamy chleb, masło, ogórki, szynkę, miód, musztardę, czekoladę gorzką, mamy różne batoniki, buraczki, serki, suszone pomidorki i bułki hinduskim zwyczajem zrobione z omletami.

Noszenie ze sobą domku metodą ślimaka jest dobrym sposobem na życie i daje mi przekonanie, że nie na próżno targam zawsze ze sobą moje bagaże, bo dzięki nim wszędzie mogę się poczuć jak w domu. Ale nagle jedzenie się skończyło, jak wszystko nagle w tej podróży. Chowam resztę bułek i muszę iść. Podróż wraca do normy, przecież nie może być zabawa tak cały czas.

Nagle się okazuje, że mam w ręce kolejną torbę, taką wielką, a w tej torbie pełno prezentów. Teraz jestem w przedziale świątecznym.

Jest inna atmosfera i nie tylko śnieg za oknem ją powoduje. Nie jedziemy tak nerwowo. Jedziemy do domu.
To jest pociąg DO Krakowa.
Już niedługo nadejdzie ten moment, że będę leżeć na kanapie w domu rodzinnym, będę miała koło siebie talerz kapusty z grochem, którą będę mogła jeść bezkarnie.
Obok na drugiej kanapie będzie leżał mój brat ze swoją porcją kapusty z grochem albo kluskami z makiem i nie będziemy się w ogóle kłócić, tylko zgodnie i świątecznie oglądać komedię „Święta w krzywym zwierciadle".
Choinka obok będzie łysa z jednej strony.

To jest jedyna stała, po to się robi w ogóle te święta, żeby jakoś okiełznać ten skandaliczny pęd do zmian, to straszne zmienianie się wszystkiego. Ten ciągły ruch, który nie wiadomo co przyniesie. Nie wiadomo co przyniesie, ale przynajmniej 24 grudnia jest wigilia i muszą być prezenty. Na szczęście.

Wchodzę i siadam w tym przedziale i uśmiecham się do podróżnych. I oni też jacyś mili, już mnie nawet nie wkurwia, że jadę na środku tyłem do kierunku jazdy, że nie mam miejsca na moje torby. Jadę na jedyną stałą w życiu. Wreszcie. Oddycham prawie z ulgą.

Aż tu nagle wchodzi jakaś baba i mówi, że to ona ma to miejsce, i pokazuje bilet z miejscówką. I uciekam, niestety z tej atmosfery siankowo-opłatkowej. Jak będę za parę dni jechać w drugą stronę, to z sianka ślad już nawet nie zostanie, tylko ogólny smutek i powrót do pracy, do domu, do życia dorosłego. Samodzielnego.

Idę do Warsu.

Jezu, w tym Warsie trzeba stać opartym o stoliki wysokie, bo jeszcze rzadko się zdarzają stoliczki takie, jak sobie człowiek wyobraża w Orient Expresie.

W Warsie do jedzenia jest: jajecznica, bułka z szynką /serem. Sałatka z pomidorów i cebulki. Żurek. Kotlet schabowy, medalion. Włoska piada. Kiełbasa, bigos, ale to chyba dla jakiś poważnych bulimików. Wszystko się zmieniło, ale charakter pisma, którym napisane są ceny w Warsie – nie. Eleganckie kartoniki, zagięte i oparte o produkty i na nich logo Wars i pisaczek z takim trochę ściętym po bokach pismem z domów towarowych w latach osiemdziesiątych. Ciekawe, kto to pisze.

Stoję chwilę przed barem i rozważam czipsy, ale jednak idę dalej, nie ma wolnych krzesełek, a stać przy tych ladach i tak tyłek do tyłu wypinać charakterystycznym wypięciem warsowym, to nie chce mi się. Idę dalej.
Już chcę usiąść gdzieś, już mam dosyć tej tułaczki, tego wiecznego nomada.

Dobra, w następnym przedziale jest miejsce pod oknem, co prawda siedzą jacyś trzej faceci i dziewczyna blond, ale może się tu przytulę na chwilkę i odpocznę.
Ale ta fanta w butelce plastikowej jeszcze z czymś najwyraźniej wymieszana, bo im się wszystkim podejrzanie oczy świecą i weseli są. No to już wiem, że spokoju nie zaznam, ale chwilowo nie mam gdzie dalej iść. Słucham. Właśnie wracają ze szkolenia w Krakowie.

Wiola, zdejmuj ten sweterek. Masz te mięśnie klatki piersiowej tak napięte – mówi jeden.
Powachluj ją – radzi drugi.
No, przy takim guziczku zapiętym mocno, to mocno trzeba wachlować – dodaje trzeci.
Trzeba jej ten sweterek odizolować od ciała.
Zrobić badania organoleptyczne.
Co ja jutro w pracy powiem? – chichocze Wiola.
Opowiesz o podróży, w pracy nie może być tylko praca, zabawa też musi być. Czyś ty się kiedyś spodziewała, że do Chin na szkolenie pojedziesz? – mówi pierwszy, najwyraźniej ich przewodniczący.

Nie.
No i masz.
A wy takie chojraki, bo was trzech, a ja jedna.
A ja bym chciał, żeby was było trzy, a ja jeden.
Ja bym wam pokazał.
Co?
Ja mam co pokazać, oj, mam.
A co ty myślisz, że rozmiar się liczy?
Oj, Wiola, jak ty sypniesz tekstem, to od razu...
No bo na co ty patrzysz, jak dziewczynę poznajesz?
Na jedną część ciała patrzysz? Czy na osobowość, na wygląd, o czym rozmawiacie, na co patrzysz?
No to co się liczy?
No mówiłam ci.
A, ten, ogień w oczach.
No.
Zaraz Darek, patrz, do Marty pisze, czy on ma ten ogień w oczach. Czy ja mam ten ogień w oczach, Wiola? W oczach to Darek ma teraz takie szwendacze, patrz jak po tamtych guziczkach jeździ.

O nie, to już ponad moje siły, muszę uciekać, nie dam rady ze szwendaczami. Pod ostrzałem komentarzy, że czemu, że jak to, że przecież pani taka miła, może drinka? idę dalej.

I widzę, wspaniały, pusty przedział, nie wiem jak się uchował w tym amoku pociągowym, jest piękny, czysty, z wygodnymi siedzeniami, siadam sobie przy oknie w kierunku jazdy, zdejmuję buty, rozkładam torebki, wyciągam z którejś moją lekturę pociągową, kolejną książeczkę ze lśniącą okładką, takie książeczki, co działają jak dobry serial, wciągają w świat pięknych ludzi w pięknym otoczeniu, ludzi, za którymi inni ludzie noszą torebusie i nie muszą jeździć pociągami, tylko mają swoje limuzyny i nawet odrzutowce, a ja do tego świata ani tak naprawdę nie chcę, ani o nim marzę, ale czytać o nim uwielbiam. Teraz mam nową wspaniałą powieść o córkach producentów w Los Angeles i ich problemach czy umawiać się z aktorami czy nie.

Jest przyjemny, ciepły kwietniowy piątek i jadę do Krakowa na odpoczynek. Za dwa dni będzie już mniej przyjemna kwietniowa niedziela i będę jechała do Warszawy do pracy. Kiedy będę już we Włochach, zacznie mnie lekko boleć brzuch – każdorazowy objaw wjazdu do Warszawy, która mimo wieloletniego mieszkania zawsze jest lekko stresująca i nie ma luzu i ten ból brzucha, taki rozlewajaco-nerwowy opanowuje mnie kompletnie, serce potem zaczyna bić szybciej, przypominam siebie wszystkie rzeczy, które mam zrobić i po raz milionowy myślę, że może jednak powinnam z powrotem przeprowadzić się do Krakowa i zostawić Warszawę, po co mi to.

Niedługo trwa moja przedziałowa samotność, wpadają żołnierze, stały element towarzyszący podróżom pociągowym, pięknie w chusty owinięci, haftowane, ale nie dla mnie ten rodzaj zabawy, zabieram znowu moje torebusie i uciekam dalej.

Nie mam za bardzo już gdzie dalej iść. Już wszystkie przedziały zobaczyłam. Co tam jeszcze zostało?

Już nie szukam idealnego przedziału, już mi wystarczy jakikolwiek, byle to miejsce do siedzenia nie na środku było.

Jest. Zupełnie normalny, ludzie obcy, zatopieni w gazetach albo śnie, jedna osoba zawsze zapatrzona w przestrzeń, nic nie czyta ani nie śpi przez trzy godziny podróży, wolne miejsce przy drzwiach, siadam po cichutku, torby upycham dookoła. Rozglądam się, czy jakieś upiory przeszłości się nie czają, Idealni Chłopcy, stare koleżanki?
Nie ma. Spokój.

Jadę.

Długo tak jeszcze?

Pisząc, miałam w pamięci książkę „Hymn demokratycznej młodzieży" Serhij Żadana, któremu dziękuję za inspirację.

Ich steige in den Zug Warschau – Krakau bzw. Krakau – Warschau. Seit 15 Jahren fahre ich nun schon mit diesem Zug. Ich kenne die Lautsprecheransagen der Schaffner auswendig, ich habe alle Umstrukturierungen und alle Preiserhöhungen der PKP[1] mitgemacht.

Heute habe ich ein verhältnismäßig hübsches Ziehköfferchen dabei, ein Zeichen der neuen Zeit, einen Laptop in einer Laptoptasche, ich habe meine derzeitige Tasche für alle Tage dabei, die ich mehr oder weniger alle drei Monate austausche in der Hoffnung, dass sich in meinem Leben etwas völlig Neues ereignen wird, ich habe ein paar Einkaufstaschen mit Büchern dabei, die ich von meinen Eltern nach Warschau bringe, wo ich mein eigenes Zuhause habe, und weil ich manchmal das Gefühl habe, dass das doch nicht mein Zuhause ist, schleppe ich die Bücher hin und her, weil ich schon selbst nicht mehr weiß, wo mein Zuhause ist.
Dann habe ich eine weitere Tasche mit Proviant aus Krakau oder mit Proviant aus Warschau dabei, für alle Fälle ist dann da noch die Kameratasche, ich habe eine große Kosmetiktasche, die jeweils abhängig davon, wie viel Geld ich gerade verdiene, mal größer, mal kleiner ausfällt. In jeder Tasche habe ich ein Handy, ich habe eine Jacke, einen Mantel, eine Mütze, einen Schlafsack, ich habe all diese Dinge, die ich seit 15 Jahren hin und herschleppe, weil ich mich die ganze Zeit nicht entscheiden kann, ob ich nun in Krakau oder in Warschau lebe, und das ist das Problem, weil das Leben in Warschau völlig anders ist als das Krakauer Leben, und ich bin es schon leid, mit diesen ganzen Sachen über den Bahnsteig zu hasten, denn schließlich muss man ja auch noch ein Buch für die Reise kaufen und dann noch einen Kaffee „to go", ganz amerikanisch, ach, und dann noch eine Zeitung, und vielleicht reicht es noch für die Fahrkarte, mir wird schon ganz heiß, und der Schal fällt mir runter, eine der Büchertüten öffnet sich und meine dieses Mal von Warschau nach Krakau transportierten Kindheitserinnerungen und die Schokoladenpapiersammlung aus den achtziger Jahren verstreuen sich über den Bahnsteig.
Ich habe auch schon einen Teppich, ein kleines Schränkchen, ein Fahrrad, Skier, ein Regalbrett,

© Elżbieta Lempp

einen Computer und einen Fernseher transportiert.

Ich schleppe an meinem Gepäck, dabei versuche ich schon seit Jahren erfolglos, mir den Stil einer modernen Reisenden zuzulegen, die alles Nötige in ihrem hübschen kleinen Köfferchen verstaut hat und mit ihrem schicken schwarzen Handy ins Wochenende fährt.

Währenddessen fällt mir der Beutel mit dem Reiseproviant herunter, eine Tasche geht auf, prall gefüllt mit dreckiger Wäsche, weil nur Mama in Krakau Pullover waschen kann, die Handys fallen auf den Boden, irgendjemand ruft an, es kommt eine Lautsprecherdurchsage, mir schwappt der Kaffee über, ich haste zum IC, der sich, so die Durchsage, in drei Stunden dem Ziel Krakau bzw. Warschau Hauptbahnhof nähern wird.

Weil ich mein eigenes System habe, mir einen Platz zu suchen, setze ich mich nicht gleich, selbst wenn ich eine Platzkarte habe, weil ich immer einen Platz suche, wo ich allein mit meinen ganzen Taschen im Abteil sitzen kann und niemand reden, mich angucken, ansprechen oder einen Apfel essen wird, dessen Gestank im Zug der schlimmste von allen ist.

So stehe ich also zunächst unbequem an der Toilette, eingezwängt vom Gepäck zu meinen Füßen, es taucht noch irgendein Kamerastativ auf, ich bete, bloß nicht das, bloß nicht das Stativ, ich warte, bis sich alle hingesetzt haben, weil wenn sich alle hingesetzt haben, kann ich damit beginnen, mir mein erträumtes leeres Abteil zu suchen. Es kommt vor, dass ich wegen meiner totalen Soziophobie auf der Suche nach dem idealen Abteil so lange den kompletten Zug ablaufe, bis ich schließlich da bin.
Der Zug fährt ab.

Ich hänge mir meine sämtlichen Taschen um und setze mich in Bewegung.

Es ist kein moderner Zug mit Großraumwagen, wie er manchmal auf der Intercitystrecke eingesetzt wird. Es ist ein normaler Zug mit Abteilen von Krakau nach Warschau bzw. von Warschau nach Krakau.

Ich mache mich daran, mir ein Abteil zu suchen.

Ich gehe in das erste und weiß sofort, dass dies ein Fehler war, denn am Fenster sitzt eine alte Bekannte, die nach Klatsch nur so lechzt und die ich um alles in der Welt nicht sehen möchte, weil gleich wird sie mich nach allem ausfragen, nach der Arbeit, wie viel ich verdiene, was meine Familie macht, wen ich getroffen habe und wen nicht und wer in letzter Zeit so unglaublich dick geworden ist. Lass mich bloß in Ruhe, ich verstaue mein Gepäck auf der Ablage und seufze resigniert. Bei mir läuft alles prima, ich pendle regelmäßig zwischen Warschau und Krakau bzw. Krakau und Warschau, lege mir neues Gepäck zu und fahre so vor mich hin, als ob ich Tony Soprano nie wirklich zugehört hätte: „There is no geographical solution for the emotional problem". Da sitzt meine Bekannte und plappert, ich seufze, höre zu, freundlich, was soll man machen, eine verlorene Fahrt, aber was soll man machen, ich habe mich damit arrangiert und denke, dass nun nichts mehr passieren kann, aber wie immer, wenn man so etwas denkt, verschlimmert sich alles um 100 Prozent.

Die Abteiltür öffnet sich, und es tritt mein Traummann ein, der, den ich schon seit Jahren heimlich liebe, das hat mir gerade noch gefehlt, und meine Bekannte redet und redet, und der Traummann, der so wie ich pendelt, daher auch unter anderem seine Vollkommenheit, kommt mit seinem Gepäck ins Abteil und leider, leider, leider mit seiner Freundin, was meine schlimmsten Befürchtungen bestätigt, denn nun muss ich mir noch zusätzlich zu meinen Einschlaf-Fantasien, in denen ich mir vorstelle, wie er mir seine Liebe gesteht, ein Szenario ausdenken, wie er sich von dieser Freundin trennt, ohne dass sich dabei jemand verletzt fühlt und damit ein schlechter Beigeschmack zurückbleibt.

Wir tauschen gegenseitig Nettigkeiten aus. Wie geht´s, was gibt es Neues, wie lief es denn neulich, wen hast du gesehen, eine Menge an gemeinsamen Themen. Mir kommen schon die Tränen, weil er mit jedem Wort und jeder Geste seine Vollkommenheit unterstreicht.

Wir fahren, ich – blass, dann rot, dann wieder blass, dann wieder rot – versuche meine Bekannte davon abzuhalten, in allen Einzelheiten zu erzählen, wann und wie man sich depiliert, aber sie lässt sich nicht davon abbringen, so dass mir nichts anderes übrig bleibt, als zu fliehen, weil ihr mein Traummann ganz sicher zuhört. Seine Freundin schnauzt ihn wegen irgendetwas an, ich bin so neugierig weswegen, ich bin so neugierig, wann ich ihn das nächste Mal treffen werde, weil immer treffe ich ihn nur für kurz und in Eile und schnell und weiß nie, wie weiter. Eine fürchterliche Fahrt, ein fürchterliches Abteil, es quält mich, ich sammle meine Taschen zusammen und flüchte.

Im Übrigen flüchte ich immer, wenn ich meinen Traummann treffe. Ich habe keine Ahnung, was passieren würde, wenn er sich mir urplötzlich offenbaren würde, wahrscheinlich würde ich auch dann vor ihm fliehen, denn wenn man merkt, dass die eigenen Träume Wirklichkeit werden, ist das immer überaus beängstigend.

Ich wechsle also in das nächste Abteil, wobei das erste eigentlich ideal war, wenn nur nicht meine Bekannte, und seine Freundin, so dass ich zusammen mit meinem Traummann nach Krakau bzw. Warschau hätte fahren und er mir bei meinem Gepäck hätte behilflich sein können.

Aber wie immer hilft mir niemand, ich wuchte meine Koffer ins nächste Abteil. Vielleicht das?

Hier herrscht Urlaubsstimmung, mich überfallen plötzlich Kindheitserinnerungen, weil die Leute hier mit ihren Kindern sitzen und essen. Ich setze mich, schaue ihnen eine Weile zu und erinnere mich daran, wie der Bahnhof früher den Beginn der Sommerferien ankündigte und nicht die nächste Arbeitswoche, ich erinnere mich, wie ich mitten in der Nacht von Mama aus dem Schlaf gerissen wurde, um aufzustehen, und wie uns mein Vater zum Bahnhof gebracht hat, wo schon der Schlafwagen nach Swinemünde wartete, Oma und Opa, meine beste Freundin mit ihrer Mutter, mein Bruder, alle machten es sich in ihren Abteilen bequem, und ich kämpfte um das oberste Bett. Opa musste man ausquartieren, weil er derart schnarchte, dass er das Rattern des Zuges übertönte, und meine Reisetasche voller Barbiepuppen und Ferienlektüre, mein Badeanzug aus Deutschland, den meine Eltern dann am Strand verloren haben und dem ich zwei Tage lang hinterher geweint habe. Meine Eltern haben diesen Verlust aufrichtig bedauert, denn mein Geheule war sehr ausdauernd.
Eingepacktes kaltes Hähnchen, Tomaten und hart gekochte Eier, alles so konkret und reisemäßig.

Das Abenteuer liegt noch vor uns, ein Monat am Meer, und wir werden für nichts verantwortlich sein, und nach den Ferien gehen wir erst in die vierte Klasse, und ich ahne nichts, absolut nichts davon, dass ich diesen Zeiten einmal leise hinterher weinen werde, weil es sie nie wieder geben wird, sie nie wiederkommen werden und es nie wieder solche Ferien geben wird, die zwei Monate dauern.

Ich möchte in diesem Abteil bleiben, mit Oma und Opa und Mama, und ans Meer fahren und nicht verantwortlich sein für meine ganzen Taschen, aber plötzlich kommt der Schaffner rein und sagt mir, dass ich daraus verschwinden soll.

Ich gehe weiter und weiter, an den Abteilen vorbei, und alle sind voll, nur manchmal ist noch der mittlere Platz frei, den niemand will und wo ich mit all meinem Gepäck keinen Platz haben würde. Ich gehe in ein anderes Abteil, das sogar leer ist, und setze mich hin und sehe, dass ich bereits dort sitze, am Fenster, aber irgendwie sehe ich anders aus, jünger, die Haare so komisch, gefärbt und kurz, in Klamotten aus den Neunzigern, der Blick trüb. Mir gegenüber sitzt in ein Buch versunken mein damaliger Liebster, den ich so sehr wie niemanden zuvor geliebt habe, ich sehe, wie ich dort sitze und ihn anschaue, und hätte heulen mögen. Achtlos legt er seine Hand auf meine ausgestreckten Beine, ich bemerke, wie mich ein Mädchen im Abteil neidisch anguckt, und sitze da mit stolz geschwellter Brust. Doch schnell flüchte ich aus diesem Abteil, ich will mich nicht so wie damals sehen, als seine Sklavin.

Ich setze mich ins nächste Abteil und weine meiner großen Liebe hinterher, während ich die ganze Zeit hoffe, dass, wenn mein Traummann endlich seine Freundin verlässt, die neue vollkommene Liebe sämtliche Erinnerungen und Ängste wird verschwinden lassen, so wie Milanówek verschwindet und Łuczyce (wo seit Jahren die Aufschrift zu lesen ist: „Łuczyce – Stadt des Business und des Sex") und der Tunnel ebenso verschwindet wie der Intercity der PKP.

In einem fort immer diese Gedanken über die Liebe und die Liebe, kotzen könnte ich davon, ich reiße mich los und flüchte erneut, wie immer, am leichtesten ist es zu fliehen, nur die ganzen Taschen mit meinen Sachen werden immer schwerer, ich fühle mich schon wie dieser Typ im Film von Buñuel, der Bischöfe und eine Ziege hinter sich herzieht, ich schleppe mich weiter, betrete ein neues Abteil, und da sitzt meine Bekannte, die ich ja so dringend treffen wollte, und wartet auf mich und meint vorwurfsvoll, na, wo ich denn gewesen wäre, denn wie lange kann man sich schon in so einem Zug herumtreiben!

Ich falle erleichtert auf einen Sitz, wir sind allein im Abteil, wir lachen, ich spüre, dass wir nicht zur Arbeit fahren, sondern nur auf Reisen sind, und wir packen Unmengen von Proviant aus, es ist ein paar Jahre früher, wir fahren in die Berge oder ans Meer, wir haben Brot, Butter, Gurken, Schinken, Honig, Senf und dunkle Schokolade da-

© Elżbieta Lempp

bei, es gibt verschiedene Schokoriegel, Rote Bete, Käse, getrocknete Tomaten und diese Brötchen auf indische Art mit Omelett belegt.

Es ist eine gute Art zu leben, wenn man wie die Schnecken immer sein eigenes Haus dabei hat, und bestärkt mich darin, nicht umsonst immer mein Gepäck mit mir herumzuschleppen, denn so kann ich mich überall gleich wie zu Hause fühlen.
Aber plötzlich geht der Proviant zur Neige, so plötzlich wie alles auf dieser Reise. Ich verstaue den Rest Brötchen und muss gehen. Die Fahrt kehrt zur Normalität zurück, jeder Spaß muss schließlich auch mal ein Ende haben.

Plötzlich stellt sich heraus, dass ich eine weitere Tasche in der Hand habe, so eine große, und diese Tasche ist voller Geschenke. Ich sitze jetzt im Weihnachtsabteil.
Die Atmosphäre ist anders, und das bewirkt nicht nur der Schnee vor dem Fenster. Wir reisen nicht so nervös. Wir fahren nach Hause. Es ist der Zug NACH Krakau. Nicht mehr lange und ich werde zu Hause bei meinen Eltern auf dem Sofa liegen, neben mir ein Teller Sauerkraut mit Erbsen, den ich bedenkenlos essen darf. Daneben auf dem anderen Sofa wird mein Bruder mit seiner Portion Sauerkraut mit Erbsen oder Mohnklößen liegen, und wir werden uns überhaupt nicht streiten, sondern nur einträchtig und feiertäglich die Komödie „Schöne Bescherung" anschauen. Der Weihnachtsbaum daneben wird an einer Seite eine kahle Stelle haben.

Das ist die einzige Konstante im Leben, deshalb gibt es überhaupt Weihnachten, allein um irgendwie einmal diesen skandalösen Drang nach Veränderung zu bändigen, dieses fürchterliche Verändernwollen von allem.
Diese ständige Hektik, die einem wer weiß was bringt.
Sie bringt einem wer weiß was, aber am 24. ist zumindest Heiligabend, und da muss es Geschenke geben.
Zum Glück.

Ich betrete das Abteil, setze mich hin und lächle die Mitreisenden an. Und sie sind gleichfalls nett, da stört es mich auch schon nicht mehr, dass ich auf dem mittleren Platz mit dem Rücken zur Fahrtrichtung sitze und es für mein Gepäck keinen Platz gibt. Ich fahre zu der einzigen Konstante in meinem Leben. Endlich. Ich atme fast erleichtert auf.

Bis plötzlich irgend so eine Frau reinkommt und sagt, dass das ihr Platz sei, und ihre Platzreservierung vorzeigt. Und ich muss leider diese Lebkuchen-Nussknacker-Stimmung verlassen. Wenn es in ein paar Tagen wieder in die andere Richtung geht, wird davon kaum noch etwas übrig geblieben sein, stattdessen bloß so eine unbestimmbare Traurigkeit und die Rückkehr zur Arbeit, nach Hause, ins Erwachsenenleben. Das unabhängige.

Ich gehe in den Wars[2].

Himmel, in diesem Wars muss man an so hohen Tischen stehen, weil es bislang nur selten solche Tischchen gibt, wie man sie sich vielleicht im Orient Express vorstellen würde.

Im Wars gibt es: Rührei, Brötchen mit Schinken/Käse. Tomatensalat mit Zwiebeln. Saure Mehlsuppe. Kotelett, Schweinsmedaillon. Italienische Piadina. Deftige Wurst, Bigos, aber das ist wohl was für irgendwelche hoffnungslosen Bulimiker. Im Wars hat sich alles verändert, außer den Preisschildchen. Aus edlem Karton, geknickt und säuberlich an die Waren gelehnt, darauf das Wars-Logo und die Aufschrift, die an den Rändern ein wenig schräg ausläuft so wie in den Kaufhäusern der achtziger Jahre.
Ich frage mich, wer das wohl schreibt.
Ich stehe eine Weile an der Bar und überlege, ob ich mir vielleicht Chips kaufen soll, verzichte dann aber doch, weil es keine freien Plätze mehr gibt, denn dazu, so typisch warsmäßig mit rausgestrecktem Hintern am Tresen zu sitzen, habe ich keine Lust. Ich gehe weiter.
Allmählich will ich mich einfach nur noch irgendwo hinsetzen, ich habe genug von diesem Herumwandern, diesem ewigen Nomadentum.
Also gut, im nächsten Abteil ist der Fensterplatz frei.
Zwar sitzen noch drei Männer und eine Blondine im Abteil, aber vielleicht kann ich mich hier für einen Moment verkriechen und ausruhen. In der Fanta scheint ganz offensichtlich noch etwas anderes zu sein, denn ihre Augen glänzen doch sehr verdächtig, und sie sind außerordentlich guter Laune. Ok, ich merke schon, dass ich hier auch keine Ruhe finden werde, aber ich weiß im Moment auch nicht, wo ich sonst hingehen könnte.
Ich höre zu. Sie kommen gerade von einer Fortbildung in Krakau zurück.

Wiola, zieh diesen Pullover aus. Dein kräftiger Brustkorb fühlt sich da so eingezwängt, sagt einer.
Fächel ihr ein wenig Luft zu, rät der andere.
Na, so stramm geknöpft, da muss man schon heftig fächeln, sagt der dritte.
Man muss ihr diesen Pullover vom Körper isolieren.
Organoleptische Untersuchungen durchführen.
Was sage ich morgen nur auf der Arbeit?, kichert Wiola.
Du wirst von der Reise erzählen, auf der Arbeit kann nicht immer nur alles Arbeit sein, ein bisschen Spaß muss auch sein. Hättest du je vermutet, dass du einmal nach China zur Weiterbildung fährst?, sagt der erste, offensichtlich ihr Wortführer.
Ne.
Na, siehst du.
Und ihr seid mir ein paar Draufgänger, ihr seid zu drit, und ich bin nur allein.
Und ich wünsche mir, dass ihr drei wärt und ich allein.
Ich würd' s' euch zeigen.
Was?
Na, ich hab was vorzuzeigen.
Ach, denkst du, allein die Größe zählt?
Wiola, was du für einen Blödsinn quasselst, da kann man gleich …
Na, wohin guckst du denn, wenn du ein Mädchen kennenlernst? Nur auf eine Stelle? Siehst du den Menschen oder nur das Äußere, worüber redet ihr denn, und wohin guckst du dann?
Na, und das zählt?
Ja klar.
Guck mal, der da, der hat dieses gewisse Etwas im Blick.
Ja.
Pass mal auf, gleich wird Darek Marta schreiben, ob er dieses gewisse Etwas hat. Und wie steht's mit mir, Wiola?
Darek hat jetzt auf jeden Fall so einen Spannerblick, guck mal, wie er auf diese Knöpfe abfährt.

Oh nein, das geht eindeutig über meine Kräfte, ich muss hier raus, mit Spannern komme ich nicht klar. Unter einer Flut von Kommentaren, dass ach wie, warum denn, Sie sind doch so eine Süße, vielleicht auch einen Schluck?, ziehe ich weiter.

Und da entdecke ich ein fantastisches, leeres Abteil, ich habe keine Ahnung, wie es diesen Amoklauf im Zug hat unbeschadet überstehen können, es ist schön, sauber, mit bequemen Sitzen, ich setze mich in Fahrtrichtung ans Fenster, ziehe die Schuhe aus, verteile mein Gepäck und schnappe mir aus einer der Taschen meine Reiselektüre, wieder mal so ein Büchlein mit glänzendem Umschlag, solche Bücher, die wie eine gute Serie funktionieren und schöne Menschen in schöner Umgebung hervorbringen, Menschen, denen andere Menschen ihre Koffer tragen und die nicht mit dem Zug fahren müssen, sondern ihre eigenen Limousinen und sogar Privatjets haben. Weder will ich dieses Leben selber führen noch träume ich davon, aber davon zu lesen, genieße ich. Jetzt habe ich gerade einen neuen, herrlichen Roman über Produzententöchter in Los Angeles und ihre Probleme, ob sie sich mit den Schauspielern nun verabreden sollen oder besser nicht.
Es ist ein angenehmer, warmer Freitag im April, und ich fahre nach Krakau, um mich zu erholen. In zwei Tagen wird es ein weit weniger angenehmer Sonntag im April sein, und ich werde nach Warschau zur Arbeit fahren.

Sobald ich durch Włochy komme, bekomme ich leichte Bauchschmerzen – das regelmäßige Zeichen, dass ich bald in Warschau ankommen werde. Obwohl ich schon so viele Jahre dort wohne, ist es immer noch mit leichtem Stress verbunden, es gibt keine Entspannung, und diese Bauchschmerzen, die sich in so einer nervösen Welle ausbreiten, beherrschen mich völlig, das Herz beginnt schneller zu schlagen, mir fallen all die Dinge ein, die ich tun muss, und ich denke zum Hunderttausendsten Mal, dass ich zurück nach Krakau ziehen und Warschau Warschau lassen sollte, was hab ich davon.

Meine Einsamkeit im Abteil ist nur von kurzer Dauer, Soldaten fallen ein, ein fester Bestandteil von Zugreisen, sie sind gar hübsch eingehüllt in ihre gestickten Entlsungs-tücher, aber diese Art von Spaß, das ist nichts mehr für mich, ich packe meine Sachen und ziehe weiter.

Langsam weiß ich nicht mehr so recht, wo ich noch hingehen soll, ich habe schon sämtliche Abteile gesehen.
Was bleibt dann noch?

Aber ich bin schon längst nicht mehr auf der Suche nach dem perfekten Abteil, mir würde nun schon irgendeins reichen, Hauptsache, ich muss nicht auf dem Mittelplatz sitzen.

Da ist eins. Vollkommen normal, fremde Leute, die in ihre Zeitungen vertieft sind oder schlafen, einen gibt es immer, der ins Leere guckt, weder liest noch schläft während der drei Stunden Fahrt, ein freier Platz an der Tür, ich setze mich leise hin, verstaue meine Taschen ringsherum. Ich schaue mich um, ob irgendwelche Gespenster der Vergangenheit auftauchen, irgendwelche Traummänner oder alte Freundinnen? Niemand. Frieden.

Ich fahre.

Ist es noch weit?

Beim Schreiben hatte ich das Buch „Hymne der demokratischen Jugend" von Serhij Zhadan im Kopf, dem ich für die Inspiration danke.

[1] Abkürzung für die polnische Eisenbahngesellschaft (Polnische Staatsbahnen AG).
[2] Wars – Speisewagen der polnischen Bahn.

[Übersetzung: Bettina-Dorothee Mecke]

Я сідаю у поїзд „Варшава-Краків” або „Краків-Варшава”.
Уже п’ятнадцять років я постійно їжджу цим потягом. Я знаю напам’ять усе, що говорять із репродукторів, я пережила всі реформи польських державних залізниць і всі підвищення цін на квитки.

Сьогодні я маю зі собою більш-менш пристойну валізку на коліщатах – ознаку нового часу, лептоп у спеціальній торбі, маю свою актуальну торбинку, яку міняю приблизно раз на три місяці з надією на поважніші зміни у житті, маю кілька сумок, книжки, які з дому своїх батьків везу до Варшави, де маю власний дім, а оскільки я деколи відчуваю, що він усе ж таки не є моїм домом, то тягаю ці книжки сюди й туди, бо сама вже не знаю, де мій справжній дім. Маю ще одну торбу – з харчами, купленими у Кракові, або з харчами, купленими у Варшаві, маю – про всяк випадок – чохол із фотоапаратом, маю велику косметичку, яка збільшується або зменшується залежно від того, скільки я на даний момент заробляю.
Я маю по мобілці у кожній кишені, маю куртку, пальто, шапку, спальник, маю всі ці речі, які вже п’ятнадцять років вожу туди й назад, бо протягом усього цього часу не можу вирішити, де я насправді мешкаю – у Кракові, чи у Варшаві, а це проблема, бо життя у Варшаві – це щось зовсім інше, ніж у Кракові, і я дуже втомилася тягатися з тими всіма речами по перону, а ще ж треба купити книжку в дорогу, прихопити з собою каву „американо”, а ще газетку, а може, навіть удасться купити квиток, і мені вже душно, а шалик сповзає, одна торба розривається, пам’ятки мого дитинства, які я цього разу везу до Варшави, висипаються, і колекція шоколадних обгорток, зібрана у вісімдесяті роки, розлітається по перону. А ще я возила килим, маленьку шафку, велосипед, лижі, прасувальну дошку, комп’ютер і телевізор.

Я пхаю перед собою багаж, роками марно намагаюся увійти в образ сучасної мандрівниці, яка вміщає у симпатичній маленькій валізці все, що їй потрібно, і їде на вихідні з елегантним чорним мобільним телефоном.

Тим часом у мене з рук випадає торба з харчами, розстібається інша торба, набита брудним одягом, бо тільки Мама у Кракові вміє прати светри, випадають телефони, хтось дзвонить, хтось верещить у мегафон, у мене розливається кава, я біжу до свого швидкого потяга, яким, якщо вірити кондукторові, ми через три години прибудемо до станції Краків Головний або до станції Варшава Центральна.

Але оскільки в мене є своя система займати місце в поїзді, я не сідаю одразу, навіть якщо маю квиток із конкретним місцем, бо весь час шукаю можливості опинитися самій в купе зі своїми торбинками, де ніхто не буде торохтіти, витріщатися, звертатися до мене з питаннями, їсти яблука, які найогидніше у світі завжди смердять у поїзді.

Отож я спочатку стою біля туалету, торби плутаються у мене під ногами і страшенно заважають, звідкілясь з’являється ще якийсь штатив від камери, я благаю: тільки не це, тільки не штатив, чекаю, поки всі повсідаються, бо якщо всі повсідаються, я зможу розпочати пошуки свого омріяного порожнього купе. Іноді моя абсолютна соціофобія змушує всю дорогу тинятися по вагонах у пошуках ідеального купе, аж поки потяг не прибуде на кінцеву станцію.
Потяг рушив.
Я чіпляю на себе всі свої торби і йду.

Це не той сучасний потяг, у якому вагони не розділені перегородками і який періодично курсує за цим маршрутом. Це поїзд зі звичайними вагонами, у кожному купе якого по шість сидячих місць: потяг із Кракова до Варшави або з Варшави до Кракова.

Я йду шукати купе.

Заходжу до першого й одразу розумію, що нічого гіршого трапитися не могло, бо біля вікна сидить моя жадібна до пліток знайома, котрої я давно не бачила й котру мріяла зустріти найменше з усіх у світі, бо зараз вона почне розпитувати про все: про роботу, про зарплату, про родину, кого я бачила, а кого ні, і хто з них жахливо розтовстів? Тільки не чіпай мене, я розпихаю свій багаж по поличках, скрушно зітхаю.

У мене все чудово, я катаюся собі з Варшави до Кракова або з Кракова до Варшави, купую нові торби, їжджу собі, ніби ніколи і не слухала Тоні Сопрано, який чітко сказав: „There is no geographical solution for the emotional problem” (для емоційних проблем не існує географічних рішень). Ця знайома сидить і торохтить, я зітхаю, слухаю, уся така ввічлива, ну, нічого не зробиш, подорож зіпсута, але нічого, я змирилася з цим і думаю, що це вже всі неприємності, але, як завжди після таких наївних думок, ситуація погіршується на сто відсотків.

Двері відчиняються й заходить Ідеальний Хлопець, котрого я потаємно кохаю вже кілька років, і справді, тільки цього мені й бракувало, бо подруга торохтить і торохтить, а Ідеальний Хлопець, який теж їздить туди-сюди так само, як я, і в цьому, зокрема, полягає його ідеальність, заходить із торбами і, на жаль на жаль, на жаль, поряд із ним дівчина, що підтверджує мої найжахливіші побоювання про те, що крім марень перед сном про момент, коли він нарешті освідчиться мені, я ще мушу вигадати сценарій, у якому він розлучається зі своєю дівчиною так, аби ніхто не постраждав і ні в кого не залишилося неприємного осаду.

Ми обмінюємося привітаннями. Що чути, а що в тебе, що нового, а кого ти бачила, багато спільних тем. Мені вже сльози набігають на очі, бо він кожним словом і жестом підтверджує свою ідеальність.

Ми їдемо, я бліда, червона, знову бліда, знову червона, намагаюся переконати подругу опустити подробиці про місячні та способи депіляції, але вона не здається і мені нічого іншого не зостається, як утекти, бо Ідеальний Хлопець напевно нас слухає.

© Elżbieta Lempp

Його дівчина за щось йому дорікає, мені так цікаво, за що саме, цікаво, коли я знову його зустріну, бо я завжди зустрічаю його на мить, коли біжу, поспішаю, і не знаю, що далі. Жахлива поїздка, жахливе купе, це все для мене нестерпно, я згрібаю свої торбинки й утікаю.

Зрештою, я завжди тікаю, коли бачу Ідеального Хлопця. Не знаю, що було би, якби він несподівано мені освідчився, я теж, мабуть, утекла би, побачивши, як мрія стає реальністю, це завжди дуже страшний момент.

Отож я переходжу до наступного купе, воно було б ідеальним, якби не моя знайома, якби не та дівчина, якби ми разом з Ідеальним Хлопцем їхали до Кракова чи до Варшави, і він допомагав би мені з моїм багажем.

Але мені знову ніхто не допомагає, я волочу свої валізки до наступного купе. Може, ось це?

А там панує настрій канікул, аж мене починають атакувати дитячі спогади, бо всі з дітьми і всі їдять, а я на хвилинку присідаю. Дивлюсь і згадую, як колись вокзал був обіцянкою канікул, а не чергового робочого тижня, і як Мама будила мене серед ночі, я вставала, і Батько відвозив нас на вокзал, де на нас уже чекав спальний вагон до Свиноустя, Бабуся й Дідусь, і найкраща подружка зі своєю Мамою, і мій брат, всі ходили в гості одне до одного в купе з лежачими місцями, а я виборювала найвищу полицю. Дідуся доводилося відокремлювати, бо він хропів так, що перекривав стукіт коліс, і моя канікулярна торба, напхана ляльками Барбі та книжками на літо, купальник із Німеччини, який мої батьки загублять на пляжі, і за яким я плакатиму цілих два дні, і вони дуже шкодуватимуть за цією згубою, бо плакала я без упину. Курка у фользі, помідор і варене яйце, такі неминучі й такі подорожні.

Попереду пригода, місяць на морі, й у нас нема жодних обов’язків, а після канікул ми йдемо тільки до четвертого класу, і я ще зовсім нічого не знаю про те, що колись тихенько плакатиму за тими часами, яких ніколи вже не буде і які ніколи більше не повернуться, і канікул, що тривають два місяці, у мене теж більше ніколи вже не буде.

Я хочу зостатись у тому купе з Бабусею й Дідусем, і з Мамою, і їхати на море, й не мати жодних обов’язків стосовно всіх своїх сумок, але раптом приходить кондуктор і наказує мені вимітатися звідти.

Я йду далі й далі, минаю переповнені купе, у яких лише іноді трапляються вільні місця посередині, на ці місця ніхто не претендує, й ніде немає місця для мене й мого багажу, я заходжу до ще одного купе, яке навіть порожнє, й сідаю, і бачу, що я вже там сиджу, але якась дивна, молодша, з чудернацьким волоссям, коротким і фарбованим у кольорові пасма, одяг фасону дев’яностих років і тривожний погляд. Навпроти мене сидить занурений у книжку тодішній коханий, якого я любила як нікого досі,

я бачу, що я сиджу і дивлюся на нього, і мене аж на сльозу пробиває. Він недбало кладе руку на мої випростані до нього ноги, я бачу, що якась дівчина в купе заздрісно дивиться на мене, і ледве не лускаю від гордощів. Але я швидко тікаю з того купе, бо не хочу дивитися на себе таку, дивитись, як я була його рабинею.
Я сідаю в наступному купе і плачу над своїм найбільшим коханням, і при цьому вірю, що коли нарешті Ідеальний Хлопець покине свою дівчину, то нове ідельне кохання дозволить усім спогадам і страхам зникнути, як зникає зараз Мілянувек, як зникають Лучиці (де вже роками не зникає напис: „Лучиці – місто сексу та бізнесу", як зникає Тунель, як зникають зустрічні експреси.
У голові постійно одні й ті ж думки про кохання, і знову про кохання, я вже ледве не блюю, зриваюся з місця і знову тікаю, як завжди, бо тікати найлегше, тільки торбинок із речами прибуває, я вже починаю почуватись, як той герой із фільму Бунюеля, що тягав за собою єпископів і козу, волочуся, заходжу до нового купе, а там сидить моя подруга, котру я якраз дуже хотіла зустріти, й чекає на мене, й докірливо каже: ну де ж ти була, скільки можна блукати по цьому поїзді!

Я з полегшенням падаю на сидіння, ми самі в купе, сміємось, я відчуваю, що ми їдемо не на роботу, а у подорож, витягаємо з торбинок купу харчів, і час повернувся на кілька років назад, ми їдемо в гори чи на море, у нас є хліб, масло, огірки, шинка, мед, гірчиця, гіркий шоколад, у нас є всілякі шоколадні батончики, салат із бурячків, сирочки, сушені помідорчики й сендвічі з омлетом за індійським рецептом. Тягати хатку на горбі за равликовим методом є гарним способом життя, який переконує, що я недарма завжди ношу зі собою свій багаж, бо завдяки йому скрізь можна почутись як удома. Але харчі несподівано скінчились, як несподіване усе в цій поїздці.
Я ховаю недоїдені сендвічі й мушу знову йти.
Подорож повернулася до норми, бо все приємне ніколи не триває занадто довго.
Раптом виявляється, що у мене в руках іще одна торба, велика-превелика, а в торбі повно подарунків. Тепер я у різдвяному купе. Тут інша атмосфера, і її створює не тільки сніг за вікном. Ця дорога вже не така нервова. Ми їдемо додому. Це потяг ДО Кракова. Уже скоро настане та мить, коли я лежатиму на дивані в рідному домі, біля мене буде тарілка капусти з горохом, яку я зможу безкарно наминати. Поряд, на іншому дивані, лежатиме мій брат зі своєю порцією капусти з горохом або галушками з маком, і ми жодного разу не посваримося, тільки дружно й урочисто насолоджуватимемося комедією „Свята у кривому дзеркалі". Ялинка, що поряд, буде з одного боку лиса.

Це єдина константа, зимові свята взагалі влаштовуються задля того, щоб якось приборкати ці скандально-стрімкі, страшні зміни в усьому.
Цей одвічний рух, який невідомо що нам принесе.
Невідомо що принесе, але принаймні двадцять четвертого грудня завжди буде Святвечір і мусять бути подарунки. На щастя.

Я заходжу й сідаю у цьому купе, посміхаюся до подорожніх. І вони теж якісь такі всі симпатичні, мене навіть більше не дратує, що я їду на середньому місці спиною до руху поїзда, що тут нема де поставити мої торби. Я їду до єдиної константи в житті. Нарешті. Зітхаю майже з полегшенням.
Аж раптом заходить якась тітка і каже, що це її місце, й демонструє свій квиток. І я, на жаль, утікаю з цієї атмосфери шопки та дідуха. Коли я їхатиму назад, тут не залишиться навіть сліду від дідуха, тільки повсюдний смуток і повернення на роботу, додому, до дорослого життя. Самостійного.
Я йду до вагона-ресторану.
О Боже, тут треба стояти, спираючись на високі столики, бо лише зрідка трапляються такі, які людина уявляє собі у Східному Експресі.

Меню вагона-ресторану пропонує: яєчню, бутерброд із сиром/шинкою, салат із помідорів та цибулі. Журек. Свинячу відбивну, біфштекс. Піту по-італійськи. Ковбасу, біґос, але це, мабуть, для якихось важкохворих із діагнозом „булімія". Усе змінилось, окрім почерку, яким написано ціни у вагоні-ресторані. Елегантні цінники, зігнуті навпіл і прикріплені до продуктів, а на них логотип мережі, і – фломастером – такий трохи похилий почерк, як в універмагах вісімдесятих років. Цікаво, хто це пише?
Я хвилину стою перед баром і приміряюся до чіпсів, але все ж таки йду далі, вільних стільців нема, а стояти за тим баром і випинати задок у такому типовому вагонно-ресторанному вигині я не бажаю. Іду далі.
Я вже хочу десь присісти, з мене вже досить тих блукань, цього вічного кочування.
Ура, в наступному купе є місце біля вікна, щоправда, тут уже сидять троє якихось типів і одна блондинка, але може я тут хоч на хвильку притулюсь і перепочину. Однак до „фанти" у пластиковій пляшці, очевидно, намішано щось іще, бо в них блищать очі й усім підозріло весело. І тому я вже знаю, що не знайду тут спокою, та мені тимчасово нікуди далі йти. Слухаю. Вони повертаються з бізнес-семінару в Кракові.

– Віоло, зніми цей топ. У тебе так напружилися м'язи грудної клітки, – каже один із них.
– Пообмахуй її, – радить другий.
– Коли цей ґудзичок так міцно застібнутий, він замахається її обмахувати, – додає третій.
–Треба відділити цей топ від її тіла.
– Провести їй сеанс мануальної терапії.
– Що я завтра скажу на роботі? – хихоче Віола.
– Розкажеш про поїздку, на роботі не можна тільки працювати, треба й розважатися. Хіба ти колись сподівалася, що поїдеш на тренінг до Китаю?
– каже перший, імовірно, начальник.
– Ні.
– Ну, бачиш.
– А ви такі круті, бо вас троє, а я одна.
– А я хотів би, щоби вас було троє, а я один.
Я тоді вам показав би.
– Що?
– Мені є що показати, ой є.
– А ти вважаєш, що розмір це головне?
– Ой, Віоло, ти як щось ляпнеш, то в мене одразу…
– Ну, а на що ти дивишся, коли знайомишся з дівчиною? Тільки на одну частину її тіла?
Чи на її особистість, зовнішність, про що ви розмовляєте, на що ти дивишся?
– Ну, і що тоді головне?
– Я ж тобі вже казала.
– Ага, цей, як його, вогонь у очах.
– Ну.
– Диви, зараз Дарек пише до Марти есемеску, чи є в неї вогонь в очах? А в мене є вогонь в очах, Віоло?
– У Дарека в очах зараз такі блуди, диви, як він бігає по тих ґудзичках.
О ні, це вже понад мої сили, я мушу тікати, ці блуди не для мене. Під обстрілом коментарів: ну чому, ну як це так, ну ви ж така симпатична, може, по ковточку, я йду далі.

І бачу: чудове порожнє купе, що не знати як уціліло в цьому поїздному божевіллі, воно гарне, чисте, зі зручними сидіннями, я вмощуюся біля вікна за напрямком руху, скидаю взуття, розкладаю торбинки, виймаю з однієї своє дорожнє чтиво, книжечку з блискучою обкладинкою, такі книжечки діють як добрий телесеріал, затягують до світу красивих людей серед красивих декорацій, людей, за котрими інші люди тягають їхні торби й котрі не мусять їздити в поїздах, бо мають свої лімузини і навіть реактивні літаки, а я насправді не хочу ні того світу, ні мрій про нього, зате обожнюю про нього читати.
Зараз у мене новий прекрасний роман про життя дочок продюсерів із Лос Анджелеса та про їхні проблеми: йти на побачення з актором, чи краще відмовитися. Надворі приємна тепла квітнева п'ятниця, і я їду до Кракова відпочивати. За два дні буде вже не така приємна квітнева неділя, і я їхатиму до Варшави на роботу.

Коли я вже буду в дорозі, у мене трохи поболить живіт – традиційний страх перед поїздкою до Варшави, яка, попри те, що я багато років там живу, завжди заганяє мене у стрес і жодної тобі розрядки, і той біль у животі, що потроху розливається суцільною невралгією по тілі й опановує мене цілком, потім серце починає калатати швидше, я згадую всі справи, які мушу зробити, і в стотисячне думаю, що, можливо, я все ж таки мушу переїхати назад до Кракова
й лишити ту Варшаву, бо нащо мені це все.
Моє перебування наодинці з купе триває недовго, заходять солдати, сталий елемент залізничних переїздів, наче мальовані, діти ластів'яні, але цей варіант гри не для мене, я знову згрібаю свої торби і тікаю далі.

Іти далі вже майже нікуди. Я вже обдивилася всі купе. Що там іще попереду?

Я вже не шукаю ідеального купе, я вже згодна на будь-яке, тільки б не місце посередині.

Є. Цілком нормальне, незнайомі люди, котрі занурились у газети або в сон, один пасажир, як завжди, втупився у простір, нічого не читає і не спить протягом усіх трьох годин дороги, вільні місця біля дверей, я тихенько сідаю, розпихаю торби довкола себе. Обдивляюся, чи не причаїлися тут якісь привиди з минулого, Ідеальні Хлопці, давні подруги? Нема.
Спокій.
Їду.

Чи довго так іще?

Написано під враженням книжки „Гімн демократичної молоді" Сергія Жадана, якому я дякую за натхнення.

[Переклад: Лариса Андрієвська]

Joanna Pawluśkiewicz (1975, Polska) – pisarka, zajmuje się także produkcją filmową i telewizyjną, współprowadzi fundację filmową Moma Film. Prozę publikowała między innymi w „Ha!arcie" i „Lampie". Mieszka w Krakowie. Stypendystka programu Homines Urbani w Willi Decjusza w październiku 2009.

Bibliografia
- *Pani na domkach* (Ha!art, Kraków 2006)
- *Telenowela* (Ha!art, Kraków 2007)

Joanna Pawluśkiewicz (1975, Polen) – Schriftstellerin, arbeitet bei Film- und Fernsehproduktionen und ist im Vorstand der Filmstiftung Moma Film. Prosaveröffentlichungen unter anderem in den Zeitschriften „Ha!art" und „Lampa". Sie lebt in Krakau. Stipendiatin des Programms Homines Urbani der Villa Decius im Jahr 2009.

Bibliographie
- *Haushaltshilfe* (Ha!art, Krakau 2006)
- *Soap* (Ha!art, Krakau 2007)

Йоанна Павлюськевіч (1975, Польща) – письменниця, займається також кіно- і теле-продукцією. Вона співорганізатор Фільмового фонду – Moma Film (Мома Фільм). Свою прозу публіковала зокрема у „Ha!art" та „Lampa". Живе у Кракові. Протягом жовтня 2009-го була стипендіаткою програми "Гомінес Урбані" у Віллі Деціуша.

Бібліографія
- *Прибиральниця* (Ha!art, Краків 2006)
- *Телесеріал* (Ha!art, Краків 2007)

DIE HAND ERZÄHLT VOM DAUMEN DŁOŃ OPOWIADA O KCIUKU ДОЛОНЯ ОПОВІДАЄ ПРО ВЕЛИКИЙ ПАЛЕЦЬ

auszug fragment фрагмент

ICH BIN NACKT ZU DEN LIPIZZANERN GESTIEGEN.
Plav und Nicole lagen nebeneinander im Bett unter der Glühbirne, die von der Zimmerschräge hing. Die Hengste haben mit den Hufen die Erde aufgekratzt. Die Köpfe gehoben und gesenkt und gewiehert. Die Farbe ist ihnen aus dem Fell geschimmelt. Sind sie nicht weiß von Geburt an, fragte Nicole. Plav fasste sie am spuckefeuchten Kinn. Erst sind die Lipizzaner schwarz oder braun, dann weiß und alt. Plav jauchzte vor Lachen. Ich war noch ein Kind, trotzdem sind die Lipizzaner weiß vor Neid geworden. Er schob den Finger zwischen ihre Lippen. Schmerzt das nicht, fragte Nicole, als Plav nach der Glühbirne griff. Es wurde dunkel und wieder hell. Plav rief: Du neidest mir die Lebensfreude! Er zog die Hand von der Glühbirne zurück, sagte: Ich hab deine Wimpern gehört, als du die Augen geschlossen hast. Er tippte ihr gegen die Stirn. Ich habe mir nur die Augen verblendet, sagte sie. Nicole streckte sich aus und wurde hart.
Ich schmecke Zwiebeln und Knoblauch von deinen Slawenfingern. Plav roch an den Fingerspitzen.
Das riecht nach deinem Arsch.
Plav zog ihr die Decke vom Körper. Er saß im Schneidersitz nackt vor ihr, den Tabakbeutel im Schoß und leckte das Zigarettenpapier. Nicole drückte die Knie zusammen und rieb ihre Zehen aneinander. Plav schob sie mit dem Fuß vom Bett, sie zog die Wolldecke mit sich. Als sie versuchte zurückzuklettern, streckte er den Fuß nach ihrem Gesicht. Er zündete die Zigarette mit dem Streichholz an. Mit einem Mal warf er das blaue Kissen nach ihr. Bleib unten! Er schlug sich mit der Faust gegen die Brust. Immer liegst du da wie eine Holzplanke, du bist trocken wie Laub! Nicole drückte sich die Strähnen zurück, die ihr das Kissen von der Stirn geschlagen hatte. Soviel wie wir, ist es ein Wunder, dass ich nicht schwanger bin.
Plav spreizte die Finger über dem Kopf zu einem Hahnenkamm. Ich bin wie der Hahn, der braucht drei Hühner, sonst fickt er sie tot.
Als Kind habe er es gemocht, auf dem Sofa zu schlafen. Die Federn durch das Polster zu spüren. Auf einer Maschine zu liegen. Plav gab der Glühbirne einen Stoß, sie pendelte über ihren Gesichtern hin und her. Mama hat geruhen. Ich bin vom Sofa gestiegen. Sie lag mit Jörg im Bett und hat geraucht. Ihre Füße standen über. Für Jörg war Platz genug —er hatte noch nach oben und unten Luft. Plav lachte und ließ Nicole einen Zug von der Zigarette nehmen. Mamas Hand, mit der Zigarette, ist hin und her gewandert. Die Finger, mal auf ihren, mal auf seinen Lippen. Plav gab der Glühbirne einen Stoß, sie zerteilte den Qualm und zog die Wirbel lang. *Stranišče je sadelano!* Damit habe ihn Mutter ins Bad geschickt. Mit einer Plastikschaufel habe er den Brei in den blauen Eimer schippen müssen. Binden und Zeitungspapier aus dem verstopften Klo. Plav hob den Kopf und schlug ihn zurück ins Kissen. Im Treppenhaus waren die Fenster mit Farbe beschmiert. Ich hab den Eimer in den Gully geleert, mir zwischen den Stoßstangen über die Stirn gewischt, die Autoscheinwerfer angeschrien. Nicole setzte sich auf, bog sich in den Schneidersitz. Ihr sei schwindelig, sie sehe Blitze vor den Augen. Sie verschränkte die Arme vor der Brust. Mir ist schlecht. Plav betastete ihre Gänsehaut. Der Tabak ist dir auf den Magen geschlagen. Du hast nichts gegessen. Sie stieß seine Hand weg.
Ich habe Durchfall. Nicole kam aus dem Bad und stieg ins Bett. Es ist bald zweiundzwanzig Uhr. Ich will noch zu Vater. Jetzt sind die Gäste fort. Ich brauche keine Häppchen mehr zu essen. Statt ihr Platz zu geben, war Plav starr liegengeblieben. Nicole zwickte ihn, aber ihre Finger fassten die Haut nicht. Er lag auf dem Rücken, die Augen aufgerissen, mit offenem Mund, die Zunge spitze aus dem Mundwinkel. Nicole fasste ihn an den Schultern, schüttelte ihn, der Kopf fiel von einer zur anderen Seite. Er solle aufhören! Sie schlug mit den Fäusten auf seine Brust, das Haar fiel ihr ins Gesicht. Mit beiden Händen drückte sie ihm Mund und Nase zu, er blieb starr. Erst als Nicole aufsprang, griff Plav ihren Arm, er hielt sie fest und grinste. Du bekommst mich nicht lebendig. Er zog sie an sich, schlang die Beine um ihre Körpermitte, strich ihr durchs Haar und die Strähnen aus der Stirn. Ich wollte dir nur zeigen, wie es ist, bei einem Toten zu liegen. Dann blieben sie eng beieinander, bis jeder auf seine Seite rollte. Plav hob die Hand zur Glühbirne, auf dem Laken galoppierten seine Fingerschatten. Auf dem Nachhauseweg bin ich meiner Schwester mit Franz und dem Jungen begegnet. Ich bin quer über die vereiste Straße zu ihnen gefahren. Am Bordstein bin ich in einen Schneehaufen getreten. Ich hab den Fuß wieder herausgezogen, aber die Nässe war schon im Schuh und in der Socke. Plav zog das Bein an und mit der Hand seinen Fuß ans Gesicht, er bewegte die Zehen. Zelena habe Moonboots getragen, der Franz einen Anorak mit Pelzkragen, der Junge nur eine dünne Jacke und T-Shirt - keine Handschuh!
Plav ließ den Fuß los, griff Nicoles Hand. Der Junge hat mir seine Hand hingestreckt. Nicole zog ihre Hand aus Plavs Griff und schob sie unter das Kissen. Zelena habe ihn zum Essen eingeladen. Der Junge sei rumgelaufen, habe dazwischengerufen, einfach weiter gewollt.
Da haut der Franz ihm eine runter! Mit offenem Mund habe der Junge die Augen verdreht und mit dem Zeigefinger am Ohr rumgedrückt. Ich bin vom Rad. Hab Zelena die Handschuh hingestreckt, den Schlüsselbund aus dem Hosensack in die Faust genommen. Da fällt der Junge Franz ums Bein, hält das Bein umarmt, dass der Franz fast umfällt. Papa. Ach, Papa! Und der Junge lächelt ihm zu. Lass uns weiter, mir ist so langweilig. Dem Franz wird ganz warm im Kopf. Der schlägt den Pelzkragen hoch. Aber, der Junge küsst den Franz am Bein: Ich hab dich lieb! Er küsst und küsst den Franz am Bein. Ich bin aufs Fahrrad, hab zu singen angefangen, um Zelena nicht hören zu müssen. Als ich abbieg, seh ich Franz.
Er hebt den Jungen auf die Schultern. Zelena winkt mit den Handschuhen. Rokavice! Rokavice! Was hast du gesungen? Nicole lag mit der Wange auf seinem Bauch, sie hielt seinen Schwanz in der Hand und ließ die Zunge um seine Eichel kreisen. Der Hahn ist tot, auf Slowenisch.

Unter Plav polterte es im Treppenhaus. Bist du hingefallen?! Nein. Schade! Ich bin gegen Kartons gelaufen. Plav lachte. Kein automatisches Licht! Mein Schalter arbeitet, ist neu verkabelt, die anderen sind kaputt! Er sprang auf halbe Treppe und lief abwärts. Von unten drang die Melodie von Der Hahn ist tot zu ihm herauf, dann französische Worte. Plav glitt mit dem Fußballen an der Stufenkante ab, sie zerfiel an der Stelle. Willst du mitkommen, rief Nicole von unten. Bestimmt freut sich Mutter, wenn du mitkommst, Vater auch! Plav rief, über das Treppengeländer gebeugt: Rihtera stavit! Was? Ein slowenisches Spiel! Lass dich schlagen, sag wer es war und du kannst wechseln! Plav ging an der Wand entlang, er streckte die Hand nach Nicole aus, sie stand am Treppengeländer und streckte sich ihm entgegen, die Fingerspitzen berührten sich. Ich komme mit, wenn deine Familie mitspielt. Ich lasse mich sogar als Erster schlagen. Bist du barfuß, fragte Nicole. Sie fasste nach seiner Brust, tastete mit den Fingern zum Bauch. Sagt man nackt und barfuß oder einfach nackt? Nicole wandte sich um, Plav lief neben ihr her, immer zwei Stufen mit einem Schritt abwärts. Nicole blieb auf dem nächsten Stockwerk stehen. Du musst dich nicht schämen und ständig beweisen. Meine Eltern wissen, dass du arm bist und aus blöden Verhältnissen. Sie akzeptieren dein Talent. Zwei Türspione standen sich gegenüber, ein Lichtpunkt flackerte, die Tür wurde geöffnet und sofort wieder geschlossen. Ist dir nicht kalt? Sieht das so aus?! Plav war vor einem der Türspione stehen geblieben, er hielt die Arme hinter dem Kopf verschränkt und ließ seine Hüfte kreisen. Ob sie gesehen habe, dass sein Arsch im Lichtsche leuchte, wie der Vollmond ohne Krater. Nicole wandte sich um und lief abwärts. Plav rief ihr nach: Familienfeste hab ich immer gemocht! Auf Großvaters Hof und in der kleinen jugoslawischen Blockwohnung mit den kahlen Betonwänden und den farbigen Teppichen über dem Estrich. In allen Ecken barfüßige Kinder mit glühenden Gesichtern und dunklen Augen. Männer mit Werkzeughänden und Lederhaut. Kantige Schädel mit hoher Stirn und dünnen Slawenzotteln, immer die Zigarette im Mundwinkel. Die Frauen mit den Blumenschürzen, dicke Socken in den Stoffschuhen, goldene Ringe an den Fingern mit Schmutz unter den Nägeln. Die Spiele, die ich mochte. Den kleinen Mann, den Onkel und Großvater gegeben hatten, den tanzenden Zwerg mit dem zu weiten Hemd und dem Kopf von Großvater, Onkels Hände in den Schuhen. Wenn alle betrunken waren: *Rihtera stavit*. Die Kinder schliefen auf dem Boden. Ich war wach. Meine Ohren gespitzt, meine Augen aufgerissen unter einem Tisch, unter einem Stuhl in einer Ecke hinter der Ofenbank, neben dem Regal mit den Emailletöpfen hockte ich, schaute und hörte zu wie sie nicht mehr gerade stehen konnten, in ihrer singenden Sprache dumm redeten. Großmutter auf dem Stuhl mit dem Kissen im Schoß - alle kamen dran. Sie mussten das Gesicht ins Kissen drücken. Es wurde gelacht und der nächste Schlag besprochen. Nicole wechselte im Lichtschein eines Fensterschlitzes vom Geländer zur Wand, Plav folgte ihr auf den Fuß. Der zwei Meter hohe Onkel haut dir aufs Kreuz. Erwischt beide Backen und die Oberschenkel. Der Schlag, der dich vom Boden hebt, schiebt deine Stirn in Omas Bauch. Es tut nicht weh. Die starken Männer schlagen nie im Ernst. Die Frauen immer mit der ganzen Kraft.
Der Onkel mit den Schaufelhänden setzt dich wieder ab, ganz sanft, brummt noch dazu, so lieb hat er dich. Hinter dir weinen sie vor Lachen. Du gehst in die Knie, stützt dich mit der Hand am Boden. Bist schon wieder aufgestanden und zeigst mit dem Finger im Kreis in die Tränengesichter. Nicole wandte sich ab, Plav fischte ihr eine Strähne von der Wange. Diese Feiern habe es auch noch gegeben als alle hergezogen seien. An dem Geburtstag des Stiefvaters. In der Zweizimmerwohnung mit Küche und Bad, WC extra. Ich bin schon sechzehn Jahre alt. Die Deckenlampe mit den chinesischen Schriftzeichen bestrahlt uns – dieselben Menschen stehen fausttief in einem Teppich. Die Stehlampe in der Ecke, Großvater daneben im Rollstuhl, querschnittsgelähmt von einem Hirnschlag im Sommer auf einer Planierraupe vor Steißlingen. Er schlägt jeden Schlag mit, lässt die Krücke auf die verfluchte Verwandtschaft niederfahren.
Und du stehst bei denen, die schlagen dürfen, lernst, wartest auf den richtigen Arsch. Die Fiesen schlagen von unten. Schließen noch die Hand, um mit den Fingerknochen zu treffen oder mit dem Handballen. Hauptsache die Hand ist hart. Das zieht die Wirbelsäule hoch! Schläge mit Phantasie! Wie die Ohrfeige, bei der man aufs Ohr zielt. Auf die Ohrmuschel, den Gehörgang und das Trommelfell und die feinen Knöchelchen Amboss, Hammer, Steigbügel. Dann drückt Stiefvater sein Gesicht ins Kissen auf Omas Schoß. Wiegt sich in den Knien, aber hört nicht auf zu sprechen. Er macht noch einen Scherz. Oma drückt ihn in den Schoß zurück, legt ihm ihre trockenen Hände mit dem goldenen Ring in den Nacken. Sie drückt Stiefvater das Rückgrat passend. Ich schiebe alle Tanten und Onkel beiseite. Ich will ihn schlagen, rufe

ich, zieh mir den Ärmel hoch, spuck in die Hand.
Die Verwandten heben den Finger an die Lippen. Ich hab die meiste Phantasie, die härteste Hand. Alle weg, ich will ihn schlagen! In der Hose zittern die dünnen Beine und der kleine Flacharsch. Der Großvater schlägt mit der Krücke die Luft. Meine Hand brennt den Abdruck in Stiefvaters Haut. Er kniet sich auf dem Boden, weint. Er sagt meinen Namen, alle schütteln den Kopf. Ich kann das nicht hören, rief Nicole, rannte aus dem Haus in den frischen Schnee. Weil du den Spaß nicht verstehst! Plav packte sie an der Schulter, drehte sie um, dass sie ihm ins Gesicht sah und steckte ihr den Daumen in den Mund.

Du weißt nicht mal, woher ich stamme. Plav stand nackt mit blauen Lippen im Licht der Straßenlaternen, der Schnee blieb auf seinem Haar liegen. Er rief dem Nachbar entgegen, der mit zwei Einkaufstüten den Weg entlang lief: Bogdanovic! Deine Frau hat sich eingeschlossen und dein Strom ist abgestellt! Nicole bog sich zurück, zog mit einem Laut ihren Mund vom Daumen. Doch! Der Nachbar senkte den Kopf und der Schnee fiel ihm in den Nacken. Plav fragte: Welcher Ort? Rate.

NAGO WSIADŁEM NA LIPICAŃSKIE KONIE. Plav i Nicole leżeli obok siebie w łóżku, pod zwisającą z pochyłego sufitu żarówką. Klacze podkowami podrapały ziemię. Podnosiły i opuszczały łby i rżały. Kolor im spleśniał. Czy nie są białe od urodzenia, zapytała Nicole. Plav chwycił ją za wilgotną od śliny brodę. Konie lipicańskie są najpierw czarne albo brązowe, a potem białe, gdy się starzeją. Plav zaśmiał się radośnie. Byłem jeszcze dzieckiem, mimo to konie lipicańskie zbielały z zazdrości. Wsunął palec między jej wargi.
Nie boli cię?, zapytała Nicole, gdy Plav chwycił żarówkę. Zrobiło się ciemno a potem znowu jasno. Plav zawołał: zazdrościsz mi radości życia! Puścił żarówkę, powiedział: słyszałem twoje rzęsy, kiedy zamykałaś oczy. Lekko popukał w jej czoło. Przysłoniłam sobie tylko oczy, powiedziała. Nicole wyciągnęła się i zesztywniała. Czuję na twoich słowiańskich palcach smak cebuli i czosnku. Plav powąchał czubki palców. Pachną twoją dupą.
Plav ściągnął z niej kołdrę. Siedział przed nią nago po turecku, na udzie trzymał paczkę z tytoniem i oblizywał bibułkę papierosową. Nicole ścisnęła kolana i pocierała duże palce u nóg jeden o drugi. Plav stopą zepchnął ją z łóżka, pociągnęła za sobą wełnianą kołdrę. Gdy próbowała wspiąć się z powrotem, wyciągnął stopę w kierunku jej twarzy. Zapałką zapalił papierosa. Nagle rzucił w nią niebieską poduszką. Siedź tam! Uderzył się w pierś. Leżysz zawsze jak kloc, jesteś nudna jak flaki z olejem! Nicole odgarnęła włosy, które spadły jej na czoło po uderzeniu poduszką. Po tylu razach, to cud, że nie jestem w ciąży. Plav rozcapierzył palce, tworząc nad głową rodzaj grzebienia. Jestem jak kogut. Kogut potrzebuje trzech kur, inaczej zapieprzy je na śmierć.
Jako dziecko lubił spać na tapczanie. Czuć sprężyny pod poduszkami. Leżeć na maszynie. Plav popchnął żarówkę, która zaczęła się teraz nad nimi huśtać. Kiedy wołała mnie mama, wstawałem z tapczanu. Leżała w łóżku z Jörgiem i paliła. Stopy wystawały jej za materac. Jörg mieścił się bez problemu, z zapasem na górze i na dole. Plav uśmiechnął się i dał Nicole macha. Ręka mamy z papierosem wędrowała w tę i z powrotem. Palce dotykały raz jej warg, raz jego. Plav uderzył w żarówkę, która przecięła dym i pociągnęła za sobą kilka jego smug. Stranišče je sadelano! W ten sposób matka wysyłała go do łazienki. Plastikową szuflą musiał wrzucać breję do niebieskiego wiadra. Bandaże i gazety z zatkanego klozetu. Plav podniósł głowę i ponownie opuścił ją na poduszkę. Okna na klatce schodowej były wysmarowane farbą. Opróżniałem wiadro do ścieku, biegnąc między zderzakami ocierałem pot z czoła, krzyczałem na reflektory. Nicole usiadła, po turecku. Powiedziała, że kręci jej się w głowie, że widzi błyski przed oczami. Skrzyżowała ręce na piersiach. Niedobrze mi. Plav dotknął jej: miała gęsią skórkę. Tytoń zaszkodził ci na żołądek. Nic nie jadłaś.
Odtrąciła jego dłoń.
Mam biegunkę. Nicole wyszła z łazienki i położyła się do łóżka. Niedługo dwudziesta druga. Pójdę jeszcze do ojca. Teraz nie ma już gości. Nie chcę już nic jeść. Zamiast zrobić jej miejsce, Plav leżał nieruchomo. Nicole chciała go uszczypnąć, ale jej palce zatrzymały się w połowie drogi. Plav leżał na plecach z szeroko otwartymi oczyma i otwartymi ustami, czubek języka widniał w kąciku ust. Nicole chwyciła go za ramię i potrząsnęła. Głowa chwiała się na boki. Przestań! Zaczęła okładać go pięściami, włosy spadły jej na oczy. Obiema rękami zasłoniła mu usta i nos, Plav jednak pozostał nieruchomy. Dopiero gdy Nicole wstała, Plav chwycił ją za rękę i przytrzymał, szczerząc zęby. Nie dostaniesz mnie żywego. Przyciągnął ją do siebie, oplótł w pasie nogami, pogładził po głowie i odgarnął jej włosy z czoła. Chciałem ci tylko pokazać, jak to jest leżeć przy zmarłym. Potem trwali w uścisku, aż każde potoczyło się na swoją stronę. Plav podniósł rękę ku żarówce, po prześcieradle galopowały cienie jego palców. Po drodze do domu spotkałem moją siostrę z Franzem i małym. Podjechałem do nich przez oblodzoną ulicę. Przy krawężniku zapadłem się w śnieg. Wyciągnąłem nogę z zaspy, ale but i skarpeta były już mokre. Plav przyciągnął stopę ręką do twarzy, poruszał palcami u nóg. Zelena miała na nogach śniegowce, Franz anorak z futrzanym kołnierzem, chłopiec tylko cienką kurtkę i t-shirt – był bez rękawic! Plav puścił stopę, chwycił Nicole za rękę. Chłopiec wyciągnął do mnie rękę. Nicole wyjęła rękę z dłoni Plava i wsunęła ją pod poduszkę. Zelena zaprosiła go na obiad. Chłopiec biegał wokół nich, przerywał, chciał iść dalej. W końcu Franz uderzył go w twarz! Chłopiec otworzył usta, przewrócił oczami i palcem wskazującym pomacał się po uchu. Schodzę z roweru. Podałem Zelenie rękawiczkę i wyjąłem z kieszeni pęk kluczy. Nagle chłopiec chwyta Franza za nogę i trzyma go, tak że Franz prawie się przewraca. Tato. Tato. I chłopiec uśmiecha się do niego. Chodźmy już, nudzę się. Franzowi robi się gorąco. Podnosi futrzany kołnierz. Chłopiec całuje ojca w nogę: ale ja cię kocham! Całuje go w tę nogę i całuje. Wsiadam na rower, zaczynam sobie śpiewać, żeby nie słyszeć Zeleny. Kiedy skręcam, widzę Franza. Bierze chłopca na barana. Zelena macha rękawiczkami. Rokavice! Rokavice! Co śpiewałeś? Nicole leżała oparta policzkiem na jego brzuchu, trzymała jego członka w dłoni i oblizywała jego żołądź.

Kogut nie żyje, po słoweńsku.
Gdzieś na dole na schodach rozległ się hałas. Upadłaś? Nie. Szkoda! Wpadłam na kartony. Plav zaśmiał się. Światło nie włącza się automatycznie! Mój wyłącznik działa, właśnie go podłączyli, inne są zepsute. Skoczył na schody i zbiegł na dół. Usłyszał dobiegającą z dołu melodię Kogut nie żyje, potem francuskie słowa. Podeszwą stopy uderzył o kant stopnia, który natychmiast pękł. Idziesz ze mną, zawołała Nicole z dołu. Mama na pewno się ucieszy, jak przyjdziesz, ojciec też! Plav, wychylając się przez poręcz, zawołał: Rihtera stavit! Co? Taka słoweńska gra! Pozwól się zbić, zgadnij, kto to zrobił i możesz zamienić się z nim rolami. Plav szedł wzdłuż ściany, wyciągnął rękę w stronę Nicole, która stała przy poręczy schodów i również wyciągnęła swoją, końce ich palców zetknęły się. Pójdę, jeśli twoja rodzina ze mną zagra. Możecie mnie nawet bić pierwszego. Jesteś boso?, zapytała Nicole. Dotknęła jego piersi, pomacała po brzuchu. Mówi się nagi i bosy czy po prostu nagi? Nicole odwróciła się, Plav szedł obok niej, schodził po dwa stopnie. Nicole zatrzymała się na piętrze. Nie musisz się wstydzić i ciągle udowadniać. Moi rodzice wiedzą, że jesteś biedny i z jakiej jesteś rodziny. Wiedzą, że jesteś utalentowany. Dwa judasze błyszczały naprzeciwko siebie, światełko zamigotało, drzwi otworzyły się i ponownie zamknęły. Nie zimno ci? A wyglądam?! Plav zatrzymał się przed jednym z judaszy, założył ręce na głowę i zaczął kręcić biodrami. Czy widziała, że jego dupa w tym słabym świetle świeci jak księżyc w pełni i bez kraterów. Nicole odwróciła się i zbiegła w dół. Plav zawołał za nią: zawsze lubiłem uroczystości rodzinne! W gospodarstwie dziadka i w małym jugosłowiańskim mieszkaniu w bloku o nagich ścianach i betonowych podłogach pokrytych kolorowymi dywanami. Wszędzie bose dzieci o czerwonych twarzach i ciemnych oczach. Mężczyźni o dłoniach stwardniałych od narzędzi. Kanciaste czaszki o wysokim czole i cienkich słowiańskich kosmykach, tkwiące w kącikach ust papierosy. Kobiety ubrane w fartuszki w kwiaty, grube skarpety i plastikowe buty, noszące na palcach złote pierścionki i brud pod paznokciami. Moje ulubione zabawy. W małego człowieczka, którego tworzyli wujek i dziadek, w tańczącego krasnala w za dużej koszuli z głową dziadka, pod którą poruszały się ręce wujka w butach. Gdy wszyscy już byli pijani: Rihtera stavit. Dzieci spały na podłodze. Ja nie spałem. Nadstawiałem uszu, otwierałem szeroko oczy, siedząc pod stołem, pod krzesłem, w kącie za ławą, przy półce z emaliowanymi garnkami, rozglądałem się i przysłuchiwałem, jak nie mogli już ustać na własnych nogach, jak w swoim śpiewnym języku gadali głupstwa. Na krześle z poduszką na kolanach siedziała babcia. Wszyscy do niej podchodzili, każdy musiał wcisnąć twarz w poduszkę. Tamci śmieli się i namawiali. W świetle okna Nicole odsunęła się od poręczy w stronę ściany, Plav szedł za nią krok w krok. Wysoki na dwa metry wujek wali cię po krzyżu. Trafia w oba pośladki i udo. Uderzenie, które podrywa cię z ziemi, wciska ci czoło w brzuch babci. To nie boli. Silni mężczyźni nigdy nie biją na serio. A kobiety zawsze z całej siły. Wujek o dłoniach jak szufle podnosi cię, łagodnie, mruczy przy tym, tak bardzo cię kocha. Za twoimi plecami rodzina płacze ze śmiechu. Padasz na kolana, opierasz się ręką o podłogę. Znowu wstajesz i palcem wskazujesz otaczające cię kręgiem załzawione twarze. Nicole odwróciła się, Plav odgarnął jej kosmyk z czoła. Te uroczystości odbywały się jeszcze po przyjeździe tutaj. W urodziny ojczyma. W dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią i łazienką i osobnym WC. Mam już szesnaście lat. Oświetla nas lampa ozdobiona chińskimi znakami – ci sami ludzie stoją na dywanie. W kącie lampa stojąca, obok dziadek na wózku inwalidzkim, sparaliżowany na skutek wylewu w lecie na koparce pod Steißlingen. Bierze udział w każdym uderzeniu, wali laską tę pieprzoną rodzinę. A ty stoisz obok tych, którzy mogą bić, uczysz się, czekasz na właściwą dupę. Wredni biją od dołu. Pięścią, żeby trafić kostkami albo grzbietem dłoni. Najważniejsze, żeby dłoń była twarda. Od razu czuć to w kręgosłupie! Bij z fantazją! Dając policzek, można celować w ucho. W małżowinę, kanał słuchowy, błonę bębenkową i delikatne kostki: młoteczek, kowadełko i strzemiączko. Potem ojczym wciska twarz w poduszkę na kolanach babci. Buja się na kolanach, ale nie przestaje mówić. Żartuje. Babcia przyciska go do poduszki, kładzie mu na karku swoje suche dłonie przyozdobione złotym pierścionkiem. Przyciska mu odpowiednio kręgosłup. Odsuwam ciocie i wujków. Chcę go uderzyć, wołam, podwijam rękawy, spluwam w ręce. Krewni podnoszą palce do warg. Mam największą fantazję i najtwardszą rękę. Z drogi, chcę go uderzyć! W spodniach drżą cienkie nogi i mała płaska dupa. Dziadek kulą przecina powietrze. Moja ręka wypala ślad na skórze ojczyma. Klęka na podłodze, płacze. Wypowiada moje imię, wszyscy kręcą głowami. Nie mogę tego słuchać, zawołała Nicole i wybiegła z domu na śnieg. Bo ty się nie znasz na żartach! Plav chwycił ją za ramię, odwrócił do siebie i włożył jej kciuka do ust. Nie wiesz nawet, skąd pochodzę. Plav stał nagi w świetle latarni ulicznych, wargi miał fioletowe. Na włosach miał śnieg. Do sąsiada, który mijał ich z dwoma siatkami zakupów, zawołał: Bogdanovic! Twoja żona się zamknęła i odłączyli ci prąd! Nicole odsunęła się w tył, kciuk wysunął jej się z ust, wydając dźwięk. A jednak! Sąsiad pochylił głowę i śnieg zaczął padać mu na kark. Plav zapytał: z jakiej miejscowości? Zgadnij.

[Przekład: Tomasz Ososiński]

Я голим увійшов до ліпіцанців. Плав і Ніколь лежали поруч на ліжку під електричною лампочкою, що звисала зі скошеної балки в кімнаті. Жеребці розпушили копитами землю. Підняли голови, тоді опустили, заіржали. Їхня шкіра кольорово лисніла. Хіба вони не білі від народження? – запитала Ніколь. Плав притримав її заслинене підборіддя. Спочатку ліпіцанці чорні або гніді, а тоді білі і старі. Плав вискнув від сміху. Я був ще дитиною, а ліпіцанці все одно побіліли від заздрості. Він всунув їй між губи пальця.
Тобі не боляче? спитала Ніколь, коли Плав схопився рукою за жарівку. Світло згасло і знову спалахнуло. Плав вигукнув: Ти заздриш моїм життєвим радощам! Він прибрав долоню від жарівки, сказав: Мені було чутно твої вії, коли ти заплющила очі. Він торкнувся пальцями до її чола. Мене просто засліпило, сказала вона. Ніколь потягнулася і напружилася.

Твої слов'янські пальці смакують цибулею і часником. Плав понюхав пучки пальців. Пахне твоїм задом. Плав стягнув із неї ковдру. Голий, він сидів перед нею по-турецьки, тримав на колінах пачку тютюну і слинив цигаркову бібулку. Ніколь стиснула коліна і потерла пальцями обох ніг. Плав ногою виштовхнув її з ліжка, а вона потягла за собою вовняну ковдру. Коли вона спробувала заповзти назад, він підставив їй під обличчя свою ступню. Припалив від сірника цигарку. Раптом пожбурив у неї подушкою. Залишайся там унизу! Вдарив себе кулаком у груди. Вічно ти лежиш як колода, суха як осіннє листя! Ніколь відгорнула волосся, яке їй збила на чоло подушка. Ми так часто робимо це, просто диво, що я ще не завагітніла. Плав розчепірив пальці над головою півнячим гребінцем. Я півень, якому треба три курки, інакше він заграє їх до смерті.

Дитиною він любив спати на канапі. Відчувати під собою пружини канапи. Лежати на верстаті. Плав штовхнув жарівку, вона розхитувалася над їхніми обличчями. Покликала мама. Я встав із канапи. Вона лежала з Йорґом у ліжку і курила. Її ступні виглядали з-під ковдри. Місця для Йорґа було достатньо – знизу і зверху залишалося достатньо повітря. Плав засміявся, дав Ніколь затягнутися своєю цигаркою. Рука мами з цигаркою моторніша. Пальці раз на її вустах, раз – на його. Плав штовхнув жарівку, вона розділила дим, який потягнувся довгими пасмами. *Stranilиue je sadelano!* Так мама вислала його до лазнички. Він мав пластмасовою лопаткою вичерпати цю квашу до синього відра. Прокладки і газетний папір із забитого унітазу. Плав підняв голову і знову відкинувся на подушку. На сходовій клітці вікна були замазюкані фарбою. Я вилив вміст відра до люка надворі, поміж бамперів, втер обличчя, верескнув на фари автомобілів. Ніколь сіла і нахилилася до схрещених ніг. Їй млосно, їй, каже, в очах рябить. Вона склала руки на грудях. Мені зле. Плав помацав її гусячу шкірку. Тобі від тютюну шлунок скрутило. Ти нічого не їла. Вона відштовхнула його долоню. У мене розвільнення. Ніколь вийшла з лазнички і лягла до ліжка. Скоро десята. А я ще хочу піти до тата. Гості вже розійшлися. Не треба буде нічого їсти. Плав не посунувся, лежав непорушно. Ніколь ущипнула його, але пальцями не змогла вхопитися за шкіру. Він лежав на спині, з витріщеними очима, роззявленим ротом, язик виглядав з кутика вуст. Ніколь схопила його за плечі, потрясла, його голова безвладно перекочувалася з боку на бік. Припини! Вона погамселила його кулаками по грудях, волосся впало їй на обличчя. Вона обидвома руками закрила йому ніс і рот, він не поворухнувся. І тільки коли Ніколь зірвалася на ноги, Плав схопив її за перегуб руки. Він міцно тримав її і либився. Притягнув до себе, обхопив її стан ногами, провів долонею по її волоссю і відгорнув з чола непокірні пасма. Я тільки хотів тобі продемонструвати, як це – лежати поруч із покійником. Після цього вони лежали тісно притулені, поки врешті кожен не перекотився на свою половину ліжка. Плав підняв руку до жарівки, тіні від його пальців погалопували простирадлом. Повертаючись додому, я зустрів сестру з Францом і з малим. Під'їхав до них навскіс через вкриту льодом вулицю. На бордюрі вперся в снігову кучугуру. Вийняв ногу, але черевик і шкарпетка вже намокли. Плав підтягнув до себе ногу і підняв ступню до обличчя, поворушив пальцями ступні. Зе́лена мала на собі снігоступи, Франц – куртку з хутряним коміром, а малий тільки тоненьку курточку і футболку – навіть без рукавиць! Плав відпустив ногу і схопив Ніколь за руку. Хлопчик простягнув мені свою долоньку. Ніколь визволила руку і запхала під подушку. Зелена запросила його до них поїсти. Хлопчик бігав довкола, вигукував щось, просто хотів іти далі. І тут Франц як зацідить йому! Малий роззявив рота і закотив очі, притискаючи вказівний палець до вуха. Я зіскочив з ровера. Простягнув Зелені рукавиці, стиснув в'язку ключів у кишені штанів. Аж тут малий хапає Франца за ногу, тримається за неї обіруч, аж Франц ледь не падає. Тату. Ой, тату! І малий посміхаєтьсся до нього. Давай провдовжимо, мені так нудно. Французі кров вдаряє в голову. Підіймає хутряний комір. Але, малий цілує Французу ногу: я тебе люблю! Цілує і цілує ту Французу ногу. Я заскочив на ровер, узявся співати, щоб не слухати, що каже Зелена. Коли повернув – бачу, Франц. Бере хлопця на коркоші. Зелена махає рукавицями. *Rokavice! Rokavice!* А що ти співав? Ніколь притислася щокою до його живота, вона тримала його член в долоні й кружляла язиком довкола голівки прутня. „Півень здох", словенською.

Під Плавом на сходовій клітці загриміло. Ти впав? Ні. Шкода! Я напоровся на картонні коробки. Плав засміявся. Автоматичного світла немає! Вимикач справний, нова проводка, всі інші поламані. Він стрибнув на середину сходів і побіг униз. Знизу до нього нагору долинала мелодія з канону „Півень здох", тоді слова – французькою. Плав проїхався п'ятою по ребру сходинки, вона відразу розлетілася. Підеш зі мною? – гукнула знизу Ніколь. Мама напевно зрадіє, якщо ти також прийдеш, і тато! Плав крикнув, перехилившись через поруччя: *Rihtera stavit!* Як? Словенська гра! Дай себе вдарити, скажи, хто то був, і ви міняєтеся місцями! Плав ішов при самій стіні, простягнув руку до Ніколь, вона стояла біля поруччя, вигинаючись йому назустріч, пучками вони доторкнулися. Піду, якщо твоя сім'я гратиме в гру.

Я навіть дозволю себе першого вдарити. Ти босий? запитала Ніколь. Вона черкнула долонею його груди, пройшлася пальцями до живота. А як правильно сказати: голий-босий чи просто голий? Ніколь відвернулася, Плав біг за нею слідом, перестрибуючи нараз через дві сходинки. Поверхом нижче Ніколь зупинилася. Тобі не треба постійно соромитися і щось доводити. Батьки знають, що ти бідний і що жив у жахливих умовах. Вони вважають тебе талановитим.

Вічко одних дверей навпроти іншого вічка, замерехтіла світляна крапка, двері відчинилися і відразу ж зачинилися. Тобі не зимно? А що, виглядає, ніби зимно? Плав зупинився перед одним із вічок, заклав руки за голову і покрутив стегнами. А тобі видно, як світиться в промені світла мій зад? Ніби повня без кратерів. Ніколь відвернулася і побігла вниз. Плав гукнув їй услід: Мені завжди подобалися родинні свята! На селі в діда і в тісній квартирці в югославському панельному будинку з голими бетонними стінами і кольоровими килимами на цементній долівці. По всіх кутках босі діти з розпашілими личками і чорними очиськами.Чоловіки з руками роботяг і зашкарублою шкірою. Гостро окреслені голови з високим чолом і поріділими слов'янськими космами, в кутику рота незмінна цигарка. Жінки в квітчастих фартухах, на ногах грубі шкарпетки і теплі фільцові капці, на пальцях із брудними нігтями – золоті персні. Ігри, які мені подобалися. Танцював складений дядьком і дідом маленький чоловічок, карлик у заширокій сорочці з головою діда, дядькові руки в черевиках. Коли всі вже були п'яні: *Rihtera stavit.* Діти засинали на підлозі.

Я не спав. Нашорошивши вуха, сидів із широко розплющеними очима навпочіпки під столом, під стільцем, який стояв у кутку коло печі, коло мисника з емальованими черпаками, я дивився на них і слухав, як вони вже не могли стояти прямо, верзли дурниці своєю наспівною мовою. На стільці баба з подушкою на колінах – до неї всі підходили. Всі мусили притис-нутися обличчям до подушки. Сміх, кожний удар обговорювався. Ніколь, освітлена з віконного прорізу ліхтарем, відійшла від поруччя до стіни, Плав ішов їй слід у слід. Двометрового росту дядько гатить тобі в поясницю. Долоня накриває цілу задницю і стегна.

Від удару ти аж підстрибуєш, втискаєшся чолом бабі в живіт. Не боляче. Сильні чоловіки ніколи не б'ють насправжки. Жінки завжди з усієї сили. Дядько з ручиськами-лопатами повертає тебе на місце, делікатно, аж навіть буркоче при цьому, так він тебе любить. Позаду тебе вони просто плачуть від сміху. Ти стоїш навколішки, впираєшся долонею в підлогу. От ти вже знов підвівся і пальцем вказуєш на заплакані обличчя в колі. Ніколь відвернулася, Плав відсунув їй волосся зі щоки. Такі святкування влаштовували навіть і тоді ще, коли всі вже переїхали сюди. На дні народження вітчима. У двокімнатній квартирі з кухнею і ванною, туалет окремо. Мені вже шістнадцять. Нас освітлює зі стелі лампа з китайськими ієрогліфами – ті самі люди грузнуть у м'якому килимі. У кутку – торшер, поруч – дід на інвалідському візку, в нього спастичний параліч після інсульту влітку на бульдозері. Він відбиває в такт кожний удар, замахується патиком на трикляту родинку. А ти стоїш серед тих, кому можна бити, вчишся, чекаєш на підходящу задницю. Слабаки б'ють знизу. Змикають долоню, щоб ударити кісточками пальців або ребром долоні. Основне, долоня має бути твердою.

Це видовжує хребет! Фантазійні удари!

Як запотиличник, при якому б'ють за потилицю. Тоді переходять до вушної раковини, козелка, делікатних хрящів молоточка, ковадла, стремена. В подушку на колінах баби втискає обличчя вітчим. Розхитується навприсядки, не припиняючи базікати. Жартує. Баба притискає його до колін, кладе йому свої сухі долоні зі золотим перснем на потилицю. Вирівнює йому спину, так як треба. Я відсуваю набік усіх вуйків і тіток. Я його вдарю, кричу я, закочую рукави, плюю на долоню. Родичі кладуть на вуста палець. У мене найбурхливіша фантазія, найтвердіша рука. Відійдіть усі, я його вдарю! Худенькі ноги і пласка худа задниця тремтять у штанинах. Дід вимахує палкою в повітрі. Моя долоня випалює відбиток на шкірі вітчима. Він осувається на підлогу, плаче. Називає моє ім'я, всі з осудом хитають головами.

Я цього не можу слухати, крикнула Ніколь, вибігла з будинку на свіжий сніг. Бо ти не розумієш жартів! Плав схопив її за плечі, розвернув до себе і запхну в їй до рота великого пальця. Ти ж навіть не знаєш, звідки я. Голий Плавт із посинілими губами стояв у світлі вуличного ліхтаря, на його волосся падав сніг і залишався там лежати. Він гукнув назустріч сусідові, який ішов із закупів з двома торбами: *Bogdanovic!* Твоя жінка забарикадувалася, а електрику вимкнули! Ніколь відхилилася і зі шпоком звільнилася від пальця. Неправда! Сусід опустив голову і сніг полетів йому на потилицю. Плав запитав: Звідки? Відгадай.

[Переклад: Христина Назаркевич]

Thomas Podhostnik (1972, Deutschland) – Ausbildung als Regieassistent am Teatro Nacional de Cuba, in Havanna. Er studierte Soziologie und Politik an der Universität Konstanz und Prosa, Dramatik und Neue Medien am Deutschen Literaturinstitut Leipzig (DLL). Seit 1999 ist er als freier Autor und Regisseur tätig. Seine Erzählungen veröffentlichte er in diversen Zeitschriften und Anthologien. Podhostnik lebt derzeit in Leipzig. Stipendiat des Homines Urbani Programms im Jahr 2006.

Bibliographie

- *Ameise und Grille* (in: *Comma* – Magazin für Literatur, Ausgabe 11, Chemnitz 2005)
- *Der gezeichnete Hund* (Luftschacht - Literaturverlag, Wien 2008)
- *Ein Pfau in Havanna* (in: „Ludzie, miasta. Literatura Białorusi, Niemiec, Polski i Ukrainy", Krakau 2008)
- *Einaugen* (in: Edit – Papier für neue Texte, Nr. 50, Leipzig 2009)

Thomas Podhostnik (1972, Niemcy) – ukończył studia reżyserskie na Teatro Nacional de Cuba w Hawanie. Studiował także socjologię i politologię na Uniwersytecie w Konstancji oraz prozę, dramaturgię i nowe media w Niemieckim Instytucie Literatury w Lipsku (DLL). Od 1999 roku pracuje jako autor i reżyser. Swoje opowiadania publikował w różnych czasopismach i antologiach. Stypendysta programu Homines Urbani w roku 2006. Obecnie mieszka w Lipsku.

Bibliografia

- *Mrówka i świerszcz* (w: *Comma* – Magazin für Literatur, wydanie 11, Chemnitz 2005)
- *Naznaczony pies* (Luftschacht - Literaturverlag, Wiedeń 2008)
- *Paw w Hawanie* (w: „Ludzie, miasta. Literatura Białorusi, Niemiec, Polski i Ukrainy", Ha!art, Kraków 2008)
- *Jednoocy* (w: *Edit* – Papier für neue Texte, Nr. 50, Lipsk 2009)

Томас Подгостнік (1972, Німеччина) – закінчив режисерськуй факультет у *Teatro Nacional de Cuba* (Національний театр Куби) у Гавані. Навчався на факультеті соціології і політології в університеті у місті Констанц. Вивчав прозу, драматургію і нові мас-медія в Німецькому інституті літератури у Ляйпцигу. З 1999 року працює автором і режисером. Свої оповідання публікував у різноманітних часописах і антологіях. Стипендіат програми „Гомінес Урбані" у 2006 році. Зараз живе у Ляйпцізі.

Бібліографія

- *Мураха і коник-стрибунець* (в: *Comma* – Magazin für Literatur, 11 видання , Хемніц 2005)
- *Намальований пес* (Luftschacht – Literaturverlag, Відень 2008)
- *Павич у Гавані*(в: „Ludzie, miasta. Literatura Białorusi, Niemiec, Polski i Ukrainy", Ha!art, Краків 2008)
- *Одноокі* (в: *Edit* – Papier für neue Texte, N° 50, Ляйпціґ 2009)

© Dorota Dziembowska-Gawryszewska

© Elżbieta Lempp

Juliusz Strachota Juliusz Strachota Юліуш Страхота

ZABURZENIA NIECO NOSTALGICZNE LEICHT NOSTALGISCHE STÖRUNGEN ЗЛЕГКА НОСТАЛЬГІЙНІ РОЗЛАДИ

Etap 1

Mama mi tak mówi zawsze, że po urodzeniu płakałem i śmiałem się jednocześnie i wyglądało, że chcę już do domu. Do domu maleńki mój, mamusia sama nie wystarczy? Moja żona, ona mówi, że teraz wie już, jacy warszawiacy to buce. Moi koledzy z Nowej Huty mówią, nim zdążę: tak, tak jesteś z Warszawy, wszyscy to wiedzą.
Weź już się napij za to.
Podobno, jak ktoś jest z Nysy to nie mówi, że jest z Nysy, tylko że z innego miasta. Za to się warszawiaków nie lubi, że przy każdej okazji podkreślają, skąd są.
Ostatnio, przy wigilijnym stole moja mama wygłosiła mowę o tym, kto jest warszawiakiem, a kto nie jest i jak mnie wpieniła, to wigilię wysadziłem w powietrze.
Ja urodzony na Ochocie. Matka pewnie na jakimś Solcu. Wujek jest kultowym szambiarzem w całym Rembertowie. Dziadek na jakimś Muranowie biegał z karabinem, a dalej nie pamiętam i coś mi ta matka zadrę wetknęła, że ja nie jestem warszawiakiem. Ja, który pierwsze i drugie imię mam po słynnym varsavianiście Juliuszu Wiktorze Gomulickim. Dobrze, że nie było przy stole mojego

starego, jego, bo naprawdę byłaby dzika awantura.
Ja, Ja, Ja. Warszawa to Ja. Nie wyplenię jej. Choć czasem mi się myli i na różne potrzeby jestem z Pragi, Saskiej Kępy, Grochowa albo Gocławia.
Za to właśnie można mnie w Hucie nie lubić, ale stwarzam też pewną oazę egzotyki.
Bo ja cały jestem warszawski. Mój blok na moim osiedlu, gdzie moja matka wydeptuje codziennie tę samą ścieżkę do szkoły, w której uczy osiedlowe dzieciaki. Moi dziadkowie ze swoim pałacem w Falenicy. Mój pradziadek z kurnikiem i gołębnikiem.
I moja knajpa Cafe Sax na Francuskiej 41, gdzie przychodziłem kilkanaście lat na piwo, i którą przejęli dwaj Senegalczycy i nie ma jej już. I mnie nie ma już w Warszawie, bo mnie przejęła Nowa Huta.
A Edytę Zając z Huty zabrała za to Warszawa i to pogłębia czasem moją paranoję. Gdybyśmy spotkali się w tym samym Warsie, ale ja moją Żonę poznałem na Mostku Zakochanych w Tbilisi i tam gdzieś powinna być oś nie mojego, ale naszego świata. Nie we Włoszczowej.
A no, i tylko mój bardzo warszawski ojciec, tylko mój stary, on stwarzał mi szczelinę w moim warszawskim świecie. Trzy razy do roku byliśmy w Krakowie, gdzie musiałem oglądać Panów Estreicherów, lajkonika czy inne szopki. Jeszcze kilka lat wcześniej w Warszawie chwaliłbym się, jak dobrze znam Kraków.
Za to można mnie nie znosić.
Nigdy, przenigdy bym się tam nie przeniósł, a już w ogóle bym się nie wyniósł z Warszawy, co napisałem właśnie, siedząc u podnóża Kopca Kościuszki.
Nie cierpię go, jak mnie tu nie cierpią, a czasem jednak pytają czy ja jestem ORYGINALNYM warszawiakiem.
Udaję, wtedy, że nie rozumiem, co to ma za znaczenie.
A rozumiem, za dobrze.
Tak, słoma mi z butów wystaje.
Za to mnie nie można znieść też.

Etap 2 Stawiam na Tolka Banana

Skąd mi się to wzięło? Nie wiem.
15 -16 lat temu dopadł mnie nostalgii etap taki, który objawił się w szukaniu, tropieniu i spełnił w nieodnalezieniu. Najpierw poszukiwałem szczelin, skrzyżowań Warszawy, którą obchodziłem nogami i stolicy, którą doczytywałem u Bahdaja, Hłaski, Nowakowskiego, Tyrmanda, Białoszewskiego...
A jak miałem lat trzynaście, to odnalazłem wszystkie hitlerowskie bunkry w Warszawie i wiedziałem już, że jestem u siebie.
Już teraz nikt mi nie powie, że ja nie mogę chwalić się moją tęsknotą.
W wieku lat dziewiętnastu za siebie się obejrzałem i zobaczyłem, że powidok mi pozostał tylko po Barze Zodiak, saturatorze na ulicy, zielonej budce telefonicznej. Że tu jakoś przegapiłem znikanie świata mojego dzieciństwa.
Za rok saturatory miałem trzy, a budkę telefoniczną ostatecznie zdobyłem tylko jedną. W wieku lat dwudziestu stałem się człowiekiem pełnym nostalgii i z pełną piwnicą złomu.
Potem zarabiałem na niej największe pieniądze mojego życia (na nostalgii i piwnicy). Saturatory szły nawet za sześć tysięcy. W wieku dwudziestu jeden lat sałem się człowiekiem, który miał dużo kasy. Zrobiła się moda na rzeczy, które się pamięta. Ale tylko na chwilę.
Bo nagle minęło i nostalgia stała się tylko tym czymś wszechogarniającym ludzi w moim wieku, no tym, co nam się w życiu nie zdarzyło i próbowano ją zaciągnąć w pokoleniowe nieprzeżycie i każdy był Powstańcem Warszawskim.
Tyle wiem, bo wtedy w Warszawie byłem.
Bo Warszawa pamięta, na czym ten dom stoi.
Wysyp gówniarzy opiewających świat na opak, sytuacje graniczne zaczął się radośnie w moim mieście rozrastać.
Fajnie, że jest się czym zająć, żeby nie zająć się czymś nieco trudniejszym. Choćby trudniejszym do opisania niż na przykład dwa wyrazy na P. i na W.
To gdzie jestem, jest jakimś miejscem. To gdzie nie jestem, nie jest barykadą. Pragnę cierpienia, bo mi za niewygodnie. W fotelu się nudzi. Przed laptopem w domu się oczy mi męczą. Na rowerze się jedzie nie wiadomo dokąd, bo wokół tylko osiedla. I jedziesz tak do obiadu, czy do kolacji?
Poczułem, że nostalgia stworzona jest dla nas, że dla mas. A myślałem, że te tęsknoty, które zaplatały mi się różnie, że one moje są tylko. Uczucie, które samo nam się zaspokaja. Jak tanie ciuchy w H&M. Ja bym walczyła w powstaniu. Ja bym brał bagnet na broń. A ja? Ja akurat podpisałbym volkslistę, co też jest bzdetem. Nie mogliśmy tego zrobić. Nie idzie o to, że nie musimy, my nie możemy. Jak świat zbudowano, że nam tego nie dano. Nie mamy go tak:

A może byśmy tak, jedyna,
Wpadli na dzień do Tomaszowa?
Może tam jeszcze zmierzchem złotym
Ta sama cisza trwa wrześniowa...

A no możemy na wszelkie sposoby penetrować to nasze niezdarzenie, co i ja robię pewnie teraz. Tęsknota taka za domem, to ona jaka jest dziś? Bo się zatarła zupełnie do takich jakichś kilku przypadków użycia. Ktoś traci domy realne i rodzinne, oddala się całkiem od nich, kogoś da się wymierzyć taką klasyczną definicją?

Etap 3 Informatisation of homesickness

W powyższej kwestii miałem styczność z informatykami, co w Luxemburgu, w Indiach i Emiratach, niż z emigracją z seriali. I oni po szale uniesień pakują się i wracają. Bogatych informatyków dotyka homesick klasyczny. Zostawiają przecież dziewczyny, nowo kupione mieszkania i sprzęty grające. Ale to wszystko nudne tęsknienie takie, się różni od tęsknot Słowackiego, czy innego Cezarego Baryki (za bryk.pl itd, naprawdę już nie pamiętam). No ale informatycy o tym też niestety opowiadają:

Kurcze, w Bangalore miałem hotel naprawdę w porządku, ale widok słaby. Klima była i w sumie latem było ok, ale potem pomyślałem, jak w ogóle się nie mam z kim napić, a w ogóle tam nie ma się gdzie napić, to stwierdziłem, że wracam do Polski. Do Warszawy... A mnie zwodzi pamięć zaprzeszła, bo ja tęsknię czasem za byciem żołnierzykiem Afrika Korps, tak jakby mój dom był w Afryce gdzieś, nie wiem sam (a być może wywołane jest to przez informatyczne opowieści, bo ja najdalej w delegacji byłem we Wrocławiu). A może jest w pustym pokoju gdzie sklejam i maluję niemieckich żołnierzy w skali 1:35.

Etap 4 Fabryka Domów

Był taki autobusowy przystanek w Warszawie.
I w Krakowie, kurna, też.
Ale dziś, kiedy mam te swoje 30 lat, moja nostalgia wygląda inaczej niż po urodzeniu albo może tak samo (nie pamiętam). Mamy z Żoną mieszkanie w samym centrum Nowej Huty i kiedy wybiorę się na wycieczkę na nowsze osiedla, kiedy nagle nastąpi ten splot powietrza, światła i ściany bloku, na ułamek sekundy przenoszę się w czas dzieciństwa. To jakby do domu? To jest jak dreszcz. I idę dalej, bo dreszcz przechodzi.
Ja, przypomniałem sobie właśnie, ostatni dzień w Warszawie spędziłem z siostrą na Stadionie X-Lecia. Stadionu już nie ma, a spędziłem tam mnóstwo dzieciństwa i ostatni dzień w MOJEJ okolicy. Ja. Tylko tyle.
I moją tęsknotę tę zabijam sobie teraz pisaniem. Od początku byłem zaburzony, no co ja poradzę. Tęskniłem za domem, którego nie było, a teraz nie wiem sam już. Najlepiej ożywić siostrę, którą się miało, ale zmarła. Najbezpieczniej uczynić ją przyrodnią, a ona leży jednak na cmentarzu w Rembertowie. I zrobić sobie z niej bohaterkę. Może była łączniczką, a może blondynką. Nostalgia, tęsknota ta moja jest taka łatwa i przyjemna, jedyne uczucie, które samo siebie zapspokaja. Nie ma we mnie smutku, prócz tego, który udaję, że lubię. I co? I jeszcze tak ileś lat, a może mniej.
I tylko dobrze, że ta Nowa Huta wygląda jak dzielnica Warszawy, a Żona moja ma knajpę obok domu, gdzie piję na kreskę i w sumie wszystko ułożyło się po staremu.
Ale wszyscy tu przy barze, co wokoło mnie siedzą, to chodzili razem do podstawówki albo z jednego osiedla są albo znają się przez tego i tamtego albo w warsztatach tych tu razem na Komibnat Lenina się wdzierali za małolata i ja siedzę jednak sam wśród tych nie moich wspomnień, zapamiętań i tęsknot i moja Warszawa się chowa.
Bo tu wszyscy mają ją w dupie. I słusznie?
Tu, jak już, Junacy królują. Mój tępy płacz przy mizernych tu powstańczych syrenach jest fałszywy, jak i ta cała reszta. Tu tatuuje się budowniczych Miasta Nowa Huta, a nie małego powstańca. Tu inny mit włada bandą gówniarzy.
I mit feniksa, mit barykad, z mitem założycielskim mi się tu zmieszał. I pamięć zawodna ma, a tęsknota niestała, powidoki nakładają się, obrazy mieszają i czasem śni mi się, jak zupełnie mały biegałem po moim podwórku w Nowej Hucie.
Ta.
No i za czym ja tak tęsknię?
No chyba, że nie, kurna, za domem.

Etappe 1

Mama erzählt mir immer, dass ich nach meiner Geburt gleichzeitig geweint und gelacht habe und das sah so aus, dass ich schon nach Hause wollte. Nach Hause, mein Kleiner, reicht dir denn die Mama nicht?
Meine Frau sagt, sie weiß jetzt, was Warschauer für Schnösel sind. Meine Kumpels aus Nowa Huta sagen, bevor ich es schaffe: Ja, ja, du bist aus Warschau, das wissen ja alle. Komm, darauf stoßen wir an.
Wer aus Nysa ist, sagt angeblich nicht, dass er aus Nysa kommt, sondern aus einer anderen Stadt. Die Warschauer hingegen mag man nicht, weil sie bei jeder Gelegenheit betonen, woher sie kommen.
Neulich zu Weihnachten hielt Mutter eine Rede darüber, wer Warschauer ist und wer nicht, und als sie mir auf den Wecker ging, habe ich den ganzen Heiligabend platzen lassen. Ich bin in Ochota geboren. Mutter wohl in irgendeinem Solec. Mein Onkel ist als Klärwerker in ganz Rembertów bekannt. Großvater ist irgendwo in Muranów mit seinem Gewehr herumgelaufen, an mehr erinnere ich mich nicht, und irgendwie hat Mutter mir eingetrichtert, dass ich kein Warschauer bin. Ich, der ich meinen ersten und zweiten Vornamen nach dem berühmten Warschauer Stadthistoriker Juliusz Wiktor Gomulicki erhalten habe. Gut, dass mein Alter nicht mit am Tisch war, sonst hätte es wirklich ein Riesentheater gegeben.
Ich, Ich, Ich. Warschau, das bin Ich. Das kriege ich nicht raus. Obwohl ich manchmal durcheinander komme, und dann bin ich je nach Bedarf aus Praga, Saska Kępa, Grochów oder Gocław.
Vielleicht mag man mich deswegen in Nowa Huta nicht, aber ich verkörpere auch eine gewisse Exotik. Denn ich bin Warschauer mit Haut und Haaren.
Mein Block in der Siedlung, wo Mutter jeden Tag denselben Weg zur Schule geht, in der sie die Kinder der Siedlung unterrichtet. Meine Großeltern mit ihrem Gutshaus in Falenica.
Mein Urgroßvater mit Hühnerstall und Taubenschlag.
Und meine Kneipe Cafe Sax in der Francuska 41, wo ich jahrelang zum Bier einkehrte, die von zwei Senegalesen übernommen wurde und heute nicht mehr da ist. Auch mich gibt es nicht mehr in Warschau, weil Nowa Huta mich übernommen hat.
Edyta Zając aus Nowa Huta wurde wiederum von Warschau weggenommen, und das verstärkt manchmal meine Paranoia. Hätten wir uns im selben Restaurantwagen getroffen, aber ich habe meine Frau auf der Brücke der Verliebten in Tiflis kennen gelernt, und dort sollte der Angelpunkt nicht von meiner, sondern von unserer Welt liegen. Nicht in Włoszczowa.
Ja, nur mein durch und durch Warschauer Vater, mein Alter, hat mir eine Spalte in meiner Warschauer Welt geschaffen. Dreimal im Jahr waren wir in Krakau, wo ich die Herren Estreicher, den Lajkonik[1] oder irgendwelche Krippen ansehen musste. Noch vor ein paar Jahren hätte ich in Warschau damit angegeben, wie gut ich Krakau kenne. Das ist ein Grund, mich nicht zu mögen.
Niemals, wirklich niemals würde ich dort hinziehen, überhaupt würde ich nicht aus Warschau wegziehen, habe ich gerade geschrieben, am Fuße des Krakauer Kościuszko-Hügels sitzend. Ich ertrage die Stadt nicht, so wie sie mich hier nicht ertragen, und trotzdem fragen sie manchmal, ob ich ein ECHTER Warschauer bin.
Dann tue ich so, als würde ich nicht verstehen, was für eine Bedeutung das hat. Und verstehe doch nur zu gut.
Ja, man sieht mir den Provinzler an. Auch das wäre ein Grund, mich nicht zu mögen.

Etappe 2 Ich setze auf Tolek Banan

Wie komme ich darauf? Ich weiß es nicht.
Vor 15 oder 16 Jahren bin ich in eine nostalgische Phase gerutscht, die sich im Suchen, Nachspüren zeigte und im Nichtfinden erfüllte. Zuerst suchte ich die Spalten, Kreu-

zungen Warschaus, die ich zu Fuß ablief, und die Hauptstadt, die ich bei Bahdaj, Hłasko, Nowakowski, Tyrmand, Białoszewski herausgelesen hatte ...
Als ich dreizehn war, fand ich die ganzen Nazibunker in Warschau wieder, da wusste ich, ich war zu Hause. Jetzt wird mir niemand mehr sagen, ich dürfe mich meiner Sehnsucht nicht rühmen.
Mit neunzehn drehte ich mich um und sah, dass mir nur Schemen von der Bar Zodiak, vom Wasserspender auf der Straße und von der grünen Telefonzelle blieben. Dass ich hier irgendwie das Verschwinden meiner Kinderwelt verpasst hatte. Ein Jahr später hatte ich drei Wasserspender, von den Telefonzellen habe ich nur eine ergattert.
Mit zwanzig wurde ich zu einem Menschen voller Nostalgie mit einem Keller voller Schrott.
Später machte ich damit das beste Geld meines Lebens (mit Nostalgie und Keller). Die Wasserspender gingen sogar für sechstausend weg. Mit einundzwanzig wurde ich zu einem Menschen, der viel Kohle hatte. Es kamen Sachen in Mode, die im Gedächtnis bleiben.
Aber nur für einen Moment.
Denn plötzlich ging das vorbei, und die Nostalgie wurde nur zu etwas Allgegenwärtigen für Leute in meinem Alter, zu dem, was in unserem Leben nicht geschehen ist, und man versuchte, es ins Nichterleben der eigenen Generation hineinzuholen, und jeder war ein Teilnehmer des Warschauer Aufstandes.
Soviel weiß ich, weil ich damals in Warschau war. Denn Warschau erinnert sich, worauf dieses Haus steht.
Ein Haufen von Grünschnäbeln, die eine verkehrte Welt und Extremsituationen besangen, begann sich in meiner Stadt fröhlich auszubreiten. Prima, dass man sich mit etwas beschäftigen kann, um sich nicht mit etwas Schwierigerem auseinandersetzen zu müssen. Zumindest mit etwas, das schwieriger zu beschreiben ist als zum Beispiel zwei Begriffe für P. und für W.[2]
Wo ich bin, ist irgendein Ort. Wo ich nicht bin, ist keine Barrikade. Ich wünsche mir Leiden, denn mir ist es zu unbequem. Im Sessel langweilt man sich. Vor dem Laptop zu Hause ermüden meine Augen. Auf dem Fahrrad fährt man wer weiß wohin, denn ringsherum sind nur Siedlungen. Und so fährst du bis zum Mittagessen oder bis zum Abendbrot?
Ich fühlte, dass die Nostalgie für uns geschaffen war, für die Massen. Und ich dachte, dass diese Sehnsüchte, die sich bei mir unterschiedlich verwoben haben, nur meine sind. Ein Gefühl in uns, das sich selbst befriedigt. Wie billige Klamotten bei H&M. Ich hätte im Aufstand gekämpft. Ich hätte das Bajonett aufgepflanzt. Und ich? Ich hätte sogar die Volksliste unterschrieben, was auch Blödsinn ist. Wir konnten das nicht machen. Es geht nicht darum, dass wir nicht müssen, wir können nicht. Wie konnte die Welt erschaffen werden, ohne uns dies zu geben.
Wir haben das nicht:

Vielleicht könnten wir, meine Liebe,
Für einen Tag nach Tomaszów fahren?
Vielleicht herrscht dort in der goldenen Dämmerung
Noch dieselbe Stille des Septembers ...

Gut, wir können jedenfalls unser Nichterleben analysieren, was ich bestimmt jetzt auch tue. So eine Sehnsucht nach zu Hause, wie sieht sie heute aus? Sie ist doch völlig verblasst, bis auf einige wenige Fälle, wo sie angewendet wird. Jemand verliert reale Häuser und Familienhäuser, entfernt sich völlig von ihnen, wer lässt sich in eine solch klassische Definition zwängen?

Etappe 3 Informatisierung des Heimwehs

In der obigen Angelegenheit hatte ich Kontakt mit Informatikern aus Luxemburg, Indien und den Emiraten, mehr als mit Emigranten aus Fernsehserien. Sie packen nun nach dem Höhenflug ihre Sachen und kehren zurück. Die reichen Informatiker befällt das klassische Heimweh. Sie lassen ihre Freundinnen, die frisch gekauften Wohnungen und Elektronikgeräte zurück. Aber das alles ist so ein langweiliges Heimweh, ganz anders als das von Słowacki oder Cezary Baryka (nach bryk.pl usw., ich erinnere mich wirklich nicht mehr). Gut, aber die Informatiker erzählen leider auch davon:
Verdammt, in Bangalore hatte ich ein Hotel, das wirklich in Ordnung war, aber die Aussicht war schwach. Es gab Klimaanlage, und insgesamt war es im Sommer okay, aber später dachte ich, dass man überhaupt nicht mit jemandem trinken kann, dass es nicht einmal einen Ort gibt, an dem man trinken kann, und beschloss nach Polen zurückzukehren. Nach Warschau ...
Und mich trügt mein Vergangenheitsgedächtnis, denn ich sehne mich manchmal danach, Soldat im Afrikakorps zu sein, als wäre mein Haus irgendwo in Afrika, ich weiß selbst nicht (und vielleicht ist das wegen der Erzählungen der Informatiker, denn am weitesten war ich auf Dienstreise in Breslau). Vielleicht ist es auch in dem leeren Zimmer, in dem ich deutsche Soldaten im Maßstab 1:35 klebe und bemale.

Etappe 4 Häuserfabrik

Es gab so eine Bushaltestelle in Warschau.
Und in Krakau auch, verdammt.
Aber heute, da ich meine 30 Jahre auf dem Buckel habe, sieht meine Nostalgie anders aus als nach der Geburt oder vielleicht genauso (ich erinnere mich nicht). Meine Frau und ich haben eine Wohnung direkt im Zentrum von Nowa Huta, und wenn ich einen Ausflug mache in die neueren Siedlungen, wenn plötzlich dieses Gemisch von Luft, Licht und den Wänden der Häuserblocks aufkommt, dann tauche ich für den Bruchteil einer Sekunde ein in die Zeit meiner Kindheit. Als käme ich nach Haus? Das ist wie ein Schauer. Und ich gehe weiter, denn der Schauer geht vorbei.
Gerade erinnere ich mich an den letzten Tag in Warschau, ich verbrachte ihn mit meiner Schwester im „Stadion des Jahrzehnts“. Das Stadion gibt es nicht mehr, dort habe ich einen Großteil meiner Jugend verbracht und den letzten Tag in MEINER Gegend. Ich. Nur soviel.
Und meine Sehnsucht töte ich jetzt durch Schreiben.
Von Anfang an bin ich gestört, was soll ich machen.
Ich sehnte mich nach einem Zuhause, das es nicht gab, und jetzt weiß ich selbst nicht mehr. Am besten wäre es, die Schwester wieder lebendig zu machen, die man hatte, aber sie ist gestorben. Am sichersten wäre es, sie zur Halbschwester zu machen, aber sie liegt auf dem Friedhof in Rembertów. Und sich aus ihr eine Heldin zu machen.
Vielleicht wäre sie dann Kurierin, vielleicht blond.
Die Nostalgie, diese Sehnsucht von mir ist so leicht und angenehm, das einzige Gefühl, was sich selbst befriedigt.
Es gibt keine Traurigkeit in mir, außer der, von der ich vorgebe, sie zu mögen. Na und? Vielleicht noch ein paar Jahre so weiter, vielleicht auch weniger.
Nur gut, dass dieses Nowa Huta aussieht wie ein Stadtteil von Warschau, und meine Frau hat eine Kneipe neben dem Haus, wo ich beim Trinken anschreiben lasse, und insgesamt ist alles wieder beim Alten.
Aber alle hier an der Theke, die um mich herum sitzen, sind gemeinsam zur Grundschule gegangen oder kommen aus derselben Siedlung oder kennen sich über diesen oder jenen oder sind hier zusammen als Halbstarke in den Werkstätten ins Lenin-Kombinat eingedrungen, und ich sitze allein hier inmitten von Erinnerungen und Sehnsüchten, und mein Warschau kann einpacken.
Denn hier geht es allen am Arsch vorbei. Zu Recht?
Hier herrschen, wenn überhaupt, die Draufgänger. Mein dumpfes Weinen zu den hier kümmerlichen Sirenen des Aufstandes klingt falsch wie auch der ganze Rest. Hier tätowiert man sich die Baumeister der Stadt Nowa Huta und nicht den kleinen Aufständischen. Hier beherrscht ein anderer Mythos die Meute der Grünschnäbel.
Und der Mythos von Phönix, der Mythos der Barrikaden, hat sich hier mit dem Gründermythos vermischt.
Und mein Gedächtnis ist trügerisch, die Sehnsucht unstet, die Schemen überlagern sich, die Bilder vermischen sich, und manchmal träume ich, wie ich als ganz Kleiner über meinen Hof in Nowa Huta gelaufen bin.
Dieses.
Gut, und wonach sehne ich mich so sehr?
Wohl nicht, verdammt, nach Zuhause.

Anmerkungen des Übersetzers:
[1] Lajkonik – Krakauer Folklorefigur
[2] P. und W. – Abkürzung für Powstanie Warszawskie (WarschauerAufstand)

[Übersetzung: Ulrich Heiße]

Етап 1

Мама мені завжди так каже, що я після народження плакав і сміявся водночас, і це виглядало, ніби мені вже хочеться додому. „Додому малюсінький мій, самої мамусі вже не досить?”.
Моя жінка, вона каже, що тепер уже знає, які поци ті варшав’яни. А мої друзі з краківського району Нова Гута починають заперечувати ще до того, як я встигну відкрити рота: „Так-так, ти з Варшави, всі це знають. Іди тепер і випий собі”.
Вважається, що коли хтось із Ниси, він не каже, що з Ниси, а що „з іншого міста”. А варшав’яни за кожної нагоди підкреслюють, звідки вони, за це їх і не люблять.
Нещодавно за різдвяним столом моя мама виголосила промову про те, хто варшав’янин, а хто – ні, і так мене цим дістала, що я всім дав просратися того Святвечора. Я народився на Охоті. Мати – певно, на якомусь Сольці. Дядько – культовий сміттяр, якого знає весь Рембертів. Дідусь десь на Муранові бігав із карабіном, а далі не пам’ятаю, і мене та моя мама таки сильно дістала, коли сказала, що я не варшав’янин. Я, в якого перше і друге ім’я на честь славетного варшавознавця Юліуша Віктора Ґомуліцького. Добре, що за столом не було мого старого, бо сварка була би дика.
Я, Я, Я. Варшава – це Я. Я не заповню її. Хоча іноді я плутаюся – і для різних потреб міняю дільниці свого походження – на Прагу, Саську Кемпу, Ґрохів або Ґоцлав.
Ось за це мене можна в краківській Гуті й не любити, проте я створюю певну екзотичну оазу. Бо я весь варшавський. Моя багатоповерхівка в мікрорайоні, де моя мама день у день протоптує одну й ту саму стежку до школи, в якій навчає дітлахів із мікрорайону. Мої дідусь і бабуся зі своїм палацом у Фалениці. Мій прадід із курником і голуб’ятнею. І моя кнайпа „Cafe Sax” на Французькій, 41, куди я кільканадцять років приходив на пиво, і яку перекупили двоє сенегальців, і її більше немає. І мене більше нема у Варшаві, бо мене перекупила краківська Нова Гута.
Зате Едиту Зайонц із Гути забрала Варшава, і це часом поглиблює мою параною. Це так, ніби ми зустрілися в потязі, у вагоні-ресторані, але я зі своєю Дружиною познайомився на Мості закоханих у Тбілісі, і там десь має бути вісь не мого, а нашого світу. Не у Влощовій[1].
Атож, тільки мій дуже варшавський батько, тільки мій старий, – він творив для мене щілину в моєму варшавському світі. Тричі на рік ми бували в Кракові, де я мав дивитися на панів Естрайхерів[2], лайконіка[3] та інші вертепи. Ще кілька років тому у Варшаві я хвалився б, як добре знаю Краків. За це мене можна й зненавидіти.
Ніколи, таки ніколи я б туди не перебрався, а тим більше не виїхав би з Варшави – про це й написав, сидячи біля підніжжя пагорба Костюшка.
Я не терплю його, як і мене тут не терплять, а проте часом запитують, чи я НАТУРАЛЬНИЙ варшав’янин. Тоді вдаю, що не розумію, яке це має значення.
А проте розумію, аж надто добре.
Так, видно пана по халявах. І за це мене також можна зненавидіти.

Етап 2. Ставлю на Толека Банана[4]

Звідки в мене це взялося? Не знаю.
П’ятнадцять-шістнадцять років тому на мене напала ностальгія, що виявлялася у шуканні та вистежуванні і закінчилася невіднайденням. Спершу я шукав щілин, перехресть Варшави, яку обходив пішки, і тієї столиці, про яку вичитував у Багдая, Гласка, Новаковського, Тирманда, Бялошевського...
А коли мені виповнилося тринадцять, я познаходив усі гітлерівські бункери у Варшаві і знав, що я вже у себе вдома.
Тепер мені вже ніхто не скаже, що я не можу хвалитися своєю тугою.
У віці дев’ятнадцяти років я озирнувся назад і побачив, що постобраз у мене залишився тільки від бару „Зодіак”, вуличного автомата з ґазованою водою й зеленої телефонної будки. Що я тут якось проґавив

зникнення світу свого дитинства. Через рік автоматів було три, а телефонну будку я врешті-решт отримав тільки одну. У віці двадцяти років я став людиною, сповненою ностальгії і з повним підвалом мотлоху. Потім я заробляв на них найбільші у своєму житті гроші (на ностальгії і на підвалі). Автомати з газованою водою йшли навіть по шість тисяч. У віці двадцять одного року я став людиною, яка мала багато грошей. Прийшла мода на речі, які залишаються у пам'яті.

Але ненадовго. Бо все раптом минулося, і ностальгія стала чимось всеохопним для людей мого віку, ну, тих, котрим не пощастило в житті, її використовували як засіб проти відчуття поколіннєвої змарнованості, і кожен був одним із варшавських повстанців.

Ось і все, що я знаю, бо тоді я був у Варшаві. Бо Варшава пам'ятає, на чому стоїть ця будівля. Урожай шмаркачів, що оспівують світ навпаки, межові ситуації, почав радісно зростати в моєму місті. Добре, що є чим зайнятися, щоб не зайнятися чимось важчим. Принаймні важчим для опису, ніж, наприклад, два слова на В. і на П.[5]

Там, де я є, – це якесь місце. Те місце, де я не є, – це не барикада. Я прагну страждання, бо мені так комфортно. У фотелі нудно. Вдома перед ноутбуком втомлюються очі. На велосипеді їдеш невідомо куди, бо весь час лише довкола мікрорайону. І їдеш так до обіду чи до вечері?

Я відчув, що ностальгія створена для нас, що вона для мас. А я думав, що оці туги, які в мені по-різному поперепліталися, що вони лише мої. Почуття, яке в нас саме собою задовольняється. Як дешеві лахи в „H&M". „Я брала б участь у повстанні". „Я би воював багнетом". „А я? А от я якраз би підписав фолькслист, але і це херня". Ми не могли цього зробити. Не йдеться про те, що ми не повинні, – ми не можемо. Як це так збудовано світ, що нам цього не дано? Ми не маємо його, як ось це:

А може б ми так, єдина,
Вибралися на день до Томашова?
Може там іще золотим смерком
Трива та сама тиша вереснева...[6]

Авжеж, ми можемо різними способами досліджувати цю нашу безталанність, що і я, мабуть, саме зараз роблю. Туга за домом – яка ж вона нині? Бо геть затерлася до якихось таких кількох випадків використання. Хтось втрачає дім – реальний і родинний, цілком віддаляється від нього, когось можна виміряти таким класичним визначенням?

Етап 3. Informatisation of homesickness[7]

З вищенаведеного питання в мене був радше контакт із комп'ютерниками, тими що в Люксембурзі, в Індії та в Еміратах, аніж із еміграцією із серіалів. Багатих комп'ютерників чіпляється класичний *homesick*. Адже вони залишають дівчат, свіжопридбані квартири і стереоапаратуру. Але це все таке нудне тужіння, воно відрізняється від туги Словацького чи якогось там Цезарія Барики (це з *bryk.pl*[8] і так далі, насправді я вже не пам'ятаю). Ну, але комп'ютерники про це теж, на жаль, розповідають:

„Зараза, в Бангалорі в мене був нормальний готель, але вид із вікна нікудишній. Кондер був і влітку було о'кей, але потім я подумав, що коли нема з ким випити, а там взагалі нема де випити, то вирішив, що повертаюся до Польщі. До Варшави..."

А мене підводить давноминула пам'ять, бо я часом тужу за тим, щоби бути солдатиком *Afrika Korps*, немовби мій дім десь в Африці, сам не знаю (а може, це викликано розповідями комп'ютерників, бо найдалі у відрядженні я був у Вроцлаві). А може, він у порожній кімнаті, де я склеюю й малюю німецьких солдатів у масштабі 1:35.

Етап 4. Фабрика будинків

Була така автобусна зупинка у Варшаві. І в Кракові, бляха, теж.

Але нині, коли я маю ці свої тридцять років, моя ностальгія виглядає інакше, ніж після народження, чи, може, так само (не пам'ятаю). У нас із Дружиною квартира в самому центрі Нової Гути, і коли я вирушаю на прогулянку до новіших мікрорайонів, коли раптом настає оте переплетіння повітря, світла й стін будинків, на частку секунди переношуся в часи дитинства. Це наче додому? Це як тремтіння. І йду далі, бо тремтіння минає.

Я от собі згадав, як останній день у Варшаві провів із сестрою на Стадіоні 10-річчя. Стадіону вже нема, а я там провів цілу купу дитинства і останній день у МОЇХ місцях. Я. От і все.

І свою тугу тепер убиваю писанням. Від початку в мене був розлад, ну що я вдію. Тужив за домом, якого не було, а тепер і сам уже не знаю.

Найкраще оживити сестру, яка була, але померла. Найбезпечніше зробити її рідною, а проте вона лежить на цвинтарі в Рембертові. І зробити собі з неї героїню.

Може, вона була зв'язковою, а може, блондинкою. Ностальгія – ота моя туга – така легка й приємна, єдине почуття, яке саме собою задовольняє. У мені нема смутку, крім того, якого я вдавано люблю. І що? І ще так скількись там років, а може, й менше. Добре лише, що та Нова Гута виглядає, як район Варшави, а в моєї Дружини є кнайпа біля дому, де я п'ю в кредит, і загалом усе склалося зовсім по-старому. Але всі тут біля бару, всі, хто сидить навколо мене, або ходили разом до початкової школи, або жили в одному мікрорайоні, або знайомі через того й того, або малолітками разом вдиралися до тієї майстерні на Комбінаті Леніна, і я все-таки сиджу сам серед цих не моїх спогадів, пам'ятей, туг, і моя Варшава ховається. Бо тут вона всім до сраки. То й що?

Тут, якщо вже про те йдеться, царюють Герої праці. Мій тупий плач у супроводі мізерних тут повстанських сирен фальшивий, як і все решта. Тут татуюють будівничих міста Нова Гута, а не малого повстанця. Тут інший міф оволодів бандою шпани. І міф фенікса, міф барикад змішався тут із міфом засновників. І моя пам'ять ненадійна, а туга непостійна, постобрази накладаються, образи змішуються, і часом мені сниться, як зовсім малим я бігав по своєму подвір'ї в Новій Гуті.

Ет.

Ну і за чим я так тужу?

Та вже ж, бляха, таки не за домом.

[1] Місто в Келецькому воєводстві, залізнична станція між Варшавою і Краковом.
[2] Естрайхери – династія викладачів Ягеллонського університету у Кракові.
[3] Лайконік – суто краківський щорічний народний обряд на згадку про татарську навалу.
[4] „Ставлю на Толека Банана" – назва пригодницького роману польського письменника Адама Багдая.
[5] Йдеться про антигітлерівське Варшавське повстання 1944 року.
[6] Перша строфа вірша Юліана Тувіма „За круглим столом".
[7] Інформатизація туги за домом (англ.).
[8] bryk.pl (з пол. bryk – шпаргалка) – польський сайт рефератів. Цезарій Барика – герой роману „Провесінь" Стефана Жеромського.

[Переклад: Стефанія Топчій]

Juliusz Strachota (1979, Polska) – pisarz. Swoje opowiadania i reportaże drukował w „Lampie", „Czasie Kultury", „Polityce" oraz „Gazecie Wyborczej". Studiował kulturoznawstwo na UW i fotografię na Filmówce w Łodzi. Przez wiele lat żył z handlu rzeczami, które zapamiętał z dzieciństwa. Skupował między innymi wyposażenie barów mlecznych, saturatory, budki telefoniczne, a potem sprzedawał je kolekcjonerom. Obecnie pracuje jako copywriter. Urodzony i zakochany w Warszawie, ale mieszka z żoną Kasią w Nowej Hucie.

Bibliografia

- *Oprócz marzeń warto mieć papierosy* (Świat Książki, Warszawa 2006)
- *Cień pod blokiem Mirona Białoszewskiego* (Ha!art, Kraków 2009)

Juliusz Strachota (1979, Polen) – Schriftsteller. Seine Erzählungen und Reportagen wurden in den Zeitschriften „Lampa", „Czas Kultury", „Polityka" und in der „Gazeta Wyborcza" veröffentlicht. Er studierte Kulturwissenschaften an der Universität Warschau und Fotografie in Łódź. Viele Jahre lang handelte er mit Dingen, an die er sich aus seiner Kindheit erinnerte. Er kaufte Einrichtungen von Milchbars, Verkaufsständen, Telefonzellen und verkaufte sie weiter an Sammler. Zur Zeit arbeitet er als Copywriter. Geboren in Warschau, lebt mit seiner Frau Kasia in Nowa Huta bei Krakau.

Bibliographie

- *Außer Träumen ist es gut Zigaretten zu haben* (Świat Książki, Warschau 2006)
- *Schatten vor dem Wohnblock von Miron Białoszewski* (Ha!art, Krakau 2009)

Юлюш Страхота (1965, Польща) – письменник. Оповідання й репортажі друкувалися у виданнях „Lampa", „Czas Kultury", „Polityka", „Gazeta Wyborcza". Вивчав культурологію у Варшавському Університеті і фотографію в Кінематографічній Школі у Лодзі. Протягом багатьох років жив з торгівлі речами, які запам'ятав з дитинства. Скуповував, зокрема, обладнання їдалень, сатуратори, телефонні будки, а потім продавав це колекціонерам. Нині працює копірайтером. Народжений у Варшаві й закоханий в це місто, але мешкає з дружиною Касею у Новій Гуті під Краковом.

Бібліографія

- *Крім мрій варто мати ще цигарки* (Świat Książki, Варшава 2006)
- *Тінь під будинком Мірона Бялошевського* (Ha!art, Краків 2009)

Сергій Жадан Serhij Zhadan Serhij Żadan

ЧАС, КОЛИ СОНЦЕ ЗУПИНЯЄТЬСЯ WENN DIE SONNE STILLSTEHT CZAS, KIEDY ZATRZYMUJE SIĘ SŁOŃCE

Життя в мегаполісах надійно обмежує будь-які контакти з природою. Ботаніка витісняється комунальним господарством, глобальне потепління позбавляє календар сенсу й солідності. Зиму помічаєш за запахом нафталіну в громадському транспорті, літо – за кількістю татуювань на литках і плечах безтурботної молоді, котра висипає з офісів та аудиторій в парки й сквери в пошуках алкоголю й любові. Оскільки літо – це так чи інакше пора любові, 90 днів, які відводяться для занурення в спекотне повітря й холодні річкові води. Так що маєш скористатись цим шаленим перепочинком, перш ніж погода знову візьметься за своє й почне псувати настрій підозрілими дощами та невмотивованими снігопадами.

Протягом цих 90 днів змінюється саме забарвлення міських ландшафтів. Окрім цілком зрозумілої в таких випадках зелені, окрім небес, котрі влітку провисають особливо низько, окрім усього цього метеорологічного безуму, що розгортається над містами впродовж цілого літа, усіх цих злив, буревіїв, розпечених наскрізь атмосферних глибин, з'являється багато інших кольорів та відтінків. Перш за все в одязі. Літній одяг по-особливому строкатий, крикливий і зворушливий. Чоловіки натягують на себе безрозмірні шорти й дивних покроїв майки, незрозуміло де придбані й невідомо для чого розфарбовані. Жінки легко й послідовно оголюються, лишаючи на собі сміливі натяки на одяг, що робить їх, жінок, особливо беззахисними й безпосередніми.

Змінюється ритм міста, уповільнюються рухи перехожих. Спека робить кров густою й повільною, а серця – розмореними й гарячими, ніби овочі. Чоловіки сидять довкола кіосків із пивом, мов турки, або зеки (або турецькі зеки, не знаю), жінки ховаються під деревами, стоять у затінку, від чого важко розгледіти їхні обличчя, складно загалом зрозуміти – добре їм улітку чи погано. Позбавлені зайвого одягу, ніби вилущені з захисних обладунків, мешканці міст улітку виглядають більш правдиво – з усім своїм целюлітом, із усіма своїми шрамами, котрі, звісно, прикрашають, проте не в усіх місцях. Щось південне з'являється в чоловіках та жінках, котрі підставляють обличчя сонцю, і легко забуваючи про безкінечну сіру зимову кашу, з надією дивляться в розпалені небеса, виглядаючи звідти дощі, котрі мають усе поставити на свої місця. Не розуміючи, що все і так на своїх місцях, що влітку мають вибілюватись сонцем стіни панельних будинків, і трава у червні повинна бути гарячою й гіркою, мов зелений чай, і жінки влітку повинні постійно відчувати спрагу, оскільки спраглі жінки – це взагалі окрема історія, яку хочеться постійно переповідати.

Календарний рік – чортове колесо, яке рухається незалежно від того, сів ти на нього чи ні. Літо в цьому випадку – найвища точка, час завмирання, той момент, коли ти висидів таки усі депресивні демісезонні перепади, перечекав зимову непруху, пробігав і не помітив швидкі весняні місяці, й опинився зрештою серед цих днів, коли час завмирає, а сонце зупиняється. Коли з'являється і не відпускає цей нав'язливий синдром потопельника, з його обов'язковою потребою залізти в воду, опинитися серед екологічно сумнівної, проте життєво необхідної вологи. Коли з'являється і так само не відпускає синдром туриста, з його неодмінним бажанням залишити місто, виїхати кудись у безвість. Тим більш, що влітку безвість особливо близька та оманлива. І ти підриваєшся і виїжджаєш із гарячого, мов поцілунок міста, женучись за якимись своїми химерами, реалізуючи всі ці синдроми, набуті довгими роками й закладені в тебе суворим піонерським минулим. І дарма що немає нічого невідомого, що все можна передбачити й уявити – спека всюди випалює тебе до самого серця, і тут, і на всіх можливих курортах цієї країни, на всіх можливих пляжах, на яких скупчуються спраглі сонця та спокою відпочивальники, лежать і з кожним днем все сильніше сумують за містами, які вони так хотіли покинути, і до яких їм тепер так хочеться повернутись.

З голови потяга

Іноді мені здається, що залізниця існує цілком автономно від реальності, в якій ми всі перебуваємо. Лише на перший погляд включена в розмірені механізми суспільно-побутового функціонування, насправді залізниця є самодостатнім потойбічним об'єктом, котрий існує за власними законами й підпорядковується вищим силам. Скажімо, хто зможе пояснити, чому кожного року, влітку, на залізниці не вистачає квитків? Лише не говоріть, що населення починає більш активно переміщатись країною. Я бачив літній розклад, я знаю, що влітку пускають додаткові потяги. Але ситуації це не рятує. Вся справа в потойбічності шляхів сполучення, котрі залежать не від кількості посадкових місць, а від ірраціональної перевантаженості напрямків, згідно з якою квитків улітку не може бути за визначенням. Влітку ти не можеш сидіти в місті, ти просто зобов'язаний штовхатися безкінечними чергами, і вистоявши їх, брати квитки. І якщо немає квитків на потрібний тобі час до потрібного тобі місця (а їх напевне немає), ти з легким серцем береш погані місця (верхня бокова полиця, як це пояснити, скажімо, іноземцям), на незручний час (скажімо, на нічний потяг із Астани, який може й не приїхати, оскільки долає на своєму шляху кілька кордонів), до найближчої вузлової, де маєш намір пересісти, оскільки віриш, що не може такого бути, аби ти не доїхав до місця призначення. Ідеться саме про ірраціональну складову міністерства шляхів сполучення, про болісні й терпкі ритуали: ранкові привокзальні площі; старі радянські вагони, наповнені спекою і протягами; насипи, зарослі травою; заповнені пенсіонерами та циганами, ламкі й неповороткі електрички, якими блукають спекулянти й проповідники, торгуючи теплим алкоголем та біблійними дайджестами. Літні мандрівки сповнені повчальних розмов та несподіваних знайомств, легких мимовільних видив і нав'язливих компаній, в липневих потягах жінки мовчазні й доступні, а чоловіки – нав'язливі й нестерпні. І звісно – діти, які заповнюють собою весь вільний простір, виростаючи, ніби трава, перебігаючи шпали й ночуючи в залах очікування, п'ючи некип'ячену воду з кранів і розглядаючи розпечених напівоголених жінок, котрі не звертають на них жодної уваги.

Влітку змінюється населення вокзалів – з нього зникають безпритульні й волоцюги, вибираючись кудись в інші місця, поближче до води та запасів провіанту, і вокзальними приміщеннями ходять печальні перекупники, в яких ніхто не купує фальшиві квитки, оскільки всі давно знають – влітку квитків на всіх ніяк не вистачить, то й нічого випробовувати долю. В провінційних містечках залізничні вокзали зранку стоять зовсім порожні. Можна зайти й побачити, як знуджені спекою і відсутністю роботи касирки, відчиняють вікна й двері, вмикають старі допотопні вентилятори, намагаючись розігнати цю в'язку застояну спеку, що облягає шкіру й розігріває волосся. Вони сидять, зовсім по-домашньому, і розмовляють, скажімо, з черговими сержантами, або зі злодійкуватими таксистами, розповідаючи їм про любов та кримінал, оскільки в своєму житті окрім любові та криміналу нічого й не бачили. Та й немає в цьому житті нічого, окрім любові та криміналу.

Приміські вокзали влітку повняться особливо дивною й химерною публікою, яких багато хто вважає дачниками, проте я особисто зовсім не впевнений, що це саме дачники. Дівчата з конспектами і великою кількістю косметики на обличчі, ветерани з велосипедами й зіпсованими музичними інструментами; представники артілей глухонімих, які розповсюджують власноруч виготовлені іконки, довго й голосно сварячись у тамбурах; підлітки з армійськими лопатками та металошукачами в руках, котрі встають на маленьких безіменних платформах (хто придумав такі назви для зупинок – „631 км.", „245 км."?), посеред безкінечних лісів, і зникають назавжди за високими червоними соснами, замітаючи за собою сліди й відрізаючи собі шляхи до відступу.

Потяг швидко відходить, і життя на лісових платформах завмирає до вечора. Десь коло дев'ятої з'являється вечірній, платформа знову оживає, з лісу вибігають квапливі й нервові відпочивальники, метушаться платформою, бояться не застрибнути до вагона. Потяг зупиняється лише на мить, забирає подорожніх, і важко рушає в напрямку міста. До ранку западає тиша, сонце стікає за дерева, і цілу ніч залізницею перекочуються товарняки – без ліхтарів і маркування, перевозячи від однієї станції до іншої гарячу липневу темряву.

Те, що ти називаєш життям

Іноді приходять листи, яких не чекаєш. Як правило, це листи від давніх знайомих, або від старих друзів, одним словом – звістки з минулого, яке не відпускає. Що, в принципі, вірно – не можна нікого забувати, життя дається тобі для того, аби ти пізнав якомога більше прекрасних і неповторних співрозмовників, аби ти вислухав їхні біографії, одним словом – аби тобі потім не було нестерпно боляче за безцільно прожиті роки. Досвід, за великим рахунком, і складається зі знайомств та спілкування, події визначають лише контур цього життя, його каркас, а наповнюється воно так чи інакше емоціями й переживаннями, які виникають внаслідок співіснування з друзями та подругами, котрі спочатку несподівано з'являються, щоби потім безнадійно зникнути.

Особливо складно з друзями дитинства.
Це хворобливе усвідомлення й уникання власних комплексів та фобій, печальні спогади про дитячі невдачі й ліричні переживання, про крадіжки й бійки, футбольні перемоги й списування домашніх завдань, про шкільні сніданки й батьківську любов – більшість із нас у дитинстві беззахисні й відкриті, можливо саме тому більшість із нас і не спілкується з друзями

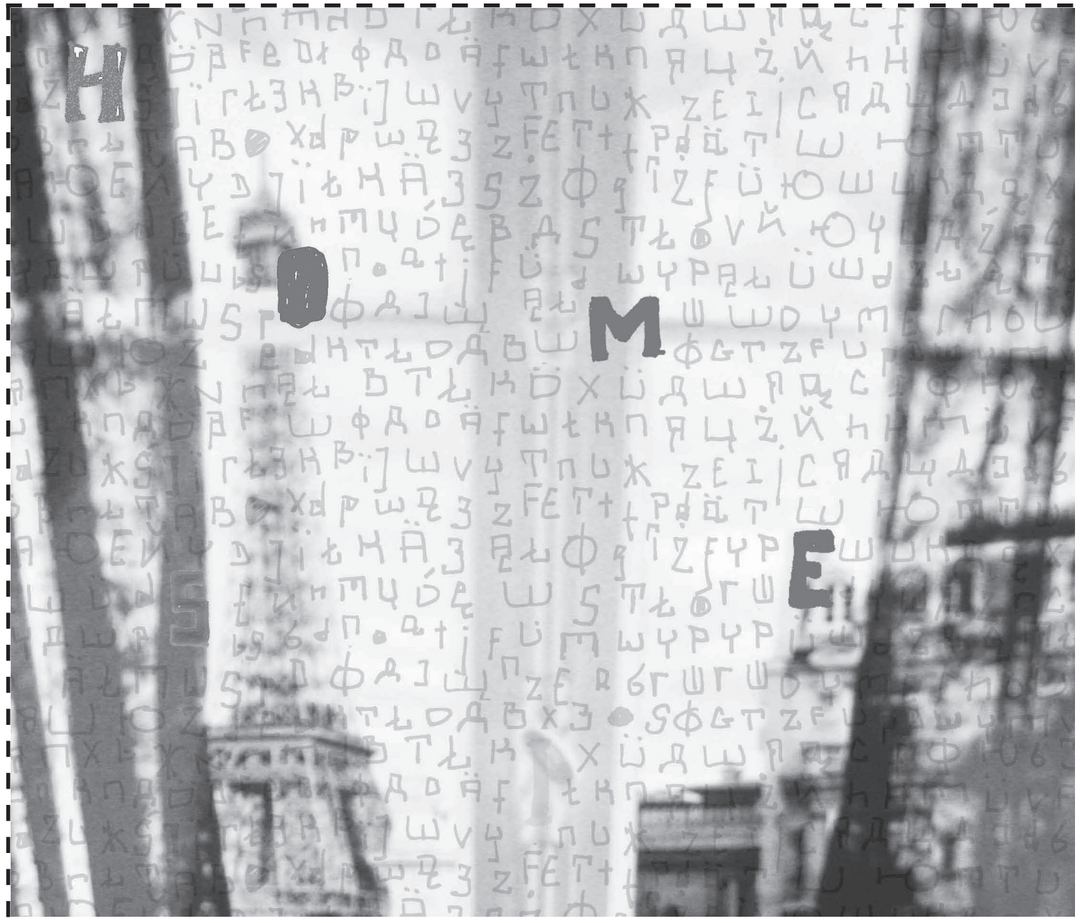

дитинства, цими безпосередніми й жорстокими свідками твоєї відкритості й беззахисності. Крім того, деяких твоїх друзів життєві обставини змінюють так жорстко і невблаганно, що ти й сам волієш не згадувати, якими янгольськими були їхні наміри та звички.

Не краща ситуація і з друзями молодості. Оскільки і з самою молодістю ситуація печальна. Ніщо не викликає стільки ностальгійних згадок та шкодування за втраченими можливостями як роки юності, котра промайнула, доки ти боровся за життєві позиції та соціальний статус. Але саме тоді й зустрічались тобі найбільш вірні й надійні товариші, саме тоді спивались твої вчителі й старіли твої жінки. Тож і шкодувати справді є за чим.
Ці легкі й швидкоплинні кілька років балансування між піонерською безтурботністю і прогрузом дорослого життя лишають по собі довгий присмак чогось до кінця не зрозумілого і навіки втраченого. Хоча, якщо бути відвертим із самим собою, що можна було б змінити? Поверніть мені мої сімнадцять, і я навряд чи відмовлюсь від тих алкогольно-психоделічних примар, із якими довелось мати справу. Те саме і з друзями – я буду завжди з ніжністю і любов'ю згадувати всю ту веселу наволоч, з якою довелось крокувати цим життям, незалежно від того, як далеко ми зайшли.

Інша річ жінки. Жінки, з якими доводилось знайомитись, якими випадало захоплюватись, і від яких доводилось іти. Жінки, котрі проминали твоїми буднями, яскраві, мов кінофільми, і нав'язливі, як телесеріали. Жінки, які навіть не звертали на тебе уваги, або навпаки – звертали на тебе всю свою увагу, жінки, котрих ти бачив лише здалеку, і котрих зміг розгледіти зблизька, роздивитись їхні зморшки й родимки, дізнатись про всі їхні потаємні бажання й пристрасті, по-дурному розбазікати всі їхні секрети й таємниці. Кожна звістка від них, кожен лист чи телефонний дзвінок вибивають із колії, надто багато важили вони в минулому, надто довго позбувався ти їхньої присутності, надто легко тобі це вдалося.

Час від часу вони всі пишуть – друзі, знайомі, напівзабуті персонажі, нагадуючи про себе й примушуючи твою пам'ять працювати на повну. І ти, листуючись із ними, ніби відновлюєш невидимі комунікаційні механізми. Це паморочливе відчуття часу, котре розмиває береги видимого, відділяючи між собою події й спогади, лишаючи, втім, можливість пам'ятати і нагадувати про себе. Листи від них завжди видаються можливістю все повернути, відновити й продовжити, хоча ніхто подібними можливостями зазвичай не користується. Просто відзначаєш для себе, що все і далі триває, Аня пише, що не може виїхати з країни, що проблеми з паспортами, Крістоф сповіщає, що їде з черговою експедицією до Сибіру, досліджувати малі народи, Міхал розповідає, що ходив на радіо, але не пам'ятає про що там говорили, оскільки багато перед тим курив. І ти сидиш перед монітором і відчуваєш це солодке й легковажне перетікання часу, яке потім, колись, назвеш життям.

Виходячи на світло

На початку серпня спека раптом спадає і небом починають сунути важкі дощові хмари. Десь тоді й відбувається злам, літнім повітрям раптом проходять ледь помітні тріщини, і з них щоразу відчутніше тягне холодним осіннім протягом. Потім, за кілька днів, дощі минають, знову зависає тепла сонячна погода, проте все вже насправді змінилось. Вода в ріках вистигає, і марно сподіватись, що розмірене серпневе сонце зможе її знову прогріти. Це вже початок кінця, слід готуватись до довгої безкінечної осені, з її тишею і вітром. Зрештою, в цій країні осінь триває пів року, від неї просто не встигаєш відвикнути.

В містах ці зміни майже не відчутні. Тіло міста не таке чутливе до температурних чи атмосферних перепадів. Цегла будинків довше тримає тепло, в підземці важко помітити зміну погоди. Хіба що раптом зауважуєш певний різнобій в одязі – хтось, найменш витривалий, із першими дощами одягає плащі й куртки, які дещо контрастують із пляжним одягом вуличних продавців та підлітків, котрі ховаються на станціях підземки від сонця, дощу та міліцейських патрулів. Тому, лишаючись у місті, можеш довший час нічого не помічати. Небо як небо, воно завжди живе своїм життям, проганяючи крізь себе ліниві череди хмар чи всотуючи весь тополиний пух цього світу.

Натомість, зміни відчуваються на трасах та бензозаправках. Відкритий простір особливо чутливий, фарби тут ураз набувають густоти й терпкості. Варто лише подивитись на пшеничні чи кукурудзяні поля, як помічаєш домішану в їхні кольори важкість розпаду. Щойно з траси зникає сонячне проміння, як відразу різко і гостро проступають обриси довколишніх ландшафтів, і все відразу стає зрозумілим – час готуватись до холодів, які й цього разу не оминуть тебе своєю наполегливістю.
Вздовж траси селяни продають усе, що росте на їхніх городах. Дивний бізнес, нагадує західні розпродажі домашнього непотребу, коли з будинків виносять старі речі в сподіванні на те, що комусь вони можуть знадобитись. Надто по-сімейному усе, як для справжньої торгівлі. Питаєш, скажімо, в бабці, чи є в неї морква, а вона відповідає: „На городі все є". Якась така українська народна мудрість, котра з'являється лише в серпні, разом із врожаями. Серпневі придорожні базари загалом заворожують відтінками й запахом, таких кольорів і такої стиглості більше не буде, все це триває лише кілька тижнів, котрі й виправдовують подальші відмирання та зимівлю.

Серпневі ліси стоять порожні, переплетені павутиною та всіяні сосновими голками, якими ступається зовсім нечутно. Лише час від часу за деревами видно постаті грибників. Сумнівне заняття – збирання грибів, мені воно завжди нагадувало збирання пляшок. Хоча ось вбрідаєш між стовбурів і раптом натрапляєш на чергову грибну колонію, і все це якось мимоволі захоплює, так ніби й справді важливо назбирати їх якомога більше, ніби йдеться не лише про азарт, а й про необхідність.

У соснових лісах важко визначити наближення осені. Ти мовби відгороджуєшся деревами від перебігу часу, забрідаючи в місця, де час рухається не так швидко. Сосни дивно передають акустику – вночі до ранку чути як проїжджають фури віддаленою трасою, наче все це відбувається зовсім поруч, за сусідніми деревами. Траса весь час подає голос, так що можна орієнтуватись на неї, щоби не заблукати і вийти в потрібному місці. І коли по обіді згадуєш про час і простір, про перетікання сонячних потоків і наближення перших заморозків, коли намагаєшся вийти з цих соснових насаджень, то й рухаєшся передусім на голос дороги, виходячи з-поміж дерев на чужі голоси. По бездощовому літі ліси стоять сухі й прозорі, між гілками прориваються шматки сонячного світла, і чим ближче до траси, тим більше стає цього світла, яке вихоплюється з-поза червоних соснових стовбурів. І ось дерева лишаються позаду, і ти виходиш, зрештою, на гарячі асфальтові ділянки, і все це світло серпня обвалюється на тебе своїм теплом і прохолодою, ніжністю й задухою, приводячи до тями й нагадуючи про незмінне та дивовижне проминання часу, який завжди прискорюється в районі шосейних доріг. Час підбивати підсумки, думаєш ти. А що в підсумку? Ну ось хоча б ці гриби.

Das Leben in den Riesenstädten beschränkt zuverlässig jeden Naturkontakt. Die Botanik wird von Wohnungsbaugesellschaften verdrängt, mit der globalen Erwärmung verliert der Kalender Sinn und Verlässlichkeit.
Den Winter erkennst du am Naphthalingeruch im öffentlichen Nahverkehr, den Sommer an der Anzahl der Tätowierungen auf den Waden und Schultern der unbekümmerten jungen Leute, die aus den Büros und Hörsälen in die Parks und auf die Boulevards strömen und sich auf die Suche nach Alkohol und Liebe machen. Denn der Sommer ist nun mal die Zeit der Liebe, 90 Tage, um in heiße Luft und kaltes Flusswasser einzutauchen. Du musst also die irrwitzige Erholungspause nutzen, ehe das Wetter wieder seins fordert und dir mit ver-

dächtigen Regengüssen und unmotivierten Schneefällen die Laune verdirbt.

In diesen 90 Tagen ändert sich das Farbenspiel in den Stadtlandschaften. Außer dem hier zu erwartenden Grün, außer den Himmeln, die im Sommer besonders weit durchhängen, außer all diesem meteorologischen Wahnsinn, der sich während des Sommers über die Städte breitet, außer all den Regengüssen, Sturmböen, durchhitzten atmosphärischen Tiefen stellen sich auch viele andere Farben und Schattierungen ein. Vor allem in der Kleidung. Sommerkleidung ist besonders farbenfroh, auffällig und ergreifend. Die Männer ziehen sich riesige Shorts und merkwürdig geschnittene T-Shirts über; wo sie erworben und warum sie gefärbt wurden, ist unklar. Gedankenlos enthüllen sich die Frauen immer weiter und tragen nur noch einen Hauch von Kleidung, was sie, die Frauen, besonders schutzlos und greifbar werden lässt.

Der Rhythmus der Stadt ändert sich, die Bewegungen der Passanten werden langsamer. Die Hitze lässt das Blut dick und schwerfällig werden und die Herzen ausgelaugt und heiß wie Gemüse. Die Männer sitzen mit Bier vor Kiosken herum wie Türken oder Knackis (oder türkische Knackis, was weiß ich), die Frauen flüchten sich unter Bäume, stehen im Schatten, sodass man ihre Gesichter nicht genau erkennen kann, man weiß überhaupt nicht genau, ob es ihnen im Sommer gut oder schlecht geht. Ihrer Sachen entkleidet, sind sie aus ihrer Schutzhülle herausgeschält, die Stadtbewohner sehen im Sommer wirklicher aus, mit ihrer Zellulitis, mit ihren Schrammen, die sie natürlich verschönern, nicht an jeder Stelle allerdings. Die Männer und Frauen bekommen etwas Südliches, sie halten ihre Gesichter in die Sonne und vergessen schnell den endlosen grauen Winterbrei, schauen hoffnungsvoll in die geröteten Himmel und halten Ausschau nach Regenfällen, die alles wieder in Ordnung bringen sollen. Sie begreifen nicht, dass auch so alles in bester Ordnung ist, dass die Mauern der Plattenbauten sich im Sommer von der Sonne bleichen lassen müssen und das Gras im Juni heiß und bitter werden muss wie grüner Tee und dass die Frauen im Sommer ständig Hitze verspüren, denn heiße Frauen, das ist eine Geschichte für sich, die man gern immer wieder erzählen würde.

Das Kalenderjahr ist ein Teufelsrad, das sich dreht, egal, ob du darauf sitzt oder nicht. Der Sommer ist in diesem Fall der höchste Punkt, die Zeit des Innehaltens, der Moment, wenn du die ganzen depressiven Schwankungen der Übergangszeit hinter dir, den Winterfrust überstanden und die schnellen Frühlingsmonate unbemerkt und rasend durchlaufen hast und dich plötzlich in diesen Tagen wieder findest, wenn die Zeit innehält und die Sonne stillsteht. Wenn dieses lästige Wasserleichennsyndrom aufkommt und sich nicht verscheuchen lässt, dieses unweigerliche Bedürfnis, ins Wasser zu steigen und in diesem ökologisch fragwürdigen, aber lebensnotwendigen Nass zu verweilen. Und wenn das Touristensyndrom aufkommt und sich ebenso wenig verscheuchen lässt, dieses unwiderstehliche Verlangen, die Stadt zu verlassen, irgendwohin nach nirgendwo zu fahren. Besonders, wo im Sommer das Nirgendwo ganz nah und trügerisch ist. Du hältst es nicht mehr aus und verlässt die kussheiße Stadt, jagst all deinen Chimären nach, packst deine Syndrome, die sich über lange Jahre angesammelt haben, eine Hinterlassenschaft deiner schweren Pioniervergangenheit. Es ist nebensächlich, dass es nichts Unbekanntes gibt, dass sich alles vorhersehen und imaginieren lässt – die Hitze brennt dich überall bis ins Innerste aus, und hier, an all den Ferienorten dieses Landes, an all den Stränden drängen sich die sonnenhungrigen und ruhebedürftigen Urlauber, liegen da und sehnen sich von Tag zu Tag mehr nach ihren Städten, die sie unbedingt verlassen wollten und in die sie jetzt so gern zurückkehren würden.

An der Spitze des Zuges

Manchmal scheint es mir, als existierte die Eisenbahn in einer völlig anderen Wirklichkei, als wir sie erleben. Nur auf den ersten Blick ist sie Teil der gleichmäßigen Funktionsmechanismen des Gesellschaftlich-Alltäglichen, eigentlich ist die Eisenbahn ein selbstgenügsames, jenseitiges Objekt, das nach eigenen Gesetzen funktioniert und sich höheren Mächten unterwirft. Wer weiß denn zum Beispiel, warum jedes Jahr im Sommer Bahnfahrkarten fehlen? Nun behaupten Sie bloß nicht, die Bevölkerung würde auf einmal aktiver durch das Land reisen. Ich habe den Sommerfahrplan gesehen, ich weiß, dass im Sommer zusätzliche Züge eingesetzt werden. Aber die Situation verbessert das nicht. Es liegt an den jenseitigen Verkehrswegen, die nicht von der Anzahl der Sitzplätze, sondern von der irrationalen Streckenüberlastung bestimmt werden, weswegen es im Sommer für bestimmte Ziele keine Karten geben kann. Du kannst im Sommer nicht einfach in der Stadt bleiben, du musst dich in endlose Schlangen zwängen und warten, bis du an der Reihe bist, dann deine Fahrkarten kaufen. Und wenn es zu der von dir gewünschten Zeit für das von dir gewünschte Ziel keine Karten gibt (und das ist sicher), nimmst du leichten Herzens schlechte Plätze (eine obere Liege am Gang, was man einem Ausländer erst mal erklären muss), für eine ungünstige Zeit (für den Nachtzug aus Astana zum Beispiel, der vielleicht gar nicht kommt, da seine Strecke über mehrere Grenzen führt), zum nächsten Knotenpunkt, wo du umsteigen willst, denn du glaubst, dass es möglich sein muss, dennoch ans Ziel zu kommen. Es geht eben um eine irrationale Konstante des Verkehrsministeriums, um schmerzhafte und bittere Rituale: die morgendlichen Bahnhofsvorplätze; die alten sowjetischen Waggons voller Hitze und Zugluft; von Gras überwucherte Halden; klapprige und plumpe Vorortzüge voller Rentner und Zigeuner, in denen Spekulanten und Prediger umherstreifen und mit warmem Alkohol und Traktaten handeln. Die Sommertouren sind erfüllt von lehrreichen Gesprächen und Zufallsbekanntschaften, leichten zufälligen Aussichten und aufdringlichen Gruppen, in den Julizügen sind die Frauen schweigsam und zutraulich, die Männer aufdringlich und unerträglich. Und dann natürlich die Kinder, die den ganzen freien Raum einnehmen, in die Höhe schießen wie Gras, über Bahnschwellen laufen und in den Wartesälen übernachten, die Leitungswasser trinken und die erhitzten, halb nackten Frauen betrachten, die sie keines Blickes würdigen.

Im Sommer ändert sich die Bahnhofsbevölkerung, die Obdachlosen und Penner verschwinden und suchen sich andere Plätze, näher am Wasser und am Proviant, durch die Bahnhofssäle laufen traurige Schwarzhändler, denen niemand ihre falschen Fahrkarten abkauft, weil jeder seit langem weiß, dass die Fahrkarten im Sommer nicht für alle reichen, wozu also das Schicksal versuchen. In den Provinzstädten sind die Bahnhöfe am Morgen vollkommen leer. Wenn man hineingeht, sieht man die von der Hitze und Müßiggang angeödeten Schalterfrauen die Fenster und Türen öffnen, die alten, vorsintflutlichen Ventilatoren einschalten, um die klebrige, stehende Hitze zu vertreiben, die sich auf die Haut legt und die Haare aufheizt. Sie sitzen ganz ungezwungen da und reden zum Beispiel mit dem diensthabenden Offizier oder mit den schlitzohrigen Taxifahrern und erzählen ihnen von Liebe und Verbrechen, denn außer Liebe und Verbrechen haben sie in ihrem Leben nichts gesehen. Und es gibt im Leben auch nichts anderes als Liebe und Verbrechen.

Die Vorstadtbahnhöfe werden im Sommer von einem besonders merkwürdigen und wunderlichen Publikum bevölkert, das viele für Datschniki halten, aber ich bin nicht davon überzeugt, dass es wirklich Datschniki sind. Mädchen mit Unterrichtsmitschriften und einem Haufen Kosmetik im Gesicht; Veteranen mit Fahrrädern und beschädigten Musikinstrumenten; Mitglieder von Taubstummen-Artelen, die ihre selbst gefertigten Ikonen vertreiben und sich lange und laut auf den Tamburen streiten; Jugendliche mit Armeeschaufeln und Metalldetektoren, die an kleinen, namenlosen Haltepunkten aussteigen (wer hat sich Namen ausgedacht wie: 631 km, 245 km?), inmitten endloser Wälder, und die auf Nimmerwiedersehen hinter hohen roten Kiefern verschwinden, die Spuren verwischt und die Rückzugswege abgeschnitten.

Der Zug fährt schnell weiter, und bis zum Abend erstirbt das Leben an den Haltepunkten im Wald. So gegen neun kommt der Abendzug, und die Station wird wieder lebendig, aus dem Wald kommen die hektischen und nervösen Ausflügler gelaufen, sie rennen auf dem Bahnsteig auf und ab, aus Angst, den Einstieg zu verpassen. Der Zug hält nur für einen Augenblick, nimmt die Reisenden auf und rollt schwerfällig in Richtung Stadt. Bis zum Morgen versinkt alles in Stille, die Sonne verschwindet hinter den Bäumen, und in der Nacht rattern Güterzüge ohne Scheinwerfer und Markierungen vorbei, sie transportieren heißes Julidunkel von einer Station zur nächsten.

Was du Leben nennst

Manchmal kommen Briefe, die du nicht erwartet hast. Meist sind das Briefe von alten Bekannten oder alten Freunden, Nachrichten aus einer Vergangenheit also, die dich nicht loslässt. Das ist eigentlich richtig, man soll niemanden vergessen, du lebst, um möglichst viele tolle und einzigartige Gesprächspartner zu treffen, ihre Biografien zu hören, um nicht später unter sinnlos vertrödelten Jahren zu leiden. Die Erfahrung besteht mehr oder weniger aus Bekanntschaften und Geselligkeit; die Ereignisse markieren nur die Konturen dieses Lebens, sein Gerüst, aber gefüllt wird es so oder so von Gefühlen und Erlebnissen, die sich aus dem Zusammensein mit Freunden und Freundinnen speisen, sie tauchen auf und sind plötzlich auf Nimmerwiedersehen verschwunden.

Besonders schwierig ist es mit den Freunden aus der Kindheit. Dieses krankhafte Bewusstwerden und Vermeiden der eigenen Komplexe und Ängste, die traurigen Erinnerungen an die kindlichen Missgeschicke und lyrischen Erlebnisse, an Diebstähle und Schlägereien, an Fußballsiege und das Abschreiben von Hausaufgaben, an das Schulessen und die Elternliebe, die meisten von uns sind als Kinder schutzlos und offen, vielleicht haben deshalb die meisten keinen Kontakt zu ihren Freunden aus der Kindheit, zu diesen unmittelbaren und grausamen Zeugen der eigenen Offenheit und Schutzlosigkeit. Außerdem haben sich die Lebensumstände von einigen deiner Freunde so grausam und ungut gewandelt, dass du dir die Erinnerung ersparen möchtest, was für arglose Absichten und Gewohnheiten sie hatten.

Mit den Jugendfreunden sieht es nicht besser aus. Und das trifft auch auf die Jugendzeit zu. Nichts ruft so viele nostalgische Erinnerungen und Wehmut wegen verpasster Chancen wie die Jugendzeit, die im Kampf um einen Platz im Leben und den sozialen Status vorübergegangen ist. Das war die Zeit, in der du die treuesten und zuverlässigsten Freunde getroffen hast, die Zeit, in der deine Lehrer zu Trinkern geworden und deine Frauen gealtert sind. Es gibt keinen Grund zur Wehmut. Diese wenigen unbeschwerten und schnelllebigen Jahre im Gleichgewicht zwischen der Sorglosigkeit des Pioniers und der Last des Erwachsenen lassen einen dauerhaften Beigeschmack von etwas nicht ganzVerständlichem und für immer Verlorenem zurück. Was hätte man aber, wenn man ehrlich ist, anders machen können? Lasst mich noch mal siebzehn sein, und ich werde wohl kaum auf die alkoholisch-psychedelischen Geister verzichten, mit denen ich damals zu tun hatte. Genauso ist es mit den Freunden, ich werde immer voller Zärtlichkeit und Liebe an den lustigen Haufen denken, mit dem ich durchs Leben getappt bin, egal wie weit wir gekommen sind.

Mit den Frauen ist es anders. Die Frauen, die ich kennen gelernt habe, von denen ich fasziniert war und die ich verlassen habe. Die Frauen, die deinen Alltag durchzogen, grell wie Kinofilme und lästig wie Fernsehserien. Frauen, die dir keine Aufmerksamkeit oder aber alle Aufmerksamkeit geschenkt haben, Frauen, die du nur von weitem gesehen hast und die du von nahem hättest betrachten, deren Falten und Muttermale du hättest studieren, deren verborgene Wünsche und Leidenschaften du hättest erfahren können, ihre Geheimnisse und Rätsel hättest du ausposaunen können. Jede Nachricht von ihnen, jeder Brief oder Anruf wirft dich aus der Bahn, zu wichtig waren sie in der Vergangenheit, zu lange hast du versucht, ihr Dasein abzuschütteln, zu schnell ist dir das gelungen.

Hin und wieder schreiben sie alle – deine Freunde und Bekannten, die halb in Vergessenheit geratenen Figuren, bringen sich in Erinnerung und zwingen dein Gedächtnis zu Höchstleistungen. Und wenn du mit ihnen Briefe wechselst, leben die unsichtbaren Kommunikationsmuster wieder auf. Dieses betörende Gefühl von Zeit, das die Ufer des Sichtbaren unterhöhlt, Ereignisse und Erinnerungen voneinander trennt und Erinnern und Erinnert werden möglich macht. Ihre Briefe erscheinen immer als Chance, alles zurückzuholen, von vorn zu beginnen und weiterzumachen, obwohl von dieser Chance in der Regel niemand Gebrauch macht. Du stellst einfach fest, dass alles weiterläuft, Anja schreibt, sie könne nicht ausreisen, weil es Probleme mit ihrem Ausweis gibt, Christoph teilt

mit, dass er zu seiner nächsten Expedition nach Sibirien aufbricht, um die kleinen Völker zu erforschen, Michal erzählt, er sei beim Radio gewesen, wisse aber nicht mehr, worüber gesprochen wurde, weil er bekifft war. Und du sitzt vor dem Bildschirm und spürst dieses süße und leichtsinnige Vergehen der Zeit, die dann irgendwann Leben heißt.

Ans Licht kommen

Anfang August lässt die Hitze plötzlich nach, und schwere Regenwolken schieben sich den Himmel entlang. Irgendwo da ist der Bruch, die Sommerluft bekommt plötzlich feine Risse, und ein herbstlicher Lufthauch dringt immer spürbarer durch sie herein. Nach ein paar Tagen ist der Regen vorüber, es ist wieder warm und sonnig, und doch hat sich etwas geändert. Das Flusswasser kühlt ab, und die Hoffnung, die gleichmäßige Augustsonne könnte es wieder erwärmen, ist vergebens. Das ist der Anfang vom Ende, nun gilt es, sich auf den langen, endlosen Herbst einzustellen, mit seiner Stille und seinem Wind. Der Herbst dauert hier ein halbes Jahr, man entwöhnt sich nicht von ihm.

In den Städten sind diese Veränderungen kaum spürbar. Der Stadtkörper reagiert nicht so empfindlich auf Temperaturschwankungen und atmosphärische Wechsel. Die Ziegel der Häuser halten die Wärme länger gespeichert, in der U-Bahn bleiben Wetterveränderungen unbemerkt. Man sieht es höchstens hier und da an der Kleidung, jemand Zartbesaitetes zieht sich beim ersten Regen eine Jacke oder einen Mantel über, das bildet einen gewissen Kontrast zur Strandkleidung der Straßenverkäufer und Teenager, die vor der Sonne, dem Regen und den Polizeikontrollen in die U-Bahn-Stationen flüchten.
Wenn du in der Stadt bleibst, bemerkst du vielleicht lange Zeit gar nichts. Der Himmel ist wie immer, er lebt sein Leben, jagt die trägen Wolkenformationen über sich hinweg und saugt den ganzen Pappelstaub dieser Welt auf.

Aber auf den Schnellstraßen und an den Tankstellen sind die Veränderungen spürbar. Der offene Raum ist besonders empfindlich, die Farben bekommen plötzlich etwas Sattes und Bitteres. Es reicht, sich die Weizen- oder Maisfelder anzuschauen, und du bemerkst die in ihre Farben eingestreute Schwere des Zerfalls. Bald werden die Sonnenstrahlen von den Schnellstraßen verschwinden, und dann treten die Umrisse der umliegenden Landschaften scharf und deutlich hervor, auf einmal wird alles klar – es ist Zeit, sich auf die Kälte einzustellen, die dich mit ihrer Hartnäckigkeit auch dieses Mal nicht verschonen wird.
An den Schnellstraßen verkaufen die Dorfbewohner alles, was in ihren Gärten wächst. Kleinhandel, erinnert an den Ausverkauf von Hausrat im Westen, wenn alter Kram vor die Häuser gestellt wird in der Hoffnung, er könnte für jemanden von Nutzen sein. Für einen richtigen Handel ist das alles übertrieben familiär. Da fragst du zum Beispiel ein Mütterchen, ob sie Möhren habe, und sie antwortet dir: „In einem Garten hat man alles“.
So eine ukrainische Volksweisheit, die erst im August zum Vorschein kommt, wenn Erntezeit ist. Die Straßenbasare im August betören nun mal durch ihre Nuancen und ihren Geruch, diese Farben und diese Üppigkeit gibt es kein zweites Mal, alles nur für ein paar Wochen, die das weitere Absterben und die Überwinterung rechtfertigen.

Die Augustwälder sind leer, von Spinnennetzen durchzogen und von Kiefernnadeln übersät, auf die man völlig lautlos tritt. Nur ab und zu entdeckt man hinter den Bäumen die Silhouetten der Pilzsucher. Es ist eine zweifelhafte Beschäftigung, das Pilze-Sammeln, es erinnert mich immer ans Flaschen-Sammeln. Und wenn du zwischen Baumstümpfen herumkriechst und plötzlich auf die nächste Pilzkolonie stößt, ist das trotz allem faszinierend, als wäre es wirklich wichtig, so viele Pilze wie möglich zu sammeln, als ginge es nicht nur um ein Spiel, sondern wäre eine echte Notwendigkeit.

In Kiefernwäldern ist es schwer, den nahenden Herbst auszumachen. Du grenzt dich sozusagen mit den Bäumen vom Zeitlauf ab, du schlenderst zu Plätzen, an denen die Zeit langsamer läuft. Kiefern geben Schall auf merkwürdige Weise wieder. Die Nacht über bis zum Morgen hört man die Lastwagen auf der entfernten Schnellstraße vorbeifahren, als spielte sich alles in unmittelbarer Nähe, hinter den nächsten Bäumen ab. Die Schnellstraße hört man immer, so dass man sich an ihr orientieren kann, damit man sich nicht verirrt und an der richtigen Stelle herauskommt. Und wenn dir nachmittags Zeit und Raum einfallen, das Vorbeifließen der Sonnenströme und die bevorstehenden ersten Fröste, wenn du aus diesen Kiefernwäldern herauslaufen willst, folgst du hauptsächlich der Stimme der Straße, du trittst aus den Bäumen heraus und folgst fremden Stimmen. Nach einem regenlosen Sommer sind die Wälder trocken und durchscheinend, Fetzen von Sonnenlicht brechen durch die Zweige, und je näher du an die Schnellstraße kommst, um so mehr wird das Licht, das zwischen den roten Kiefernstümpfen auftaucht. Die Bäume bleiben zurück, du trittst hinaus auf die heißen Asphaltstücke, und das ganze Augustlicht strömt mit seiner Wärme und seiner Kühle, seiner Zartheit und Stickigkeit auf dich ein, bringt dich zu Verstand und erinnert dich an das unabänderliche und merkwürdige Vergehen der Zeit, die an den Chausseestraßen immer schneller wird. Es ist Zeit, Resümee zu ziehen, denkst du. Und wozu das Resümee? Immerhin sind da die Pilze.

[Übersetzung: Claudia Dathe]

Życie w wielkich miastach skutecznie ogranicza wszelkie kontakty z przyrodą. Gospodarka komunalna wypiera florę, globalne ocieplenie pozbawia kalendarz sensu i rzetelności. Zimę rozpoznajesz po zapachu naftaliny w komunikacji miejskiej, lato – po ilości tatuaży na łydkach i ramionach beztroskiej młodzieży, która wysypuje się z biur i sal wykładowych do parków i na skwery w poszukiwaniu alkoholu i miłości. Bo lato – tak czy inaczej – to czas miłości, dziewięćdziesiąt dni, które poświęca się na zanurzeniu w upalnym powietrzu i zimnej rzecznej wodzie. Powinieneś skorzystać z tego szalonego wytchnienia, zanim pogoda znów weźmie się do dzieła i zacznie psuć nastrój podejrzanymi deszczami i nieusprawiedliwionymi opadami śniegu.

Przez te dziewięćdziesiąt dni zmienia się samo zabarwienie miejskich krajobrazów. Poza zupełnie zrozumiałą w takich wypadkach zielenią, poza niebiosami, które latem wiszą wyjątkowo nisko, poza całym tym meteorologicznym wariactwem, które rozpościera się nad miastami przez całe lato, wszystkimi tymi ulewami, burzami, na wskroś rozpalonymi atmosferycznymi głębinami ujawnia się wiele innych kolorów i odcieni. Przede wszystkim w ubraniach. Letnia odzież jest szczególnie pstrokata, krzykliwa i wzruszająca. Mężczyźni zakładają olbrzymie szorty i koszulki dziwnych krojów, nie wiadomo, gdzie kupione i dlaczego pofarbowane. Kobiety lekko i konsekwentnie się rozbierają, pozostawiając na sobie odważne aluzje odzieży, co czyni je szczególnie bezbronnymi i bezpośrednimi.

Zmienia się rytm miasta, spowalniają się ruchy przechodniów. Od upału krew gęstnieje i zwalnia, a serca stają się ospałe i gorące jak warzywa. Mężczyźni siedzą wokół kiosków z piwem, jak Turcy albo kryminaliści (albo tureccy kryminaliści, sam nie wiem), kobiety chowają się pod drzewami, stoją w cieniu, przez co trudno przyjrzeć się ich twarzom, w ogóle trudno się zorientować – dobrze im latem czy źle. Pozbawieni zbędnej odzieży, jakby wyłuskani z pancerzy, mieszkańcy miast wyglądają bardziej prawdziwie – z całym swoim cellulitisem, ze wszystkimi swoimi szramami, które oczywiście ich upiększają, ale nie w każdym miejscu. Coś południowego pojawia się w mężczyznach i kobietach, którzy wystawiają twarze do słońca i z łatwością zapominają o bezkresnej zimowej szarej brei, z nadzieją patrzą w rozpalone niebiosa, wyglądając w nich deszczy, które mają przywrócić wszystko na swoje miejsca. Nie rozumiejąc, że wszystko i tak jest na miejscu, że latem mają blaknąć od słońca ściany budynków z wielkiej płyty i trawa w czerwcu powinna być gorąca i gorzka, jak zielona herbata, i kobiety latem powinny ciągle czuć pragnienie, bo spragnione kobiety – to w ogóle oddzielna historia, którą chce się wciąż opowiadać.

Rok kalendarzowy – to diabelski młyn, który porusza się niezależnie od tego, czy na niego wsiadłeś, czy nie. Lato w tym wypadku – to najwyższy punkt, czas zamierania, ten moment, kiedy przesiedziałeś jednak depresyjne międzysezonowe przełomy, przeczekałeś zimowe porażki, przebiegałeś i nie zauważyłeś szybkich wiosennych miesięcy i znalazłeś się w końcu pośród tych dni, kiedy czas zamiera, a słońce się zatrzymuje, kiedy pojawia się i nie odpuszcza ten natrętny syndrom topielca, z obowiązkową koniecznością wejścia do wody, znalezienia się w ekologicznie wątpliwej, jednak życiowo niezbędnej wilgoci. Kiedy pojawia się i też nie odpuszcza syndrom turysty, z jego nieodmiennym pragnieniem porzucenia miasta, wyjechania dokądś w nieznane. Tym bardziej, że latem nieznane jest szczególnie bliskie i łudzące.
I zrywasz się, i wyjeżdżasz z gorącego jak pocałunek miasta, goniąc jakieś swoje urojenia, realizując wszystkie syndromy nabyte przez lata i nałożone na ciebie przez surową pionierską przeszłość. I nieważne, że nie ma nic nieznanego, że wszystko można przewidzieć i wyobrazić sobie – upał wszędzie wypala cię do samego serca i tu, i we wszystkich możliwych kurortach tego kraju, na wszystkich możliwych plażach, na których zbierają się spragnieni słońca i spokoju wczasowicze. Leżą i z każdym dniem coraz bardziej tęsknią za miastami, które chcieli porzucić i do których teraz tak chce im się wrócić.

Z czoła pociągu

Czasami wydaje się, że kolej istnieje całkowicie oddzielnie od rzeczywistości, w której wszyscy przebywamy. Tylko na pierwszy rzut oka włączona jest w miarowe mechanizmy codziennego społecznego funkcjonowania, naprawdę kolej jest samowystarczalnym obiektem z zaświatów, który działa wedle własnych praw i podporządkowany jest siłom wyższym. Powiedzmy, kto może wyjaśnić, dlaczego co roku latem, na kolei brakuje biletów? Tylko nie mówcie, że ludność zaczyna energiczniej przemieszczać się po kraju. Widziałem letni rozkład, wiem, że latem wypuszcza się dodatkowe pociągi.
Ale nie ratuje to sytuacji. Cała rzecz polega na zaświatowości dróg komunikacji, które zależą nie od ilości miejsc, a od irracjonalnego przeciążenia kierunków, przez które latem biletów nie może być z definicji. Latem nie możesz siedzieć w mieście, jesteś po prostu zobowiązany tłuc się przez bezkresne kolejki i wystawać w nich, by kupić bilety. I jeśli nie ma biletów na pożądaną przez ciebie godzinę w pożądanym kierunku (a nie ma ich na pewno), z lekkim sercem bierzesz złe miejsca (górna boczna półka, jak to wyjaśnić, powiedzmy, obcokrajowcom?), na niedogodną godzinę (powiedzmy, na nocny pociąg z Astany, który może nie przyjechać, bo pokonuje po drodze kilka granic), do najbliższego węzła, gdzie zamierzasz się przesiąść, dlatego że wierzysz, że nie może być tak, byś nie dojechał do miejsca przeznaczenia. Chodzi właśnie o irracjonalną składową ministerstwa transportu, o bolesne i cierpkie rytuały: poranne dworcowe place; stare radzieckie wagony wypełnione upałem i przeciągami; nasypy zarośnięte trawą; wypełnione emerytami i Cyganami kruche i ospałe podmiejskie, po których błąkają się spekulanci i konduktorzy, handlując ciepłym alkoholem i kieszonkowymi Bibliami. Letnie wędrówki pełne są pouczających rozmów i niespodziewanych znajomości, lekkich mimowolnych zjaw i natrętnego towarzystwa, kobiety w lipcowych pociągach są milczące i przystępne, a mężczyźni natrętni i nieznośni.
I oczywiście – dzieci, które wypełniają sobą całą wolną przestrzeń, wyrastając jak trawa, przebiegając przez tory i nocując w poczekalniach, pijąc niegotowaną wodę z kranów i oglądając rozpalone półnagie kobiety, które ani trochę nie zwracają na nie uwagi.

Latem zmieniają się mieszkańcy dworców – znikają bezdomni i włóczędzy, wydostają się gdzieś w inne miejsca,

bliżej wody i zapasów prowiantu, i dworcowymi salami chodzą smutne koniki, od których nikt nie kupuje fałszywych biletów, skoro każdy wie od dawna – latem biletów dla wszystkich i tak nie wystarczy, więc nie ma co wystawiać losu na próbę. W prowincjonalnych miasteczkach rano dworce kolejowe stoją zupełnie puste. Można wejść i zobaczyć, jak znużone upałem i brakiem pracy kasjerki otwierają okna i drzwi, włączają stare przedpotopowe wentylatory, starając się rozpędzić grząski ustany upał, który oblepia skórę i rozgrzewa włosy. Siedzą zupełnie po domowemu i rozmawiają, powiedzmy z dyżurnymi milicjantami albo ze wątpliwej uczciwości taksówkarzami, opowiadając im o miłości i kryminale, bo w swym życiu poza miłością i kryminałem nic innego nie widziały. Zresztą nie ma w tym życiu nic poza miłością i kryminałem.

Podmiejskie dworce latem wypełniają się szczególnie dziwną i ulotną publicznością, którą wielu uważa za działkowiczów, jednak osobiście nie jestem pewien, czy to właśnie są działkowicze. Dziewczęta z notatkami i wielką ilością kosmetyków na twarzach, kombatanci z rowerami i zepsutymi instrumentami muzycznymi; przedstawiciele związku głuchoniemych, którzy rozprowadzają własnoręcznie sporządzone ikonki, długo i głośno kłócąc się na korytarzach; nastolatkowie z wojskowymi saperkami i wykrywaczami metalu w rękach, którzy wysiadają na małych bezimiennych peronach (kto wymyślił takie nazwy przystanków – „631 km", „245 km"?) pośród bezkresnych lasów i znikają na zawsze za wysokimi czerwonymi sosnami, zacierając ślady i odcinając sobie drogi odwrotu.

Pociąg szybko odjeżdża i życie na leśnych peronach zamiera do wieczora. Gdzieś koło dziewiątej pojawia się wieczorny, peron znów ożywa, z lasu wybiegają żwawi i nerwowi wczasowicze, kręcą się po peronie, boją się, że nie wskoczą do wagonu. Pociąg zatrzymuje się tylko na moment, zabiera podróżnych i ciężko rusza w kierunku miasta. Do rana zapada cisza, słońce spływa za drzewa i całą noc torami przetaczają się towarowe – bez świateł i oznaczeń, przewożąc z jednej stacji do drugiej wysoką lipcową temperaturę.

To, co ty nazywasz życiem

Czasami przychodzą listy, na które nie czekasz. Zwykle to listy od starych znajomych albo od starych przyjaciół – czyli innymi słowy wieści z przeszłości, która nie odpuszcza. Co w zasadzie jest słuszne – nie można nikogo zapominać, dostajesz życie po to, byś poznał jak najwięcej pięknych i niepowtarzalnych współrozmówców, byś wysłuchał ich biografii, jednym słowem – byś potem nie cierpiał nieznośnie przez bezcelowo przeżyte lata. Doświadczenie, ogólnie rzecz biorąc, składa się ze znajomości i rozmów, wydarzenia wyznaczają jedynie kontury tego życia, jego szkielet, a wypełnia się ono tak czy inaczej emocjami i przeżyciami, które zjawiają się wskutek kontaktów z przyjaciółkami i przyjaciółmi, którzy najpierw niespodziewanie się pojawiają, żeby później beznadziejnie zniknąć.

Szczególnie trudno jest z przyjaciółmi z dzieciństwa. Ta chorobliwa świadomość unikania własnych kompleksów i fobii, rozpaczliwe wspomnienia o dziecinnych niepowodzeniach i lirycznych przeżyciach, o kradzieżach i bójkach, piłkarskich zwycięstwach i spisywaniu prac domowych, o szkolnych śniadaniach i ojcowskiej miłości – większość z nas w dzieciństwie jest bezbronna i otwarta, może dlatego większość z nas nie zadaje się z przyjaciółmi z dzieciństwa, tymi naocznymi, okrutnymi świadkami twojej otwartości i bezbronności. Poza tym niektórych przyjaciół okoliczności życia zmieniają tak okrutnie i nieubłaganie, że sam wolisz nie wspominać, jak anielskie były ich zamiary i przyzwyczajenia.

Nie lepiej jest z przyjaciółmi z młodości, skoro z samą młodością sytuacja jest rozpaczliwa. Nic nie wywołuje tylu nostalgicznych wspomnień i żali za utraconymi możliwościami, co lata wczesnej młodości, która przeminęła, kiedy walczyłeś o pozycję życiową i status społeczny. Ale właśnie wtedy spotykałeś najwierniejszych i najpewniejszych przyjaciół, właśnie wtedy zapijali się twoi nauczyciele i starzały twoje kobiety. Więc naprawdę jest czego żałować. Te lekkie i szybko upływające kilka lat balansowania pomiędzy pionierską beztroską a ciężarem dorosłego życia pozostawiają posmak czegoś nie do końca zrozumiałego i straconego na zawsze. Choć jeśli być z samym sobą szczerym, co można byłoby zmienić? Oddajcie mi moją siedemnastkę, wątpię czy zrezygnuję z tych alkoholowo-psychodelicznych złud, z którymi miałem do czynienia. Tak samo z przyjaciółmi – będę zawsze czule i z miłością wspominać całą tę wesołą swołocz, z którą przyszło mi kroczyć przez to życie, niezależnie od tego, jak daleko zaszliśmy.

Inna rzecz kobiety. Kobiety, z którymi przychodziło się poznawać, zachwycać się nimi i od nich odchodzić. Kobiety, które przemijały z twoją codziennością, jaskrawe jak filmy w kinie i natrętne jak seriale. Kobiety, które nawet nie zwracały na ciebie uwagi albo przeciwnie – kierowały na ciebie całą swą uwagę, kobiety, które widziałeś tylko z daleka i które udało ci się obejrzeć z bliska, przyjrzeć się ich zmarszczkom i pieprzykom, poznać ich wszystkie ukryte pragnienia i namiętności, głupio rozgadać wszystkie ich tajemnice i sekrety. Każda wzmianka o nich, każdy list czy telefon wybijają cię z równowagi, zbyt wiele znaczyły w przeszłości, zbyt długo pozbywałeś się ich obecności, zbyt łatwo ci się to udało.

Od czasu do czasu oni wszyscy piszą – przyjaciele, znajomi, w połowie zapomniane postaci – przypominając o sobie i zmuszając twoją pamięć do pracy pełną parą. I korespondując z nimi, jakbyś odnawiał niewidzialne mechanizmy komunikacyjne. To ogłuszające poczucie czasu, które podmywa brzegi widzialnego, oddzielając od siebie zdarzenia i wspomnienia, pozostawiając jednocześnie możliwość pamiętania i przypominania o sobie. Listy od nich zawsze zdają się możliwością przywrócenia wszystkiego, odnowienia i kontynuacji, chociaż nikt z podobnych możliwości zazwyczaj nie korzysta. Po prostu ustalasz sobie, że wszystko wciąż trwa, Ania pisze, że nie może wyjechać z kraju, że są problemy z paszportami, Krzysztof opowiada, że był na kolejnej ekspedycji na Syberii, badali małe narody, Michał opowiada, że był w radiu, ale nie pamięta, o czym była rozmowa, bo dużo wcześniej palił. I siedzisz przed monitorem i czujesz słodki i lekkomyślny upływ czasu, który kiedyś później nazwiesz życiem.

Wychodząc na światło

Na początku sierpnia upał nagle ustaje i po niebie zaczynają sunąć ciężkie deszczowe chmury. Jakoś wtedy przebiega pęknięcie, przez letnie powietrze nagle przechodzą ledwie zauważalne szczeliny i właśnie z nich co i raz ciągnie jesienny przeciąg. Potem, po kilku dniach, deszcze mijają, znów zawisa ciepła słoneczna pogoda, jednak tak naprawdę wszystko się zmieniło. Woda w rzekach stygnie i nie ma co liczyć na to, że sierpniowe słońce zdoła ją znów nagrzać. To już początek końca, trzeba szykować się do długiej, bezkresnej jesieni z jej ciszą i wiatrem. Zresztą w tym kraju jesień trwa pół roku, nie zdążysz się od niej odzwyczaić.

W miastach te zmiany są niemal nieobecne. Ciało miasta nie jest tak czułe na opady atmosferyczne i niskie temperatury. Cegły budynków długo trzymają ciepło, w metrze trudno zauważyć zmianę pogody. Chyba że nagle zauważasz pewien rozdźwięk w ubiorze – najniecierpliwsi razem z pierwszymi deszczami zakładają płaszcze i kurtki, które nieco kontrastują z plażową odzieżą ulicznych sprzedawców i nastolatków, którzy chowają się na stacjach metra przed słońcem, deszczem i patrolami milicji. Dlatego pozostając w mieście, możesz przez dłuższy czas nic nie zauważać. Niebo jak niebo, zawsze żyje swoim życiem, przeganiając leniwe stada chmur czy wchłaniając cały topolowy puch tego świata.

Zamiast tego zmiany odbywają się na wylotówkach i stacjach benzynowych. Otwarta przestrzeń jest szczególnie czuła, tutaj barwy momentalnie gęstnieją i stają się cierpkie. Wystarczy tylko popatrzeć na pola pszenicy czy kukurydzy i już dostrzegasz domieszany do ich kolorów ciężar rozpadu. Kiedy tylko z szosy znikają promienie słońca, od razu ostro i gwałtownie wyłaniają się kontury otaczających je krajobrazów i wszystko staje się jasne – czas szykować się na chłody, które tym razem nie ominą cię z całym swoim uporem.

Przy drodze rolnicy sprzedają wszystko, co rośnie w ich ogrodach. Dziwny biznes przypomina zachodnie wyprzedaże domowych gratów, kiedy z budynków wynosi się stare rzeczy, uważając, że komuś mogą się jeszcze przydać. Zbyt rodzinne to wszystko, jak na prawdziwy handel. Pytasz na przykład babci, czy jest marchewka, a ona odpowiada „w ogrodzie jest wszystko". Jakaś taka ukraińska mądrość ludowa, która pojawia się tylko w sierpniu, razem z plonami. Sierpniowe przydrożne bazary w ogóle oczarowują odcieniami i zapachem, takich kolorów i takiej dojrzałości więcej nie będzie, wszystko to trwa tylko kilka tygodni, które właśnie usprawiedliwiają dalsze obumieranie i zimowanie.

Sierpniowe lasy stoją puste, przeplecione pajęczyną i usiane sosnowymi igłami, po których stąpa się zupełnie bezgłośnie. Tylko od czasu do czasu za drzewami widać postacie grzybiarzy. Wątpliwe zajęcie – zbieranie grzybów zawsze przypominało mi zbieranie butelek. Chociaż, brniesz między pniami i nagle trafiasz na kolejną kolonię grzybów i wszystko jakoś mimowolnie zachwyca, jakby naprawdę ważne było, by nazbierać jak najwięcej, jakby chodziło nie tylko o hazard a i o konieczność.

W sosnowych lasach trudno zauważyć nadchodzenie jesieni. Jakbyś odgradzał się drzewami od przebiegu czasu, dostając się do miejsc, gdzie czas płynie nie tak szybko. Sosny tworzą dziwną akustykę – w nocy, do rana, słychać jak oddaloną szosą przejeżdżają ciężarówki, jakby wszystko działo się zupełnie blisko, za sąsiednimi drzewami. Trasa daje głos przez cały czas, tak że można orientować się według niej, żeby nie zabłądzić i wyjść w pożądanym miejscu. I kiedy po południu przypominasz sobie o czasie i przestrzeni, o przeciekaniu słonecznych potoków i zbliżaniu się pierwszych przymrozków, kiedy starasz się wyjść z tych sosnowych plantacji, to przemieszczasz się przede wszystkim według głosu drogi, wychodząc spomiędzy drzew na cudze głosy. Po lecie bez deszczu, lasy stoją suche i przejrzyste, między gałęziami przedostają się strzępy słonecznego światła i im bliżej do szosy, tym więcej robi się tego światła, które wyrywa się zza czerwonych sosnowych pni. I oto drzewa zostają z tyłu i wychodzisz, w końcu, na gorące asfaltowe pasma i całe to światło sierpnia zwala się na ciebie swoim ciepłem i chłodem, delikatnością i zaduchem, przywracając ci przytomność i przypominając o niezmiennym dziwacznym mijaniu czasu, który zawsze przyspiesza w okolicach szos. Czas zbierać wnioski, myślisz. A co tu zbierać? No chyba tylko grzyby.

[Przekład: Michał Petryk]

Сергій Жадан (1974) - поет, прозаїк, есеїст, перекладач. Живе та працює у Харкові. Перекладає з німецької, польської, білоруської та російської мов. Стипендіат проекту „Гомінес Урбані" у Віллі Деціуша в Кракові (2006). Його твори перекладалися німецькою, польською, сербською, хорватською, литовською, білоруською, російською, вірменською, шведською, італійською, угорською, англійською, чеською мовами.

Бібліографія
- *Цитатник* (Фоліо, Харків 1995)
- *Генерал Юда* (Радянський письменник, Київ 1995)
- *Пепсі* (Майдан, Харків 1998)
- *Вибрані поезії. 1992-2000* (Кальміюс, Донецьк 2000)
- *Балади про війну і відбудову* (Кальварія, Львів 2001)
- *Історія культури початку століття* (Критика, Київ 2003)
- *Біг Мак* (Критика, Київ 2003)
- *Депеш Мод* (Фоліо, Харків 2004)
- *Anarchy in the UKR* (Фоліо, Харків 2005)
- *Цитатник* (Фоліо, Харків 2005)
- *Гімн демократичної молоді* (Фоліо, Харків 2006)
- *Марадона* (Фоліо, Харків 2007)
- *Біг Мак2* (оповідання + поезія) (Критика, Київ 2007)
- *Radiошансон* (Вісім історій про Юру Зойфера) (Ліфт, Дніпропетрівськ 2007)
- *Ефіопія* (Фоліо, Харків 2009)
- *Відсоток самогубств серед клоунів* (Фототапета, Берлін-Варшава 2009)
- *Лілі Марлен* (Фоліо, Харків 2009)

Serhij Zhadan (1974, Ukraine) – Dichter, Schriftsteller, Essayist, Übersetzer, Performer und Regisseur. Er lebt und arbeitet in Charkiv. Er übersetzt aus dem Deutschen, Polnischen, Weißrussischen, Russischen. 2006 Stipendiat des Programms Homines Urbani. Seine Werke wurden ins Deutsche, Englische, Polnische, Serbische, Kroatische, Litauische, Weißrussische, Russische und Armenische übersetzt.

Bibliographie
- *Zitatenbuch* (Smoloskyp, Charkiw 1995)
- *General Judas* (Radianskyj pysmennyk, Kiew 1995)
- *Pepsi* (Majdan, Charkiw 1998)
- *Ausgewählte Lyrik 1992-2000* (Kalmius, Donezk 2000)
- *Balladen über den Krieg und Wiederaufbau* (Kalwaria, Lemberg 2001)
- *Die Geschichte der Kultur zu Anfang des Jahrhunderts* (Suhrkamp, Frankfurt a. M. 2006, Übersetzung von Claudia Dathe)
- *Big Mac* (Krytyka, Kiew 2003)
- *Depeche Mode* (Suhrkamp, Frankfurt a. M. 2007, Übersetzung von Juri Durkot und Sabine Stöhr)
- *Anarchy in the UKR* (Suhrkamp, Frankfurt a. M. 2007, Übersetzung von Claudia Dathe)
- *Zitatenbuch* (Folio, Charkiw 2005)
- *Hymne der demokratischen Jugend* (Suhrkamp, Frankfurt a. M. 2009, Übersetzung von Juri Durkot und Sabine Stöhr)
- *Maradona* (Folio, Charkiw 2007)
- *Big Mac 2* (Krytyka, Kiew 2007)
- *Radio Chanson* (Lift, Dnipropetrowsk 2007)
- *Äthiopien* (Folio, Charkiw 2009)
- *Ethiopien* (Folio, Charkiw 2009)
- *Die Selbstmordrate bei Clowns* (mit Jacek Dziaczkowski, Edition Fototapeta, Berlin/Warschau 2009, Übersetzung von Claudia Dathe)
- *Lili Marlen* (Folio, Charkiw 2009)

Serhij Żadan (1974, Ukraina) - poeta, prozaik, eseista, tłumacz, performer, reżyser. Mieszka i pracuje w Charkowie. Tłumaczy z języka niemieckiego, polskiego, białoruskiego i rosyjskiego. Stypendysta programu Homines Urbani w 2006 roku. Jego dzieła były tłumaczone na język niemiecki, angielski, polski, serbski, chorwacki, litewski, białoruski, rosyjski i ormiański.

Bibliografia
- *Księga cytatów* (Smoloskyp, Charków 1995)
- *Generał Judasz* (Radianskyj pysmennyk, Kijów 1995)
- *Pepsi* (Majdan, Charków 1998)
- *Poezje wybrane 1992-2000* (Kalmius, Donieck 2000)
- *Ballady o wojnie i odbudowie* (Kalwaria, Lwów 2001)
- *Historia kultury początku stulecia* (Krytyka, Kijów 2003)
- *Big mac* (przeł. Michał Petryk Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2005)
- *Depeche Mode* (przeł. Michał Petryk, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2006)
- *Anarchy in the UKR* (przeł. Michał Petryk, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2007)
- *Цитатник* (Folio, Charków 2005)
- *Hymn demokratycznej młodzieży* (przeł. Michał Petryk, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2008)
- *Maradona* (Folio, Charków 2007)
- *Big Mac 2* (Krytyka, Kijów 2007)
- *Radio Chanson* (Вісім історій про Юру Зойфера) (Lift, Dniepropetrowsk 2007)
- *Ethiopia* (Folio, Charków 2009)
- *Odsetek Samobójstw Wśród Klaunów* (przeł. Ewa Kraskowska, Edition Fototapeta, Berlin/Warszawa 2009)
- *Lili Marlen* (Folio, Charków 2009)

Jörg Jacob: fluten. Erzählung

Dieses Brennen, innen drin.

Jörg Jacob: *fluten. Erzählung*. Halle 2009. 119 Seiten.

Blackwater take me with you
To the place that I have spoken
Come lead me through the darkness
To the light that I long to see again
(David Sylvian, *Blackwater*)

Mir geht`s schlecht, schlecht geht`s mir.
(Georg Maurer, *Spätes Aufwachen*)

text: **Lothar Quinkenstein**

Von Anfang an die schleichende Befürchtung, dass es in dieser Form nichts wird. Das Buch lesen, sich hinsetzen und eine Rezension schreiben, wie man es gewöhnlich tut, wenn alles in sicherer Entfernung ist. Die Handlung skizzieren, die Sprache belauschen, stilistische Mittel etc. Abwägen, was dem Autor gelungen, was nicht so geglückt ... Stattdessen Erinnerung, die in die Quere kommt. Bildergewisper. Gespräche.

Also noch einmal von vorn. Ohne „man" und „Autor". Ganz einfach beim Namen:
November 2008. Mit dem Zug von Poznań über Berlin nach Leipzig, Regionalbahn nach Grimma. Der Taxifahrer deutet auf die Reste einer Brücke. Nur die Pfeiler sind übrig, schartige Zahnfragmente, an deren Sockeln das Flüsschen strudelt, dessen Name so harmlos nach Wiese und Sommer klingt: Mulde. Nach kurzer Fahrt das Dörfchen Höfgen. Unterm Dachgebälk der Denkmalschmiede packe ich aus, rücke den Schreibtisch ins beste Licht. Für eine Weile zurück im Inland. Mein Thema Ausland. Arbeit für Jahre.

In ein paar Tagen soll ein Autor aus Leipzig kommen. Jörg Jacob. Ein erstes Gespräch, beim Mittagessen, wir befragen uns nach unserem Woher – und finden uns aus heiterem Himmel in Krakau wieder, in der Stipendiatenküche der Villa Decius, in der „Alchemia", im „Piękny Pies", im „Dym". Und jetzt, in der sächsischen Denkmalschmiede, ist Jörg dabei, Notizen aus dieser Zeit zu ordnen und zu bearbeiten, während ich über einem Materialhaufen brüte, dessen älteste Schichten Ende des Winters 2006 in Krakau entstanden sind.

Im Februar 2009, während meines zweiten Monats in Höfgen, komme ich an einem Nachmittag zu Fuß aus Grimma zurück, drei Bände Heine und einen Roman von Batya Gur im Rucksack, entliehen in der Stadtbibliothek „J.G. Seume". Hinter dem Waldstück das offene Tal, mir entgegen, in schneegrießiger Dämmerung, eine einsame Gestalt, gebeugt gegen den Wind, der über die Wiesen pfeift. Fast hätten wir uns nicht erkannt in unserer Vermummung, wären um ein Haar aneinander vorbeigestapft. Schnee rieselt in die Erlen, ins welke Schilf, am anderen Ufer liegt wintervertäut die Fähre. Wir sprechen, bis die Kälte empfindlich unter die Kleider kriecht.

Im Mai 2009 eine gemeinsame Lesung in Bydgoszcz. Jörg liest aus seinem „Vineta-Riff" (das mich in Höfgen einmal mehr bestätigt hat: ans Sichtbare sich halten!), aus seinen Krakauer Miniaturen. Ich versuche, mich in der Fremdsprache an die Provinz der Kindheit zu erinnern. Am Abend vor der Lesung, bei Gorzka Żołądkowa mit Eis und Zitrone (eine Zubereitung, die Jörg – neben einem geheimnisumwitterten litauischen Balsam – für eine der größten Segnungen des Ostens hält), hatten wir ein langes Gespräch über 1848. Ich phantasierte einen weniger bornierten König, phantasierte ein Gelingen des Experimentes Republik. Jörg blieb skeptischer. Was ich mir zurechtinszenierte, um in kühnen Entwürfen 1871, 1914/18 und 1933 zu verhindern, schien ihm, gemessen an den deutschen Voraussetzungen, ein wenig wie der seinerzeit geträumte Wunsch, man könne überholen, ohne einzuholen ... Und wieder bringt sich Seume in Erinnerung, der auf dem Benutzerausweis der Stadtbibliothek gerade eine Rast einlegt, und dessen Sätze über das Europa der Despoten, die Fettlebe der Geistlichen und die fatale Tugend Demut mich begleitet haben auf jedem Weg nach Grimma und zurück.

Und heute, mit Jörg Jacobs diesen Sommer erschienener Erzählung „fluten" auf dem Schreibtisch, stelle ich mir die Frage, wo diese Hauptfigur, der störrische Verweige-

rer Carl, seinen Platz finden könnte in meinen Erinnerungen. Alles andere als leicht, ihn zu verstauen, und eben das scheint sein erstes Anliegen zu sein: um keinen Preis mehr passen, weil er die Anpassung viel zu lange schon betrieben hat. Einer, der nicht mehr will / nicht mehr kann / nicht mehr können will (das müssten die Psychologen entscheiden), dem alles über den Kopf wächst, dem die Ehe, die Frau zuwider, das ganze Leben zu viel, der froh ist, dass alles zum Teufel geht, absäuft die Stadt, aus der er immer weg wollte und es nie geschafft hat, und der endlich, als die Verwüstung perfekt, barfuß im Schlamm, tun kann, was längst überfällig war: brüllen aus vollem Hals, Luft sich verschaffen im wahrsten Sinn, in der Hoffnung, dass sein Leben ihn hört und zurückkehrt zu ihm.

Vor einem Buchladen in Grimma hatte ich in einer Stöberkiste einen Bildband über die Jahrhundertflut 2002 gefunden. Auf einem Foto die Straße, auf der ich stand, bis zum ersten Stock überflutet (über meinem Kopf markierte ein Täfelchen an der Hauswand den damaligen Wasserstand); ein anderes Foto zeigte bizarre Astgebilde, getürmt an der Brücke, das schießende Wasser wie Muskelstränge, unter deren Druck sie zerbersten würde. Trotzdem zögere ich, das Hochwasser der Erzählung mit der Flut im August 2002 gleichzusetzen. Carls Stadt hat keinen Namen, die Details, die genannt werden, könnten ebenso auch auf andere Orte passen. Sicher, eine Weberstraße gibt es in Grimma (wie auch in zahllosen anderen deutschen Städten), aber keine Petrikirche. Kein Dokument also, eine erzählte Geschichte, und bei allem Realismus der Darstellung möchte ich die Flut auch als Bild einer Befindlichkeit lesen. Was beschrieben wird anhand der Figur Carls, der alles geschehen lässt, ohne einen halben Gedanken an Rettung, der einfach hocken bleibt wie ein verstörtes Tier im Bau, scheint mindestens ein Zustand vegetativer Dystonie zu sein, wenn nicht eine handfeste Depression. Genau hier läge der Zusammenhang: in dem Buch „Saturn und Melancholie“ von Raymond Klibansky, Erwin Panofsky und Fritz Saxl findet sich im Kapitel über Dürers „Melencolia I“ der Hinweis, dass Saturn „auch für Hochfluten und Überschwemmungen verantwortlich gemacht“ wurde. Und wenige Sätze später heißt es: „Es ist daher schwerlich ein Zufall, wenn sich über Dürers Meer ein Regenbogen wölbt und wenn das flache Ufer so weit überflutet ist, daß die Bäume zwischen den beiden hellen Halbinseln vom Wasser umspült werden; denn schon in babylonischen Keilschriften gilt es als feststehende Tatsache, daß ein mit dem Kopf zur Erde gerichteter Komet auf Hochwasser deute; und es ist gerade der Melancholiker, der solches Unglück prophezeien kann.“ Selbst wenn wir das Moment des Prophetischen abrechnen – die Verbindung zwischen Carls Seelenschwere und der rings um ihn steigenden Flut ist deutlich genug.

Während die amorphe Wut des Elements die Stadt verwüstet, gerät auch das Innere in Fluss, gibt Bilder frei, in denen Carls Leben zu ahnen ist. Momente der Enttäuschung, Momente versagter Wünsche. Seine immer sprachloser werdende Ehe mit „der Frau“. Das problematische Verhältnis zum Nachbarn Holler, von dem Carl mitunter glauben möchte, er habe mehr von seinem Leben, weil er im Grunde darauf pfeift. („Holler“ übrigens ist „Holunder“, ein im Volksglauben reichlich mit Lebens- wie Todessymbolik versehener Baum). Misslungene Versuche, das Glück zu erzwingen – nicht von ungefähr blitzt zwei Mal das verriegelte Paradies auf –, „Domrep“, das Urlaubsziel „im Trend“, von Kollegen erprobt und wärmstens empfohlen. Carl ist es im Gedächtnis als Fiasko der Entfremdung.

Doch daneben auch Augenblicke der Beruhigung, des Beisichselbstseins, der wackligen Versöhnung von Ich und Welt. Beim Lesen dieser stilleren Passagen musste ich an Mike Leighs „All or Nothing“ denken, an jene so unspektakulär traurig-schönen Szenen, als Phil einfach losfährt, den Taxifunk aus, das Handy aus, bis er irgendwo ankommt, um unter wechselhaftem Himmel allein zu sein mit dem Schwappen der Wellen. So ähnlich wird Carl sich gefühlt haben in dem Waldstück mit den Porphyren, auf dem Feldweg zwischen raschelnden Ähren. Kein Ausweg aus der Misere, doch für Minuten wenigstens das Gefühl, freier atmen zu können. Und dass Carl nicht zurückkehrt an die Arbeit eines Künstlers, der Porphyrwald und Ährenrascheln in Worte, Bilder oder Töne überführen wird, sondern in ein ganz und gar gewöhnliches Leben, in dem wenig Platz ist für solche Momente, ja kaum eine Sprache zur Verfügung steht, die den Eindrücken gerecht werden könnte, macht für meine Begriffe die Stärke des Textes aus. Scheiternde Künstler, die ihren Untergang zelebrieren, wirken oft entsetzlich langweilig. Vor allem tut ihr pompöser Anspruch all denjenigen Unrecht, die vielleicht noch nichts gelesen haben über utopische Diskurse des Abendlandes, die aber sehr wohl wissen, was es heißt, ein Leben zu leben, das ihnen die Luft abdrückt.

Es gibt Momente, in denen der Leser Carls Atemnot beklemmend teilt. Und es gibt Momente, in denen man ihn schütteln möchte, dass er endlich zu sich kommt. Die Bleigewichte loswird, die ihn lähmen. Auch die Frage der Sympathie – nicht ganz unwichtig bei der Lektüre – könnte gelegentlich zu Carls Ungunsten entschieden werden. Was nur eine weitere Konsequenz im Konzept des Ganzen darstellt. Um einiges reizvoller ist es schließlich, den Leser zum Widerspruch aufzufordern, als ihn in ein Mitleid zu schubsen, in dem er seine Ruhe hat.

Zweifelnd bin ich nur, ob ich nicht das eine oder andere Detail aus Carls Leben noch hätte erfahren wollen. Nicht um ihn zu „verstehen“ und dann ad acta legen zu können, sondern, um in seinem heutigen Verhalten das Gewicht der Vergangenheit deutlicher zu spüren. Vor allem aber auch, um „der Frau“ ein Stück näher zu kommen, die Carls Abneigung in die Anonymität gestoßen hat. Eine schwierige Frage – wie klar eine Figur biographisch fixiert sein sollte, ohne dass ihre Individualität zugleich übererklärt wird –, die ich an dieser Stelle formulieren, aber nicht beantworten kann.

Keinen Zweifel hingegen hätte ich, dass ein Gespräch mit Carl nicht reibungslos verliefe. Zu viel gäbe es, was ich ihm zu sagen hätte. Nicht zuletzt von seinem Erfinder. „Das Vineta-Riff“ möchte ich ihm jedenfalls wärmstens empfehlen, ebenso die Gedichte Georg Maurers („Noch ist der Mund von Erde nicht voll.“!) Vielleicht dass er dann, nachdem der Schrei ihm immerhin geglückt ist, auch das Sprechen noch einmal lernen wollte.

tekst: **Lothar Quinkenstein**

Ten piekący ból, gdzieś w środku.

Jörg Jacob: *fluten. Erzählung*. Halle 2009, 119 stron.

Od początku utajona obawa, że z tej formy nic nie będzie. Czyta się książkę, potem siada i pisze recenzję, jak zazwyczaj, kiedy wszystko znajduje się w bezpiecznym oddaleniu. Szkicuje się fabułę, podsłuchuje język, rozważa środki stylistyczne, co się autorowi udało, a co mniej… Zamiast tego wchodzące w drogę wspomnienia. Podszepty obrazów. Rozmowy.

No to jeszcze raz. Bez „się” i „autora”. Po imieniu.

Listopad 2008. Pociągiem z Poznania przez Berlin do Lipska. Osobowym do Grimmy. Taksówkarz pokazuje resztki mostu. Zostały tylko filary, wyszczerbione uzębienie, wokół cokołów wiruje nurt rzeczki, której nazwa tak niewinnie przypomina łąkę i lato: Mulda. Po krótkiej jeździe wioska Höfgen. Wypakowuję się pod belkowaniem dachu, w Denkmalschmiede, przesuwam biurko ku lepszemu oświetleniu. Na chwilę znów w kraju. Mój temat – obczyzna. Praca na lata.

Za kilka dni ma przyjechać pisarz z Lipska. Jörg Jacob. Pierwsza rozmowa, przy obiedzie, pytamy się wzajem o nasze „skąd” – i niespodziewanie odnajdujemy się w Krakowie, w kuchni stypendystów Willi Decjusza, w „Alchemii”, „Pięknym Psie”, w „Dymie”. A teraz, w saskiej Denkmalschmiede, Jörg zabiera się właśnie za uporządkowanie i przepracowanie notatek z tamtego okresu, podczas gdy ja ślęczę nad stertami materiałów, których najstarsze pokłady powstały pod koniec zimy 2006 roku w Krakowie.

W lutym 2009, w trakcie kolejnego miesiąca w Höfgen, pewnego popołudnia wracam pieszo z Grimmy, z trzema tomami Heinego i powieścią Batya Gur w plecaku, wypożyczonymi z biblioteki miejskiej „J. G. Seume”. Za lasem otwarta dolina, naprzeciw mnie, w zmierzchu sypiącym śniegową kaszką, samotna postać, zgięta pod wiatr, dmący nad łąkami. O mały włos nie rozpoznalibyśmy się, człapiąc w przeciwnych kierunkach, opatuleni po uszy. Śnieg spływa na olchy, na zwiędłe trzciny, przy drugim brzegu prom przycumowany na zimę. Rozmawiamy, dopóki zimno nie wpełza dotkliwie pod ubrania.

W maju 2009 roku wspólne spotkanie autorskie w Bydgoszczy. Jörg czyta fragment swojej książki „Das Vineta-Riff” (która w Höfgen raz jeszcze upewniła mnie, że należy trzymać się tego, co widzialne!), ze swoich krakowskich miniatur. Ja natomiast próbuję w obcym języku przywołać wspomnienie prowincji z dzieciństwa. W wieczór poprzedzający czytanie, przy gorzkiej żołądkowej z lodem i cytryną (przepis, który Jörg – obok pewnego sekretnego litewskiego balsamu – uważa za jedno z największych błogosławieństw Wschodu), rozmawialiśmy długo o roku 1848. Wyobraziłem sobie mniej ograniczonego króla, sukces eksperymentalnej republiki. Jörg pozostał bardziej sceptyczny. To, co sobie zainscenizowałem, by w śmiałych projektach uniknąć dat 1871, 1914/1918 i 1933, wydawało mu się zważywszy niemieckie realia trochę jak życzenie, zamarzone swojego czasu, że można wyprzedzić, nie dogoniwszy… I znów przypomina się Seume, który na karcie czytelnika zrobił sobie właśnie przerwę podczas wędrówki i którego zdania o Europie despotów, o przepychu kleru i fatalnej cnocie pokory towarzyszyły mi za każdym razem w drodze do Grimmy i z powrotem.

A dzisiaj, mając na biurku wydane tamtego lata opowiadanie Jörga Jacoba „fluten”, zadaję sobie pytanie, gdzie w mojej pamięci mogłoby znaleźć się miejsce dla głównego bohatera, upartego kontestatora imieniem Carl. Umiejscowić go gdzieś to niełatwe zadanie, i to właśnie wydaje się jego prymarnym życzeniem: za wszelką cenę nie pasować, bo sam już zbyt długo uprawiał dopasowywanie się. Ktoś, kto już nie chce / nie może / nie chce móc (rozstrzygnąć musieliby psychologowie), kogo wszystko przerasta, kto czuje wstręt do małżeństwa i żony, dla kogo życie to za wiele, kto jest zadowolony, gdy wszystko szlag trafia, gdy tonie miasto, z którego zawsze chciał uciec i nigdy mu się to nie udało, i kto w końcu, gdy zniszczenie jest już dokonane, bosy, w mule, może zrobić to, na co od dawna jest już najwyższy czas: wyć na całe gardło, w ścisłym znaczeniu tego słowa zmniejszyć rozsadzające go ciśnienie, w nadziei, że jego życie usłyszy go i powróci do niego.

Przed księgarnią w Grimmie, w skrzyni z książkowymi okazjami, znalazłem album o powodzi stulecia z 2002 roku. Na jednym zdjęciu ulica, na której stałem, zalana do wysokości pierwszego piętra (na ścianie domu nad moją głową znajdowała się tablica z zaznaczonym ówczesnym poziomem wody); inna fotografia ukazywała przedziwne struktury gałęzi, spiętrzone na moście, buchającą wodę jak pagórki mięśni, pod których naciskiem pęka most. Mimo to opieram się przed zrównaniem wysokiej wody w opowiadaniu z sierpniową powodzią w 2002 roku. Miasto Carla pozostaje anonimowe, szczegóły, które są nazwane, mogłyby pasować też do innych miejscowości. Oczywiście, w Grimmie (jak i w niezliczonych innych miastach w Niemczech) jest ulica Weberstraße, nie ma jednak Petrikirche. Zatem nie dokument, lecz opowiadziana historia, i przy całym realizmie przedstawienia chciałbym odczytywać powódź także jako obraz pewnego stanu ducha. Poprzez postać Carla, który pozwala wszystkiemu wydarzać się nie poświęcając nawet ułamka myśli ratunkowi, który po prostu siedzi w kucki jak spłoszone zwierzę w norze, zostaje opisane coś, co wydaje się przynajmniej stanem wegetatywnej dystonii, jeśli nie porządną depresją. Tutaj właśnie istniałby związek: w książce „Saturn i melancholia” autorstwa Raymonda Klibansky'ego, Erwina Panofsky'ego i Fritza Saxla, w rozdziale poświęconym „Melencolii I” Dürera, znajduje się wskazówka, że „Saturnowi przypisywano odpowiedzialność także za wysoki

poziom wód i powodzie". Kilka zdań dalej pada zaś stwierdzenie: „Trudno więc uznać za przypadek, że nad morzem Dürera wysklepia się tęcza i że płaski brzeg zalany jest tak głęboko, iż drzewa między dwoma jaśniejącymi półwyspami otoczone są wodą; już bowiem w babilońskich zapisach pismem klinowym podaje się za niezbite i dowiedzione, że skierowana głową do ziemi kometa jest znakiem powodzi; melancholik zaś jest tym, który potrafi przewidzieć to nieszczęście." Nawet jeśli weźmiemy w nawias moment profecji – związek między ciężkością ducha Carla i wzrastającą wszędzie wokół powodzią jest wystarczająco jasny.

Podczas gdy amorficzny gniew żywiołów niszczy miasto, również wnętrze zaczyna płynąć, wyzwoleniu ulegają obrazy, w których możemy się domyślać życia Carla. Chwile rozczarowania, chwile zawiedzionych życzeń. Coraz bardziej nieme małżeństwo z „żoną". Skomplikowany stosunek do sąsiada Hollera, o którym Carl chciałby czasami pomyśleć, że w gruncie rzeczy ma więcej z życia, ponieważ na nie gwiżdże. (Nawiasem mówiąc, „Holler" to „Holunder", czarny bez, drzewo, które w wierzeniach ludowych jest silnie naznaczone symboliką życia i śmierci). Nieudane próby brania szczęścia przemocą – nie przez przypadek w dwóch przebłyskach pojawia się zamknięty raj – „Domrep" (Dominikana) jako najmodniejsze miejsce urlopowe, przetestowane i gorąco polecane przez kolegów. We wspomnieniach Carla jedno fiasko wyobcowania.

A zarazem pośród tego wszystkiego momenty uspokojenia, swojskości, chwiejne pojednanie Ja i świata. Czytając te wyciszone akapity muszę myśleć o „All or Nothing" Mike'a Leigha, o tamtych tak nieefektownych, smutnopięknych scenach, gdy Phil po prostu odjeżdża, wyłączając CB radio i telefon komórkowy, aż nie dotrze gdzieś, by pod zmiennym niebem zaznać samotności, w wyłącznym towarzystwie chlupotu fal. Podobnie będzie się czuł Carl w lesie porfirów, na polnej drodze między szeleszczącymi kłosami. Bez drogi wyjścia z nędzy, a jednak przynajmniej przez minutę uczucie, że można lżej odetchnąć. A to, że Carl nie wraca do pracy artysty, aby wyrazić las porfirów i szelest kłosów w słowach, obrazach lub tonach, tylko do całkiem zwyczajnego i codziennego życia, w którym niewiele jest miejsca na takie chwile, ba, brakuje właściwie języka, który oddałby sprawiedliwość wrażeniom – w moim pojęciu stanowi o sile tekstu. Nieudany artysta, który celebruje swoje nieszczęście, jest często potwornie nudny. Przede wszystkim swoimi pompatycznymi pretensjami wysoce niesprawiedliwy wobec tych, którzy może jeszcze nic nie przeczytali o utopijnych dyskursach Zachodu, ale którzy jednak bardzo dobrze wiedzą, co znaczy żyć życie, zaciskające się wokół gardła.

Zdarzają się chwile, w których duszność, nękająca Carla, przytłacza także czytelnika. Zdarzają się również takie, w których chciałoby się nim potrząsnąć, aby wreszcie przyszedł do siebie. Zrzucił ołowiany ciężar, który go obezwładnia. Także pytanie o sympatię – dla lektury nie całkiem marginalne – mogłoby niekiedy zostać rozstrzygnięte na niekorzyść Carla. Co przedstawia jedynie dalsze konsekwencje dla koncepcji całości. O wiele bardziej kuszącym jest przecież wywołanie u czytelnika sprzeciwu, niż pchnięcie go w litość, w której mieć będzie święty spokój.

Waham się jedynie, czy nie chciałbym jednak dowiedzieć się o pewnych szczegółach z życia Carla. Nie po to, by go „zrozumieć" i móc następnie odłożyć *ad acta*, ale by w jego dzisiejszym zachowaniu wyraźniej dostrzec piętno przeszłości. Przede wszystkim jednak po to, by zbliżyć się odrobinę do „żony", którą niechęć Carla wtrąciła w anonimowość. Trudne pytanie – do jakiego stopnia biografia postaci powinna być określona, by jednocześnie jej indywidualność nie uległa nadmiernej eksplikacji – mogę tutaj tylko zadać i pozostawić bez odpowiedzi.

Nie mam natomiast żadnych wątpliwości, że rozmowa z Carlem nie przebiegłaby gładko. Zbyt wiele miałbym mu do powiedzenia. Również jego twórcy. Na pewno chciałbym mu najgoręcej polecić „Das Vineta-Riff", tak samo wiersze Georga Maurera („Noch ist der Mund von Erde nicht voll."[!]) Być może później, gdy udałoby mu się zakrzyczeć, zechciałby na nowo nauczyć się także mówić.

[*Jeszcze usta nie są pełne ziemi.* (Georg Maurer, *Późne przebudzenie*)

[Przekład: Katarzyna Szewczyk-Haake]

Текст: **Лотар Квінкенштайн**

Це горіння, всередині.

Йорґ Якоб: *потопи. Повість*. Галлє 2009. 119 сторінок.

Від самого початку в мене закрадалося побоювання, що в такій формі нічого з того не вийде. Прочитати книжку, сісти і написати рецензію, як це робиться зазвичай, коли все на безпечній відстані. Окреслити сюжет, прислухатися до мови, стилістичних засобів тощо. Зважити, що вдалося автору, а що не дуже... Замість того – спогад, який стає на заваді. Шерех образів. Розмови.

Отже, ще раз спочатку. Без „він" і „автор". Просто називаючи все своїми іменами:
Листопад 2008. Потягом із Познані через Берлін до Ляйпціґа, а звідти – регіональною залізницею до Ґрімми. Таксист показує на рештки моста. Залишилися тільки стовпи, нерівні зубчаті фрагменти, поміж цоколями яких струменить річечка, що її назва так безневинно нагадує про луки і ліси: Мульде. Після короткого переїзду – невеличке село Гьофґен. На піддашші „Історичної кузні" розпаковую речі, підсуваю письмовий стіл до світла. Повертаюся в часі назад. Я – на батьківщині. Моя тема – закордон. Робота на роки.

Через кілька днів має приїхати один письменник з Ляйпціґа. Йорґ Якоб. Перша розмова, за обідом, розпитуємо один одного про наше „звідки" – і, мов серед ясного неба, знов опиняємось у Кракові, на стипендіатській кухні Вілли Деціуша, у кнайпах „Алхімія", „Гарний Пес", „Дим". Зараз, у саксонській „Історичній кузні" Йорґ впорядковує і опрацьовує свої записи з того періоду, в той час як я сиджу над купою матеріалу, найстаріші шари якого назбиралися наприкінці зими 2006 року в Кракові.

У лютому 2009, перебуваючи Гьофґені вже другий місяць, одного пополудня я пішки повертаюся з Ґрімми, з трьома томами Гайне і романом Батья Ґур, випозиченими в міській бібліотеці „J.G. Seume", в наплічнику. За шматком лісу – відкрита долина, мені назустріч, в біло-манних сутінках – самотня фігура, нахилена супроти вітру, що свистить понад лугами. Ще трохи, і ми би не впізнали один одного, розминулися, закутані в теплий одяг. Сніг падає на вільхи, у зів'ялий очерет, на іншому березі завмер прив'язаний на зиму пором. Ми бесідуємо, поки холод не починає дошкуляти навіть під одежею.

У травні 2009 – спільна презентація в Бидґощі. Йорґ читає зі свого „Vineta-Riff" (що у Гьофґені ще раз мені довело: триматися видимого!), зі своїх краківських мініатюр. Я намагаюся іноземною мовою відтворити спогади про провінцію дитинства. Ввечері перед презентацією, за гіркою настоянкою з льодом і цитриною (рецепт, який Йорґ – поряд із оповитим таємницею литовським бальзамом – вважає одним із найбільших досягнень Сходу), ми мали довгу розмову про 1848 рік. Я фантазував про менш обмеженого короля, фантазував про успіх експерименту „Республіка". Йорґ залишався скептичним. Те, що вигадував я, аби у своїх сміливих проектах не допустити 1871, 1914/18 і 1933 років, видавалося йому, з огляду на німецькі обставини, чимось на кшталт омріяного свого часу прагнення перегнати, не наздоганяючи... І знову згадується Зойме, який саме відпочиває на моєму читацькому квитку з Міської бібліотеки: його сентенції про Європу деспотів, добробут духовенства і фатальну чесноту покори супроводжували мене на шляху до Ґрімми і назад.

І сьогодні, тримаючи перед собою на письмовому столі видану минулого літа повість Йорґа Якобса „fluten" („потопи"), я питаю себе, де міг би розташуватися в моїх спогадах її головний герой, цей затятий упертюх Карл. Його зовсім не легко десь примістити, і саме це, як видається, і є його першочерговим прагненням: більше за жодну ціну ніде не пасувати, бо занадто довго вже він допасовувався до всього. Той, хто більше не хоче / більше не може /більше не хоче могти (це вже вирішувати психологам), хто не витримує більше, кому огидні шлюб, дружина, кому стало нестерпним усе життя, той тішиться, коли все йде під три чорти; місто, з якого він завжди хотів і ніяк не міг утекти, потопає; і врешті, коли настає повна руйнація, він стоїть босими ногами у багні і може робити те, що вже давно було на часі: горлати чимдуж, хапати повітря у найпрямішому сенсі, в надії, що життя його почує і повернеться до нього.

Перед книгарнею у Ґріммі, в ящику зі здешевленими книжками я знайшов фотоальбом про епохальну повінь 2002 року. На одній світлині ця вулиця, на якій я стою, затоплена до другого поверху (над моєю головою табличка на стіні будинку позначає тодішній рівень води); на іншому фото – химерні нагромадження галуззя, складені біля мосту, струмені води, як напнуті м'язи, під тиском яких міст буде розтрощено. Проте я вагався, чи можна ототожнювати потоп у повісті з повінню в серпні 2002 року. Місто Карла не має назви, згадувані в повісті деталі можуть так само пасувати до інших населених пунктів. Певно, що у Ґріммі є Веберштрасе (як і в багатьох інших німецьких містах), натомість нема церкви Св. Петра. Отже, повість – не документ, а розказана історія, і попри весь реалізм, мені би хотілось потрактувати повінь і як метафоричне відображення душевного стану. Все, що показано в образі Карла, який пасивно споглядає без найменшої думки про порятунок, просто сидить у будинку, мов загнана тварина, – видається щонай-менше станом вегетативної дистонії, якщо не повної депресії. Саме тут можна простежити взаємозв'язок: у книжці „Сатурн і Меланхолія" Раймонда Клібанскі, Ервіна Панофскі і Фрітца Саксі в розділі про картину Дюрера „Melencolia I" зазначено, що Сатурна вважали „також відповідальним за повені і потопи". І трохи далі, через декілька речень: „Тому зовсім не випадково над морем здіймається веселка, і плаский берег затоплений настільки, що дерева омивають два світлі півострови води; адже ще у вавилонських письменах вважається доконаним фактом, що комета, спрямована головою до землі, вказує на повінь; це і є меланхолік, який може напророкувати таке нещастя." Навіть якщо не враховувати момент пророцтва – зв'язок між Карловим важким душевним станом і потопом, який захоплює усе довкола нього, є достатньо очевидним.

У той час, як аморфний гнів стихії руйнує місто, вміст його нутрощів потрапляє в річку, вивільняючи картини, в яких вгадується Карлове життя. Моменти розчарування, моменти нездійснених бажань. Його чимдалі безмовніший шлюб із „тією жінкою". Проблематичне ставлення до сусіда Голєра: Карлові іноді здається, ніби той отримує більше від свого життя, бо, за великим рахунком, на нього начхав. (Між іншим, „Голєр" походить від німецького „Holunder" – бузина, дерево, яке в народних віруваннях нерозривно пов'язане зі символікою життя та смерті). Невдалі спроби примусово витиснути щастя – невипадково двічі зблискує замкнений рай – „Домреп", „модний" курорт, випробуваний і палко рекомендований колегами. Карл запам'ятав його як фіаско відчуження.

Однак тут є і моменти заспокоєння, злагоди зі собою, хисткого примирення між „Я" і світом. Читаючи ці спокійніші пасажі, я згадував „All or Nothing" – „Все або нічого" Майка Лі, а саме – ті непримітні печально-прекрасні сцени, коли Філ просто їде геть, вимикає вогник таксі, вимикає мобілку, їде навмання, аби тільки під мінливим небом опинитися поряд із

плюскотом хвиль. Мабуть, якось схоже почував себе і Карл у лісі з Порфирами, на польовій дорозі поміж

шелестким колоссям. Немає виходу з мізерії, але принаймні на кілька хвилин приходить відчуття, ніби дихається вільніше. І те, що Карл повертається не до роботи митця, який відтворюватиме ліс Порфир і шелестіння колосків словами, образами й звуками, а до цілком звичайного життя, в якому мало місця для таких моментів, та й практично немає мови, відповідної до цих вражень, – саме це, як на мене, і визначає силу тексту. Митці-невдахи, які урочисто оспівують свій занепад, часто справляють жахливо нудне враження. Їхня помпезна претензійність кривдить насамперед усіх тих, хто, можливо, ще нічого не читав про європейські утопічні дискурси, але при цьому дуже добре знає, що це таке – жити життям, яке перекриває тобі кисень.

Є моменти, в яких читач щемливо поділяє Карлову задуху. І моменти, коли хочеться його струсонути, аби він нарешті отямився. Звільнився від свинцевих баластів, які його паралізують. Питання симпатії – і це досить-таки важливо при читанні – подекуди могло би вирішуватись не на користь Карла. Що є тільки одним висновком із концепції цілого. Врешті-решт, набагато привабливіше спонукати читача до заперечення, аніж підштовхувати його до співчуття, в якому він знайде свій спокій.

От тільки сумніваюся, чи не хотів би я довідатися ту чи іншу деталь з Карлового життя. Не для того, щоби його „зрозуміти" і розкласти „по полицях", а щоб у його нинішній поведінці чіткіше побачити сліди минулого. А насамперед – щоб наблизитися до „тієї жінки", яку Карлова антипатія штовхнула в анонімність. Важке питання – наскільки чітко слід фіксувати літературний образ біографічно, аби не допустити при цьому надмірної інтерпретації його індивідуальності? Я можу тут лише сформулювати питання, але не маю на нього відповіді.

Натомість не маю жодного сумніву, що моя розмова з Карлом не була би простою. Я міг би багато чого йому сказати. Не в останню чергу – про його творця. Я щонайщиріше рекомендував би йому книжку „Das Vineta-Riff", а ще – вірші Ґеорґа Маурера („Рот землі ще не повний"). Можливо, після того, як йому таки добре вдався крик, він захоче ще раз навчитися говорити.

[1] *Мені ведеться зле, зле мені ведеться.*
(Ґеорґ Маурер, *Пізнє пробудження*)

[Переклад: Ольга Сидор]

Lothar Quinkenstein (1967, Deutschland) – studierte Germanistik und Ethnologie in Freiburg. Seit 1994 wohnt er in Polen, wo er seit 1999 als Germanist an der Adam Mickiewicz-Universität in Poznań arbeitet. Quinkenstein verfasst sowohl Erzählungen, Gedichte und Romane als auch Übersetzungen. Seine zwei Romane *Tellurium* und *Das Gipfelbuch* beschäftigen sich mit deutsch-polnischen Beziehungen, sind beide aber bislang unveröffentlicht. Stipendiat der Kulturstiftung der Länder in der Villa Decius im Jahr 2005.

Bibliographie

- *Nervenharfe* (Gollenstein Verlag, Merzig 1998)
- *Beim Stimmen der Saiten* (Geistkirch Verlag, Saarbrükken 2007)

Lothar Quinkenstein (1967, Niemcy) – studiował germanistykę i etnologię we Freiburgu. Od 1994 roku mieszka w Polsce, gdzie wykłada jako germanista na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Quinkenstein pisze opowiadania, wiersze i powieści, jak również tłumaczy. Jego dwie powieści *Tellurium* oraz *Das Gipfelbuch* traktują o stosunkach niemiecko-polskich, nie zostały jednak dotąd opublikowane. Stypendysta Fundacji Kultury Landów w Willi Decjusza w roku 2005.

Bibliografia

- *Harfa nerwów* (Gollenstein Verlag, Merzig 1998)
- *Strojąc struny* (Geistkirch Verlag, Saarbrücken 2007)

Лотар Квінкенштайн (1967, Німеччина) – навчався на факультеті німецької філології та етнології у Фрайбурзі. З 1994-го року він живе у Польщі. Там викладає на факультеті німецької філології в університеті ім. Адама Міцкевича у Познані. Квінкенштайн пише оповідання, вірші і романи. Він є також перекладачем. Його два, ще не опубліковані, романи *Tellurium* та *Das Gipfelbuch* стосуються теми польсько-німецьких відносин. У 2005-му році він був стипендіатом Фундації культури німецьких земель у Віллі Деціуша.

Бібліографія

- *Арфа нервів* (Gollenstein Verlag, Мерціг 1998)
- *Під час настроювання струн* (Geistkirch Verlag, Саарбрюккен 2007)

WYDAWCA / HERAUSGEBER / ВИДАВЕЦЬ

VILLA DECIUS

In Zusammenarbeit mit
We współpracy z
У співпраці з

Allianz Kulturstiftung

Realisiert aus den Mitteln des Ministers für Kultur und Nationalerbe der Republik Polen
Zrealizowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Здійснено за фінансового сприяння Міністерства культури та національної спадщини Республіки Польща]

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.